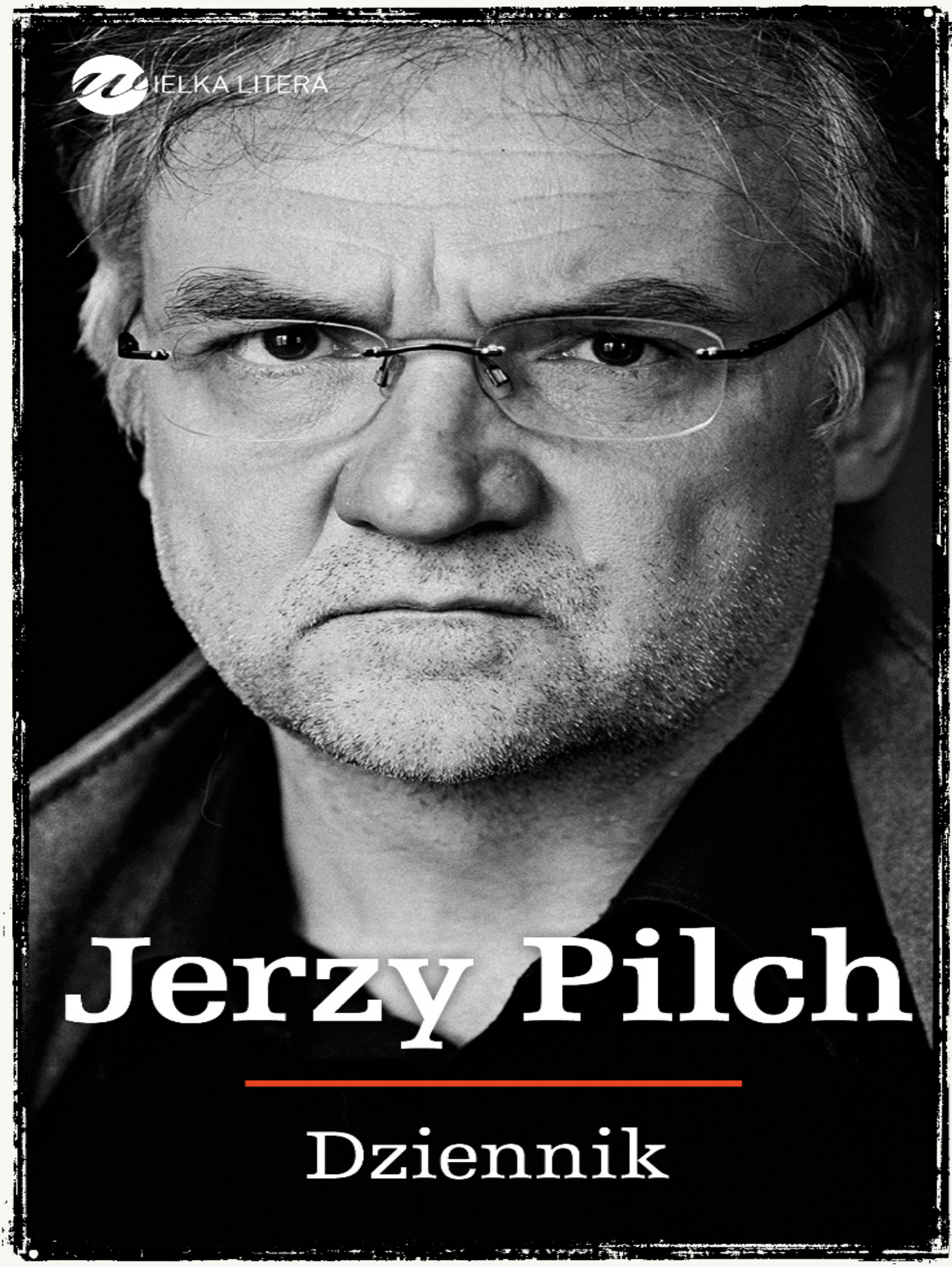
WIELKA LITERA
Jerzy Pilch
Dziennik

Jerzy Pilch

Dziennik

Wielka Litera

2009

21 grudnia 2009

W Wiśle jak Pan Bóg przykazał: minus czternaście stopni mrozu, plus czternaście centymetrów śniegu. Można powiedzieć: zatrważająca luterska równowaga. W dzisiejszych czasach mało co poza meteorologią Panu Bogu zostało. Ileż ja się nasłuchałem tutejszych opowieści o ulewach cudownie zatrzymanych tuż przed początkiem nabożeństwa na wolnym powietrzu albo o gradobiciu, które czekało, aż ostatni wierny wejdzie do kościoła, albo o śnieżycach, które wszystko, z wyjątkiem naszych ścieżek, zasypały. Dziesiątki przypowieści, osobne ewangelie, bezlik apokryfów. Protestanckich, ma się rozumieć, one Panu specjalnie miłe. Braci katolików On też wysłuchuje, ale mniej uważnie. Nawet jak na najwyższym szczeblu modły o deszcz czy choćby o orzeźwiającą mżawkę wznoszą.

Nie zaczynam od pogody, zaczynam od Pana Boga, a jak od pogody, to z powodów teologicznych. W minionym roku od narodzenia Chrystusa dwa tysiące i dziewiątym utraciłem wiarę. Jeszcze parę innych rzeczy godnych, a nawet godniejszych uwagi się zdarzyło: umarł Leszek Kołakowski, zgasła gwiazda Leo Beenhakkera, do poezji wrócił Janek Polkowski, kolejny raz przeczytałem *Sklepy cynamonowe*, *Bouvarda i Pécucheta*, *Śmierć Iwana Ilicza* i parę innych książek. Do bezliku dawno przeczytanych raz po raz zaglądałem, by rytualnie skonstatować, że nic a nic nie pamiętam nawet z najważniejszych. Kupiłem

sporo nowych i niektóre stare i zawsze wybierałem tomy grube, a nawet opasłe.

W zdziczałych sopockich ogrodach karmiliśmy zaprzyjaźnioną sforę kotów, upadła gazeta, w której pisałem felietony, prawa ręka zaczęła wieść kompletnie samodzielne życie, mimo to, a może nawet dzięki temu z większą dokładnością ułożyłem ładnych kilkadziesiąt stron nowej prozy. Parę razy lądowałem w Krakowie, dwie, trzy podróże były zupełnie fantastyczne; poza Bachem nie słuchałem żadnej muzyki. (Dopiero koło samego Bożego Narodzenia zwabiony udziałem Magdaleny Kożeny puściłem parę razy *Czech Christmas Mass* Jana Jakuba Ryby – kompozytora, o którego istnieniu nie miałem, rzecz jasna, zielonego pojęcia i którego okolicznościowa prostota pasowała mi na święta. Inna rzecz: z tych samych, czyli kolędowych względów ten właśnie zachwyt nie bardzo się liczy).

Parę kryzysów miałem solidnych, euforii mniej, ale były; w sumie pół biedy – i tak w zasadzie jest już po zawodach. Z każdym otoczeniem, w którym byłem, czyli najczęściej z samym sobą, toczyłem zajadłą walkę, by do szesnastej mieć święty spokój. Udawało się rzadko – najwyraźniej jako taki słabnę, jako swój wróg krzepnę.

Polityka nie ciekawiła mnie prawie wcale, Cracovia wygrała cztery mecze z rzędu, w tym jeden z Wisłą – o Boże, jak się wtedy żyć chciało – setki, a może i tysiące mniej lub bardziej godnych odnotowania rzeczy się wydarzyło, a ja w tej lawinie, a może z dala od tej lawiny, niezauważalnie pozbyłem się P. B.

Nawet nie umiem powiedzieć, czy oko opatrzności, które od początku mi się przyglądało, zamknęło się nagle, czy powieka

została opuszczona, czy przez dziesięciolecia sprawiająca najrealniejsze w świecie wrażenie fatamorgana tego oka pierzchła wreszcie, czy na tyle dorosłem, by wiadoma baśń przestała przekonywać, czy limit czasu, jaki mi dał Wiekuisty, bym weń wierzył, wyczerpał się na jednym z ostatnich zakrętów, czy ubocznym skutkiem trawiących mnie dolegliwości jest fideistyczna zatrata? Czy co? I jak?

Nie wiem, którego dnia to się zdarzyło ani o której godzinie, porę roku też określam z trudem. Jeszcze na wiosnę było jako tako, ale latem, o jesieni nie wspominając – fiasko zupełne.

Jednego upalnego i zupełnie zachwycającego dnia siedzieliśmy w Loży, przed nami tętnił swoim niepojętym rytmem rynek (krakowski rynek w czerwcu – osobna piosenka). Było harmonijnie jak nigdy. Wszystko w duszy, w sercu, w rozumie, a nawet – nie uwierzycie – w świecie zewnętrznym miałem poukładane jak się patrzy, niczego się nie bałem, nawet prawa ręka na blacie stolika była spokojna czy może skutecznie pozorowała spokój, i nagle nienowa przecież, ale tym razem przeraźliwa jak tytanowe ostrze myśl: wszystko trzeba zostawić. Prędzej czy później, ale nawet jeśli później, to i tak lada chwila. Czas teraźniejszy przestał istnieć, przyszły sypie się jak piach z wykolejonego wagonu, o przeszłości szkoda gadać – co z tego, że mam ją w głowie. Dziesięć, dwadzieścia, a może i trzydzieści lat? One już minęły. Nawet w ekspansywnie optymistycznej wersji. Nieśmiertelna linijka Bronka Maja: „Twój czas minął – już jesteś". Jeszcze jestem? I to nie. Dziś już jestem w dniu jutrzejszym, który przelatuje jak pojutrze. Jadę ekspresem do Warszawy i zarazem siedzę w powrotnym InterCity; wstanę,

zanim legnę; zamknę, zanim otworzę; wyjmę, zanim włożę;
w kwietniu wigilia za pasem. Rynek zanurzony w masach
upalnego powietrza, nad nimi olbrzymi kryształ mrozu, nie wisi,
już spada, zanim na dobre spadnie, prawie całkiem stopnieje –
z tego mam się cieszyć? No wała! Lada chwila trzeba krakowski
rynek zostawić, istniał on będzie dalej, i to podobno miliardy lat
(nie przesadzałbym z ekstazą, przelecą jak wszystko) istniał
będzie ten największy plac Europy – ale nie moim już spojrzeniem
omiatany – i nawet z osobliwą pieczołowitością rozwijane
przeświadczenie, że wszyscy, co teraz przez ten rynek idą,
wszyscy łącznie z końmi, psami i niemowlętami, też umrą i też
przestaną się gapić – nie przynosi ulgi, a jak przynosi – to marną.

31 grudnia 2009

Jak się odziać do trumny? Rzecz jasna najstosowniejszy – jak kto ma takie możliwości – czarny jak węgiel mundur górniczy. Miał taką możliwość Jarosław Iwaszkiewicz, miał i mój ojciec. Pierwszy skorzystał, drugiemu nawet do głowy nie przyszła.

Jak pamiętają ci, co pamiętają, na katowickim zjeździe literatów w roku 1978 Prezesowi ofiarowano galowy mundur górniczy z lampką i czekanem. Zjazd był sławny, bo padały pierwsze głośno wypowiadane zdania przeciw cenzurze, a nawet o wolności słowa; władza w mizernej co prawda postaci wicewojewody Gorczycy, ale kontratakowała; dochodziło do zwad, a nawet tumultów; delegaci to wracali, to opuszczali salę. Osiemdziesięcioczteroletni Iwaszkiewicz zachowywał się i mówił świetnie – w mundurze wyglądał rewelacyjnie. A gdy przy swoim słusznym wzroście włożył czapę z pióropuszem, jego górowanie nad otoczeniem nabrało i dosłownej, i symbolicznej wielowymiarowości.

Czy od razu wtedy przyszło mu do głowy, że ten czarny, z czarnymi frędzlami, masywnie watowanymi ramionami, drogocennymi zygzakowatymi naszywkami, kunsztownym szamerunkiem, całą masą złotych guzików z górniczym godłem, aksamitnym kołnierzem i takimiż lampasami uniform akuratny będzie do trumny? Jestem pewien, że tak. A nawet jeśli pomysł przyszedł później – był natchniony. W każdym razie gdy autor

Brzeziny dwa lata później umarł, złożono go do grobu – tak jak przykazał – w górniczym stroju.

Popłoch to wzbudziło niezły, za dziwactwo albo za żart makabryczny brano tę przedśmiertną fanaberię, za starcze szaleństwo, w najlepszym razie za zupełną jakąś nieobliczalność i nieoznaczoność. Umysłowe zamroczenie? Tajemnica? Zagadka?[1] Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. A cóż dziwnego jest w tym, że człowiek schodzący do podziemnych krain przywdziewa strój tych, którzy dzień w dzień podziemne chodniki i labirynty przemierzają? Nie jest to nawet poetyczność specjalna czy inna grobowa mistyczność, a zwyczajny realizm – Iwaszkiewicz po tołstojowsku mocny bywał w tej konwencji.

Nie trzeba być zbyt pilnym jego czytelnikiem, by wiedzieć, że przemijanie i odchodzenie to były jego królewskie tematy, a już znakomita późna twórczość to był jeden wielki fioł na punkcie biegu czasu i zostawiania świata. Jest w tym coś dziwnego, że autor takich obsesji wybiera na ostatnią drogę przyodziewek podziemnego z natury rzeczy bractwa? Zwłaszcza że ma taką kreację pod ręką? Owszem, gdyby specjalnie obstalował tego rodzaju śmiertelny garnitur, gdyby szyć sobie kazał, modele studiował, do przymiarek chadzał, byłaby rzecz inna, byłyby granice rozmaite przekroczone – Iwacha, jak przystało wielkiemu pisarzowi, po krawędziach stąpał, ale równowagę utrzymywał. Poza wszystkim, poza śmiertelną logiką twórczości, poza nieubłaganym związkiem pomiędzy gasnącym życiem a trwaniem pisania, poza wszelkimi interpretacjami tego życia i tej twórczości były w owym geście znamiona Iwaszkiewiczowi przypisywane

rzadko – brawura mianowicie i – tak jest: szyderstwem podszyta – odwaga.

---

[1] Po latach pani Maria Iwaszkiewicz w prywatnej rozmowie przedstawi mi dalekie od wzniosłości rozwiązanie tajemnicy. Otóż podobno wysłany po ciemny trumienny garnitur kierowca przywiózł mundur, ponieważ niczego innego odpowiednio ciemnego i odpowiednio trumiennego w szafie nie znalazł. „Życiowe” to rozwiązanie śmiertelnej zagadki, moich rozważań – śmiem twierdzić – ani nie unieważnia, ani nie obniża. Wręcz przeciwnie: wzbogaca je.

2010

1 stycznia 2010

Ojciec na powtórzenie Iwaszkiewiczowskiego gestu nie wpadł, a mógłby, a mógłby – jak przystało profesorowi AGH miał galowy mundur górniczy, też bezlik lampek, czekaników i całą kolekcję kufli z rozmaitych imprez barbórkowych. Wkładał jednak cechowy przyodziewek rzadko, na zupełnie specjalne, wręcz przymusowe okazje. W sumie dziwne, przynajmniej czapę jako osobnik – delikatnie mówiąc – przeciętnego wzrostu powinien lubić. Ale on organicznie nie znosił wszelkich, nawet powinnością służbową uzasadnionych, przebieranek i maskarad, trzymał się zwyczajności; człowiek nie powinien – mawiał – tanimi sposobami wyróżniać się w społeczeństwie. W efekcie nawet do swych rytualnie stalowych garniturów i bordowych krawatów wielkiej wagi nie przywiązywał, sezonowych ekstrawagancji nie tolerował, a już z modą zaświatową całkiem był na bakier.

Był też po stronie życia, nie śmierci. Gdyby dożył przedśmiertnego wyznania Gustawa Holoubka – nie wierzę w śmierć – podobałoby mu się ono, przytaczałby je do znudzenia, tak jak do znudzenia i stojąc już nad grobem, powtarzał, że jest w olimpijskiej formie.

Wobec takiego sceptycyzmu jakieś strojenie się do trumny odpadało z definicji. Żadnych dyspozycji w tej sprawie nie zostawił, nawet jak coś mu chodziło po głowie, nie zdążył – mimo że schorowany, umarł nagle. Tak czy tak, galowy mundur górniczy

starego dalej wisi w wiślańskiej szafie i nie da się nawet powiedzieć, że czeka na okazję – na mnie. Nawet gdybym po śmierci w nie wiadomo jakie chucherko miał się obrócić – zdecydowanie za mały.

2 stycznia 2010

Odziany w górniczy mundur Iwaszkiewicz kroczy przez podziemne tunele, zwalista jego postać cień rzuca, lampka górnicza ledwo ledwo krainę zmarłych oświetla – nie jestem zakładnikiem czy koneserem takich przedstawień, ale jak już przychodzą, są dokładne. Niedawno obraz się dopełnił – przeczytałem mianowicie w gazecie „Rzeczpospolita", że Iwaszkiewicz, ma się rozumieć „symbol kolaboracji", kazał się pochować w stroju górnika „dla podkreślenia związku z partią robotniczą". Autor bezlitosnego artykułu, filar, a nawet klasyk tego pisma, puścił jeszcze parę innych rac tyczących właściciela dworku w „Stawiskach" (sic!). Najsmaczniejsza i swoiście prawdziwa pada w tezie końcowej, wedle której całe życie marzący o Noblu Iwaszkiewicz po wzięciu tej nagrody przez Miłosza „mógł tylko gorzknieć". Istotnie. W grobie człowiek gorzknieje, a porankami bywa wręcz kwaśny.

W co się odziać do trumny? Jak nie ma pod ręką munduru górniczego – w cokolwiek. Do czytania natomiast koniecznie bierzcie „Rzeczpospolitą". Lektura nawet małego jakiegoś tekstu w tej gazecie może dać taki wstrząs, że są realne szanse na zmartwychwstanie.

5 stycznia 2010

Moje poranki są przeraźliwsze niż wasze noce, a miało być inaczej. Kalendarz znów wisi w innym miejscu, widmowy kołowrotek obraca się od ładnych paru dni. Podobno Ludwig Wittgenstein pytany przez gospodynię, u której wynajął kwaterę, jakiego rodzaju posiłków sobie życzy, odparł: Wszystko jedno co, byle zawsze to samo. Otóż dla mnie jest to matka wszystkich porzekadeł, aforyzm aforyzmów, bezcenna wskazówka i nigdy niespełnione marzenie. Obecnie też jedyne mi znane i jedyne dla mnie zrozumiałe zdanie Wittgensteina.

Nie zawsze tak było. Dwa, a może trzy lata temu nie bez konsternacji odkryłem w domowej bibliotece egzemplarz *Traktatu logiczno-filozoficznego*, pierwsze polskie wydanie z roku 1970. Już sam fakt, że książkę tę wtedy kupiłem, jest dziwny, dalej jeszcze większa makabra. Otóż kartkując, uświadomiłem sobie, że musiałem wówczas rzecz od dechy do dechy przeczytać, i to – o zgrozo zupełna – nie tylko z pełnym zrozumieniem, ale i z ostrym polemicznym nastawieniem. Książka roi się od buńczucznych podkreśleń, wykrzykników, znaków zapytania, licznych to pochwalnych, to kąśliwych, zawsze pełnych najwyższego merytoryzmu uwag na marginesie – dajcie spokój. Kołakowski – i to sędziwy Kołakowski! – z niepokojem wyznawał, że w sumie nie bardzo wie, o co temu filozofowi chodzi, a ja w wieku dziewiętnastu lat nie tylko wiedziałem, ale do napisania

jakiegoś, bo ja wiem, *Anty-Wittgensteina* byłem wręcz gotów. Ach młodość! Co to jest młodość? To jest stan, w którym człowiek jest pewien, że rozumie Wittgensteina. Jeśli da się z tamtych przygód tego rodzaju definicję wysnuć – i tak pół biedy.

Natomiast żeby zawsze było tak samo, może niekoniecznie wszystko jedno, jak tak samo, ale żeby zawsze w określony, a nawet w określenie identyczny sposób było tak samo – to jest mój egzystencjalny ideał, to jest w moim najgłębszym przekonaniu jedyny sposób na życie, na grozę życia, na przetrwanie życia, kto wie, może i na wieczność.

7 stycznia 2010

Żeby zawsze było tak samo, ale broń Boże nie w sensie, żeby zawsze trwało jakieś uniesienie, wzlot, ekscytacja, upojenie czy inny orgazm wiekuisty. Żeby zawsze było tak samo – szczerze mówiąc – umiarkowanie. Żeby zawsze rankiem pić kawę z tej samej filiżanki, po południu w tej samej kawiarni, żeby, tak jak czyni to zdecydowana większość ludzkości, w nocy spać, w dzień pracować, żeby określoną liczbę godzin pisać, określoną czytać, żeby regularnie chodzić na spacery, do kina i na mecze, żeby początek *Faktów* o dziewiętnastej to była święta godzina, czyli początek zawsze takiego samego wieczoru, żeby – poza tym, że latem zawsze w to samo miejsce i na tak samo długo – nigdzie nie wyjeżdżać, w ogóle – błagam – żadnych podróży, też żadnych arcyważnych spotkań na mieście. Niedziele i w ogóle wszystkie święta zmieniające rytm czasu są, rzecz jasna, zbyteczne. Ileż człowiek sił traci, by przetrwać takie – dajmy na to – Boże Narodzenie? Zwłaszcza w tych czasach. Kryzys wiary kryzysem wiary, ale powszechny bajzel religijny, powszechny na przykład ryk kolęd w trakcie adwentu, a nawet przed nim – wkurwia mnie tak samo, a może nawet bardziej.

Oczywiście wielkie marzenie o niezmienności, o nieruszaniu się z miejsca nie jest marzeniem całego mojego życia – być może podskórnie czy podświadomie zawsze byłem takim głodem naznaczony – ale wyraziście wyszło to na wierzch, a potem stało

się obsesją od chwili, gdy na serio zająłem się układaniem zdań w języku polskim.

Czyli rada Flauberta: „Prowadź życie stateczne i ułożone, byś mógł być twórczym i oryginalnym w pracy", odegrała pewną rolę, dołączyła do nauki Wittgensteina? Niewątpliwie pasują do siebie te frazy. Jest w nich – warto zauważyć – pewna pycha. Wszystko jedno jak, bez niestatecznych przygód, z codzienną żyjąc monotonią, bez szukania wrażeń, ja i tak – powiada twórca – nie wyczerpię głębi mego mózgu. W moim wypadku jest tak samo, z tą przykrą różnicą, że ja zgłębić mego mózgu nie dam rady nie z racji jego głębokości, a z racji braku sił do zgłębiania. Brak narzędzi. Nawet kłębiącej się we mnie płycizny nie dam rady wyeksploatować. Słabo z pisaniem, nie lepiej z czytaniem. Nawet podstawowych rzeczy. Nawet Biblii nie zdążę porządnie pojąć! I bynajmniej nie celem jakiegoś jej infantylnego obalania! Zachwianie w wierze nie znaczy przecież, że ta książka przestała mi się podobać! Przeciwnie, czytana teraz w aurze zwątpienia, czyli wolności, podoba mi się jeszcze bardziej! Któż w końcu jak nie Eklezjasta dać może potężniejszą (biblijną) siłę zwątpieniu! Z prochu w proch i fertig! W zaskakującym odkryciu śmiertelności księgi potrzebne są jak nic! Zwłaszcza książka, w której – jak głosi słownik komunałów – jest wszystko. Wielka przegrana również.

Ale nie dam rady. Nawet niosących pociechę czterech ewangelii nie zmogę. Co tam czterech! Nawet jednego apostoła Marka nie rozgryzę do końca, choćbym wiódł nie wiadomo jak stateczne i nie wiadomo jak długie życie.

8 stycznia 2010

Tak jest. Całymi latami marzyłem o byciu literackim urzędnikiem, a przyrosła mi cyganeryjna gęba lekkoducha, bankietowicza i Bóg wie kogo. Stary refren: każdemu to, na czym mu najmniej zależy. Teraz tak samo. Niby w końcu mam to, o co walczyłem: zawsze ta sama kawa, do szesnastej spokój, żadnych podróży i arcyważnych spotkań na mieście, żadnych przygód, brawurowy powrót do czasów sprzed telefonii komórkowej, a nawet do epoki sprzed wynalazku telefonu, idealne warunki do eksploatowania własnych mielizn.

Żyć i pisać, a to znaczy ledwo żyć i ostro pisać – w sumie żyć w jedynie możliwy sposób. Wygrana wojna? Bałkańska spadochroniarka spadła z nieba w sensie ścisłym? Dopełniło się? Zawsze będzie tak samo? Zależy, co rozumieć przez słowo „zawsze". Jeśli słowo „zawsze" oznacza dobę, która dawniej miała dwadzieścia cztery godziny, teraz ma chyba połowę i dalej maleć będzie; jeśli oznacza poranki, które dawniej były porywającymi tryumfami, teraz stały się niepojętymi koszmarami (jeszcze parę lat temu nie mogłem się doczekać, żeby się obudzić, teraz na ogół odwlekam tę chwilę); jeśli słowo „zawsze" obejmuje kłopoty z pamięcią, wzrokiem, słuchem, koncentracją i czym tam jeszcze – to kto wie.

9 stycznia 2010

Jakakolwiek jednak wieczność przed nami – ciągnąć w nieskończoność się ona nie będzie. W każdej chwili może się rozlec kołatanie do drzwi. A niech się, k..., rozlega! Byle przed szesnastą.

10 stycznia 2010

Chwal się, chłopie, wygraną wojną, obnoś się spełnieniem marzeń, świętym spokojem, osiągniętą równowagą, bałkańską aliantką i czym, i kim tam jeszcze – przyjdzie na ciebie zagłada. Nawet jak się chwalisz wysoce (jak ci się zdaje) autoironicznie – grom uderzy. Boga nie ma, ale kara boska jak gdyby nigdy nic istnieje.

Równo tydzień temu (nie muszę dodawać: grubo przed szesnastą) rozległo się energiczne kołatanie, otwarłem drzwi, para zdyszanych, zlanych potem i ledwo żywych tragarzy wniosła do mieszkania kalendarz wielkości stołu pingpongowego i wagi płyty nagrobnej – serdeczny dar od starego przyjaciela. Podziękowałem, wręczyłem suty napiwek i siłą rzeczy zmieniłem plany. Miałem zamiar najbliższe dwie godziny poświęcić rozmyślaniom – pierwszą: fundamentalnej krytyce racjonalizmu (żadne z jego pasm sensu życia nie tłumaczy), drugą: problemowi, czy po utracie wiary można nadal być luteraninem (można, a nawet należy; wynikła z utraty P. B. wolność luterstwu sprzyja, luterską na przykład retorykę wręcz wzmaga). Teraz z wysokich rozmyślań nici; teraz musiałem się zająć przyziemną pragmatyką i rozstrzygnąć, co zrobić z zajmującym praktycznie cały przedpokój kalendarzem. Był równie piękny jak ogromny, równie podniosły jak ciężki, równie budujący jak nieogarniony. Za temat miał ołtarz Wita Stwosza, ergo na kolejnych stronicach widniały sceny i postacie w najwyższym stopniu pobożne.

Autorem fotografii i nadawcą przesyłki był mój kolega ze studiów na krakowskiej polonistyce, człowiek wielu zalet i talentów, przyszły niechybnie minister kultury, obecnie szef ekstraważnego i – co w tych czasach zupełnie rzadkie, poważnego – wydawnictwa, Andrzej Nowakowski. Od ładnych paru lat z wielkim powodzeniem para się on fotografiką, wydaje albumy i kalendarze, już w zeszłym roku ofiarował mi kalendarz poświęcony – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – architekturze wnętrz Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jakoś sobie z tamtym, też przecież kalibrem magnum, poradziłem – w tym roku bieda.

Latem przybyło półek, i to półek na grube, a nawet bardzo grube tomy. Na taką wieczność poleciłem wykonać regały. Na nic innego ani powierzchni, ani przestrzeni, ani kawałka ściany w moim – poza wszystkim – umiarkowanie rozległym mieszkaniu. A tu trzeba nie kawałek, a kawał słuszny, z metr kwadratowy najmniej! Co robić? Nie powieszę przecież kalendarza na jakiejś nieczytelnej wysokości pod łazienkową powałą!

Do Wisły nie wywiozę, tam wprawdzie byłoby miejsce, i to niejedno, ale czy matuli najpiękniejsze nawet wizerunki katolickiego ołtarza przypadłyby do gustu, pewności nie ma. Raczej nie, matka w luterskiej wierze zawsze twarda, teraz twardnieje jeszcze bardziej. Owszem, zdjęcie z Janem Pawłem II ma w salonie wyeksponowane jak trzeba, ale po pierwsze jest to zdjęcie uczynione w ewangelickim kościele w Skoczowie, gdzie brat matki przez długie lata był proboszczem, po drugie co innego Papież Polak, co innego Matka Boska z drewna! Nawet najpiękniej przez Wita Stwosza wyrzeźbiona! Nawet w nieziemskiej glorii światłocieni przez Nowakowskiego

sfotografowana! Do Wisły więc nie. Gdzie tedy? Dać ten kalendarz komuś w prezencie? Komu, szczerze mówiąc? Nie bardzo mam takich klientów. Do moich byłych redakcji podrzucić taki dar taksówką bagażową? Nie jestem pewien, czy zostałbym należycie zrozumiany. Coś mi się zdaje, że na mój widok nawet z ołtarzem Wita Stwosza pod pachą Jurek Baczyński nie skakałby z radości. U Springera przesadnego wiwatowania też by nie było. Owszem, chłopcy w „Tygodniku Powszechnym" ucieszyliby się szczerze, ale Wiślna daleko. Mojemu przyjacielowi i wydawcy Pawłowi Szwedowi ozdobić gabinet takim rekwizytem? Za dobrze się znamy, by nie wyczuł on niejasności gestu. Uszczęśliwić takim darem ulicę Hożą? Wręczyć to dzieło sztuki panu Aftyce, panu Katanie, panu Kubickiemu? Za stylowo mają oni swoje odpowiednio: sławną pralnię, sławny zakład szewski i sławny antykwariat urządzone, by mój kalendarz zmieścić. Pani Małgosi, co mnie strzyże, pani Marzence, co mnie strzygła, pani Bożence, co robi manicure – wręczyć taki prezent? Nie umiem sprecyzować czemu, ale nie zdaje mi się to szczytem galanterii. Do jednej z dwu pobliskich księgarń zanieść? Gorzej niż drzewo do lasu! I Odeon, i Matras wszelkiej maści kalendarzami obwieszone i zagracone do granic. Nie na kolejny, a na gremialną przecenę wszystkich kalendarzy jest tam pełne znużenia oczekiwanie! Dziewczyny z Galerii Wypieków? Pani Kasia z całodobowego? Szefowa delikatesów Robert? Kierownik minidelikatesów Dziupla? Wszystkie warianty, choć brane pod uwagę z ogromną serdecznością – jakoś niestosowne.

13 stycznia 2010

Prawdziwa niestosowność, i to niestosowność w wymiarze, rzekłbym, kryminalnym była jednak przede mną. Nie ma co dalej snuć fantasmagorii, pora z realizmem opowiedzieć, co się stało i co się dzieje.

Niechaj nie zabrzmi to niezręcznie, zwłaszcza artyści dłuta i fotoaparatu niechaj nie poczują się dotknięci – powiesiłem mianowicie ich dzieło na klatce schodowej. Jest to wbrew brzmieniu miejsce bardzo w porządku, po niedawnych remontach solidnie odnowione, na ogół przyzwoicie zamiecione, w głębi korytarza majaczy nawet element kwietnika. Ciemny w tonacji kalendarz umieszczony na białej ścianie ściśle vis-à-vis mych drzwi wyglądał świetnie. Ach nie, nie to, co myślicie! Czas przeszły nie z powodu kradzieży czy bezinteresownego wandalizmu. Ani łakomi makulatury kloszardzi, ani zawsze gotowi do demolki dresiarze nie byli tu czynni! Coś bardziej zawiłego, a nawet coś demonicznego w kamienicy się dzieje! Czyjaś, chyba diabelska, ręka nieustannie mój kalendarz z miejsca na miejsce przewiesza. Niesłyszalne, a może nawet niewidzialne młoty gwoździe w ściany wbijają! Stalowe gwoździe! W betonowe ściany!

15 stycznia 2010

Wielka gra, co tam gra! Wielka wojna się zaczęła! Powiesiłem kalendarz ściśle naprzeciw moich drzwi, bo po pierwsze miejsce pod względem estetycznym harmonijne, po drugie do kontroli – nawet przez judasza – wygodne. Powiesiłem, patrzę, wisi. Po godzinie, zrezygnowany, wychodzę po gazety. Zrezygnowany, albowiem dzień przed szesnastą naruszony i tak mogę spisać na straty. Wychodzę tedy i dopiero pojmuję, co znaczy „spisać na straty", co znaczy „rezygnacja"! Wychodzę, patrzę, kalendarza nie ma! To znaczy jest, ale w innym miejscu! Na innej ścianie! Był vis-à-vis, teraz jest przy windzie. Też starannie, też symetrycznie, też na stalowym gwoździu, ale w innym miejscu! Nic nie widziałem, a zwłaszcza nic nie słyszałem, a przecie rumor musiał być ogromny! Samo zdejmowanie, samo taszczenie, samo przymierzanie, sam szelest kart! A walenie młota?! Jak mogłem nie słyszeć? Specjalnie w zaistniałej sytuacji na wszelkie odgłosy wyczulony? Trapiły mnie przecież swoiste wyrzuty sumienia, więc w dwójnasób i wszelkimi władzami poznawczymi starałem się nad kalendarzem czuwać! By godnie wisiał! By żadna, nie daj Boże, postponacja go nie spotkała! A tu masz! Niby nic złego: żadne zrzucenie ołtarza na posadzkę, żadne upchanie w zsypie czy popapranie sprayem, a jedynie zmiana lokalizacji – tym gorzej, tym groźniej! Kto się za tym kryje? Co ta dokonana – dla

wzmożenia horroru – z pieczołowitością i w zabójczej ciszy zmiana miejsca znaczy?

Na razie wiem jedno: znaczy wojnę! Nie wiadomo o co, nie wiadomo z kim, ale wojna ogłoszona! Proszę bardzo! My nie z tych, co znienacka napadnięci, po pierwszej przegranej potyczce chodu w las! My wręcz przeciwnie! Wyjmuję ze skrytki na ryzykowne drobiazgi maksymalnie wielki młotek (za pierwszym razem używałem – ha, ha, ha – małego), wyjmuję odpowiedni gwóźdź (ten, który wbiłem poprzednio – wiele mówiący jest to szczegół – przepadł bez śladu) i dawaj! z ostentacyjnym łomotem i pokrzykując dziarsko, przywracam kalendarz na miejsce. Wieszam, sprawdzam, wisi. Wychodzę, jak było w planie, po gazety. Wracam. Nie muszę chyba dodawać, z jakimi przeczuciami. Sprawdzają się one: Wit Stwosz przewieszony! Tym razem mój tajemniczy prześladowca wybrał miejsce przy schodach na strych – pod względem piękna nie najgorsze, a i w polu mojego widzenia się mieszczące, ale nie moje! OK. Młot, gwóźdź i przywracanie pierwotnego ładu. – Pokaż się, żartownisiu! – walę młotem i na całą kamienicę ryczę: – Pokaż się, figlarzu, pobrykamy sobie! Uzgodnimy, które miejsce lepsze! Ponegocjujemy! Pogadamy jak Polak z Polakiem! Dogadamy się! A jak się nie dogadamy, zobaczymy, czyj młot potężniejszy! Ale się pokaż! Stań na ubitej ziemi!

16 stycznia 2010

Głucha – ma się rozumieć – cisza mi odpowiada. Ma się rozumieć, bo żaden z sąsiadów do tak dziwacznej akcji nie pasuje. Któż by to mógł być? Przecież nie pani Wanda, która ledwo łazi, gdzieżby ona dała rady! Następny drzwi w drzwi mieszkający sąsiad też odpada: za dobrze mu z oczu patrzy. W głębi korytarza wynajmująca garsonierę panna z biura prasowego rządu? Nawet nie ma co jej brać pod uwagę, zbyt wielu premierów przetrzymała, by takie zabawy były jej w głowie. Kto tedy? Trunkowy kolega z trzeciego? O wszem, miewa on wzloty i uniesienia, ale nie na wysokość piątego piętra. Wietnamczycy z drugiego? A cóż ci wiecznie uśmiechnięci ludzie Wschodu mogliby mieć do Wita Stwosza? Pan dozorca przewiesza kalendarz, ponieważ tam, gdzie ja go umieściłem, było jakieś – bo ja wiem – zagrożenie pożarowe? Wykluczone! Pan dozorca, człowiek przychylny światu, nie przepuściłby okazji do miłej pogawędki, zastukałby, wyjaśnił, rozwiał wątpliwości.

Wielce przedsiębiorczy i aktywnie czuwający nad domowym mirem sąsiad z dołu? Gdzie tam! Jemu każda akcja przyczyniająca piękna naszemu budynkowi miła. Przewiesza kalendarz, żeby było jeszcze milej i jeszcze piękniej? Nie dajmy się zwariować. Ktoś z zewnątrz? Wariat? Psychopata? Samozwańczy i całkowicie niepanujący nad swym popędem dekorator wnętrz? Seryjny przewieszacz kalendarzy? A może jakaś namiętna

czytelniczka literatury dzisiejszej albo inna nieobliczalna młoda poetka pragnie w ten niekonwencjonalny sposób zwrócić na siebie uwagę? Aż tak niekonwencjonalna współczesna twórczość nie jest. Któż więc? Cały dom mam obejść? A jak nie pomoże – całe miasto? A może – w desperacji zupełnej przychodzi mi do głowy – nie ludzie, a duchy tu działają? Zbłąkane dusze, same niewidzialne, niewidzialnymi i niesłyszalnymi młotami pracują? Wiele szczegółów pasuje. Układanka zdaje się układać w logiczną całość. Czyjeż duchy by to być miały? Dawnych – ma się rozumieć – lokatorów. Kimże oni byli? Czemuż ich dusze nie zaznają spokoju? Grzechy jakieś, występki, a może i zbrodnie za życia popełnione dalej im ciążą? Na wiekuiste przewieszanie kalendarzy na Hożej ci z niewiadomego kręgu piekieł nieszczęśnicy skazani zostali?

Fakt faktem – w pradawnych czasach wysoko, a nawet bardzo wysoko postawione postacie tu mieszkały. Wysoko postawieni partyjni dostojnicy. Wszyscy wysoko postawieni na jakąś pokutę bywają narażeni, a wysoko postawieni dygnitarze za Gomułki? Za Gierka? Sami rozumiecie.

Kamienica właśnie z tamtej epoki, z wczesnych lat sześćdziesiątych pochodzi. Wtedy tak zwana plomba w śródmieściu, dwa w niej pokoje z łazienką i widną kuchnią, balkon, całe czterdzieści, a nieraz wręcz czterdzieści dwa metry kwadratowe to były luksusy, które z lekkością dzisiejsze apartamentowce biły na głowę. Szary człowiek nie śmiał nawet o takich komfortach marzyć! Wyłącznie wysoko, a nawet najwyżej postawieni aparatczycy w takich zbytkach się tarzali! Pod względem ideologicznego, bo ideologicznego, ale uduchowienia też

stali wysoko! Nie prąd, nie bieżąca woda, nie kaloryfery, nawet nie balkon czy winda w kamienicy były największym przywilejem. Największą i najszczytniejszą nie tyle wygodą, ile wręcz honorem była dla nich okoliczność jeszcze inna: gmach Komitetu Centralnego znajdował się tuż-tuż – do pracy mieli blisko.

18 stycznia 2010

Duchy byłych dygnitarzy błąkają się po swym dawnym domostwie? Nie tylko w ramach pokuty, ale i celem napomnienia nas – żywych? Widząc, co się dzieje, członkowie widmowych biur politycznych z grobów wstają i znaki choćby drogą przewieszania kalendarza dają? Szkalujecie nas – szyfrują na kolejnych fotografiach ołtarza – tym z nas, co jeszcze żyją, emerytury tniecie, a my, owszem, popełnialiśmy błędy, ale żyliśmy skromnie.

Tak czy tak – duch tu się błąka, człowiek czy inna fantasmagoria – moja dola rozstrzygnięta na długi czas. Z młotkiem w garści, z okiem do judasza przyklejonym stoję pod drzwiami w przedpokoju i czatuję. Czatuję, choć wiem, że gdybym dosłownie na sekundę wpadł (a wpaść w końcu muszę) do – dajmy na to – łazienki, trwający ściśle tę właśnie sekundę ruch po tamtej stronie zostanie wykonany. Raz po raz wyskakuję przeto na klatkę i przywracam kalendarz na miejsce. Trwa to nie wiadomo jak długo. Siedem dni stało się wiecznością. Ja i mój antagonista przeszliśmy już przez wszystkie piętra. Na niektórych ścianach pokazują się pierwsze pęknięcia.

18 stycznia 2010

Z regularnym chodzeniem do kina fiasko zupełne, a nawet gorzej. W weekend podeszliśmy do twórczości filmowej z systematycznością patologiczną: w piątek *Rewers*, w sobotę *Biała wstążka*, w niedzielę *Avatar*.

Pierwszy utwór frapujący z bezliku powodów, od wzruszającego faktu, że akcja toczy się w roku 1952 poczynając, na konsekwentnie utrzymanej tonacji kończąc. Jest wprawdzie w tej brawurowej historii jakieś potknięcie czysto techniczne, które powoduje, że pomyślana jako jedna z mocniejszych, a może nawet najmocniejsza scena imprezy z trupem w kadzi nie ma takiego napięcia ani takiej komiczności, jakie mieć powinna, ale to detal. Daj Panie Boże takie jednym ruchem dźwigni usuwalne usterki – powszechny podziw podzielam bez zastrzeżeń i wyrażam (tak jest: zrzędliwą) nadzieję, że tak świetny debiut nie stanie się ciężarem, że tak wysoko ustawioną poprzeczkę młody reżyser w następnych dziełach będzie pokonywał łatwo i z pozwalającym dalej ją podnosić zapasem. Generalnie sytuację ma trudną – fantastyczny debiut jest wielkim darem, ale jest też jedną z najniebezpieczniejszych rzeczy, jakie mogą się zdarzyć w sztuce. Nieraz dalsza twórczość jest ściganiem samego siebie, z natury rzeczy wyścig to trudny, ale przez wielkich zawodników do wygrania, wystarczy ta właśnie bagatela: Wielkość.

Powszechnego natomiast zachwytu dla rzekomej głębi *Białej wstążki* nie podzielam najmniej z trzech powodów: po pierwsze teza tego utworu (wbrew przypisywanym mu wieloznacznościom) jest nachalnie widoczna. Po drugie brzmi ona, że źle traktowane dzieci źle będą otaczający świat traktować – przy najlepszej woli nie jest to myśl nadmierną świeżością tchnąca. Aby było jasne: nie domagam się żadnej „nowości", „oryginalności", o „rewolucyjności" nie wspominając! Proszę bardzo – powtarzanie nie jest złe; niektórzy powiadają (nie bez racji), że wszystko jest powtórką. Język wszakże musi być inny, powtarzać można, ale innymi sposobami, a tu jest i w tej materii powtórka, słowem – i to jest po trzecie – obrazy i ujęcia piękne i można by je z grzybkami podać, gdyby niejaki Ingmar Bergman wcześniej takich rzeczy nie uczynił.

Wtórność wyłazi zwłaszcza z dławiąco szczelnej powagi utworu. Miałem o tym rozmowę ze Zbyszkiem Mentzlem; nie pierwszy raz myślimy podobnie. Bergman, tragik i pesymista, jakich mało w dziejach – w największych swych arcydziełach nie bał się śmiechu i wychodziła mu pełnia świata. Austriak pilnuje śmiertelnej aury, jakby się bał, że kara, jaką wymierza światu, nie będzie dość dotkliwa – w efekcie ani kara, ani dotkliwa.

„Dałem Bogu szansę, by mnie zabił" – mówi w filmie kroczące nad przepaścią (niekoniecznie pascalowską) dziecko i – jakkolwiek to brzmi – jest to wątek do pociągnięcia. Może nawet w tym miejscu powinno być źródło energii utworu – zaniechana ta „szansa" została. Film niby czarno-biały, w istocie szary. Pełen powagi autor poważne filmy oglądał, poważne książki czytał – we *Wstążce* tylko ich form używa. Tym większy mój kłopot, że

z wrodzoną przychylnością reaguję na protestanckie klimaty i wszystkie „straszne czwartki w domach pastorów" mają u mnie w zaraniu dodatkowe punkty. Haneke daje pretekst wyłącznie do negatywnego namysłu, w jego obrazie jak na dłoni wychodzi stereotyp surowości obecny w większości dzieł opiewających rzeczywistość protestancką. Rzecz jasna, że surowe zimy i surowi pastorzy rządzą ewangelickimi krainami – tym bardziej pora na luterską komedię. Nie tylko z woli uzupełnienia braku siedzę nad *Wieloma demonami*.

19 stycznia 2010

Avatar rzecz w moim wieku wysoce ekscentryczna. Sama podróż na Sadybę do jednego z czterech ojczystych kin dysponujących Imaxem 3D (DMR), samo założenie na nos polaryzacyjnych okularów trójwymiarowych P3D ze szkłami ponadwymiarowymi – to już jest eksces nad ekscesami, cóż dopiero reszta! Nie ma co się krygować: siedziałem w niebo przestrzennej technologii wzięty. Przyszło, ale przyszło późno? Gdybym na takich filmach bywał w dzieciństwie, uszkodziłyby one wyobraźnię czy ją uwolniły? Mam Bogu dziękować, że takie iluzje były w mityczny czas niedostępne, a niedzielne poranki w wiślańskim kinie Marzenie owszem dech zapierały, ale na czytanie książek czasu zostawiały sporo? Nie zdaje mi się, by były to rozstrzygalne kwestie. Cieszę się, że dożyłem, choć ciekawość, jakie filmy za tysiąc lat będą na Sadybie wyświetlane, zarówno mnie pali, jak przygnębia.

20 stycznia 2010

Jak się człowiek zaczyna wokół jednej sprawy kręcić, nagle wszystko zdaje się nią naznaczone. Na co spojrzysz, co usłyszysz, co weźmiesz do ręki – żałobnie przemawia, śmiertelne daje znaki, końcówkę szyfruje. Zwłaszcza książki – jakby się zmówiły. Skądinąd nie dziwota. Czy istnieje, czy w ogóle jest możliwa ważna literatura bez tematu śmierci? Bez Boga owszem, choć zawsze jest to lód przeraźliwy. Ale bez śmierci? Komedia? Komedia, w której nikt nie umiera, zawsze będzie mniej warta od komedii choćby z jednym tylko nieboszczykiem.

Zacząłem kartkować właśnie przez Świat Książki wydaną rzecz Juliana Barnesa *Nie ma się czego bać* i natychmiast trafiam na anegdoty o Wittgensteinie, na rozważania o lęku przed śmiercią, a zwłaszcza na kolejny wariant „dawania Bogu szansy".

Autor z lekka wpierw poruszywszy kwestię istnienia Najwyższego wedle zakładu Pascala, powiada, iż zakład ów odbija się echem przez wieki, zawsze znajdując naśladowców. „Oto ekstremalna wersja spod znaku człowieka akcji. W czerwcu 2006 roku w kijowskim zoo pewien mężczyzna spuścił się po linie w sam środek wybiegu dla lwów i tygrysów. Zsuwając się w dół, krzyczał coś do tłumu gapiów. Według jednego ze świadków wołał, że kto wierzy w Boga, nie musi się obawiać lwów, według innego deklarował wyzywająco: Bóg mnie ocali, jeśli istnieje. Ów metafizyczny *provocateur* zjechał na dół, zdjął buty i ruszył

w stronę zwierząt; w tym momencie poirytowana lwica zwaliła go na ziemię i przegryzła mu tętnicę szyjną. Czy dowodzi to, że a) mężczyzna był szalony; b) Bóg nie istnieje; c) Bóg mimo wszystko istnieje, ale nie ujawni się z powodu tak tanich sztuczek; d) Bóg mimo wszystko istnieje i właśnie pokazał, że nieobca jest mu ironia; e) niczego z powyższych?".

Co do Boga – jest jeszcze kilka wariantów. Co do mężczyzny – nie był on moim zdaniem ani szalony, ani nadto prowokacyjny. Owszem pobożny bardzo, ale i skromny, wszystkim Boga nieobciążający – zszedł przecież po linie, nie rzucił się, nie żądał, by Pan pozwolił mu bezpiecznie wylądować albo zatrzymał go w locie. Rozstrzygający gest: zdjęcie butów. Zdjęcie butów, by nie dostał się do nich piach, którym niechybnie wysypany był wybieg, niezbicie dowodzi nie tylko rozsądku, ale i zapobiegliwości. Silnie wierzący, skromny, skrzętny, gospodarny... Ewangelik?

21 stycznia 2010

Swoją drogą: wczoraj wyszedłem na miasto w dwu różnych butach. Przypadek? Początek? A może już środek?

Fakt faktem: czułem się niespecjalnie, kończyny fruwały – niczym Duch Święty – kędy chciały. Zamiary trzeba było miarkować. Ryszard Krynicki wydał wybór wierszy, wieczorem wybierałem się na urządzane z tej okazji spotkanie z autorem w Czułym Barbarzyńcy, teraz z brawurowych planów nici. Wiedziałem, że na taką odległość za żadne skarby nie dam rady dotrzeć, ale na Boga! – po gazety chyba się doczołgam? Było marnie, ale w końcu bywało daleko gorzej. Zwłaszcza w poprzednich wcieleniach. Poza tym, jak mawiali mój stary i król Salomon: „Kto siebie pokona, więcej uczyni niż ten, co miasta dobywa".

Z najwyższym trudem parę rachitycznych linijek wydusiłem, zamknąłem laptop i od razu nagroda za wytrwałość: udało mi się nie tylko po gazety wyskoczyć, ale i gorącą czekoladę w kawiarni szarpnąć! Mało tego! Jeszcze po drodze w zaprzyjaźnionym kiosku karton coraz trudniej dostępnych gauloise'ów nabyłem! Nigdy nie były to papierosy zbyt rozlegle na ziemiach polskich obecne, tu i ówdzie jednak się trafiały. Obecnie nikną w oczach. Nie tylko wielkie represje, czystki, przesiedlenia, wypędzenia i wszelkie możliwe (tak jest, nie ma co owijać w bawełnę – łącznie z fizycznymi) eksterminacje palaczy czekają – wybrane marki już

teraz sprząta im się sprzed nosa. Nie dziwota, że każda zdobycz się liczy.

Jak przed nadciągającym kataklizmem: gromadzę zapasy, wyznaczam szlaki ewakuacyjne, typuję miejsca, w których będzie można się schronić – ma to swoje plusy. Peerelowski atawizm bydlęcego szczęścia, kiedy się udało coś upragnionego zdobyć, odżywa z całą mocą – niosę karton gauloise'ów „spod lady" i jestem co najmniej tak szczęśliwy jak w stanie wojennym.

W sumie dzień udany, a nawet przyjemny. Wracałem do domu może nie na skrzydłach, ale w całkiem dobrej formie. Rozważałem nawet, czyby jednak nie pojechać do Czułego Barbarzyńcy, ale po namyśle zdecydowałem, że dla z wolna odzyskiwanej równowagi korzystniej będzie zostać w domu. Tym więcej, że o 20.30 zaczynała się transmisja meczu Polska – Szwecja.

Przedwczesne wasze śmiechy! Szczypiorniaka owszem lubię, ale jakaś królewska moja dyscyplina to nie jest, a już myśl, by tę akurat grę w jakimkolwiek wymiarze porównywać czy wręcz przedkładać nad wielkie wiersze Krynia, a zwłaszcza nad ich narkotycznie zniewalające czytanie przez autora, nawet przez łeb mi nie przeszła. (Co innego futbol – z jego nawet nikczemną ligową postacią każda literatura przegrywa).

Słowem, myśli płaskiej nie miałem, ale miałem dojmujące przeczucie, że mecz wygrają nasi – na skołatane nerwy to jest bezpieczniejsze od głębokich wzruszeń. Wiem, co mówię – praktycznie przestałem słuchać muzyki, nawet Bacha już nie puszczam, bo rozstraja do szczętu.

Wracam przeto bezpiecznie do siebie, otwieram drzwi, zapalam światło i widzę rzecz bardzo dziwną: jeden mianowicie z pary

zimowych butów, które mam na nogach, nonszalancko stoi w przedpokoju. Co więcej, obok jednego z pary zimowych butów, które mam na nogach, stoi jeden z pary lekkich półbutów, które przed wyjściem zdjąłem i które zaraz – zdjąwszy wpierw, ma się rozumieć, parę zimowych – obuję. Tak jest, nie mam zamiaru nikogo ekscytować, ale po domu chodzę w butach, nie mam żadnych „pantofli", o jakichś bez pawia niewymawialnych „kapciach" nie wspominając. (Pamiętacie schwytanie Saddama Husajna? Pamiętacie brudnozielone „paputki" przy wyrku dyktatora? Kto ma takie „kapcie", w jeden tylko sposób może skończyć).

Kieruję stężały wzrok ku stopom. Sytuacja, jak się domyślacie, analogiczna: jeden taki, drugi taki; jeden zimowy, drugi letni; jeden półbut, drugi wysoki; jeden skóra, drugi nubuk; jeden w stylu adidasa, drugi kamasza – oba na szczęście czarne. Oba na zgubę na moich nogach.

22 stycznia 2010

Całkiem jak w dawnych czasach po niezłej imprezie: człowiek budzi się i odczuwa nieubłaganą potrzebę rekonstrukcji. Co się działo? Jak do tego doszło? Jak to w ogóle było możliwe? Zdjąłem jeden półbut, wzułem na jego miejsce but zimowy, zawiązałem sznurowadło i uznałem, że gotowe? Druga noga – jakkolwiek to brzmi – wyleciała mi z głowy? Drugiego półbuta już nie ruszałem? Stało się coś? Coś mnie od przebuwania w trakcie przebuwania oderwało? Rozproszyło? Zdumiało? Przeraziło, a może zaabsorbowało do tego stopnia, że nie tylko o butach, ale w ogóle o bożym świecie zapomniałem? Zadzwonił telefon? Skąd, oba wyłączone. Ktoś do drzwi kołatał? Odgłos niewidzialnego młota się rozległ? Znów ktoś do przewieszania kalendarza się przymierzał? Tak jak stałem, wypadłem na klatkę, na której rzecz jasna nikogo nie było? Nic z tych rzeczy. A raczej rzecz w tym, że nic. Wychodzi, że pomiędzy jednym a drugim butem runąłem w ciemność, a może nawet w nicość.

Aż tak specjalne to nie jest, z jednej strony nie znamy dnia ani godziny, w której runiemy w mrok i niebyt, z drugiej nie takie rozproszenia ludzie miewają. (Konwicki na przykład nie takie w *Kalendarzu i klepsydrze* rekordy roztargnienia odnotowywał).

Tyle że po pierwsze w ogóle nie jestem (dotąd nie byłem?) roztargniony; owszem, demencja powoli zaczyna mnie pętać, ale to jest co innego, demencja przynajmniej we wczesnej fazie wzmaga

ład i porządek, instynkt samozachowawczy nakazuje utrzymywanie świata przedmiotów w nienaruszalnym reżymie, bo jeśli coś nie jest na swoim miejscu, wiesz, że nie znajdziesz tego nigdy.

Po drugie jakim cudem nie poczułem różnicy? Przecież ja w tej niedobranej (a może paradoksalnie dobranej?) parze trzewików spory kawałek Hożej i ładnych kilkaset metrów Marszałkowskiej w obie strony! Po śniegu i lodzie! W dziesięciostopniowym mrozie! Trochę mi się tylko zdało bardziej niż zwykle ślisko, ale w końcu zima! Żadnej różnicy nie zauważyłem, ani w masie, ani w ciężarze, ani w izolacji termicznej. Letni but nie przemókł, zimowy nie przeważył. Jaka stąd wynika – jak teraz mądrale mawiają – konkluzywność? Czy jest tak, że wysokie i ocieplane buty zimowe w sednie swej istoty niczym się nie różnią od najzwyczajniejszych w świecie półbutów, a przekonanie, że się różnią, jest jednym ze zniewalających zabobonów, które narzuciła cywilizacja, a specjalnie wielkie koncerny szewskie? Czy też jest tak, że ja nie tylko buty pomyliłem, ale i czucie straciłem? Nie tylko w nogach? W ogóle? Nie mam pojęcia. Świat jest pełen zagadek.

Z innej jeszcze strony – cóż za fart! Maluczko przecież, a ja bym w dwu różnych butach na wieczór Krynia polazł. Oczywiście żadna tragedia by się nie stała. Na jednym z najważniejszych wydarzeń literackich roku mieć na nogach taki konglomerat może to nawet byłoby wizerunkowo niezłe. Ale dla mnie z różnych powodów fatalistyczne. Wstyd by mi zwyczajnie było.

Może przeto... Może tedy, Pilchu, widząc, że Weń wątpisz, dał ci Pan znak, mieszając obuwie twoje, a potem, dając ostatnią szansę,

bezpiecznie cię wywiódł na widne pastwiska? OK. Przeczucie, że wygramy ze Szwecją, się spełniło. Zobaczymy, co dalej.

2 lutego 2010

Wczorajszego wieczoru, z lekka tylko sobą gardząc, obejrzałem w telewizji film o generale Jaruzelskim. Nic nowego, nic odkrywczego, nic zaskakującego. Czerń przewidywalna i monotonna. Słońce wschodzi i zachodzi, przemijają pokolenia, a jedyni sprawiedliwi nudni jak peerelowskie flaki z olejem. Obejrzałem i zaznałem mulistości. Tak jak w większości programów poświęconych historii najnowszej i tak jak w przypadku wszystkich programów, artykułów, książek czy wywiadów poświęconych Generałowi zaznałem nudy mulistej. (Ależ nudno, ależ śmiertelnie nudno! – wzdychał Janek Błoński w parę tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego).

3 lutego 2010

Bez względu na to, jakie zło i jakie dobro ma na koncie Generał, w jego wydaniu wartości te grzeszą głównie nudą. Nudny był stan wojenny, nudna inwazja na Czechy, nudne całe wojsko polskie, na czele którego stał przez dziesięciolecia. Biuro Polityczne obradowało, za oknami zmieniały się pory roku, Generał za stołem prezydialnym siedział nieruchomo jak skała – w niektórych towarzyszach budziło to lęk, inni przepowiadali mu wielką przyszłość.

Jeśli praktycznie nieograniczona, w najczystszej postaci dyktatorska władza, którą miał przez dekadę, była jego spełnioną wielką przyszłością – to się zgadza. Jeśli słynna jego nieruchomość była figurą przyszłej nieruchawości – to się zgadza tym bardziej. Pisał i pisze w swej obronie książki, w których racje swe wykłada z morderczą pedanterią. Równie pedantyczne, co nudne są to wywody. Zaraźliwe na dodatek – moje wywody też zgrane.

Jeśli tyran – to za mało samowolny, jeśli demokrata – to za bardzo do muru przyparty. W obu wypadkach – mało porywający.

Z dyktatorskiej władzy wielkiego użytku nie zrobił, gdy wybiła godzina, oddał ją bez szemrania. Jedni za to do dziś go chwalą, drudzy żadnej zasługi w oddawaniu władzy przez zapędzonego w kozi róg komucha nie widzą.

– Gdyby nie on, Polska krwią by spłynęła – powiadają pierwsi.

– Krwi i tak było dosyć, a władzę, miast czekać, aż sam ją odda, było mu zabrać od ręki – powiadają drudzy.

– Zabrać mu władzy nie szło, moskiewskie miał gwarancje, Ruscy w jego obronie by weszli!

– Skąd! Ruscy by nie weszli! Co innego mieli na głowie! Nie mieli najmniejszego zamiaru wchodzić!

– A jakby weszli? Z dokumentów wynika, że by weszli.

– Weszliby, jakby ich poprosił.

– Widocznie nie prosił, bo nie weszli.

– Jak nie prosił, jak prosił?

– Nie prosił, a jedynie rzekomym proszeniem wejście im utrudniał, skalę odpowiedzialności uświadamiał, udawał, że prosi, a w istocie nie prosił.

– Ale był gotów do proszenia.

– Skąd to wiadomo?

– Z dokumentów.

– Z innych stenogramów co innego wynika. Breżniew mówił: Nie wajdiom. Ale zaraz dodawał: Nu jesli budiet usłożniatsia, wajdiom.

Wejdą, nie wejdą, białe czy czarne, zdrajca czy bohater – trwa spór wiekuisty. Tym wiekuistszy, że w Polsce każdy ma zdanie w jednakim stopniu wyrobione, co nienaruszalne.

W tym sensie film o Generale jest dziełem nie tylko go nie szkalującym, ale wręcz bezinteresownym – autorzy muszą wszakże zdawać sobie sprawę, że zwolenników Generała film nie tylko nie przekona, ale ich poparcie dlań wzmoże, jego zaś przeciwnikom żadnych nowych argumentów nie dostarczy.

U nas każdy wie swoje i swojej trzyma się wersji, nie przypominam sobie żadnej debaty, w której ktoś by rzekł do swego adwersarza: „Przekonały mnie pańskie argumenty". Jeśli pada: „Przy swoich odrębnych zdaniach zostajemy" – to jest to znak najwyższego z możliwych poziomu sporu.

Ideologiczne zadowolenie wynikające ze sporządzenia czarnego wizerunku było inspiracją autorów? Każdy ma takie inspiracje, na jakie zasłużył. Miernoty, które wypłynęły na wierzch w stanie wojennym, gloryfikowały Generała wedle identycznych metod co jego obecni pogromcy. To samo to jest plemię. Z natury rzeczy ci, co dziś Jaruzela opluwają, w stanie wojennym z analogiczną gorliwością byliby po jego stronie – nie jest to żadne gdybanie, a chłodna, i szczerze mówiąc, banalna obserwacja skłonnej do łatwizny kondycji ludzkiej. Dzisiejsza – jakże bezkompromisowo miażdżąca – krytyka Generała jest równie łatwa i równie trywialna jak ówczesna adoracja.

5 lutego 2010

Niby nic nowego, niby nic zaskakującego, ale lawina – skądinąd jak najsłuszniej – oburzonych głosów, jaka nazajutrz po wyświetleniu filmu ruszyła, zadziwia dziecinnością. Niby że obraz tendencyjny, jednostronny, niesprawiedliwy. Niby że osądzający w filmie Generała historycy i inni spece wedle jednego, z definicji Generałowi wrogiego, klucza dobrani. Gra do jednej bramki! Zestaw rytualnych kłamstw wiadomej instytucji! Pisowska wersja historii! Złamanie elementarnych standardów! Bezkarne widzimisię! Nie portret wielostronny, ale faul, pamflet, paszkwil, a nawet list gończy!

A czego się spodziewaliście, moi złoci? Wyważonych analiz? Wolności rozumianej jako dar namysłu? W naszych stronach wolność nie sposobi do myślenia, że o pojednaniu czy jakimś wybaczaniu nie wspomnę. W naszych stronach wolność sposobi do gromienia pokonanych, do polowań z nagonką na do cna zaszczutą i ledwo dychającą zwierzynę. W ogóle wszelkie prezentacje taniej odwagi i darmowego męstwa są popularne i w wysokiej cenie. Dlaczego sprzedaje się raczej nic niż coś? Oto fundamentalne pytanie naszych czasów.

6 lutego 2010

Nie wystarczy na dzieło patrzeć wyłącznie pod kątem tego, co w nim jest. Równie ważne, a nieraz ważniejsze są rzeczy, których tam nie ma, najbardziej zaś nęcące i przez to najważniejsze są te, których nigdy tam ani nie miało być, ani nie było.

7 lutego 2010

Ojciec, gdyby żył, obchodziłby osiemdziesiąte siódme urodziny. Wynik mało prawdopodobny, ale możliwy. Zwłaszcza w jego pokoleniu. Choć i tu nie obywa się bez sprzeczności. Z jednej strony niezbite fakty dowodzą, że ludzie żyją coraz dłużej, z drugiej panuje równie powszechne, co niepodważalne przekonanie, że prawdziwie długowieczne były tylko dawne pokolenia. Dziś urodzone cherlaki sił ani odporności – zwłaszcza w porównaniu z dawnymi olbrzymami – nie mają prawie żadnych, ale to im przypadnie w dziesiątkach lat liczona premia. Nauka, a zwłaszcza medycyna tak idą do przodu, że – jak gdzieś niedawno przeczytałem – już teraz chodzą po ziemi ludzie, którzy spokojnie dojadą do sto pięćdziesiątego czy sto sześćdziesiątego roku życia. Na oko wygląda nieźle, jak się zastanowić: upiornie. Wydłużenie życia czy wydłużenie starości? Dożyć stu pięćdziesięciu lat w kondycji nawet sprawnego dziewięćdziesięciolatka, toż to dosyć, delikatnie mówiąc, kłopotliwy tryumf. Nie żebym się targował, skąd! Występuję w imieniu paromiesięcznych gnojków, co jeśli faktycznie chodzą już po ziemi, to na razie w śpiochach. Ich formacja zdaje się najprędzej objęta będzie radykalnym wydłużeniem pobytu na planecie. Co w istocie mamy tym potomnym do zaoferowania? Dodatkowe kilkadziesiąt lat życia czy ekstra pół wieku dalszego

odlewania się w pampersy, co niestety bywa na lekkomyślnie kontynuowaną starość?

Słowem, jak we wszystkim: musi być proporcja, ergo nie chodzi o wydłużenie życia, chodzi o stare marzenie o wiecznej młodości, a nawet – niech będzie – średniości. Wydłużenie sędziwości? – toż to przykra psota i nieprzyzwoitość gruba.

8 lutego 2010

Gdy w Krakowie w sławnym roku 1981 siedemdziesięcioletni Czesław Miłosz wkroczył do wypełnionej po brzegi sali amfiteatralnej w Collegium Witkowskiego, ujrzeliśmy przed sobą szparkiego czterdziestolatka w sztruksach i tweedowej marynarce. Długowieczność musi zacząć się za młodu. Wtedy byliśmy za młodzi, żeby to docenić czy w ogóle zrozumieć.

9 lutego 2010

Julian Barnes: „Być filozofem to wiedzieć, jak umrzeć. Montaigne cytuje w tym miejscu Cycerona, który z kolei powołuje się na Arystotelesa. Jego słynne stronice poświęcone śmierci są stoickie, anegdotyczne, erudycyjne, epigramatyczne; nakłaniają też do pośpiechu. W dawnych czasach ludzie nie żyli nawet w połowie tak długo, jak żyją obecnie. Czterdziestka uchodziła za niezły wynik, biorąc pod uwagę zarazy, wojny i lekarzy, którzy z taką samą skutecznością zabijali, co leczyli. Umrzeć na «wyczerpanie sił witalnych spowodowane nadzwyczaj podeszłym wiekiem» oznaczało za czasów Montaigne'a «rzadką, wyjątkową i nadzwyczajną śmierć». Obecnie zakładamy, że jest to nasze prawo. Philippe Ariès zauważył, że kiedy naprawdę zaczęto bać się śmierci, to przestano o niej rozmawiać. Przyczyniła się do tego w dużym stopniu większa długość życia: ponieważ sprawa nie wydaje się już tak nagląca, uznano, że jej podnoszenie to rzecz makabrycznie niesmaczna. Fakt, że uparcie odkładamy myślenie o śmierci na później, przypomina pewną reklamę firmy ubezpieczeniowej". Dalej Barnes opisuje tę reklamę jako serię rysunków przedstawiających człowieka o coraz bardziej zatroskanej twarzy. Dwudziestoparolatek jest pewny siebie, facet po trzydziestce brakiem ubezpieczenia nieco się niepokoi, kolejny cały w nerwach, a umieszczony na końcu sześćdziesięciopięciolatek konstatuje z rozpaczą, że naprawdę nie

wie, co począć bez emerytury. Tak, powiedziałby Montaigne: naprawdę powinieneś zacząć myśleć o śmierci nieco wcześniej.

10 lutego 2010

O Barnesie mogę powiedzieć tak, jak on mówi o Montaigne'u: jego stronice o śmierci, a też o Panu Bogu, są erudycyjne, wyrafinowane, ironiczne. Nie tyle czytam, ile w koło kartkuję ten autobiograficzny esej o tym, że z jednej strony nie ma się czego bać, z drugiej nie warto o niczym innym myśleć. Mam słabość do tego – sądząc z fotografii – trochę do Franka Rosseta podobnego, ciekawego, choć nieco, a nawet podwójnie pechowego pisarza. Pech pierwszy, niezawiniony, polega na tym, że przyszło mu tworzyć w epoce niezłej plejady brytyjskich prozaików i nieco jest w cieniu Amisa, McEwana czy Rushdiego. Pech drugi, zawiniony, polega na tym, że postanowił napisać książkę o Flaubercie i na dodatek uczynił to, i na jeszcze większy dodatek uczynił to znakomicie – tak jest, napisał doskonałą książkę o Flaubercie i stało się to, co musiało się stać: Flaubert go pożarł. Niektórzy geniusze mają smocze cechy: pożerają swych egzegetów. W tym wypadku było to pożarcie z kopytami; z kimkolwiek o Barnesie by się gadało, każdy, nawet ten, co doskonale wie, każdy każdziutki musi się odruchowo upewnić, czy to ten od *Papugi Flauberta*. Tak, ten. Inne tytuły Barnesa rozpoznawalne są słabiej; został panem od Flauberta. Niezręcznie to – zwłaszcza komuś, kto uważa listy autora *Pani Bovary* za najwyższy wykład sztuki pisarskiej, a *Bouvarda i Pécucheta* za najgenialniejsze szaleństwo w dziejach

epiki – otóż niezręcznie to powiedzieć, ale Barnes zasługuje na więcej.

Oczywiście Flaubert na kartach *Nie ma się czego bać* obecny jest i duchem, i słowem. „W Paryżu, w jadłodajni Magny luźna grupa pisarzy: Flaubert, Turgieniew, Edmont de Goncourt, Daudet i Zola – omawiała wiadomą sprawę spokojnie i w przyjaznej atmosferze. Wszyscy byli ateistami albo poważnymi agnostykami, bali się śmierci, ale nie unikali tematu. «Ludzie tacy jak my – pisał Flaubert – powinni wyznawać religię rozpaczy. Trzeba stawić czoło swemu przeznaczeniu, innymi słowy być obojętnym jak ono. Mówiąc: Tak po prostu jest! Tak po prostu jest! I spoglądając w głąb czarnego dołu u swoich stóp, zachowuje się spokój»”.

10 lutego 2010

W młodości odwiedzałem mojego przyjaciela i mistrza Kornela Filipowicza. Powiedzieć, że traktował żółtodzioba po partnersku, to nic nie powiedzieć. Siadałem po przeciwnej stronie olbrzymiego zagraconego biurka, Kornel częstował rozpuszczalną nescą, zapalał papierosa, najpierw powściągliwie zwierzał się z jakichś swoich problemów warsztatowych, potem podnosił głowę i pytał: A ty? Piszesz coś? Co piszesz? – Opowiadanie – ledwo artykułowałem, udławiony dumą, że klasyk ze mną jak pisarz z pisarzem gwarzy. – Opowiadanie – powtarzał. – Wieleż będzie miało stron? – Dwanaście – odpowiadałem. Kornel zamyślał się i po chwili mówił: – Piękny rozmiar.

Otóż *Nie ma się czego bać* Juliana Barnesa ma rozmiar nie tyle piękny, ile taki jak Pan Bóg przykazał: trzysta stron z niewielkim hakiem. Piękny rozmiar – bez mała sześćset – jak na powieść, ma się rozumieć, ma inna jego książka *Arthur & George*. Nie czytałem, choć wiarygodne zachwyty o tym dziele – na przykład piórem Marcina Króla – zostały sformułowane. Nie czytałem, odkładam na później, odkładam, szczerze mówiąc, na czarną, a nawet najczarniejszą godzinę. Odkładam na specjalne, latem wykonane, przeznaczone na grube, a nawet bardzo grube tomy – regały. Tak jest: na wieczność je obstalowałem. Tak jak gromadzę zapasy gauloise'ów – gromadzę zapasy grubych, a nawet bardzo grubych książek. Sposób może nie na wieczność, ale na prolongatę

ostatniego oddechu. Grube książki są twoimi Szeherezadami, olimpiadami, mundialami, twoimi podróżami, twoją wodą życia.

Tylko grube książki są w twoim zasięgu – w kosmos nie polecisz, w olimpiadzie już nie weźmiesz udziału, na mundial nie pojedziesz, w podróż dookoła świata nie ruszysz, nawet do Wenecji ci się już nie chce, masy rozmaitych rzeczy już nie dasz rady zrobić, ale nadzieję na przeczytanie grubej książki możesz mieć zawsze; choćbyś był nie wiadomo jak przyciśnięty do muru, zawsze możesz wziąć do ręki *Historię Chin* albo *Annę Kareninę*, albo wszystkie trzy tomy *Millennium*, albo *Arthura & George'a* i zawsze możesz mieć złudzenie, że przed końcem – dobrniesz do końca.

20 lutego 2010

Zamiast w niedzielne dopołudnie pójść do kościoła, ukorzyć się przed Panem, roztrzęsione ręce do modlitwy złożyć – siedzę przy kuchennym oknie, gapię się na Pałac Kultury i słucham *Śniadania z Radiem Zet*. Nie jestem w stanie nie słuchać. Tysiąc razy obiecywałem sobie definitywny odwrót od polityki, nietrudne mi się to zdawało, bo przecież powierzchowna jest moja polityczna wiedza, całkowicie amatorska: przeczytam to i owo w jednej czy drugiej gazecie, czasem obejrzę jakąś debatę w telewizorze, posłucham dyskusji w radiu i tyle. Aż tyle. Niestety. Czasu, sił i emocji zajmują mi te zabawy bezmiar. Tysiąc razy perswadowałem sobie: przestań czytać gazety, w ogóle nie kupuj gazet, nie oglądaj kanałów i programów politycznych (co z tego, że tylko wieczorem? Jeszcze by tego brakowało, żebyś od rana do wieczora z rozdziawionym ryjem przed telewizorem siedział!), w ogóle pozbądź się telewizora, czasu masz mało, wzrok ci słabnie, ze słuchem coraz gorzej, skup resztki sił i władz poznawczych na sprawach naprawdę ważnych, wciąż jeszcze masz cały bezlik arcyważnych książek do przeczytania, z prawie wszystkich przeczytanych mało co pamiętasz, na same powroty do kluczowych tekstów nie starczy ci czasu, wróć do słuchania muzyki, przypomnij sobie, jak wielcy – zwłaszcza niemieccy i włoscy – kompozytorzy oczyszczają umysł i uwznioślają duszę.

Przy tym wszystkim daruj sobie i nie szpanuj rzekomą wyższością nad polityką; ci, co swe duchowe głębiny doraźnym płyciznom dzisiejszych polityków przeciwstawiają, tyle samo warci, obie partie po jednych pieniądzach. Nie wywyższaj się, ale wyeliminuj politykę z pola swojego widzenia – z natury swej wąskie minimalnie się poszerzy...

Tysiąc razy samemu sobie takie rzeczy perswadowałem, lekkomyślnie odwlekałem decyzję, zgubne nawyki zdawały mi się łatwe do wyplenienia, a w rzeczywistości – coraz wyraźniej to widzę – okazują się nieusuwalne. Codziennie: „Rzeczpospolita" i „Wyborcza", w poniedziałki „Nie", we wtorki „Przekrój", w środy „Polityka" i „Tygodnik Powszechny", w niedzielę radio Zet, co wieczór *Fakty* i TVN 24 – jak można tak żyć? Nie można. Toteż ledwo żyję.

7 marca 2010

O Ryszardzie Kapuścińskim w czasach, gdy był autorem wielce uznanym i podziwianym, mawiano, że w tygodniu odbiera dwie lub cztery ważne światowe nagrody. Zależało od tygodnia. Obecnie ta passa sukcesów trwa nadal: liczba ukazujących się tekstów poświęconych autorowi *Cesarza* jest nieogarniona. Żaden z wielkich, a nawet największych klasyków takiej masy egzegez nie zaznał; zaiste sprawcza moc jego biografii pióra Artura Domosławskiego jest nieobliczalna. Oczywiście przyczyniły się do tego okoliczności zewnętrzne: odmawiające druku wydawnictwo Znak, a i wdowa próbująca zatrzymać wydanie – Boże święty, gdyby ta kobieta wiedziała, jak przeciwskutecznie działa, jaką lawinę wyzwala... za brak instynktu płaci się słono.

8 marca 2010

Uwaga pierwsza: cała ta nadmierność dyskusji wokół „non-fiction", a może „bardzo fiction" dosyć mnie zraża. Czy wszystko zostało powiedziane, nie wiem, szczerze mówiąc, wątpię, wszystkiego, jak na razie, nie powiedział nawet Pan Bóg. Bredni jednak padło sporo.

Ograniczam się do dwóch równie bocznych, co ogólnych uwag. Zdaję sobie sprawę, jak szokujące jest to, co powiem, ale dyskusja winna tyczyć głównie literatury. Taka przynajmniej – owszem rzadka, tym przez to cenniejsza – jest tu sposobność.

Tymczasem niepodobna nie pomyśleć, że lwia część dyskutantów z całą prostotą literaturę omija, literatury się wypiera, z całą zajadłością nie uważa reportażu za literaturę, więcej – odmawia reportażowi i innym gatunkom publicystycznym czy dziennikarskim prawa do posługiwania się jakimikolwiek środkami wyrazu literackiego. W jakim tedy tworzywie państwo pracują? W prawdzie? No tak, grafomani, a nawet analfabeci jako twórcy prawdy – to bywa ostatnio dość częste. Ale w końcu i w tego rodzaju tekstach trafiają się jakieś rozpaczliwe namiastki ciemnego kunsztu, jakieś przerażające próby komponowania, jakieś haniebne stosowania fikcji czy innych pereł.

Słowem, książka Domosławskiego, zamiast dać asumpt do debaty o tym, co może wynikać z języka mniej lub bardziej świadomie w opowieści stosowanego, produkuje

bezkompromisowe wypowiedzi, jak to Kapusta kłamał i jak tym samym doprowadził do upadku i rozkładu polską szkołę reportażu.

Przez grzeczność nie ma co poruszać kłopotliwej sprawy, ile w tej szkole było uczniów, którzy kompletnie nie władają piórem, ergo ich głoszone topornymi środkami wyrazu „prawdy" funta kłaków nie są warte lub, co komiczniejsze, mają tajemniczy urok – gdy nie wiadomo, gdzie orzeczenie, gdzie podmiot, bywa nie tylko tajemniczo, bywa nawet poetycko.

Przez lata pracy w rozmaitych redakcjach napatrzyłem się bez liku kolegów, powiedzmy, „dziennikarzy", dla których opór materii słownej był równie niepokonywalny jak opór powietrza dla rodzimych futbolistów. W sumie zrozumiałe, że o kunszcie sztuki literackiej nikt tu nie chce mówić.

Swoją drogą ci mądrale, co twierdzą, że od dawna wiedzieli: Kapuściński kreował, nie był realistą – specjalnie śmieszni. Odkąd kreacja wyklucza realizm? Niewątpliwie od kiedy nie lada głowy biorą się do rozstrzygania tak wstrząsającego problemu z zakresu sztuki układania słów.

9 marca 2010

Uwaga druga: w Polsce oczekiwania wobec biografii kogoś, kto wiódł żywot niebanalny, niekonwencjonalny i ryzykowny, są takie, by była banalna, konwencjonalna i nudna. Nudni do biografii najprzydatniejsi, ale i o nich się nie pisze – po cóż, skoro nudni? Na otchłannych paradoksach stoi nasze piśmiennictwo.

I nie ma co sadzić dyrdymałów, że Domosławski kogoś krzywdzi. Taka czy inna krzywda jest nader często w los bliskich artysty wpisana; można to kunktatorsko omijać, łagodzić, kastrować, czekać z pisaniem pół wieku – w końcu to także nasza pimkowska szkoła: stawiać na nijakość i odwlekać w nieskończoność. Biografii mamy przez to tyle, ile mamy. Ach, nie tylko przez to – też z piramidalnego lenistwa. Względy moralne są tu jakże dogodnym alibi – nie róbmy nic, bo ciotka źle się poczuje. Od samopoczucia ciotki nie ma w kulturze niczego ważniejszego.

Doprawdy istotny, o wiele istotniejszy, niż się zdaje, wkład w kulturę polską mają Artur Domosławski i jego wydawca. Postawili na szybkość, zdecydowanie i – tak jest – twórczy brak skrupułów. ABC dobrego wychowania, i to w wersji szkolnej, jako etyczny fundament twórczości polskiej, daje całą jej infantylność i wywołuje emocje, w najlepszym razie, stadionowe. Publika gwiżdże i macha szalikami, nożem wszakże nie dźgnie, bo wysoko stoi etycznie.

10 marca 2010

Ze skamieniałym sercem wypowiadam wojnę futbolową Cracovii Kraków. Ja wiem, że prawdziwy kibic stoi przy swoim klubie bez względu na wszystko. Dochodzę jednak do wniosku, że upór stania przy Cracovii jest uporem debila. Za stary jestem na być może szlachetne, ale psychiatryczne wytrwałości.

Wojtek Kuczok w SMS-ie z Berlina: „Bóg ich nie kocha". W mojej perspektywie Bóg ich nie kocha od pięćdziesięciu lat. Wystarczy zarówno na Pańską wiekuistość, jak i na moją arcyszlachetną wierność. Nie ma już ratunku, nie ma wierności, nie ma rozumu i nie ma sportu we wszystkich jego elementarnych przejawach. Nawet gdyby tym nieszczęśnikom puszczać w koło finisz (finisze!) Kowalczyk na olimpiadzie – nie zrozumieją. Pomyślą, że po co im patrzeć na biegi narciarskie, skoro są piłkarzami. To jest klub naznaczony takim fatalizmem, taką nieumiejętnością i taką pustką, że nikt, nawet Orest Leńczyk, nie pomoże. Mnie ten fatalizm, ta nieumiejętność i ta pustka tyle zeżarły zdrowia, że wreszcie czas na umiar. Czasu zostało tak mało, że nie pora na honor kibica. Zwłaszcza jak z tego honoru jedenastu nieudaczników co tydzień jaja sobie robi.

Poza tym nie ma tego złego: olewam ich, olewam mój klub ukochany i czuję się jak prekursor olewania klubu ukochanego. Pół wieku na to zaszczytne stanowisko pracowałem. Miliony kibiców miewało nie raz, nie sto razy i nie tysiąc razy taką wolę,

a mnie się udało. Sposobność zresztą dobra: nie runęli, nie spadli, zaledwie dwa ostatnie mecze przegrali. Dla zespołu, który od pół wieku głównie przegrywa, to jest prawie nic i moja rezygnacja wypada prawie elegancko. Na razie nie szczycę się olewaniem, nie sycę brakiem zainteresowania, nie upajam wizjami niejeżdżenia na mecze, ale stało się, co się stało. Żadnych dowcipów o charakterze, który może okaże się za słaby. Przeciwnie.

12 marca 2010

Nie zauważyłem, kiedy Jacek Królak zniknął ze stopki „Polityki”, teraz z Jego nekrologów widać, że zniknął w ogóle. Trzeba zostawić krakowski rynek. Jaki był jego ulubiony widok, jaki był jego ulubiony „rynek”, nie mam zielonego pojęcia, o krakowskim wspominam, bo w Krakowie go poznałem. Piotruś Mucharski przyprowadził go na promocję *Spisu cudzołożnic*.

Rok po narodzeniu Chrystusa tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty i drugi, fantastyczny majowy upał nie tyle na rynku, ile na Kanoniczej; z Hanulą, Pawłem Huelle i Antkiem Liberą taszczyliśmy jakieś z heroizmem, bo z pensji w „Tygodniku Powszechnym” kupione opakowania paluszków i butelek wina, życie było wieczne.

Z ważnych nieboszczyków na sali byli Bronek Mamoń, Staszek Czycz, Jerzy Turowicz i Jan Błoński, który trzymał centralną mowę. Proszę bardzo! Człowiek niby pielęgnuje własną pychę, nie odpuszcza, a niemal gotów nie docenić, co go za życia spotykało. Ze znakomitości cieszących się do dziś świetnym zdrowiem wymienić należy Witka Beresia, Mariana Stalę, gwiazdę tygodnikowej korekty Marzankę i Wisławę Szymborską.

Królak był w przyprowadzonej przez Muchara warszawskiej ekipie, w której skład wchodzili jeszcze Magda Bauman, Joasia Szczęsna i Romek Kurkiewicz – doprawdy, doprawdy, czy tamta młodość, czy tamte, powiedzmy, krakowskie promocje nie miały

siły skandalicznej? Co się tej magicznej nocy działo pod niebem nad Błoniami?

Kto jest Królak, nie bardzo wiedziałem, ale od razu więź jakaś równie dziwaczna co intensywna, no i od razu ten ryj nie do zapomnienia. Niektórzy mówią, że słynny smutny ludzik Marka Raczkowskiego oparty jest na profilu i nastroju Królaka – kto widział obie postaci choć przelotnie, wie, że nawet jeśli tak nie całkiem było, musiało tak być w sensie ścisłym.

Mówiąc, że „nie bardzo wiedziałem kto", mam na myśli jego niezgłębienie charakterologiczne, graniczącą z geniuszem neurozę, bo prostą wiedzę, że jest to nierozstający się z reklamówką leków wielce interesujący grafik, miałem, czytywałem też jego frapujący „Dziennik oka" w „Respublice". Wystarczy? Aż nadto. Pogłębienia niewskazane, a nawet z natury rzeczy wykluczone.

Tak jest, widywałem Jacka Królaka przelotnie, a i to za dużo powiedziane. Głównie rosła ta postać w opowieściach Mucharskiego.

Po latach przeniosłem się do Warszawy, obaj wylądowaliśmy w „Polityce", staliśmy się – jakkolwiek groźnie to brzmi – kolegami z pracy. Sprawę trochę ratowało, że Jacek rządził grafiką w „Polityce" z trzeciego piętra, a ja na swoim drugim bywałem rzadko, jednakowoż i to starczało, byśmy się – głodni kontaktu, jak parze rasowych czubów przystało – omijali z instynktem niezawodnym. W tym samym mieście, na tej samej Słupeckiej, w tej samej redakcji, z tym samym graniczącym z pomieszaniem zmysłów instynktem samotników. Mogę chyba powiedzieć: zafascynowanych sobą? Nie mnie jednemu Królak

zdawał się magnetycznym świrem. Ja z kolei dość miałem sygnałów, że to, co robię, nie jest dla niego – ujmijmy rzecz skromnie – całkowicie nieważne.

Dziś, osłupiały niedorzecznością jego nazwiska w tak kontrowersyjnym miejscu jak nekrolog, próbuję pozorować zdrowie psychiczne i sam siebie pytam: dlaczego ja z tym facetem nie spotykałem się choćby raz w miesiącu? Dlaczego nie dzwoniliśmy do siebie, nie umawiali na obiady, nie gadali, nie chlali choćby lemoniady? Przecież byłoby to naturalne, logiczne i celowe. Niestety – Jacku – naturalność, logika i celowość to nie są nasze najmocniejsze strony. Raz spędziliśmy parę godzin u Leszków Będkowskich, zrobiłeś mi okładkę do zbioru felietonów i sam już nie wiem, czy to jest jak w wierszu „bardzo mało", czy to są Himalaje wspólnoty. Raczej to drugie. A nawet na pewno.

Niezłe jaja były z tą okładką. Jacek przy całej swej wrażliwości, inteligencji i defensywności – a może dlatego właśnie – wzbudzał popłoch. W dobrze skoordynowanej i mocno stojącej na ziemi „Polityce" mniej to było widoczne, a zwłaszcza mniej skuteczne, ale w firmie tak naznaczonej boską (na wszelki wypadek dodaję: uwielbianą przeze mnie) neurotycznością jak Wydawnictwo Literackie – dajcie spokój.

Z „Polityką" Królak miał większy kłopot niż ona z nim, w stabilnych instytucjach wymienialność nawet wybitnych person nie jest jakimś ekscesem, więc przesadne brykanie bywa stratą czasu, nadto radykalne stawianie na swoim naznaczone jest jałowością. Jacek, owszem, niekiedy z osłupieniem przyglądał się swoim redakcyjnym kolegom, jego z natury rzeczy chorobliwie blada twarz wobec niektórych reakcji kierownictwa stawała się –

ciężko teraz powiedzieć – trupio blada, ale co tu dużo gadać, tygodnik dawał nie byle jakie możliwości i pole do działania.

W Wuelu, nawet w przypadku tak jednorazowego epizodu jak okładka *Upadku człowieka pod Dworcem Centralnym* (notabene dziesięć lat po spotkaniu na Kanoniczej), było ściśle na odwrót. Znowuż, broń Boże nie chcę powiedzieć, że oficyna Małgosi Nyczowej nie dawała Królakowi możliwości, dawała mu możliwości inne, szczerze mówiąc, dla Niego stworzone i dla niego jedyne.

On nie powinien przychodzić do koncernu na Ochocie, gdzie na parterze ochroniarze nie bardzo go poznawali, a wyżej – z największymi nawet swymi oryginalnościami – tak czy tak był jednym z wielu.

On powinien – tak jest – jak zwykle zafrasowany i swym życiem wewnętrznym zabsorbowany, wkraczać do krakowskich biur na Długiej, radosny pisk personelu powinien go witać, sekretarka winna biec z kawą, druga z ciasteczkami, każde słowo winno być zapisywane, każdy gest budzić aplauz, każda decyzja być świętą. Słowa, gesty, pomysły i decyzje Królaka na takie warunki zasługiwały. Rzecz jasna utyskiwałby na to królakowanie, ale krew by go zalała – w najgorszym razie później.

Tymczasem on tam wpadł jednorazowo, z jednym pomysłem na jedną okładkę. Pisk się rozległ natychmiast, czy muszę dodawać: nie zachwytu, a przerażenia? Śmiertelnego przerażenia zupełnym czubem? Nie muszę.

Szło o drobiazg, ale ponieważ był perfekcjonistą, nie szło o drobiazg. W projekcie – znakomitym (dziś tej okładki nie wychwalam, dziś stała się ona dla mnie ważna w zupełnie

niestety innych kategoriach) – słowem w swym projekcie Królak nie bardzo mógł znaleźć miejsce na logo wydawcy, płaszczyzna, skos, perspektywa, te sprawy – nie pasowało mu. Brak takiego znaczka na okładce od lat w świecie, a teraz nawet u nas, żadną estetyczno-marketingową sensacją nie jest, nie nagminnie, ale zdarzają się takie precedensy – wtedy jednak, gdy Małgosia Nyczowa usłyszała, że ten psychol z Warszawy, którego Pilch namotał, pyta, czy może na okładce nie być skrótu WL, gdy wszystkie te cudowne przecież kobiety z Długiej usłyszały, że jest gość, który pyta, czy na książce Wuelu może nie być znaczka Wuelu – wtedy mieliśmy z Jackiem przejebane i ma się rozumieć byliśmy bez szans. W obliczu Małgosi – niebagatelna jest to pociecha – nie my jedni w takiej sytuacji. Książka ukazała się rzecz jasna z logo, a Królak szefem grafiki na Długiej nie został. Nie łazimy w upalne południe na krakowski rynek.

16 marca 2010

Z dziejów honoru w Polsce: we wczorajszym śląskim dodatku sportowym „Gazety Wyborczej" relacja ze zwycięskiego meczu Górnika Zabrze z GKP Gorzów zatytułowana jest „Wrócił Hubert Kostka" i zaczyna się następująco: „Pierwszy sukces Górnika nastąpił... kwadrans przed gwizdkiem. Nowy prezes wprowadził na trybuny Huberta Kostkę, legendarnego bramkarza klubu z Roosevelta. Kostka od czterech lat nie chodził na mecze swego klubu. W 2006 na trybuny nie wpuścił go nadgorliwy ochroniarz, od tego czasu pan Hubert pojedynki Górnika śledził co najwyżej w telewizji".

Ma się rozumieć – cienia komentarza. Nie ma co tej z każdej strony szczelnej, z każdego punktu widzenia mocnej historii psuć egzegezą; nie ma co tej epifanii, a może nawet tego haiku rozcieńczać.

19 marca 2010

Bóg chyba jednak istnieje – przywrócił weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa.

PKP przywróciło? Bóg pracuje rękami PKP. On w ogóle – co powszechnie wiadomo – pracuje rękami ludzi, szczególnie jak pobożnie postępują, jak bogobojnie żyją. Jak grzeszą, jak w plugastwo popadają, oddala się nieraz na bardzo znaczną odległość – na taką na przykład odległość, z której nie słychać stukotu pociągu albo tylko ryku zarzynanych, ale jak pociąg (do Wisły) dojeżdża, jak rzeź ustaje, jak zło zostaje przezwyciężone, a nawet odpokutowane, jak chrześcijanie się poprawiają i wedle dekalogu po staremu czy raczej na nowo żyją – Pan Zastępów wraca. W efekcie raz jest, raz Go nie ma, tu się niezapowiedziany pokazuje, ówdzie o obecność błagany i rozpaczliwymi modlitwami przyzywany ani piśnie, ani błyśnie. Gdy w tej nieoznaczoności – byłżeby On cząstką elementarną? – następuje zupełna nieczytelność i całkiem idzie się pogubić, pora na pokorę: niedocieczone są wyroki Pańskie, niezbadane Jego ścieżki; biada pyszałkom, co dociekać i badać się ważą itd., itp.

Biada mi, ale pytam: Gdzie był Bóg, gdy PKP likwidowało weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa? Dlaczego i gdzie się wówczas oddalił? Jakie czyny nas, maluczkich, Go rozgniewały?

Tym większą – pyszałkowatą, ale tym większą – wagę ma moje pytanie, że na początku Pan, kierując wolą PKP, okazywał szczodrobliwość, i to wielką. Na początku weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa był nie tylko weekendowy – jeździł on, nie uwierzycie, codziennie! Na początku tedy było – jak przystaje początkowi – rajsko. Potem nastąpiło nie tyle wygnanie z raju, ile ograniczenie sielanki – wiadomy pociąg jął jeździć tylko w soboty, niedziele i święta, potem snadź pełne zło i całkowita niegodziwość nastały pomiędzy synami ludzkimi i Pan w popędliwości swojej całkiem starł go z rozkładu jazdy.

Teraz – zapewne po jakichś naszych pokutach i kwarantannach – łaskawość PKP i Pana Boga została odzyskana, wiadomy skład przywrócony. Jest jak do Wisły jeździć, jest jak stamtąd wyjeżdżać. Wyjazdy przyjemne, powroty jeszcze milsze.

20 marca 2010

Wśród niezliczonej liczby rzeczy, które w Wiśle wzruszają mnie do łez, gwizd pociągu jadącego do Warszawy jest w ścisłej czołówce, a nawet wyżej. Dziś go usłyszę, dziś cały skład sunący po nasypie nad starą chałupą z daleka zobaczę – jutro, jak będzie gwizdał, będę nim jechał. Siedziałem w Wiśle przeszło dwa tygodnie i poza tym, że jestem zadowolony – nic się nie zdarzyło. A jestem rad, bo dobrze siedziałem. Byłem w dosyć trudnym, może nawet martwym punkcie; mordowałem się, nie wiedziałem co dalej i wreszcie pękł czyrak niemocy. Za młodu tak bywało często, teraz przeważnie po upadkach, a i to nie wszystkich. W każdym razie zdarzyła się sytuacja rzadka: wiem, co mam pisać dalej. Nie zabieraj mi tego, Panie Boże, bo mnie znów wkurwisz.

Z mieszanymi uczuciami takie konfesje czynię. Koledzy, których wyznań z zakresu męki twórczej przyszło mi nieraz słuchać, zawsze zdawali się nieco zawstydzający, teraz sam brnę w taką żenadę, ale w końcu mam okoliczność łagodzącą: winienem w tym miejscu dopełniać diarystycznego obowiązku i trzymać się diarystycznej formy. Uświadamiam sobie, że może to wychodzić kulawo – prawie w ogóle nie uwzględniam okoliczności zewnętrznych. Ale jak ja mam uwzględniać okoliczności zewnętrzne, jeśli ja w ogóle nie mam okoliczności zewnętrznych? Jakimś – przepraszam za wyrażenie – „dziennikiem duszy” przerażał nie będę. Nisko upadłem, ale tak nisko jednak nie.

Okoliczności zewnętrzne eliminuje i to, że gdy się pojawiają, unikam ich, a raczej własnoręcznie likwiduję. Nawet ich zarodzia.

Na przykład w Wiśle codziennie chodzę na spacer, i to spacer długi, wybieram jednak trasy mało uczęszczane i późną popołudniową porę, kiedy wiślanie już dawno w łóżkach. Pomimo że docieram do centrum, jest szansa, że uda się nikogo nie spotkać.

Podczas tego pobytu wyniki miałem niezłe – dzień po dniu jak dwie, a nawet cały szereg kropli wody: gazety w kiosku pana Prymusa, oględziny mieszkającego tam i powoli wychodzącego z psychicznej zapaści kota o niezwykłej sierści – powiedzieć, że ten kot jest czarno-szary, to nic nie powiedzieć. Potem księgarnia – ale nie codziennie – dalej na pocztę, a też do pobliskiego domu towarowego Świerk na szczodre zakupy wspomagających poczucie lekkości czekolad. Potem na chwilę gaśnie światło, a gdy się zapala, jesteśmy już na moście. Którym? Wszystkich informacji nie podam – mogą mi się jeszcze przydać.

Oczywiście jakiejś psychiatrycznej szczelności, jakiejś żelaznej konsekwencji, całkowitej izolacji nie ma, tego i owego jednak spotkam, z tym i owym wymienię ukłony, bywa nawet, że dwa słowa zamienię, niekiedy – wiem, że uznacie to za bajer zupełny – jest wręcz bardzo miło.

Na przykład jednego dnia jął ktoś wyraźnie iść w moją stronę, zapadał zmierzch, widziałem tylko sylwetkę, rzuciłem się w stronę parku, on za mną, wiedziony trafną intuicją nie uciekałem długo, wyczułem, że ktoś przyjazny – i faktycznie był to Irek Kościelniak, eksligowiec, grał między innymi (muzyczność rządzi światem) w Górniku Zabrze, obecnie trener miejscowej Wisły Ustronianki.

Pogawędziliśmy krótko, ale intensywnie, obiecałem latem przyjść na mecz; już teraz trawi mnie niepokój, czy nie za duży eksces, czy nie za daleko idąca szarża to będzie. Innym znowuż razem spotkałem nad Wisłą zlustrowanego Biskupa...

21 marca 2010

Tak jest, wziąłem z kiosku gazety, obejrzałem kota i brzegiem rzeki koło Startu ruszyłem w kierunku basenu. Nawet przy dobrych pogodach mało kto tędy chodzi, cóż dopiero jak śniegu po kolana, a miejscami po pas. W dali majaczyły dwie sylwetki, gdy były blisko, okazało się: zlustrowany Biskup z niezlustrowaną wprawdzie, ale do żywego zranioną Biskupiną. Pogadaliśmy. Pogadaliśmy jak przeciwnik lustracji z ofiarą lustracji. Że spisek, że obsesja, że ukartowany zamach, że i wśród nas, lutrów, świnie. A tak w ogóle? W ogóle osiedli w Wiśle, mieszkają świetnie i wreszcie spokój jaki taki. Słucham i przyglądam się zlustrowanemu Biskupowi, i widzę, że świetnie on nie tylko mieszka, ale i wygląda. Owszem, smutnawy, ale szczupły, poczerniały i wyszlachetniały. Ofiara? Nadciągała zawierucha. Pożegnaliśmy się. Zlustrowany Biskup, jak przystało słudze bożemu na nieco przedwczesnej emeryturze, udawał się wraz z małżonką karmić kaczki pod mostem. Ja swoją drogą. Śnieg coraz gęstszy, irytowało mnie to. Irytowało mnie to do tego stopnia, że z wynikającą z czystej wściekłości na pogodę irracjonalnością jąłem się zastanawiać, czy aby z pozycji przeciwnika lustracji nie przejść na pozycję umiarkowanego przeciwnika lustracji.

1 kwietnia 2010

Sześćset dziewięćdziesiąty dziewiąty powrót do Schulza. Kluczowe dla mojego Schulza jest wuelowskie wydanie z 1964 roku. Słynna edycja na papierze biblijnym klasy III 74×90 cm, 40 g. Druk ukończono w grudniu, książka więc musiała pokazać się w krakowskich księgarniach na początku roku 65 – ojciec nie kupił tego tomu nie tylko z tego powodu, że już wtedy mieliśmy telewizor. Z zasady nie kupował literatury polskiej.

Zanudzał Mannem, kolekcjonował serię Nike, nabywał Brocha, Kafkę czy amerykańskich noblistów – naszych w ogóle. Nawet Mrożka w domu nie było, choć Kraków w tamtych czasach był miastem *Deszczu* ilustrowanego przez Daniela Mroza i miastem *Tanga* z Nowickim, Bińczyckim, Fabisiakiem i zwłaszcza rozbierającą się na oczach zachwyconego ucznia ósmej klasy Hanną Wietrzny w roli Ali. Literatura polska za sprawą tej porywającej kreacji (też powściągliwości ojca) nie miała może smaku owocu zakazanego, ale pod ręką jej nie było, trzeba było kombinować. Z jakiegoś tajemniczego i, jak się miało pokazać, nie do końca wiarygodnego źródła miałem informacje, że prócz Mrożka i trochę mi już znanego Witkacego dwaj inni jeszcze są w rodzimej literaturze jajcarze: Gombrowicz mianowicie i Schulz. Skądinąd sławna i równie często co daremnie w parę łączona para. „Ileż razy wymieniano mnie – pisał Gombrowicz – razem

z nim jako «polską prozę eksperymentalną». A jednak jeśli istniał w polskiej sztuce ktoś mnie przeciwny, na sto procent to był on”.

2 kwietnia 2010 (Wielki Piątek)

W szkole średniej, w klasie mniej więcej drugiej, czyli około obfitego w wydarzenia roku 1968, wydanie na biblijnym papierze pożyczyłem od posiadającego ogromną, rzekłbym w sensie ścisłym, krakowską bibliotekę, też wielce humanistycznie, a nawet artystycznie utalentowanego kolegi. Z racji metafizycznego echa muszę o nim wspomnieć. Skończył on szkołę teatralną, trochę pograł w Teatrze Słowackiego – na plan pierwszy wysuwa się główna rola w *Rzeźni* Sławomira Mrożka (debiut reżyserski Krystiana Lupy). Potem parę sezonów pobrylował na tarnowskiej scenie, inne jednak okazały się jego powołania: dziś jest mistrzem Polski – a może nawet świata? – w brydżu sportowym oraz wziętym tłumaczem anglosaskiej literatury popularnej. Hanna Wietrzny, z tego, co mi wiadomo, dziś pisze wiersze. Najdalej z całej – chyba mogę powiedzieć: naszej? – menażerii zaszedł Lupa. Jest prawie – bez cienia ironii – prorokiem.

Schulz nie był tytanem fabuły, ale nawet najprostsze rzeczy świata są zawiłe i pełne dziwacznych ni z gruchy, ni z pietruchy puent.

U niego dopiero puenty, dopiero koincydencje, dopiero wymowne sploty – choćby biblijny papier na pierwsze podejście. Biblijność – jak przystało biblijności – z punktu czyni cuda, może niewielkie, ale cuda – do dziś mi trudno uwierzyć, że ten szczupły

tom liczy siedemset stron – dokładnie sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć. (Nie chcę być nachalny, ale są to trzy szóstki, w tym dwie odwrócone). Z drugiej strony nie ma co wydziwiać – w końcu ta książka jest Księgą, ma być Księgą, ma się stawać Księgą, ma obrastać pochodnymi i wyklutymi z niej Księgami, ma zmieniać swą postać, pogłębiać swą niezgłębialność i co gorsza czyni to wszystko, a nawet więcej jeszcze.

Joyce próbował zabić powieść. Prawie mu się udało, na szczęście nie do końca i na krótko. Schulz Księgę, motyw Księgi, semantykę Księgi, kategorię Księgi, tradycję Księgi zarżnął na amen – zdominował, oswoił, przywłaszczył sobie bezapelacyjnie i nieodwołalnie, frazą swoją naznaczył, a nawet napiętnował – jak Księga, to tylko „Schulzowska", tylko „Bałwochwalcza", tylko „Pod klepsydrą", tylko „Autentyk", tylko z tą włochatą nieszczęśnicą (miejmy nadzieję, że bidulka wyłącznie głowę natarła cudowną pomadą) Anną Csillag na okładce.

Powiedzieć, że wkrada się tu pewna monotonia, to nic nie powiedzieć, powiedzieć: jak słyszę Księga (zwłaszcza Schulzowska), wyjmuję rewolwer – to pójść na lep prostackiej i wysoce w tym wypadku niestosownej publicystyki, też po prostu nieprawdziwej. Jak słyszę Księga, nie wyjmuję żadnego oręża, nawet depilatora, na nic on tu. Księga (zwłaszcza Schulzowska) ma moc wszechogarniającego rażenia – można jedynie skapitulować. Bez Księgi, bez wracania do Księgi, bez jej czytania, bez myślenia o niej, bez ulegania jej narkotycznemu wpływowi nie da się być – nie tylko w literaturze, ale w ogóle na świecie. I nie ma co ubolewać nad tego rodzaju – jak by to autor *Sklepów cynamonowych* powiedział – „insuficjencją" literacką.

Sam mam w dorobku fragmenty, które równie długo co mylnie uważałem za własne. Dziś wciąż jeszcze w jakiej takiej sprawności umysłowej, nie wstydząc się swej niewystarczalności, ale też nie pławiąc się w niej i nie padając przed nią (niczym stary Schulz na widok wypiętego pantofelka Adeli) na kolana, uważam je za „całkiem zręczne podróbki Schulza", nie wykluczam wszakże, że z czasem odurzony narastającym żarem własnej pychy pocznę je uważać za „warte namysłu imitacje Schulza".

3 kwietnia 2010

Być może powinienem na wszelki wypadek podkreślić z całą dobitnością: należę do tych, co Brunona Schulza wielbią bezgranicznie; nie tyle doń nieustannie wracam, ile praktycznie od dziesięcioleci się z nim nie rozstaję. Tak jest: zabrałbym go na bezludną wyspę, tak jest: chciałbym z nim w zaświatach pogadać, tak jest: chciałbym się z nim – niekoniecznie tam, najlepiej po jakimś żydowsko-protestanckim zmartwychwstaniu – napić. Tak jest: gdyby mnie zapytano, na co bym wydał sto złotych, gdybym je mógł wydać na kulturę, dałbym te sto złotych Schulzowi, a jeśli z jakichś powodów byłoby to niemożliwe, kupiłbym w antykwariacie kolejny egzemplarz wydania z 1964 roku. Tym bardziej bym kupił, że obecnie mam zaledwie trzy takie egzemplarze.

Prawdopodobnie nadal chciałbym coś dorzecznego o nim napisać. Tu złudzenia są najmniejsze – prędzej się z nim w sensie ścisłym spotkam, niż sprostam wyznaniu miłosnemu tak wszechogarniającemu i tak skomplikowanemu. Największe fascynacje literackie – że zaryzykuję pensjonarską frazę – obywają się bez słów? Pewnie nie jest to prawda, pewnie trzeba by porządnie przysiąść, ale fakt faktem: napisawszy nieco takich czy innych wyznań literackich, jestem, niejasno i być może mylnie, pewien, że mniej więcej wiem, o co chodziło (czy chodzi) paru, a może nawet parunastu gigantom narracyjnego kunsztu – na

pytanie, o co w gruncie rzeczy chodzi tym gigantom (prócz Schulza mam tu na myśli Andrieja Płatonowa), którzy zrobili na mnie specjalne i z niczym nieporównywalne wrażenie, odpowiedzieć byłoby ciężko. Temu, co bezbrzeżnie wielbi, wszelkie próby nazwania własnej bezbrzeżności muszą się zdawać nędznymi napomknieniami, a nawet mniej jeszcze: jak się przymierzasz do nieskończoności – zawsze wychodzi zero.

4 kwietnia 2010

Subiektywny zachwyt subiektywnym zachwytem – w przypadku Schulza istnieją widzialne, i to bardzo wyraziście widzialne komplikacje. Przykład pierwszy z brzegu: wiele wskazuje, że był on jedynym w dziejach literatury światowej pisarzem, który wprawdzie odpisywał od Kafki, ale od którego za to zrzynał Tomasz Mann. Cichcem na dodatek, w sposób nie do końca udowodniony – casus tym bardziej nieubłagany i dla harmonii konieczny.

Znacie tę historię: Autor *Sklepów cynamonowych* przekazał autorowi *Czarodziejskiej góry* jakieś swoje przetłumaczone czy wręcz po niemiecku napisane kawałki. (Wedle wydanego przez Słowo/Obraz Terytoria *Słownika schulzowskiego* było to opowiadanie *Powrót do domu*, być może zawierające pewne elementy *Traktatu o manekinach*). Mann się nie odezwał, nawet odbioru tekstu nie pokwitował – zdaje się to potwierdzać jego nieczyste zamiary. Gdy bowiem po bez mała dziesięciu latach wydany został *Doktor Faustus*, niepodobna było nie odnotować: pewne rysy, upodobania i zabawy ojca Adriana Leverkühna mają wielce schulzowski klimat i nie tylko klimat.

Wszechogarniające wpływy Franza Kafki – rzecz tak oczywista, że godna wyłącznie kwestionowania. Domniemany rabunek dokonany przez autora *Czarodziejskiej góry*, przywłaszczenie sobie choćby tylko sposobu ujęcia postaci – rzecz domagająca się

potwierdzenia. W końcu sprawa ma swoją dalekosiężność – bez ojca nie byłoby syna, bez starego Leverkühna nie byłoby Adriana, bez Adriana nie byłoby *Faustusa*, bez *Faustusa* nie byłoby Manna, bez Manna nie byłoby literatury niemieckiej, bez literatury niemieckiej nie byłoby literatury w ogóle und so weiter. Założycielskość Schulza może być dość fundamentalna.

Oczywiście jak było naprawdę, żadna komisja nie dojdzie, oczywiście nie jest to rzecz, o którą polska literatura czy w ogóle Polska winna bić się do krwi ostatniej, ale odpowiednio częste przypominanie tej anegdoty? Wydobywanie jej z anegdotyczności, a nadawanie pozoru poważnej hipotezy badawczej? Dlaczego nie? Literatura, od której Mann odpisuje, nie może być biedna. Nawet jak od niej nie odpisuje.

5 kwietnia 2010

„Plac przypominał jatkę we włoskim miasteczku, nie pamiętam już, w którym, wyłożony wielkimi płytami kamienia; paliły nas podeszwy, a krąg okalających go żółtawych pozamykanych domów nasuwał skojarzenia z jakąś areną do igrzysk czy innych krwawych zabaw [...].

Domy były wprawdzie najwyżej dwupiętrowe, lecz pełne sklepów, ulica wąska, lecz rojna i hałaśliwa, już choćby przez żółte tramwaje, co niezwykłym nakładem sił rozdzwonione podskakiwały i piszczały na zakrętach. Olbrzymie jaskrawe szyldy i ogłoszenia, drzwi lokali handlowych pootwierane na oścież, towary w połowie na chodnikach, słodkawy odór gnijących owoców. Na zacienionej stronie – sprzedawcy lemoniady, słodyczy, negroidalni gazeciarze; w ogóle dużo Murzynów. Mnóstwo zwierząt; psy i szakale wylegujące się w słońcu, świnki morskie węszące nad rynsztokiem, na drutach telefonicznych siedziały kameleony, celując w muchy grubymi językami. Na buforze tramwajowym zawinął się wąż, wlokąc ogon; małpa podążała swym szlakiem po szyldach sklepowych. [...] Dużo kobiet o grubo uszminkowanych twarzach, wargi jak z chińskiej laki, a gdy rozchylały je od czasu do czasu w czymś w rodzaju przedczłowieczego uśmiechu, zarówno dziąsła, jak i wnętrze ust miały barwę bladego arbuza. Pochylone w oknach wywieszały licznie swe piersi, na kształt winogron do suszenia, lub opuszczały

nagie, mięsiste ramię, zwisłe bezwładnie wzdłuż muru niczym wąż zaczajony na drzewie. W oświetlonych teraz jaskrawie barach siedziały dziewczyny na czerwonych, obitych aksamitem ławach pod lustrami, automatycznie wydmuchując dym z papierosów albo podkurczywszy kolano, tkwiły na wysokich barowych stołkach. Niektóre z tych kobiet miały na ramieniu małpkę, inne – papugi. Mężczyźni stali dokoła i na pozór nic ich to wszystko nie obchodziło. Toteż bardzo być może, iż widmowość wynikała właśnie z chwilowej pozornej bezcelowości wszystkiego".

Nie mnożę pełnych uroku meandrycznych efektów i pociemniając, nie wyjaśniam, że fragment ten nie jest – a mógłby, a mógłby – ani dalszym ciągiem *Ulicy krokodyli*, ani cudownie odnalezioną stroniczką *Mesjasza*; fragmentu tego nie odpisał ani Mann od Schulza, ani Schulz od Kafki, od kogo go odpisał Hermann Broch, nie wiem, wiem, że go napisał i że tu pasuje z tysiąca powodów.

Zapewne duch opowieści unoszący się nad Europą na początku minionego wieku miał w sobie – prócz innych mocy – system jakiś echowy, a może lustrzany, zapewne ten duch zawsze ma przy sobie tego rodzaju aparatury, wówczas jednak kilku urodzonych jeszcze w XIX stuleciu gigantów tak niezwykle machało piórami, że ich wzajemne echa i odbicia osobnym i wielce zagadkowym pasmem pozostają. Na mnie to są za wysokie rzeczy, tak wysokie, że ich nie lubię, a nawet się lękam, oprócz zwyczajnego mam też bardzo dokuczliwy literacki lęk wysokości – dużo pewniej się czuję na pozbawionym jakichkolwiek wzniesień i uniesień równym gruncie rzemiosła.

6 kwietnia 2010

W podtekście, a nawet wprost zostało powiedziane: Schulz wielki, bo należał do wielkich? Nie lekceważyłbym tej tautologii ani nie bagatelizował – wielki, bo z wielkimi – wyraźnie słychać „tyleż razy z nim wymienianego" Witolda Gombrowicza.

Jak w tysiącu innych przypadków i w przypadku Schulza autor *Transatlantyku* miał, ma rację – co prawda trochę mimochodem; co prawda to, co ja uznaję za rację i rozwiązanie, może być uznawane za detal albo odwrotnie – za oczywistość. Dajcie spokój – słuchajcie! Dlaczego Schulz wielki? Dlaczego wielki do dziś? Bo się nie zestarzał. Niby znowu banał. Rzecz w tym, że powinien. On powinien specjalnie. On właśnie powinien się zestarzeć, on w ryzykownym i chybotliwym pracował tworzywie, on pisał prozę pozornie z natury rzeczy skazaną na krótkotrwałość.

Dobra proza się nie starzeje, dobre wiersze się nie starzeją – nawet genialna proza poetycka starzeje się galopująco. Weźcie spróbujcie czytać *Pieśni Maldorora* albo nawet *Sezon w piekle;* w wielkość Blake'a można na słowo uwierzyć Miłoszowi, wielkość zresztą nie zawsze idzie w parze z literacką aktualnością. Schiller wielki? Wielki, ale nieaktualny. Cała na wskroś poetycka *Republika marzeń* i całe partie *Sklepów*, i przeszło pół *Sanatorium* to dziś powinna być w zasadzie czysta młodopolszczyzna, szeleszczący poetyzm – a nie jest. Papierowa na oko łódka dawno powinna być na dnie – pływa dalej. Co nie

znaczy, że jest to jakiś arcybezpieczny wodolot. Co nie znaczy, że ta proza to są połacie geniuszu wiecznie żywego – kłopot z niektórymi „pięknymi", a nawet „arcypięknymi" fragmentami jest jednakowoż nie większy niż z eseistycznymi partiami u Manna czy, powiedzmy, mistyczno-lirycznymi kawałkami w *Kusicielu* czy w *Śmierci Wergilego*.

(Kafka jest tu poza konkurencją. Stara moja teza, że gdy w literaturze następuje niezmiernie rzadkie połączenie wybitnych predyspozycji z wysokim wzrostem, daje to efekt niedościgły – znajduje kolejne nieobalalne potwierdzenie. Milion rzeczy łączy Kafkę z Schulzem, nie należy wszakże specjalnie boleć nad tym, że nie mają wspólnej fotografii).

U Brocha czy Manna kawałki udręczające nikną w wielkich, epickich objętościach – u Schulza widać je bardziej i bardziej są dokuczliwe.

7 kwietnia 2010

Gombrowicz w *Dziennikach*: „Wiele i życzliwie z nim ugadywałem, nieraz przyświadczałem, my w oczach ludzi byliśmy parą. Pozory! Natura moja nigdy nie pozwalała mi podejść do niego inaczej jak z niedowierzaniem, nie ufałem ani jemu, ani jego sztuce. Czy ja kiedy przeczytałem uczciwie, od początku do końca któreś z jego opowiadań? Nie – nudziły mnie. Wszystko więc, co mogłem mu powiedzieć, musiało być ostrożne, żeby on się nie połapał w pustce, która we mnie na niego czyhała. Jak dalece się w tym nie połapywał?".

Pewnie się połapywał. Ale także nieczytający Schulza i Schulzem znudzony autor *Ferdydurke* w Schulzu połapywał się bystro. Jak pasował mu kontekst, połapywał się bardzo przenikliwie.

Rozpatrując dzieło Schulza od strony ulubionego swego zestawu wartości, rozpatrując je mianowicie od strony szans na światową karierę, Gombrowicz napisał między innymi: „Jeśli rozpoetyzowanie tej prozy nie zmęczy zanadto, to olśni". Praktycznie żadnej korekty to drobne i niemal między wierszami rzucone spostrzeżenie nie wymaga – otóż: męczy, ale olśniewa. Nie: jeśli nie zmęczy – to olśni. Przeciwnie: zmęczy i olśni. Udręczy i olśni. Męczarnie, a nawet kaźń zada i olśni. Sekret i sedno Brunona Schulza. Bywają pisarze wielcy i udręczający,

których się podziwia i w których za bardzo się nie wchodzi. Schulz jest tak wielki i tak udręczający, że niepodobna go opuścić.

8 kwietnia 2010

W sumie oczywiście szkoda, że pomiędzy partiami poetyckimi a – właściwie nie wiem, jak te drugie nazwać – konkretnymi? nie ma zbalansowania. Gdyby było, wtedy – wzrost, nie wzrost – Schulz byłby poza naszymi, a może nawet poza kafkowskimi kategoriami.

Sławne pierwsze zdanie *Sklepów* ma balans nie lada. „W lipcu ojciec mój wyjeżdżał do wód i zostawiał mnie z matką i starszym bratem na pastwę białych od żaru i oszałamiających dni letnich". Czytając wedle metodologii Wisławy Szymborskiej (Jakie ogary? Dlaczego poszły? Czyj las?), łatwo zauważyć, że biblijna i melodyjna ta fraza wiadomości i konkretów podaje bez liku: kto, kiedy, gdzie, w jakim celu wyjechał, kto został – praktycznie co słowo konkret, dopiero na sam koniec płomienie, oszołomienie i żar – akurat tyle upalnej aury, by była, ale nie przygniatała. Pierwsze zdanie *Sanatorium* już balansu nie ma, owszem piękne, owszem inaugurujące sławny wywód o Księdze, ale już męczące i długie.

„Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobojętnością transcendentu, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi zalśnić, zapachnieć tym dreszczem przestrachu, przeczuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwytu".

Nie chcę być tani, ale istotnie „przekracza pojemność” – za dużo rzeczy bez nazwy, za dużo nut. Przepisałem, ale – wierzcie mi – nie chciało mi się przepisywać. Przepisywanie pierwszego zdania *Sklepów* – to była uciecha czysta.

W ogóle *Sklepy* są wyrazistsze i mniej nużące od *Sanatorium*. *Sklepy* są takie jak ich pierwsze zdanie i *Sanatorium* jest takie jak jego pierwsze zdanie. Czy do dziś nieodnaleziony *Mesjasz* był taki jak jego pierwsze zdanie? „Przyszedł Mesjasz – powiedziała matka – widziano go w Samborze”. (Podaję wersję zapamiętaną przez Artura Sandauera. Są inne, na przykład „widziano go trzydzieści kilometrów od Drohobycza” – nie sądzę, by był to autentyk, konkret, ale za daleko idący; podawanie odległości do Mesjasza w kilometrach nie pasuje ani do wizji, ani nawet do niesłychanego poczucia humoru Schulza). Są inne warianty – przytaczam najlepszy. Jeśli taka była całość, mamy przepadłe arcydzieło.

Jeśli książka ta była gotowa, lub prawie gotowa, musiała być to proza zbalansowana i obfita w wiadomości i konkrety. Straszliwie silna – już o mityczności nie wspominam – matryca fabularna tej historii jest po prostu nie do napisania prozą poetycką. (Chyba że dla grafo, ale grafo da radę wszystko). Jakkolwiek to brzmi: nadejście Mesjasza to nie będzie sama poezja. To musi być pełna przygód i wydarzeń opowieść. Zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju prozą nie do końca włada, najprawdopodobniej był to podstawowy powód, że praca szła opornie; jak pisał w listach: „*Mesjasza* nie tykam”.

A zatem *Sklepy* – wzlot. *Sanatorium* – regres. *Mesjasz* kolejny, może nawet genialny wzlot. Równie widmowy co wymierny.

Paczka z papierami po Schulzu, którą co pewien czas oferuje tajemniczy posiadacz, waży podobno około dwóch kilogramów. Nie wiadomo, co w niej jest, ale wiadomo, ile waży. Pełny – niczym w pierwszym zdaniu *Sklepów* – balans.

18 kwietnia 2010

Ostatni dzień żałoby narodowej. Chyba nie zdążyłem świętej pamięci Adamowi Pilchowi powiedzieć, że gada się z nim tak, jakby nie był – nic nikomu nie ujmując, zwłaszcza nic a nic nie ujmując moim współbraciom – luterskim księdzem. Za szerokie horyzonty, za błyskotliwa inteligencja, za daleko idąca wrażliwość. Pełen luz połączony z pełnym pryncypializmem.

Nieraz dawałem wyraz przeświadczeniu, że prawdziwy ksiądz nie musi, a może nawet nie powinien, za dobrze znać się na Panu Bogu – musi i powinien znać się na ludziach. Mieli tę cechę najwięksi kapłani, z jakimi przyszło mi się zetknąć: Tischner i Wantuła. Miał ją – ośmielę się powiedzieć, w stopniu szczególnie wysubtelnionym – Adam. Subtelność, wrażliwość, wyczulenie to mogą być cechy w miarę dokładnie go opisujące. Jaka z takich przymiotów jest droga do stopnia pułkownika – teraz pośmiertnie generała brygady – nie mam zielonego pojęcia. Dla rozumienia świata i ludzi są to, owszem, warunki konieczne i wystarczające. Rozmawiało się z nim i miało się wrażenie, co tam wrażenie, miało się absolutną pewność, że ten dziwny ksiądz, że ten osobliwy ksiądz pastor, że ten niepojęty ksiądz pułkownik rozumie nie tylko każde słowo, ale i każdą w tym słowie literę, każdy akcent.

Rozmowy bywały – głównie z powodu mojej skłonności do awarii – awaryjne. Może to wyostrzało odbiór; nawet jak wyostrzało, to

nie wyczerpywało. Przy czym nie tylko gwoli uniknięcia laurkowej słodyczy, ale zwyczajnie gwoli realizmu odnotować trzeba, że jego wszechrozumienie drugiego człowieka nie było tożsame z akceptacją. Z jakąś tanią pseudoewangeliczną pseudodobrocią. Skąd! Adam od irytacji ani fundamentalnie nie był, ani okolicznościowo nie bywał wolny. Rozumiał kogoś też w tym sensie, że bez pomyłki mógł stwierdzić: rozumiem go, ale on nic a nic nie rozumie.

Ewangelicy, zwłaszcza starsi, uchodzą za znających Pismo; sam mam w tej książce jaką taką, kulawą, bo kulawą, ale orientację, natomiast Adam znał Biblię – powiedziałbym – ponadpokoleniowo, ponadwyznaniowo, ponadbibliograficznie. Prawdziwie wierzący i najdalszy zarazem od dziecinnej wiary w cudowną moc biblijnych fabuł, był zarazem pewien ich szczególnej, nieliteralnej, ale i niemetaforycznej siły. Polegał na tym, o czym w ewangeliach mówi się często, polegał na Słowie. Pojmowanym nie jako czarodziejskie zaklęcie, jako opowieść czy jako bojowe hasło ludu chrystusowego.

Jego, a chyba mogę też powiedzieć: nasz (gdyby żył, z właściwą mu kulturą nie dementowałby tej uzurpacji) Bóg nie mieszkał w niebie, domem jego, naszego Boga był biblijny dyskurs.

W każdym razie orientację w Słowie miał niewiarygodną. Dzwoniłem nieraz z prośbą o lokalizację jakiegoś cytatu albo z pytaniem o jakiś mętnie zapamiętany akapit, co do którego niekiedy nie miałem nawet pewności, czy jest w Biblii, i obojętnie gdzie księdza Pilcha zastawałem, nawet jak prowadził samochód, odpowiadał natychmiast, bez zająknienia, a jak się pojawiał jakiś cień wahania, w tle słychać było głos jego żony, pastorowej

Kornelii – nie tylko perfekcyjna znajomość Słowa Bożego tę parę łączyła.

Nie zdążyliśmy. Nie zdążyliśmy praktycznie z niczym. O takich sielankach, że z Adamem, w przyszłości biskupem polskich lutrów, siedlibyśmy kiedyś w fotelach i obszernie pogawędzili o upiorności naszego ukochanego miejsca urodzenia, o Panu Bogu, o kolegach teologach i kolegach literatach, o toksycznych krewnych i o przyjaznym – wziąłem to spostrzeżenie od niego – sygnale ekspresu ruszającego z Wisły Uzdrowisko do Warszawy Centralnej – o takich idyllach nie wspominam nawet.

Darujcie mi ton nadto otwarty, ale i ja – jako i wy wszyscy – chciałbym i chcę żyć długo. Wbrew pesymistycznym refrenom i innym makabrycznym pozom chcę być na ziemi długo i w przytomności umysłowej. I nieraz w chwilach – tak jest – pewnego roztkliwienia wyobrażałem sobie, że tak jak początkowi mojego życia, dzieciństwu i wczesnej młodości towarzyszyła postać Andrzeja Wantuły, tak sędziwości będzie towarzyszył młodszy wprawdzie ode mnie o kilkanaście lat, ale też wówczas wiekowy biskup Adam Pilch z Wisły. Dawałbym mu do czytania jakieś nowo napisane rzeczy, on by mi wytykał ewidentne potknięcia teologiczne, nie reagowałbym na to z przesadną wyrozumiałością, cóż ty siedemdziesięcioparoletni smarkaczu będziesz luterski włos na czworo rozdzielał! Ach, od czasu do czasu pogadalibyśmy jak Pilch z Pilchem – pożarlibyśmy się mianowicie krwawo.

Nie zdążyliśmy. Jak to bywa przy śmierci nagłej, przy gromie z mglistego smoleńskiego nieba, a może nawet jak to bywa przy – o ile są takie – zwyczajniejszych odejściach, nie zdążyliśmy. Nie

zdążyliśmy ani pogadać, ani się pospierać, ani nasycić się przyjaźnią ani nawet kuzynostwem.

Zawsze mnie bawiło dociekanie pokrewieństw, powinowactw i wszelkich możliwych więzi, jakim z fascynacją lubili oddawać się starzy wiślanie. Nie zdążyliśmy zostać starymi wiślanami, nie zdążyliśmy też przeto, pochylając się nad genealogiami, nacieszyć się jakże niezwykłym paradoksem, iż wbrew pozorom nazwisko Pilch wcale nas nie łączy – krewniakami jesteśmy po kądzieli. Babki nasze – Cieślarówny z domu – były siostrami i wyszły za dwu różnych i zupełnie ze sobą niespokrewnionych Pilchów. (Rzecz możliwa tylko w Wiśle). Dla wzmożenia efektu była jeszcze trzecia siostra, która też wyszła za Pilcha, też ma się rozumieć niespokrewnionego z dwoma poprzednimi. Kto nie z Wisły, nie rozumie? Nie dziwota – ci ze świata rozumieją mało. Naprawdę nie rozumiecie? Przecież proste to jest jak drut: trzy siostry Cieślarówny wyszły za trzech różnych Pilchów. Dwie z nich były naszymi babkami, ich jednak mężowie – dziadek Adama Pilch i mój dziadek Pilch (znany w Wiśle jako stary Kubica) – spokrewnieni nie byli, ale ponieważ – co już zostało podkreślone – ich żony były siostrami, więc byli szwagrami. Drobną komplikacją tego czytelnego układu jest to, że matka Adama jest wnuczką przyrodniej siostry mojego dziadka Pilcha (Kubicy), ta przyrodnia – z pierwszego małżeństwa – siostra mojego dziadka Pilcha (Kubicy) też była z domu Pilch (potem po mężu Branc, jej zaś córka wyszła za Cieślara – ojca matki Adama). Detale te trochę sytuację ubarwiają, ale jej nie komplikują. Mam nadzieję. Dla zupełnej pełni obrazu warto też dodać, że trzy wymienione na początku Cieślarówny wyszły za trzech Pilchów, z których dwaj:

mąż mojej babki i mąż babki Adama, nosili to samo imię Paweł, trzeci Pilch nosił imię Jan, ale – co oczywiste – był w Wiśle znany jako Pieterek.

Nigdy się, Adamie, ani nad takimi osobistymi, ani nad innymi upojnościami nie pochylimy – w sobotę idę na Twój pogrzeb. Odczekaj trochę, a jak Pan Bóg Ci powie, jaki popełniliśmy błąd w Jego wizerunku, przyśnij mi się i powiedz, o co – do jasnej cholery – w tym wszystkim chodzi.

24 kwietnia 2010

Jadę na pogrzeb Adama. Po niekończących się lodowatych pogodach, po zimnych deszczach przepiękny sobotni poranek. Nie bardzo tej aurze dowierzam. Nie tylko z tego powodu, że mgła, co znad Smoleńska ustąpiła, powoli, a nawet raptownie u nas, w naszych duszach i w naszych mózgach nastała i królować będzie długo.

Naszych nie naszych. Nieraz mi się zdaje, że jedyną rzeczą, jaka mnie z ojczyzną łączy, jest język polski. Niby dużo, niektórzy powiadają: wszystko. Istnienie jest językiem, człowiek jest językiem, Bóg jest językiem, granice mojego języka są moimi granicami – tysiąc, a może dwa tysiące innych formuł. Niestety czasy, w których nazywanie rzeczy uspokajało, minęły; pełnej tożsamości nie ma.

Inna sprawa: pod tym akurat względem jestem upośledzony nieuleczalnie, chronicznie i terminalnie. Co to jest pełne utożsamienie, nie poznam i nie dowiem się nigdy. Może z Cracovią Kraków byłem kiedyś blisko, ale i to minęło. „Sam ze sobą nie mam nic wspólnego" – który raz powtarzam tę frazę Franza Kafki? Milionowy czy tylko stutysięczny raz?

Jadę pożegnać Adama z całej głębi serca, z dotkliwego poczucia braku, ze szczerej wewnętrznej potrzeby, ale nie ma co ukrywać – też z duszą na ramieniu. Całe tłumy moich współwyznawców na pogrzebie będą, rzesze naszych pastorów, liczne pastorowe, księża

biskupi, prezbiterzy i kuratorzy z kraju i zagranicy – niejedna para protestanckich oczu może mnie i moje luterstwo przejrzeć na wylot. Ani ściśle tożsamy z wyznaniem, ani specjalnie pobożny wizerunek nie wypłynie na wierzch. Delikatnie mówiąc.

Na razie jednak utożsamiam się z ostentacją, na razie wchodzę w rolę, na razie przybieram pozę, co tam zresztą przybieram pozę, na razie jestem pełnokrwistym, co tam zresztą pełnokrwistym, na razie jestem pełnokrwistym i wojowniczym ewangelikiem.

– Poproszę pod kościół ewangelicki na Puławskiej – mówię do taksówkarza, mówię ze starannie wystudiowaną niedbałością, mówię tak, jakbym mówił o najoczywistszym z oczywistych warszawskich adresów, mówię tak, jakbym mówił: poproszę pod Pałac Kultury albo poproszę pod Dworzec Centralny, albo poproszę pod Teatr Narodowy, choć ostatni przykład nie dość wyrazisty; warszawscy taksówkarze, którzy odróżniają Narodowy od Wielkiego, są, delikatnie mówiąc, w mniejszości. Może nie w takiej mniejszości jak luteranie w Polsce, ale w mniejszości wyraźnej. Na dziesięć lat bytowania w stolicy, na, lekko licząc, setkę jazd do Narodowego tylko jeden jakiś taryfiarz, chyba noblista, nie wysadził mnie pod Wielkim.

– Poproszę na Puławską, pod kościół ewangelicko-augsburski – powtarzam dobitniej i tryumfalniej i, nie ma co ukrywać, mściwiej, bo gołym okiem widać, że zasadzka się powiodła – na twarzy kierowcy klasyczna niemoc i typowo katolicki popłoch poznawczy. Milczę. On milczy tym bardziej. W ciszy śmiertelnej sycę się prześladowaniami, jakich w tym kraju ja i moi współbracia doznajemy. Proszę! Nikt nie wie, gdzie świątynie nasze! W katakumbach się kryjemy! – szepcę w duchu. On sięga

po plan miasta, moje politowanie i moja uraza są bezgraniczne, ale w końcu nie pora na wypowiadanie wojny religijnej. Świętej pamięci Adama taka potyczka ubawiłaby setnie, choć zbytnio przeciwnika gnębić by nie dał, empatia w jego wydaniu graniczyła z pomieszaniem zmysłów – tym bardziej na jego pogrzeb wypada zdążyć. Nawet jak poprowadzi szofer słabo zorientowany w występowaniu na ziemiach polskich innych niż powszechne wyznań.

– Poproszę na Puławską 2A – mówię litościwie i z ekumeniczną rezygnacją macham ręką. Pochopnie i, jak się pokazuje, grubo przedwcześnie.

– Puławska 2A? – cedzi siedzący za kierownicą papista – Puławska 2A? – powtarza w natężeniu. – Tam nie ma żadnego kościoła.

– Nie ma?

– Nie ma.

Stanowczość jego głosu trochę zbija mnie z pantałyku, gorączkowo usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłem na Puławskiej, ale jeszcze prędzej orientuję się, że to ryzykowny jest manewr, zostawiam tę linię, sam już nie wiem, ataku czy obrony, i do przytomności dochodzę. W końcu jaki kapitalizm w Polsce jest, taki jest, jak się tu lutrów prześladuje, tak się prześladuje, ale przecież w miejscu kościoła – nawet naszego – nikt, na Boga, nawet w Polsce, banku nie postawił!

– Jak nie ma, jak jest! – odparowuję zdecydowanie. – Puławska 2A. Ewangelicki kościół Wniebowstąpienia stoi tam jako skała.

– Ewangelicki zbór! – gość ma nagły atak entuzjazmu.

– Nie – gaszę jego tryumf. – Nie zbór. Kościół.

– Wniebowstąpienia?
– Tak jest.
– Panny Maryi?
– Nie. Pana Jezusa.

25 kwietnia 2010

Ewangelikiem być w Polsce niełatwo, ale niekiedy jest to błogosławieństwo w sensie ścisłym. Coraz krótsze, coraz rzadsze, coraz mglistsze, nieraz tylko starszych i znikających pokoleń tyczące, ale jeszcze bywa. Choć już go nie ma.

Wczoraj po powrocie z Puławskiej przeczytałem w „Gazecie Wyborczej" wszechstronnie omawiający i analizujący rozmaite, a może nawet wszystkie aspekty polskiej żałoby tekst Joanny Tokarskiej-Bakir *Karnawał smutku*. Gdyby nie to, że trafne nazywanie rzeczy już nie daje ulgi, chwaliłbym ten tekst jeszcze bardziej, a chwalę – o ile satysfakcje umysłowe w obecnych kontekstach nie są jakimś bluźnierstwem – bardzo.

Wśród licznych wysoce uczonych spostrzeżeń (nie jestem pewien, czy nawet oddani czytelnicy „Wyborczej" znają na przykład słowo „liminalny", w artykule częste, w większości słowników nieobecne) jest tam w jednym miejscu uwaga, którą wpierw wziąłem za błąd, potem za potknięcie, potem jeszcze za pochopność, potem za nie dość wyraźnym cudzysłowem opatrzoną zgryźliwą ironię, na końcu zaś za – może nawet przez samą autorkę nie dosyć docenioną – rację. Świętą.

Otóż rozpatrując rozmaite zakłócenia żałoby, nieczystość jej czy to politycznymi, czy to wariackimi, czy to odpustowymi, czy kto wie jakimi jeszcze pierwiastkami zamąconego obrazu – autorka powiada niemal mimochodem, że: „Nie chodzi tylko o to, że rytuał

katolicki jest w Polsce jedynym prawomocnie wyrażającym żałobę". Przeczytałem to zdanie i może nie oszalałem ze szczęścia, ale uciechę miałem sporą. W końcu przyłapać Tokarską-Bakir na nietolerancji, na arbitralnym pominięciu mniejszości, na zgodzie na wszechogarniająca prawomocność katolicyzmu – to nie jest fraszka. To jest cenniejsza zdobycz niż przychwycenie mniejsza o to kogo, mniejsza o to na czym. To jest zdobycz tak cenna, że aż niewiarygodna. To jest zdobycz – szczerze mówiąc – bardzo dziwna. Ale zdobycz. Mam ją. Nawet jeśli czegoś nie zrozumiałem. Nawet jeśli słowo „prawomocność" jest tu zestawem niefortunnych literówek.

Otóż oczywiście rytuał katolicki nie jest pod żadnym względem jedyny – są inne. A raczej były, stopniowo bowiem zostały i zostają przez Rzym wchłonięte, ergo rzymski rytuał jedyny. Jedyny?

Nie to mam na myśli, co myślicie, że mam. A powinniście się choć trochę („trochu", jak celem nawiązania rymu z „grochu" pisze aktualny wieszcz) domyślać, co mam na myśli. Siebie oczywiście. Katastrofa się zdarzyła? Prezydent zginął? Pozwolą państwo, że w takim razie powiem coś o sobie. Bez cienia ironii i zwłaszcza bez gombrowicziad. Choć i z nimi; wybitni autorzy bywają pomocni, a dla człowieka piszącego nie ma innych zadań, jak zapis na oko prostych, w istocie zupełnie niezrozumiałych szamotanin na powierzchni planety.

Głównie mam na myśli odległość duchową, jaka mnie dzieli od Krakowskiego Przedmieścia, głównie mam na myśli nieskończoną czeluść duchową, jaka mnie dzieli (dzieliła i dzielić będzie) od obróconego w jedno wielkie starannie utrzymane, symetrycznie poparcelowane pole płonących zniczy na Krakowskim

Przedmieściu. Dla mnie otóż to uprawne pole ognia jest ziemią jałową. I pryncypia o tym decydują, nie okoliczności doraźne.

Nic – poglądy polityczne, których nie mam. Nic – kwestia smaku, którą mam bez uzurpacji. Nic – jedna wielka komedia straszliwą tragedią zakończona. Nic – prawo krytykowania żywych i obowiązek oddawania czci zmarłym. (Jakby tego prawa nie było, żadnego życia politycznego czy intelektualnego by nie było – wszyscy kiedyś umrą, nikogo przeto atakować w imię przyszłej, zawsze przecież przedwczesnej i zawsze przecież tragicznej, śmierci nie wolno. Jakby tego obowiązku nie było, powszechniejszy byłby zwyczaj rozwijania transparentów, jaki po śmierci Bronisława Geremka specjalnie pobożne kręgi rozwinęły). Nic – sympatie i antypatie. Nic – filmy propagandowe (nawet najwymowniejsze, nawet te, które w dawnych czasach niechybnie za sabotaże partyjne wzięte by były i jak najsłuszniej na półkę by powędrowały). Nic – ciekawe ewolucje byłych muzyków rockowych, krytyków filmowych czy innych aktorów serialowych, którym trafiła się kontrowersyjna – mój prezydencie – rola życia. (Główna rola w filmie dokumentalnym). Nic – programy telewizyjne. Nic – teksty gazetowe. Nawet Wawel – nic. Nawet piwo kiedyś żłopane w cieniu tego grobowca wieszczów i królów – nic. Jedynie fundamentalizm luterski. I tylko on. Cóż z tego, że retoryczny? Jest tylko język. I właśnie go nie ma.

30 kwietnia 2010

Rytuał zapalania zniczy na grobach upowszechnił się i na ewangelickich cmentarzach, a nie powinien w żadnym wypadku, nie jest to nasz rytuał. Ewangelickie cmentarze mojego dzieciństwa nawet – a może zwłaszcza – pierwszego listopada (u nas święto umiarkowane) były ciemne. Wiślański cmentarz Na Górniczku – tysiąc razy piękniej od Wawelu, Skałki i innych najsławniejszych, łącznie z watykańskimi, pośmiertnych legowisk położony – jeszcze w latach sześćdziesiątych, a może nawet na początku lat siedemdziesiątych był ciemny. Żyły jeszcze wówczas pokolenia, co katolickie płomyki gasiły od ręki. Ulubiona moja postać literacka, babka Czyżowa, świeczki (w tamtych czasach nawet katolickie manufaktury nie produkowały zniczy) na grobach zwalczała z luterskim radykalizmem i luterskim językiem o nich się wyrażała. Powszechnie wiadomo, że Nasz Reformator Doktor Marcin Luter – jak tłumaczowi Pisma przystało – miał do języka stosunek rozlegle swobodny.

Teraz nawet najporządniejsi ewangelicy znicze na grobach zapalają jak gdyby nigdy nic. Teraz luterski zwyczaj niepalenia zniczy, ciemnych i w ogóle skromnie zdobionych grobów wchłonięty został przez „rytuał jedynie prawomocny".

Gdyby Adam żył, zadzwoniłbym do niego i krótko – pewnie by się gdzieś śpieszył, może nie daj Boże na jakiś samolot – omówilibyśmy tę kwestię, która teraz, także w związku z jego

śmiercią, wypłynęła na wierzch – ma się rozumieć wyłącznie mojego mózgu.

U lutrów – najkrócej rzecz ujmując – nie ma czyśćca, nie ma modlitwy za zmarłych, nie pali się (nie paliło się) świateł na grobach. Niektórzy widzą tu związek przyczynowo-skutkowy – ponieważ nie ma czyśćca, nie ma też modlitw i świateł. Adam prawdopodobnie nie upierałby się przy takim – negatywnym – rozumowaniu i faktycznie nie bardzo jest sens ewangelicki rytuał objaśniać brakiem w nim elementu katolickiego.

Człowiek, głosi nasza – powiedzmy – doktryna, po śmierci staje przed obliczem Pana i żywym już nic do tego. Żadnych prób wpływania na werdykt, żadnych błagań o łaskę, żadnych protekcyjnych modłów. Nawet w najkorniejszej formie podpowiadać Najwyższemu, co ma z przybyłą doń z ziemskiego padołu duszą uczynić, to jest pycha czysta. Żadnych takich. Zwłaszcza zaś żadnego zapalania zniczy na grobach. Owszem, to jest rzecz malownicza i estetycznie przyjemna, ale specjalnie przez to niebezpieczna. Ogień jako symbol życia wiecznego źle robi odchodzącej duszy, zatrzymuje ją swym zwodniczym blaskiem, ziemskie, a nie do nieba wiodące ścieżki oświetla, a duszy trzeba pozwolić odejść, żadnym rytuałem, żadnym ogniem jej nie należy stopowować. W ogóle język ognia, znaki ognia to są Boże znaki i języki. Oczywiście ksiądz Pilch coś by tu, pewnie niejedno, dodał, poza przychodzącymi mi do głowy szkolnymi przykładami z krzakiem płomienistym i językami ognia nad głowami apostołów wskazałby pewnie inne miejsca w Piśmie, pogadalibyśmy, już nie pogadamy. Na tamtym świecie? Nie był to kapłan skłonny do sentymentalnych wersji fideizmu.

1 maja 2010

Referuję – powtarzam – własną, rodzinną ortodoksję, staram się to czynić w miarę bez cudzysłowu, choć komuś, kto ma w genach równie intensywne jak protestancka ortodoksja poczucie komizmu, nie przychodzi to łatwo, tym trudniej, że model „jedynie prawomocny" pożera wszystko. I nie tylko nie ma na to rady – wręcz jest na to zgoda.

Niejeden przecież nasz dobrotliwy pastor, jak go zapytać, czy można znicz na grobie zapalić, czy to wielki grzech będzie, odpowie, że spokojnie można, nic wielkiego, żaden grzech. Czy jakiś nasz uczony teolog dojdzie do wniosku, że w luteranizmie też są „pewne formy i postacie myślenia czyśćcowego" – wątpię, ale nie wykluczam. Odkąd ładnych parę miesięcy temu przeczytałem w gazecie wywiad z jednym z naszych wysoko wyedukowanych księży, który – dla horroru: precyzyjnie i przekonująco – dowiódł, że i w luteranizmie są „pewne elementy maryjne", nic mnie nie zdziwi.

Oczywiście, macie słuszność, moi współbracia, piękna jest wasza wyrozumiałość, tolerancja i wiedza, macie słuszność i macie zarazem gigantyczne szczęście, że nie słyszy was moja babka. Ona by wam, jak mawiają w Wiśle, „pocisła godzinki" (tłumaczenie na język polski: „przyspieszyła bieg czasu", nie oddaje grozy oryginału).

2 maja 2010

Na pogrzebie Adama siedziałem w kościelnym ogrodzie; siłą rzeczy przypomniały mi się aury wiślańskich nabożeństw na Piotra i Pawła, pogoda jak w tamtych czasach niezwykła, prochy zostały w Warszawie. Prezydentem ktoś zostanie – Adamem Pilchem już nikt. Wszyscy bliscy ofiar zaznają tej samej goryczy.

3 maja 2010

Z ogni na Krakowskim Przedmieściu nawet lód w sercu nie pozostał, nawet ułamek czystej estetyki ognia, a przecież nawet cała czysta estetyka nie tylko ognia, ale w ogóle wszystkich żywiołów to jest bardzo mało.

Co by na ten festiwal zniczy powiedziała moja babka? Przerażona by była. Przerażona by była nie zniczami, a tym, co się stało – stara Czyżka była bowiem patriotką. Przeżywszy prawie całe XX stulecie, mało prawdziwej Polski zaznała – tym większą była patriotką. Nie mówię, że jedyną mi znaną, ale, szczerze mówiąc, jedną z nielicznych.

7 maja 2010

Postanowiłem chyłkiem obejrzeć mecz Cracovia Kraków – Polonia Warszawa. Chyłkiem, ponieważ taka decyzja i taka ciekawość stoi w jawnej sprzeczności z – ładnych parę tygodni temu na tych kartach ogłoszonym – wyrzeczeniem się Cracovii Kraków, porzuceniem tego klubu, definitywnym z nim rozwodem i rozstaniem.

Na samym początku dziennika rozstałem się z Panem Bogiem, potem rozstałem się właśnie z ukochanym klubem, potem rozstałem się z czymś kolejnym niesłychanie ważnym, niestety nie pamiętam z czym, potem miałem zamiar (rozstawszy się wprzódy) odnotować kolejne niezmiernie doniosłe rozstanie, ale i jedno, i drugie zupełnie mi wyleciało z głowy – rzeszotowiejący mózg robi swoje, a raczej odmawia robienia czegokolwiek.

Niewykluczone, że w ogóle zamierzałem w jakimś paśmie prowadzić nieostentacyjny, ma się rozumieć, głęboko podskórny, konsekwentny, ale nie dla wszystkich zauważalny, dziennik rozstań, wyrzeczeń i innych pożegnalnych uścisków.

Nie mówię, że zamiar był patetyczny w swej kiczowatości i kiczowaty w swym patosie: dociągnąć do ostatniego w sensie ścisłym rozstania, do – jak by powiedział Iwaszkiewicz – ostatniej „nieskończonej jak wieczność" chwili. Do takich planów się nie przyznaję, bo zwyczajnie wstyd. Nawet jeśli były i nawet jeśli są wiekiem i zdrowiem głęboko uzasadnione. Nawet jeśli były

pochopnie długofalowe i na wiele (na przykład sześćdziesiąt) tomów obliczone. Tak czy tak, zalatywałoby to certoleniem się z sobą. Tak czy tak, okazuje się, że wbrew pozorom i nawet na obecnym (jak by nie liczyć, bliższym jednak końca niż początku) etapie rozstania nie są moją mocną stroną. Poza tym rzecz kluczowa: sytuacja uległa zmianie. Wszystko nieważne.

Bodaj w *Kalendarzu i klepsydrze* Tadeusz Konwicki wspomina Stanisława Dygata wydającego bankiet z okazji definitywnego zakończenia życia erotycznego. Bankiet się odbył, pożegnanie nastąpiło, wszelako po paru tygodniach autor spotyka swego przyjaciela w towarzystwie osoby, której wiek, płeć i uroda rozstaniu z erotyką – najdelikatniej mówiąc – przeczą. Pytany o ostentacyjną niekonsekwencję – Przecież obiecywałeś, Stasiu, nie spotykać się z dziewczętami, których ojcowie są młodsi od naszych córek – Dygat odpowiada stanowczo: – Po przemówieniu Gomułki wszystko nieważne!

8 maja 2010

Sytuacja się zmieniła, wszystko nieważne. Ma się rozumieć, niech nikomu nie przychodzi do głowy, że snuję analogię typu: po tragedii smoleńskiej wszystko nieważne. Skąd! Poza wszystkim dość już nabluźniłem, a i tak nic z tego.

Ale sytuacja się zmieniła – postanowiłem chyłkiem obejrzeć mecz Cracovii Kraków. Chyłkiem, to znaczy w jakimś lokalu, w którym jest telewizor z kanałem Orange. Nie, nie mam. Mam wystarczającą liczbę dekoderów, by oglądać futbol przez dwadzieścia cztery godziny, ale Orange nie mam. By mieć Orange, trzeba prócz kolejnego dekodera mieć talerz, a talerz zrujnowałby perfekcyjną harmonię mojego tarasu. Piłka tak – harmonia tarasu wyżej.

Żadna zresztą ujma nie mieć Orange. Nie tacy jak ja nie mają. Nawet w znanym z historii najnowszej hotelu Marriott nie mają. Ściśle mówiąc: nie wiedzą, czy mają. Zadzwoniłem, bo przypomniało mi się, że tam właśnie, w knajpie o sportowej nazwie Champion i o niezliczonej liczbie sportowych ekranów i kanałów ze dwa razy jakieś mecze oglądałem. – Niestety – odparł uprzejmy głos w słuchawce – na oglądanie meczu, o który pan pyta, nikt się nie zapisał. Ja nawet nie wiem, czy mamy Orange... A tak w ogóle, to dziś jesteśmy nastawieni na Pudziana, reflektuje pan? – Podziękowałem uprzejmie, wiadomość generalnie była zła, ale przesłankę miała dobrą – umiarkowane

zainteresowanie meczem rokowało, że uda się, jak chciałem: chyłkiem. Legendarna Polonia Warszawa jest też legendarna z tego powodu, że ma policzalną liczbę kibiców. Bardzo, powiedziałbym, policzalną. W przeciwieństwie na dodatek do fanów Cracovii Kraków nie jest to garstka specjalnie krwawa.

Aby dalej nie mnożyć perypetii, zadzwoniłem do niezawodnego nie tylko pod takim względem Czesława A., z którym się na mecz umówiłem i który od ręki, bez namysłu i jak po sznurku zaprowadził mnie do klubu Sketch na Foksal. Bardzo miło, lokal widny i biały. Biały – nie wiedzieć czemu przyszło mi do głowy – jak kapitulacja Pasów, a bardziej jeszcze jak OIOM dla ich kibiców.

Prócz mnie, Czesława i właściciela knajpy (co mówię „knajpy”!, wytwornej restauracji, w której zamierzam nie tylko na meczach bywać!) przed wiadomym ekranem trzech jeszcze kibiców. Polonii, ma się rozumieć. Tłum umiarkowany. Obejrzałem to, co obejrzałem. Kto widział, wie, kto nie widział – dłużej żył będzie.

Byłem pewien, że w hierarchiach i odcieniach klęskowości Cracovia Kraków wyczerpała wszelkie możliwości, jakimi dysponuje ludzkość. Myliłem się – są nowe zdobycze. Oto okazuje się, że klub do tej pory znany z tego, że kiedy broni się przed spadkiem, to zawsze spada, teraz, nawet kiedy jest pewien, że nie spadnie, dalej spaść może, ergo – pewnie spadnie. Wszystko zależy od wtorkowych derbów z Wisłą, wynik raczej znam, ale będę oglądał chyłkiem w sensie ścisłym, w domu mianowicie, pofolguję sobie, to jest zawsze dobre. Z drugiej strony „chyłkowość oficjalna” – jeśli można tak powiedzieć – też ma dobre strony, człowiek ćwiczy kunszt wielce w Polsce w życiu pomocny, trenuje

mianowicie udawanie, że mu wszystko olimpijsko wisi. Przegrywają – furda, wyrównali – drobiazg, przegrali – jebał ich pies.

Ponieważ wszystko się zmieniło, ponieważ definitywne rozstanie – prawdopodobnie nawet gdyby się nic nie zmieniło – okazało się fiaskiem, resztkami godności wykonuję gorzki i przejmujący gest symboliczny: anuluję mianowicie bruderszaft. Stare małżeństwo po pięćdziesięciu latach pożycia nie rozwodzi się (celem uniknięcia zbędnych kosztów i pośmiewisk), ale popada w groteskę głęboką i na wskroś żałosną – z powrotem przechodzi na pan, pani. Żadna moja Cracovia, żadna ukochana Cracovia, żadna nawet po prostu Cracovia. Jedynie: Cracovia Kraków – lodowaty chłód plus nuta wystudiowanej wzgardy.

10 maja 2010

Za bardzo rozproszone ręce, żeby głowa mogła się należycie skupić. Mam na myśli występy publiczne – trawi mnie strach przed łbem nagle całkowicie pustym. Tysiąc razy wolę czytać, niż mówić z głowy. Kolejna tragedia? Raczej tryumf. W obrębie tekstu pisanego, poprawianego, a nawet tylko otwartego czuję się – niczym rasowy grafoman – doskonale. Nigdy bym nie pomyślał, że jedynym moim miejscem, które ocala, będzie ekran.

16 maja 2010

W oparciu o losy moich przodków oraz obserwacje życia współczesnego, ułożyłem – ma się rozumieć na wskroś subiektywny – dekalog prawdziwego Europejczyka. Ponieważ zabrakło mi spostrzeżeń na pełną dychę, jest to, jak mawiał pewien mój przyjaciel z czasów heroicznych, dekalog w siedmiu punktach.

1) Nie podróżuj – szkoda czasu, pieniędzy i zachodu – wszędzie jest tak samo, a już „w samej istocie" (o dekoracjach nie wspominając) wszędzie jest identycznie. Trzymaj się tego nie tak w końcu dalekiego od prawdy frazesu. Elementów „wszędzie takich samych" przybywa, rychło zasłonią wszelkie różnice. Jechać gdzieś, by w panice zdążyć odnotować „jeszcze istniejące różnice"? Wolne żarty. Sto razy bezpieczniej poczekać, aż identyczność ogarnie wszystko – wtedy nie będzie żadnych, nawet pozornych powodów do jeżdżenia, wtedy będzie to, co jest najważniejsze w życiu – święty spokój mianowicie.

2) Nie tylko nie podróżuj – najlepiej w ogóle nie wychodź z domu. Jazda, i to wieloraka, i tak może ci być dana. Moja babka praktycznie przez cały wiek XX nie wychodziła z domu i mimo tej nieruchawości, a może dzięki niej, była kolejno obywatelką CK Austro-Węgier, Czech (dwukrotnie), II Rzeczpospolitej, III Rzeszy, Polski Ludowej i III RP. Zasypiała w Polsce, budziła się w Niemczech, granica z Czechami, która dwa dni temu biegła

szczytem przylegającej do domu góry, dziś szła przez odległy o pięćdziesiąt metrów most i była – jak się po bliższym zapoznaniu okazywało – granicą z Polską. Babka moja nigdy nie wybrała się za granicę – to granice rozmaitych krajów i potęg europejskich fruwały nad dachem naszej starej chałupy, jak chciały. Domownikom wtajemniczenie europejskie było dane jak mało komu. I nie ma co opowiadać szlachetnych bajek, że teoretycznie niby jest lepiej, kiedy człowiek wybiera, jaką chce przekroczyć granicę, niż na odwrót.

Najważniejsze, żebyś mógł korzystać z jakiego chcesz przywileju, na przykład z fundamentalnego przywileju niewychodzenia z domu. Moja babka z przywileju tego korzystałaby nawet w pozbawionej granic, ergo bezgranicznej Unii Europejskiej. Miała szczęście – nie dożyła tej bezbarwnej monotonii.

3) Nie ucz się języków – nie szukaj nauczycieli. Jak zajdzie konieczność, oni sami cię znajdą i nauczą o wiele lepiej od tych, których ty byś znalazł. Mój ojciec absolutnie doskonale mówił po niemiecku – nie był to wynik pracy żadnej guwernantki czy innych lektoratów. Wcielony do Wehrmachtu nauczył się, sam nie wiedząc kiedy. Jako człowiek dwujęzyczny w sensie ścisłym był Europejczykiem co się zowie. Po wojnie wprawdzie, korzystając z licznych przewag swej europejskości, musiał zarazem nieco ukrywać jej źródła, miewał kłopoty, ale jakoś sobie poradził; poza wszystkim na Śląsku, z którego się ród nasz wywodzi, jego (ojca, choć Śląska też) los nie był odosobniony. Opanowawszy niemczyznę podczas pełnych ekscytującego napięcia strzelanin w okopach i innych wesołych gier i zabaw w koszarach, mnie

oczywiście kitował, że obcego języka można się nauczyć tylko nadludzką pracą i wkuwaniem słówek. Traumę i przeświadczenie, że dostać się do Europy można tylko kuciem, osładza mi duma, że jestem Europejczykiem po ojcu, i kłopotliwe poczucie wyższości, którego przypływy miewam, gdy w kraju pada fraza: „dziadek w Wehrmachcie".

4) Przypisuj wszystko, co najgorsze, krajom ościennym, lżyj je, wyśmiewaj, wypominaj wszystkie historyczne i wszystkie wymyślone winy, przypisuj im wyłącznie złe intencje i zaborcze zamiary i równocześnie domagaj się od nich permanentnych przeprosin. Nieustannie podkreślając karłość i nikczemność sąsiadów, miej równocześnie do nich nieustanne pretensje, iż nie dość naszą wielkość podziwiają i za mało hołdów jej składają.

Każdy jednak gest pojednawczy z ich strony traktuj jako nieszczery, a tych w kraju, którzy taki gest przyjmują i wzajemnie wykonują, miej za zdrajców i łajdaków. Co taka postawa da? Jak to co? Wzmocnienie w Europie. Szalone wprost wzmocnienie naszej pozycji w Europie.

5) Pamiętaj, że prawdziwy Europejczyk tym się różni od fałszywego, albo tylko nieprawdziwego, że zna odpowiedź na każde pytanie. Prawdziwy Europejczyk to jest człowiek nieźle zorientowany – wie mianowicie wszystko. Musisz przeto wiedzieć, co czyją jest robotą, a zwłaszcza musisz wiedzieć, że nic nie jest przypadkowe. Wszystko jest sterowane itd. Nawet jak nie jesteś jeszcze całkiem wdrożony, wiesz, o co chodzi. O teorie spiskowe? Tak jest. Nie tyle teorie, ile prawdy. Musisz pamiętać, że niektóre są fałszywe. Wiadomi szydercy twierdzą, że istnieją na przykład spiskowe teorie chemii czy geometrii – to kłamstwo. Ale już

spiskowa teoria geografii ma podstawy bardzo mocne. Trzeba uważać. Generalna dyrektywa jest oczywista: we wszystkim widząc spisek, domagaj się zarazem niezbitych dowodów, że nie jest to spisek, i z góry wiedz, iż jakkolwiek niezbite dowody niespiskowości otrzymasz, tym dobitniej świadczyć one będą o głębokości spisku i perfekcyjności spiskowców.

Przykład niedawnej katastrofy nasuwa się tu sam. Otóż niepodobna nie pomyśleć, że jakkolwiek pewne, niezbite i jakkolwiek niepodważalne przyczyny tej katastrofy zostaną ustalone i ogłoszone, Europejczycy, których mam na myśli, jedną perfekcję będą w tych dowodach podziwiać – perfekcję mianowicie wykonania tych dowodów przez KGB, a może nawet NKWD – to zależy, na jakim kto jest etapie, powiedzmy, ewolucyjno-historiozoficznym. Swoją drogą, nikt nie ma takiej nabożności dla służb specjalnych jak aspirujący do bycia ich ofiarami.

6) Unieważniaj wszelką wolność. Ekonomiczną, obywatelską, osobistą – wszelką. Głoś wyzysk, złodziejstwo i wyprzedaż, ma się rozumieć, za bezcen. Głoś zabory, okupację i podział. Ponieważ nie masz pojęcia, jak wyglądały zabory, twierdź, że to, co jest obecnie, to są zabory. Przebiegle skrywając swoje tęsknoty, emanuj je brawuro: ponieważ zwierzęco tęsknisz za PRL-em, głoś, że PRL trwa nadal, ergo utrzymuj, że dalej trwa okupacja. W końcu argument, że PRL (z jego szkołami, uniwersytetami, teatrami i wydawnictwami) był inną (w znaczeniu: pod wieloma względami gorszą) postacią okupacji, to jest jeden z twoich królewskich argumentów.

Jeśli da się powiedzieć o twoim kraju, że jest wolny i podzielony, kładź akcent na „podzielony”. Kładź ten akcent w taki sposób, by

było jasne: podzielony na złych i dobrych, prawych i nieprawych, świętych i łotrów. Kwestionuj każdą wolność, strzeż tej zasady jak oka w głowie. Wolność, czyli stan, w którym coś zależy od ciebie, jest największym dopustem, jaki może ci się zdarzyć. Jedno, na czym ci naprawdę zależy, to znalezienie winnych, którzy doprowadzili cię do takiego – jak przystało wolności – opłakanego stanu.

7) Miej absolutną pewność, że kraj twój władany przez obce i ciemne siły, niewolony przez zaborców i okupantów, okradany przez szalbierzy i złodziei, oszukiwany przez – zwłaszcza medialnych – oszustów, zdradzany przez zdrajców, postkomunizowany przez postkomunistów, okupowany przez Moskwę, Brukselę i „Gazetę Wyborczą", opleciony szczelną pajęczyną obecnych i byłych agentów etc., etc. – jest zarazem krajem wybranym przez Pana Boga, niezliczonymi – nie tak niezliczonymi, jak byli ubecy, ale licznymi – łaskami przezeń obsypanym; krajem, którego specjalną opiekunką i Królową jest – nie tak wpływowa jak królujący u nas Mosad, ale wpływowa – Matka Boska; krajem, o którego dobro wszyscy święci, aniołowie i inni niebiescy funkcjonariusze dzień w dzień z powodzeniem (i to jakim!) dbają. Ciekawą i prawdziwie twórczą problematyką teologiczną, która z tego połączenia wynika, nie turbuj się wcale – gdyby cię kto do muru nadto zaczął przypierać, zawsze możesz dać mu po ryju.

17 maja 2010

Debata na UW. Rafał Dutkiewicz, Joschka Fischer, Aleksander Hall; prowadzący Krzysztof Michalski i Marcin Król. Nie przybył – zatrzymany sprawami wagi państwowej – Aleksander Kwaśniewski. Temat: „Europa ojczyzn", czyli nieco z serii: Europa jako taka, a jak nie taka, to jaka i dlaczego. W najmniejszej mierze nie ironizuję – w końcu to, że mówiąc o Europie, można mówić o wszystkim, nie jest ani głównym problemem Europy, ani jej pierwszą wadą. Może nawet jest przywilejem. Skwapliwie z tej dowolności korzystam i czytam „Siedem przykazań prawdziwego Europejczyka".

Może trochę imprezę ubarwiam, może trochę ją rozsadzam. Jednak jestem z innej – nie politycznej, a literackiej – parafii. Nie jest to złe oczywiście. To z kolei, że może zbyt konsekwentnie się tej parafii trzymam – jest nieuniknione. Na udawanie, a zwłaszcza na naukę innych ról ani chęci, ani czasu. Wzmagając udręczającą autoanalizę, dodać jeszcze muszę, że najwyraźniej na starość ze specjalnym bezwstydem wyłazi ze mnie natura lutersko-kujońska i w gruncie rzeczy nigdzie (o telewizji nie mówię – to jest co innego) publicznie nie jestem w stanie wystąpić nieprzygotowany. Ma to wady swoich zalet – w pewnych sytuacjach należy umieć mówić z głowy.

Niemo podziwiałem Joschkę Fischera, co mówię – podziwiałem! Zawidziłem mu zawistnie, gdy stanął za katedrą i z głowy odjebał

perfekcyjną angielszczyzną bez akcentu półgodzinny spicz na wskroś europejski. Bez akcentu! Niemiec bez akcentu! Wmyślcie się w tę frazę! Przecież „Niemiec bez akcentu” to jest klasyczne wyrażenie oksymoroniczne! Chyba że jest się Albrechtem Lemppem albo Karlem Dedeciusem – mnie chodzi jednak o normalnych Niemców.

Tak czy tak, ludzie na poziomie potrafią – jakkolwiek to brzmi – ciągnąć z głowy. Ja nawet, a może zwłaszcza, w obecności takich wirtuozów wyjmuję moimi roztrzęsionymi łapami plik wymiętych kartek z chlebaka i zaczynam dukać.

Uskarżam się obłudnie? Krygуję faryzejsko? Wręcz przeciwnie: tryumfuję z prostotą. Uwielbiam – powiem szczerze – gromki śmiech i burzliwe oklaski. Ktoś tego nie uwielbia? Pan Bóg ma różnych stołowników.

Potem piechotą do domu przez półmgliste i ćwierćdeszczowe miasto. Kiedyś, oczadziały warszawskimi początkami, robiłem takie tury codziennie, teraz małe pętle wokół Hożej – regularne za to. „Bez pośpiechu, ale i bez odpoczynku” – na pozycje autora tej maksymy, Aleksego Aleksandrowicza Karenina, przechodzimy nie do końca, ale do stronnictwa jej prawdziwego twórcy – Lwa Nikołajewicza Tołstoja, zdajemy się zmierzać bezpowrotnie.

19 maja 2010

Sezon Tołstoja? Jeśli ma być sezon, niechaj będzie długi. Klasycy zawsze dawali pewność pogrążenia się w lekturze – teraz od autora *Zmartwychwstania* nie mogę się oderwać. Jakże boska, tylko geniuszowi dana, nienawiść do świata! Jakież wyczucie absurdalnych rytuałów na powierzchni planety! Zawsze się słyszało: Tołstoj obiektywny, Dostojewski ciemny. No gdzie tam! Dostojewski jasny, bo swych najbardziej nawet zbrodniczych bohaterów kocha jak nie wiem co! Ten z Jasnej Polany prawdziwie mroczny i bezlitosny. Wszystkie swe postaci – nawet nieszczęsną Masłową, nawet arcypozytywnego (choć tu muszę się upewnić) Lewina – ma za idiotów. Ale jakże te prezentacje pustoty są przeprowadzone!

22 maja 2010

Ciągle słyszę, że teraz Polska będzie inna. Zmieni się. Pod każdym względem się zmieni; wszystko się zmieni, polityka będzie inna, kultura będzie inna, wybory będą inne, obyczaje inne, ludzie inni i tak do inności nieskończonej. Albo do nieskończoności innej. Pięknie, ale po pierwsze monotonnie, po drugie fikcyjnie.

„Inna Polska" to jest nic nowego, to jest nasza stała dziejowa, to jest nasz sen odwieczny, nasza równie wiekuista jak wyniszczająca fatamorgana. Marzenie o innej Polsce, kiedyś piękne, obróciło się we frazes i karykaturę tak dojmującą, że i swe początkowe piękno w parodię obróciło.

A jakaż miała, na ten przykład, być Polska w zaraniu swych dziejów, po przyjęciu mianowicie chrztu przez Mieszka I? No inna, całkiem inna. Już wtedy miała być inna. I była inna, z tym że nie do końca. Potem weźmy na kolejny dowód Polskę dzielnicową, tu już nie ma co grymasić, była ona inna, inna w sensie ścisłym. Do tego stopnia inna, że wszyscy rychło i silnie jęli marzyć o innej.

Po bitwie pod Grunwaldem, której cudowną rocznicę właśnie obchodzimy, jaka miała być Polska, jak nie inna? I była inna, tyle że inaczej, niż się zdawało, że będzie inna. Po Wiktorii Wiedeńskiej jakaż inność miała się szerzyć tryumfalna. I szerzyła się, z tym że klęskowa. Przed zaborami Polska miała być inna – nie byłoby zaborów; ponieważ była inna – były. Po zaborach miało

być inaczej, ale było różnie. Po objęciu władzy przez Marszałka, a zwłaszcza po jego pogrzebie, kraj miał być inny. We wrześniu miało być inaczej, a po wojnie całkiem co innego.

Po wyborze polskiego Papieża Polska faktycznie zaczęła się zmieniać najpierw tu i ówdzie i od czasu do czasu, a w 1989 całkowicie. Prędko jednak się pokazało, że ta zmieniona Polska jest zasadniczo taka sama i potrzebuje zmian. Po śmierci Papieża było prawie pewne: Polska będzie inna. Generalnie znowu nici. Co najwyżej w samą rocznicę. Jeden dzień w roku? Mimo wszystko biednie.

Teraz z wiadomej przyczyny Polska ma być naprawdę inna, inna już na sicher. Wiadomość jest absolutnie pewna. Chętnie wierzę, tym bardziej że są przesłanki. Teraz zanosi się nie tylko na prawdziwą, ale i rozległą inność! Teraz wygląda, że nie tylko raz do roku, 2 kwietnia, ale i każdego dziesiątego dnia miesiąca Polska będzie inna! Przynajmniej na Krakowskim Przedmieściu! To już nie jest byle co! Jak dołożyć rocznicę urodzin i śmierci Pana Jezusa plus, dajmy na to, 15 sierpnia i 11 listopada, wychodzą rocznie równe dwa tygodnie innej Polski. Pozostaje trzysta pięćdziesiąt dni do obsadzenia i będziemy wreszcie całkowicie innym krajem. Też – ma się rozumieć – normalnym. Całkowicie normalnym.

26 maja 2010

Od pewnego czasu dręczy mnie pytanie: czy frustrat może być szczęśliwy? Od razu wyjaśniam, że nie ma w tej kwestii żadnej – zwłaszcza doraźnej – kąśliwości, żadnej jadowitej aluzyjności, a już szczególnie żadnego ironicznego poczucia wyższości. Ostatni przypadek wcale i w najmniejszym stopniu. Wręcz przeciwnie. Lubię frustratów. Może za dużo powiedziane, ale gdybym miał, dajmy na to, do wyboru spędzić parę godzin z frustratem lub szczęśliwcem, to – ma się rozumieć – wybrawszy w pierwszym odruchu samobójstwo, w drugim wybrałbym frustrata. Czyli nie tyle lubię, ile wolę. „Wolę frustrację / jest bliżej krwiobiegu" – że sparafrazuję zapomniany wierszyk Stanisława Grochowiaka.

Sam za frustrata się nie uważam, ale mam się za pesymistę. Stanowczo nie tylko wolę, ale w sensie ścisłym lubię pesymistów, zachwyca mnie pesymizm, kręcą czarne myśli – siłą rzeczy jestem więc trochę frustratem, w każdym pesymiście musi być przynajmniej odrobina frustrata.

Frustrat z kolei musi być chyba pesymistą całą gębą? Możliwy jest frustrat niepesymista? Istnieje frustrat optymista? Czy frustrat może być szczęśliwy? A jeśli tak, to kiedy? Ma uniesienia na modłę masochistyczną? Jak ma takie uniesienia, ergo spełnienia, przestaje być frustratem – niespełnienie jest wszak jego zasadą i jego konstytucją. Permanentne niespełnienie jest tak nieodzowne, że ono szczęście daje? Raczej jest warunkiem

istnienia – niespełnienie jest dla frustrata jak powietrze, jak coś się spełnia – gość zaczyna się dusić.

Kiedy przeto jest szczęśliwy? W masie? W tłumie innych frustratów? A skąd! Frustrat w masie jemu podobnych czuje się, owszem, pobudzony, i to nieźle pobudzony, ale szczęśliwy nie jest, głównie zżera go niepokój, że inni frustraci przebiją go swą frustracją. Frustraci trzymają się razem, ale wyniszczająco rywalizują na swe frustracje. Frustracja jest jak depresja: każdy ma najgłębszą.

Tak czy tak, frustraci są ciekawi, warci zadawania pytań i czujnej obserwacji. Kto brawurowo i przekonująco napisze monolog frustrata naszych czasów, trafi w dziesiątkę, a prawdopodobnie nawet w setkę, może zostać wyniesion, kto wie, jak wysoko.

Rzecz trudna. By jej sprostać, trzeba być autentycznym frustratem i posiadać wybitny talent literacki: koniunkcja z definicji niemożliwa i wyłącznie na wyjątkach – na przypadkach rzadkich i wyłącznie najwyższych – oparta. Frustrat przeważnie jest frustratem, bo nie ma talentu, a i to jest wbrew pozorom pół biedy. Od czystej niemocy smutniejsze są tylko dolne rejony stanów średnich. Od frustracją podszytej i frustracją napędzanej rasowej grafomanii smutniejsze są tylko bezbarwne i językowo nieporadne protokoły użalań, miernych i nudnych jak flaki z olejem.

Tu tylko gigantycznie odjechani tytani się sprawdzają, a i to nie od razu. Słowem jak bierzesz się za monolog albo tylko autobiografię prawdziwego frustrata naszych czasów, jeśli bierzesz się za jakieś dzisiejsze notatki, może nawet nie

z podziemia, a choćby tylko z, dajmy na to, Krakowskiego Przedmieścia, jeśli do takiego projektu się przymierzasz, a nie nazywasz się ani Fiodor Michałowicz Dostojewski, ani nawet Franz Kafka, zachowuj wzmożoną ostrożność. Bóg ci już wybaczył.

27 maja 2010

„Frustracja – stan psychiczny jednostki pozbawionej możliwości zaspokojenia (chwilowo lub na stałe) jakiejś potrzeby organizmu, uzyskania należnej satysfakcji".

Z trzech powodów przepisuję definicję ze „starego" słownika Doroszewskiego. Po pierwsze obcuję z tym dziełem nawykowo, nałogowo i permanentnie. Po drugie sędziwy ten i przez dziesięć lat (od 1958 do 1968) za reżymu wydawany złoto-zielony – o obwolutach zapomnijmy – dziesięciotomowiec jest nadal i długo jeszcze będzie matką wszystkich XX-wiecznych i wszystkich późniejszych słowników polszczyzny; jest jej najpełniejszym zasobem; jest skarbcem – już w połowie wieku rzadko używanych, a teraz wobec przytłoczenia techniczno-cywilizacyjnego prawie całkiem przypadłych – rarytasów. Jeśli jakiegoś słowa u Doroszewskiego nie znajdziecie, odpuśćcie szukanie gdzie indziej. Po trzecie w tym właśnie nieco archaicznym zapisie widać niezbyt groźne, niemal beztroskie początki dolegliwości, która potem jęła się obracać w chorobę, epidemię, plagę.

W kanonie Doroszewskiego w odpowiednim tomie (II, D–G) „frustracji" w ogóle nie ma, słowo to odnotowane jest dopiero w wydanym w 1969 „Suplemencie" (który zresztą prawie w całości jest rodzajem słownika wyrazów obcych, a więc nowych, ledwo, ledwo w język tamtego czasu wchodzących).

Wmyślcie się, bo jest w co: Gomułka rządził w najlepsze, a „frustracji" nie było. (Słowo to narodziło się w 68? Wtedy za pośrednictwem bojowej publicystyki się rozpleniło? „Frustraci polityczni" wtedy się narodzili? Raczej „bankruci"? Nie mam pod ręką dzieł Michała Głowińskiego, by sprawdzić). Tak czy tak, wcześniej „frustracji" nie było. Ludzie się spełniali? Jeszcze się spełniali? Z przedwojennego rozpędu? Czy jak? Wielkie i powszechne, coraz większe i coraz powszechniejsze niespełnienie dopiero się zbliżało?

Dziś zwielokrotnione i rozprzestrzenione, ma wymiar zarazy. Dziś już nie jest jakąś „chwilową lub stałą potrzebą organizmu", ale ruchem społecznym; dziś to słowo jest nie tylko w każdym słowniku, ale w większości tekstów, książek, rozmów, dziś frustracja jest wszędzie. Niby logicznie się zgadza – prawdziwe niespełnienie daje tylko wolność, nie ma na kogo zwalać. Dokładniej – tylko wolność pozwala wymyślać takie przeszkody, takie bariery, takich przeciwników, że frustracja rozwija się jak złoto i furczą jej sztandary. Tylko w stanie wolności frustraci mają idealne warunki do rozwoju. Czy są oni w tej cieplarni szczęśliwi? Chyba nie, nie mają oni przecież tej wolności za wolność, ale za niewolenie. Znów nie są szczęśliwi? Nie. Jak im pomóc tedy? Tak a tak. Nie! Tak, tylko tak. Tylko zapuszkowany frustrat jest szczęśliwy. Tylko wtedy świat układa się po jego myśli, tylko wtedy spełnione są jego potrzeby. Niestety wszystkich potrzeb nasza demokracja nie zaspokoi, tym mniej, że niedawna powódź całkowicie zmieniła priorytety.

27 maja 2010

W dzisiejszej „Rzeczpospolitej” wywiad z chorwacką pisarką Vedraną Rudan. Wydanych po polsku jej książek nie czytałem. Jeśli mnie pamięć nie myli, podczas kartkowania w księgarni zraziły mnie wulgaryzmy. Czy popełniłem błąd, sprawdzę podczas lektury (próby lektury) właśnie wydanych *Murzynów we Florencji*. Pesymizm wywiadu w „Rzepie” schopenhauerowskiego wymiaru może nie ma, ale jest niezły. Rudan twierdzi, że rodzina jest fabryką zła, że lepiej się nie narodzić, że w Europie idealnym miejscem dla starych ludzi są cmentarze, że niewolniczy (cień frustracji?) system rządzi całą bez mała ludzkością etc., etc... Pytana zaś, jak radzi sobie z całym tym złem, odpowiada: „Zbliżam się do śmierci i to mnie odpręża”.

1 czerwca 2010

We wczorajszej „Rzeczpospolitej” Zdzisław Krasnodębski, wyliczając rozmaite odmiany „Polski, której nie chce”, kończy swą litanię następująco: „Wreszcie nie chcę Polski, której prezydent dla przyjemności zabijał zwierzęta, nawet jeśli ma pięcioro dzieci”. Czy Krasnodębski serio uważa, że prezydent Polski, zamiast startować do zwierząt, powinien od czasu do czasu dla przyjemności rozwalić z dubeltówki jakieś dziecko – wykluczyć się nie da. Prawdopodobnie zaszła jednak okoliczność jeszcze krwawsza: autor postanowił być dowcipny.

5 czerwca 2010

Jeśli się nie da ustalić, czy pies jest wyznania ewangelicko-augsburskiego, trzeba szukać miotu na ziemi cieszyńskiej – szanse są większe niż gdzie indziej. To chyba jasne. Ostatni pies mojej matki z pochodzenia nie był naszej wiary, ale kilkanaście lat pod luterskim dachem zrobiło swoje. Może zresztą i był, przynajmniej trochę musiał być, pochodził w końcu z Ochab, a to są dalej nasze rewiry.

Przywiózł go stamtąd świętej pamięci Kaziu Rulczyński, katolik twardy, ale człowiek przeporządny. To on swego czasu wyjął zza pazuchy szczeniaka, który miał wszystkie papiery z wyjątkiem kościelnego. Był? Nie był? Nawet jak na początku nie był, to na koniec – całą swą fatalnie zwichrowaną pseudowilczurowatą mordą – był.

Odchodził ze świata jako istota swego protestantyzmu w pełni świadoma; jako zwierzę przez reformację, wszelkie jej konsekwencje i wszelkie jej obrzędy w pełni ukształtowane; jako stworzenie wszelkimi luterskimi zasadami i zabobonami do cna ogłuszone, ogłupiałe i zdemolowane. Odchodził, ponieważ wybiła jego godzina, przyszły choroby, niedowłady, paraliże – nawet doktor Blimke nie był w stanie jej (bo to suka była) pomóc, a jak Zbyszek Blimke zwierzaka z choroby nie wyciągnie, wniosek jest jeden: bydlęciu – bez względu na wyznanie – pora na tamten świat. Co też się stało.

Przyszła rozsądna ewangelicka żałoba i niespieszne, ale też nie ospałe, rozglądanie za jakimś nowym psiskiem. Z ziemi cieszyńskiej rzecz jasna pochodzącym. Zdawało się, że pójdzie jak po maśle, rychło nadszedł meldunek, że tam a tam, bardzo niedaleko, trzy małe owczarki są na zbyciu – ideał! Wszystkie nasze psy na Parteczniku miały pewien rys owczarkowaty; w najbardziej dramatycznych pod względem estetycznym przypadkach ten rys był znikomy, ale był. Sprawa w każdym razie załatwiona. Załatwiona? Niby tak, niby jednak nie. Coś się wlecze, ślimaczy, rozłazi. Pies niby klepnięty, a klepnąć w zadek wciąż nie ma kogo. Marysia Bujok pośredniczy! Też nic! A jak Marysia pośredniczy i nic, to znaczy ogólnie: słabo. Marysia nawet mojej matce jest w stanie pewne rzeczy – na dodatek trudne – wytłumaczyć, a tego przez trzy ćwierci stulecia nikt nigdy nie był w stanie. Ani świętej pamięci dziadkowie, ani świętej pamięci stary, ani świętej pamięci ja.

Sukces Marysi też oczywiście nie jest pełny, matka niektórych spraw nie przyjmie nawet w jej przekładzie, ale – uwaga! – w niemym podziwie dla czystego chrześcijaństwa tamtej udaje, że przyjmuje! Skuteczniej się nie da!

A tu proszę! Osoba o takiej sile perswazji, o takim darze przekonywania psa sprowadzić nie jest w stanie! I to psa na sprzedaż wystawionego! Tak jest! Gość psa sprzedać nie chce! Komu innemu – tak! Nam – nie! Co jest grane?

– Wytłumaczenie – powiada matka – jest tylko jedno. Właściciel najwyraźniej katolik zażarty, nienawidzi cię za to, co wypisujesz, i psa za karę nie sprzeda!

Ma się rozumieć, łakomy jestem na męczeństwo, każde męczeństwo najwyższą chwałą dla artysty, nawet małe, ale mimo euforii zachowuję resztki przytomności i mówię, nie bez aforystycznego zacięcia: – By kogoś nienawidzić za to, co pisze, trzeba go czytać, a czytelnictwo w naszych stronach nieco kuleje ostatnimi czasy...

– Marysia sprawdzi – puentuje matka.

Marysia nazajutrz faktycznie sprawdza i wraca z dobrymi wieściami.

– Nie czyta! – radośnie krzyczy już od progu. – Nic nie czyta! – tryumfalne wypieki pojawiają się na Marysinych policzkach. – Niczego nie czyta i w ogóle nie ma pojęcia, że piszesz!

– Czemu w takim razie psa nie chce sprzedać?

– No nie wiem.

Spojrzeliśmy z matką po sobie. Sprawa była jasna: katolik nie tylko czyta, ale i kłamie, że nie czyta. Klasyczna rzymska obłuda.

Następnego dnia matula pojechała do schroniska w Cieszynie i przywiozła braci Maksymiliana i Maurycego (białego Maksia i czarnego Maura). Ponieważ w schronisku takich rubryk nie ma, nie wiadomo, czy są protestantami. Ale wiadomo, że nimi będą.

5 czerwca 2010

W wywiadzie ogłoszonym w dzisiejszych „Wysokich Obcasach” Joanna Bator nie ukrywa, że jest wielką pisarką. W zasadzie popieram tę taktykę, ma ona w tym wypadku silne uzasadnienie. W literaturze nie tyle się pojawiła, ile mocno już uplasowała autorka z własnym językiem, frazą, znajomością świata, głową na karku i licznymi historiami do opowiedzenia.

Język jest, rzecz jasna, kluczowy, choć w polskiej nierzeczywistości literackiej wciąż pokutuje pogląd, że można być pisarzem bez języka. Cały tabun piszących bezbarwnym, gazetowym narzeczem – branym przez nich mylnie za przezroczysty realizm – uważa się za, ma się rozumieć, skrzywdzonych głosicieli prawdy; upominanie się o język uchodzi za ekstrawaganckie pięknoduchostwo – tymczasem idzie o elementaria. Wyjście z analfabetyzmu nie jest równoznaczne – choć niby pisać się umie – z wejściem w arkana sztuki literackiej. Tołstoj, owszem, sporo miał do powiedzenia, ale bez języka niczego by nie powiedział. Mam na myśli – dodaję na wszelki wypadek – nie język rosyjski, ale język Tołstoja.

Joanna Bator ma swój wielce intensywny, pełen obrazów, rytmu i zarazem ironicznego dystansu język, też świadomość tego języka i w ogóle (kolejna rzadkość) dojrzałą świadomość literacką – o rozmaitych sekretach swego warsztatu ciekawie, choć nie bez elementu nadmiernego samozadowolenia mówi. OK. Gdy jednak

pada w wywiadzie (jak się okazuje, nieco nieostrożnie zatytułowanym *Odyska*) pytanie o narracyjne walory ostatniej powieści, na które pisarka swobodnie odpowiada: „To rzeczywiście książka o sile słowa. Nie byłoby Odysa bez Homera” – ogarnia mnie pewien popłoch. Przy całym uznaniu uważam, że na porównywanie się z Homerem jest jednak za wcześnie. Rok, dwa bym mimo wszystko poczekał.

11 czerwca 2010

Rafał Stec w „Wyborczej” dobrze napisał: „Kto z trudem znosi medialny jazgot wypełniony nowomową polityków zanudzających nawoływaniem do poważnej debaty o Polsce, temu z nieba spada miesiąc osobny, podarowany przez los. Miesiąc czystego, abstrakcyjnego piękna i czystych, wypranych z ideologii emocji. Miesiąc transmitowanych w najlepszej porze igrzysk, które zawładną prawie całą planetą”.

Prawie całą planetą i częścią Polski. Częściowość jest – jak powszechnie wiadomo – naszą (częściową?) zasadą. O ile wszakże guzik mnie obchodzą tezy, że jesteśmy częściowo wolni albo częściowo suwerenni, częściowo europejscy, częściowo nowocześni i częściowo postnowocześni; o ile głęboko mi wisi, czy jesteśmy częściowo europejscy, częściowo azjatyccy, częściowo antysemiccy, całościowo katoliccy i częściowo pogańscy, a może na odwrót; o ile kompletnie jest bez znaczenia, że częściowo jesteśmy demokratyczni, częściowo postkolonialni, częściowo słowiańscy, częściowo w awangardzie, częściowo w odwrocie, częściowo najlepiej się rozwijający i częściowo niedorozwinięci – o tyle fakt, że „częściowo” interesujemy się piłką nożną, jest znakiem, symbolem, a może przyczyną wszelkiej naszej częściowości i innych nieszczęść.

Weźmy Włochy, weźmy Hiszpanię, Portugalię, weźmy Brazylię, Argentynę, w ogóle całą Amerykę Południową – wybieram

przykłady drużyn, które lubię, cenię i podziwiam – czy tam istnieją jacyś osobnicy, którzy się nie ciekawią piłką? A jak istnieją, to czy przyznają się do takiej ignorancji i takiej zawinionej ułomności? Skąd! W tych – skądinąd tak jak podobno Polska – całościowo katolickich, ale częściowo od Polski obfitszych w bogactwa kulturalne cywilizacjach każda wielodzietna rodzina i każdy singiel interesuje się futbolem. Każdy polityk i każdy kloszard, intelektualiści i złodzieje, księża i babki klozetowe, profesorowie i bezecnice, dzieci i starcy – wszyscy żyją piłką nożną. Kształtuje to i wyrabia patriotyzm, uczy czci dla masowo na czas ważnych meczów przywdziewanych barw narodowych, przypomina słowa i nuty ważnych dla wspólnoty pieśni, przy bliższym wejrzeniu ćwiczy w dzielności, twardości, przebiegłości i wreszcie – jak zauważył grający swego czasu na bramce Albert Camus – moralności. Też bezwzględności, anarchii, bandytyzmu? Bandyci są wszędzie, nawet – nie uwierzycie – w polityce.

U nas dalej publiczne przyznawanie się do braku ciekawości dla piłki nie tylko uchodzi płazem, ale uchodzi za znak intelektualnej wyższości, u nas premier grający w piłkę nożną uchodzi za lekkoducha i musi się – rzecz na skalę planetarną niepojęta! – z swym upodobaniem skrywać, ani grać, ani nawet na mecze chodzić nie śmie! U nas – przykład specjalnie krwawy – reżyser teatralny publicznie, na poważnym forum potrafi się domagać, by pieniądze przeznaczone na budowę Stadionu Narodowego dać na teatry!, i nie tylko nikt mu wpierdolu nie spuści, ale oklaski ów duch wysoki (chyba karli) zbiera! Wmyślcie się w ten kazus, jest w nim wymowny kolejny znak bałwańskiwa polskiego! Reżyser! Facet zajmujący się tworzeniem rozmaitych widowisk! Miast na

wieść, że stadion, a więc też arena, też scena wielka powstaje, miast pomyśleć: Ja na tej scenie kiedyś spektakl taki wyreżyseruję, że do historii powszechnej wielkich widowisk on przejdzie!, miast o czynach artystycznych marzyć, żebraczą łapę – jak przystało miernocie, która wie, że nic mu się ważnego nie zdarzy, a żyć jakoś trzeba – po nie swoją kasę wyciąga.

Jak można zajmować się teatrem czy w ogóle sztuką, nie rozumiejąc elementarnych – choćby ekonomicznych – mechanizmów świata? Widocznie jakoś można. Nie tylko się zajmować, ale i do pierwszych szeregów przebijać. Artysta człek wybrany, nie musi nic wiedzieć, mowa jego święta. Artysta artystą, miernota miernotą – przykład ten dobitnie pokazuje, jak analfabetyzm piłkarski do ogólnego znikczemnienia wiedzie.

Tak jest. Dopóki częściowo piłką interesować się będziemy – będzie, jak jest. Analfabeci przy mikrofonach, lekcje patriotyzmu na cmentarzach, potrzeba bycia razem po katastrofach.

Inna rzecz: wychowawcze jakieś walory piłki wymieniam z obrzydzeniem, siłą bezwładu i najwyraźniej wzmożonym oblężeniem narodowym z lekka odmóżdżony. Idzie przecież o sprawy zupełnie bezinteresowne – tylko one odróżniają nas od zwierząt, tylko one – śmiech, płacz, muzyka, piłka nożna – decydują o naszym człowieczeństwie. Ma się rozumieć, mundial jest jednym wielkim interesem; ma się rozumieć, mecz jest metaforą bitwy, ale kto nie zna uczucia, jakie ogarnia jestestwo ludzkie, gdy piłka siądzie na podbiciu i po chwili zatrzepocze w siatce obok rozpaczliwie interweniującego bramkarza, ten może i jest człowiekiem. Ale częściowym. Ani świata, ani drugiego człowieka w pełni nie zrozumie nigdy.

12 czerwca 2010

Mnie ten miesiąc nie spada z nieba – przychodzi po wyczekiwaniach. Ostrożnych, powściągliwych, pełnych niewiary, czy stać mnie na dawne entuzjazmy – jak się wczoraj zaczęło, a zwłaszcza gdy dziś zobaczyłem Diego Maradonę, jak za piłkami na aut wybitymi niczym brodaty, eksplodujący emocjami krasnal w garniturze gania i graczom je podaje – Boże mój!, jaka ekstaza, jaka rozkosz, jakie zanurzenie w nurtach krystalicznych!

Ileż to razy wspominałem dawne mundiale i zawsze mi się zdawało, że nigdy już tak nie będzie! A tym razem z jakichś niejasnych, a może jasnych powodów jest tak intensywnie, jak nigdy nie było. Jest wyraziściej niż w londyńskim turnieju w 1966, który znam na pamięć. Jest narkotyczniej niż w 1962, gdy chilijski mundial był jak realizm magiczny, tym magiczniejszy, że w finale w Santiago grali mieszkający z drugiej strony Czantorii Czesi. Jest egzotyczniej niż w Meksyku w 1970, gdy transmisje szło oglądać wyłącznie na szczęśliwie dostępnej w Wiśle TV Ostrawa. Jest mityczniej niż w 1954, kiedy – ma się rozumieć, parę lat później – usłyszałem opowieść ojca o Hidegkutim, Bozsiku i Puskásie. Dlaczego teraz jest tak wspaniale? Bo żyję. Więcej nawet: mam rozległy i masywny atak życia.

13 czerwca 2010

Z oczywistych powodów jest mniej tryumfalnie niż w 1974 czy 1982. Ale jest spokojnie. Jaka równowaga ducha – nie ma Polski. Jaka to jest ulga, że odpadli wcześniej! Jaka to jest frajda, że nie czeka człowieka kolejne nie-wyjście z grupy! Przegrana w eliminacjach znacznie mniej szkodliwa dla zdrowia niż nie-wyjście z grupy. Gdyby byli w RPA, tak czy tak trzy mecze musieliby zagrać, trzeci wprawdzie o nic, ale też wyniszczający. Może i stąd te jasności promieniste? Mundial się zaczął nie po odpadnięciu naszych, ale tak jak powinien – od meczu otwarcia?

17 czerwca 2010

W rozmowie telefonicznej profesor Marian S. ze śmiertelną powagą i – co u niego specjalnie rzadkie – z gotowością do wysłuchania odpowiedzi pyta: – Czy ty, Pilchu, istotnie jesteś w stanie obejrzeć jakiś mecz od początku do końca? Naprawdę to robisz? Wytrzymujesz?

Gdy wyjaśniam, że od bez mała tygodnia oglądam po trzy piłkarskie mecze dziennie, że oglądam je w całości i z wystudiowaną profesjonalną uwagą, też z jakimś osobliwym dławiąco-sentymentalnym skupieniem, z rodzajem dziecięcej żarłoczności, jakbym, nie wiedzieć czemu, ten akurat mundial chciał co do minuty zapamiętać; gdy dodaję, że oglądam też skróty spotkań i śledzę komentarze – Marian S. pochrząkuje z dezaprobatą. Znam ten odgłos – jest on rytualną reakcją na tekst niezrozumiały, a tekst, którego profesor nie rozumie, jest z definicji bełkotem.

Żadnego dowcipu i żadnej ironii tu nie sadzę, wręcz przeciwnie, żywię pod tym względem do Mariana bezgraniczne zaufanie; jak macie jakiś tego rodzaju kłopot – z jakimś na przykład hermetycznym lirykiem współczesnym nie wiecie, co począć – zgłoście się na Uniwersytet Jagielloński i odszukajcie tam mojego starego przyjaciela. On albo wam sekret tekstu precyzyjnie wyłoży, albo pochrząkiwać zacznie.

Gdy zatem całe moje zaangażowanie w turniej mundialowy jąłem opiewać, wpierw w słuchawce rozległo się znamienne pochrząkiwanie, potem zaś Marian S. z uprzejmością – niech będzie – profesora starej daty był łaskaw całkowicie ewakuować swe władze poznawcze i pogadaliśmy jak zwykle. Jak zwykle, to znaczy ja gadałem, a jemu, chwilami dość zręcznie, udawało się pozorować słuchanie; owszem, gdy miał kaprys, głos również zabierał.

18 czerwca 2010

Były oczywiście mecze, były nawet mundiale, które w całości i Marian wytrzymywał, które od początku do końca oglądaliśmy razem, na przykład pamiętny, częściowo zwycięski (piąte miejsce), częściowo klęskowy – tamta ekipa mogła wygrać złoto i gdyby zawody odbywały się w Europie, wygrałaby na pewno – mundial argentyński 1978.

Ach, uchwycić, odtworzyć, ergo w sumie porządnie, dokładnie i brawurowo wymyślić tamten rok; rok chorobliwych upałów i konającej gierkowszczyzny, rok uprowadzenia Aldo Moro, drukowania pierwszych porywów w opustoszałym po przegnanej Nowej Fali „Studencie", w ogóle tamtą redakcję: Rynek Główny 25, piąte piętro, tamten widok na – przypominające ławicę obitych papą tratw – dachy Krakowa odtworzyć i napisać. Zrekonstruować i od zera wykombinować rok pierwszego dziecka z próbówki, wakacji u Basi Malkowskiej w Ustce, jazdy na te wakacje jakimś sunącym przez osiadłą na dnie nocy esencję czarnego jak sadza żaru, rok wyboru polskiego Papieża, rok zbiorowego samobójstwa w Gujanie, rok dekoltu przygodnej współpasażerski autobusu linii pospiesznej C (wysiadła pod Politechniką, więcej jej nie ujrzysz), rok wręczonego Iwaszkiewiczowi przez gwarecką brać munduru górniczego, rok zapachu jaśminu na progu starej chałupy (Maria Czyżowa siedzi „na przodku"), rok pierwszego Polaka w kosmosie...

Rok i sezon zupełnego jakiegoś zatracenia, też przed telewizorem, na którego ekranie Deyna nie strzela Argentyńczykom karnego. Klęczałem – pamiętam – przed ekranem. Moja wina. Pan Bóg natychmiast ukarał za lekkomyślne małpowanie katolickich rytuałów. Ale dlaczego całą Polskę? Więcej pokory, synu. Dziejowe nagrody, a nawet Boże – w sensie ścisłym – dary już wiszą w powietrzu.

Wracając na ziemię, dokładniej na murawę, od tamtego mundialu (góra od następnego) jąłem unikać łączenia życia towarzyskiego z piłką. Sami rozumiecie. Sami rozumiecie, jakie to jest upokorzenie: wieczorem oglądać mecz, a jaki był wynik, dowiadywać się rankiem. Dla człowieka kochającego futbol rzecz nie do zniesienia – świat się może wymykać z rąk, piłka nie śmie. Nie tylko bramkarzowi.

19 czerwca 2010

Naprawdę dajesz radę, Pilchu? Otóż nie. W każdym razie nie całkiem. Po pełnym tygodniu, po obejrzeniu dwudziestu meczów, trochę zacząłem trzeszczeć. Rzecz niedopuszczalna – jak się ogląda mundial, trzeba oglądać wszystko. Tylko frajerzy oglądają wybrane mecze, tylko oni wiedzą, które wybrać. Dziecinada czysta – na mundialu nie ma meczów mniej ważnych. Ileż to razy, gdy byłem młody i naiwny, opuszczałem jakieś spotkania na oko bezbarwne i na rozum bez znaczenia i zawsze się okazywało, że na tych trzeciorzędnych sparingach działy się rzeczy wstrząsające i niepoczytalne: jakieś monstrualne wyniki, jakieś niebywałe ekscesy, jakieś krwawe porażki stuprocentowych faworytów, jacyś kuwejccy szejkowie na płycie.

Jeszcze więksi frajerzy zaczynają oglądać od jednej ósmej, najwięksi od ćwierćfinałów; kto zaczyna oglądać od półfinałów, bardzo jest podejrzany, a kto ogląda tylko finał, ten – przywołajmy klasyka – „paskudnym jest gwałtownikiem, strasznym rabuśnikiem, największym łajdakiem".

Przymierzyłem się do wszystkiego, nie dałem rady, łeb mi od nieustannego jazgotu zaczął pękać. Każdemu meczowi, nawet – he, he – trzeciorzędnemu ta sama akustyka towarzyszy. Jest tak, jakby każde zawody odbywały się w jakimś upiornym kokonie nad- a może poddźwięków, wewnątrz kosmicznego roju tropikalnych pszczół. Jest tak, jakby niemilknące afrykańskie

stadiony miały nigdy nie zamilknąć, jakby miały huczeć jeszcze całe lata. Wuwuzele. Mundial jazgotliwych trąb nie do wytrzymania.

20 czerwca 2010

Dopilnować, by na skutek dygotu rąk nie postawić krzyżyka w niefortunnym miejscu. Skoncentrować się. Nie bać się komisji. Ostentacyjnie, choć po cichu, w widoczny jednak sposób ruszając ustami – czytać listę kandydatów, przy wiadomych wybuchać szyderczym śmiechem. Wejść za kotarę i siedzieć tam skrajnie długo. Powiedzieć dzień dobry. Do widzenia – też, choć to mniej ważne. Zabrać kosztowne i przeznaczone na specjalne okazje pióro kulkowe. Uważać, żeby nie wpadło do urny. Ubrać się. Przed wyjściem uporządkować w głowie kolejność powyższych czynności – na razie panuje w nich chaos.

21 czerwca 2010

Pamiętny po Chrystusie rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty i ósmy był też rokiem zabrania Mariana S. na prawdziwy, a nawet arcyprawdziwy mecz, na mianowicie derby Cracovia – Wisła. Młody wówczas uczony sprawnie usiadł na trybunie i zaczął czytać książkę. Łomot, jaki zamierzali nam sprawić oburzeni takim zachowaniem i wyprani z intelektualizmu kibice Wisły, nadciągał nieubłaganie. Rysami twarzy dawałem do zrozumienia, że nie znam tego świra, który wprawdzie doczepił się do mnie, ale w sumie jest niegroźny. W przerwie zaczęło padać. Marian opuścił stadion i ruszył w kierunku najbliższego drzewa, stanął tam i przez całą drugą połowę czytał książkę. Nie mówię, że przypowieść ta tłumaczy fundamentalną wątpliwość, czy naprawdę można „wytrzymać cały mecz" – coś jednak tłumaczy.

26 czerwca 2010

Wojny religijnej moim współbraciom nigdy wprost nie doradzałem, ale ogródkami jak najbardziej. Męczeństwa im nie życząc, nie mogłem nie odnotowywać straszliwej wprost naszej innowierczej ochoty i nadziei na męczeństwo – nie mogłem, albowiem nie wymagało to wielkiej przenikliwości. Kiedy w rozmowach z rozmaitymi dostojnikami ewangelickimi formułowałem równie mało odkrywczy, jak nieodparty aforyzm, iż mianowicie najdoskonalszą i najpełniejszą postacią tożsamości wyznaniowej jest bój z innymi wyznaniami, śmiano się z zachwytu dla przekory. Mam opinię przekornego jajcarza – na wszelki wypadek dobrze się śmiać z tego, co mówię. Tym większe moje pomieszanie, że – jak przystało błaznowi – przeważnie mówię z ponurą i ciężką powagą.

Było się nie śmiać, było rozwijać proporce. Do siebie też, a może zwłaszcza, mam pretensje: było mówić i pisać wprost, nie ogródkami, było nie certolić się z (prawdziwie humorystycznym) luterskim przeczuleniem, było folgować wyobraźni. Było! Było! Było! Teraz wszyscy mądrzy, ja najbardziej!

Teraz wybiła czarna godzina! Najczarniejsza z czarnych! Katolicy za nas naszą robotę zrobili! Może być coś czarniejszego? Nie. Katolicy za nas naszą pracę umysłową wykonali! Katolicy za nas napisali to, co myśmy winni byli napisać! Katolicy wyobrazili sobie to, co myśmy winni byli sobie wyobrazić! Katolicy dali nam

obraz i wizję, którymi odtąd naszą kacerską wyobraźnię będziemy żywić! Katolicy zrobili nam rzecz najgorszą i zarazem najcudniejszą z możliwych: nie zgotowali nam męczeństwa, ale dali wizerunek męczeństwa, przedstawili hipotezę męczeństwa, stworzyli dziejową alternatywę męczeństwa. Katolicy to uczynili, a zwłaszcza jeden: Jarosław mianowicie Marek Rymkiewicz.

Jaki on katolik, taki katolik, ale katolik. Może niewierzący, może nihilista, może mistyk; może jak na rasowego, a już na pewno jak na ortodoksyjnego katolika za zręcznie pisze – nie wiem. Jaki katolik, taki katolik, ale nie luter.

W dzisiejszej „Rzeczpospolitej" fragment najnowszej książki *Samuel Zborowski*, we fragmencie tym wizja niespełnionej polskiej nocy świętego Bartłomieja. Była – twierdzi Rymkiewicz – szansa polskiej rzezi innowierców. Po tym, gdy w lutym 1574 roku kalwin Samuel Zborowski kalwińskim swym czekanem zabił kasztelana przemyskiego Wapowskiego, mogły w Krakowie wybuchnąć religijne zamieszki. Tym bardziej mogły, że dopiero co koronowany Henryk Walezy nie miałby nic przeciwko. Jego pamięć niecałe dwa lata wcześniejszego paryskiego oryginału rzezi podpowiadała mu, że polska, dziksza wersja może być jeszcze bardziej widowiskowa, a on skrajne rozrywki lubił. Jego wiedza o władzy dodawała, że „duża rzeź polskich hugenotów wszelkiego rodzaju – lutrów, kalwinów oraz arian [...] to jest coś, co się opłaca, bo ułatwia rządzenie".

27 czerwca 2010

Wobec rzezi, jaką przed chwilą urządzili na mundialu Niemcy Anglikom, imaginacyjna rzeź polskich innowierców trochę blednie, ale tylko trochę. Przepisuję spory kawałek, bo nie wiadomo, kiedy całość wyjdzie, a „Rzepę" mało ludzi czyta. Przepisuję literalnie, bo są tu strofy, które mniejszości wyznaniowe powinny w swych widmowych księgach literalnie zapisać. W widmowych, bo w realnych się nie da, realne dzieje nie były aż tak barwne. Całkiem szare – prawdę powiedziawszy – były.

Rymkiewicz: „Niech sprowadzą tu Firlejów i Zborowskich, Górków i Radziwiłłów, luterańskich i kalwińskich wojewodów i kasztelanów, niech im utną głowy, niech ich powieszą za nogi, niech ich wypatroszą i niech ich ciała zrzucą z krużganków na czerwony (przesiąknięty krwią) piasek wawelskiego dziedzińca. Niech one tam leżą – pozbawione głów, połamane, wypatroszone, poszarpane na strzępy. Terytorium rzezi, która zaczęłaby się na wawelskich krużgankach i na wawelskim dziedzińcu, z pewnością nie ograniczyłoby się do Wawelu, bowiem w Krakowie było wielu innowierców i wobec tego mielibyśmy też rzeź na Grodzkiej, rzeź w Bramie Floriańskiej, rzeź na Kleparzu i rzeź przed kościołem Najświętszej Panny Maryi.

Innowiercy wrzucani żywcem do studni, patroszeni w mięsnych jatkach na rynku, dzieci i panienki wrzucane do klatek

wawelskich lwów albo zrzucane z wież krakowskich kościołów albo na tychże wieżach zawieszane za nogi – ależ to byłoby widowisko; byłoby to widowisko dziejowe, o którym teraz mówilibyśmy ze zgrozą, z przerażeniem albo z zachwytem; to byłoby takie fenomenalne widowisko, że zasłoniłoby ono wszystkie inne widowiska, wszystkie inne wielkie wydarzenia naszego XVI wieku; nawet Unię Lubelską, nawet Batorego pod Pskowem, nawet wydanie dzieła *De revolutionibus orbium coelestium* w roku 1543, nawet wydanie *Fraszek* Kochanowskiego w roku 1584”.

28 czerwca 2010

Swoją drogą ten JMR ma jakiś dziwny, z lekka prowokacyjny, z lekka sztubacki dar trafiania nie tyle w sedna, ile w różne słabizny; żeby trafić w sedno, trzeba mieć wielką przenikliwość, może nawet – jak to u nas – jakieś wieszcze predyspozycje; gdzie słabizna, wie każde dziecko. JMR z zajadłością basałyka wali w słabizny, szkolarskie bywają jego prowokacje. Może stąd ich rezonans, bo przecież co gość książkę napisze – debata narodowa, co tezę postawi – spory i kłótnie na całą Polskę, co wywiadu udzieli – na czworo każde słowo rozdzielane, dowcip o gryzieniu żubra w dupę rzuci – żart narodowym aforyzmem, a obraz państwową ikoną się staje: wiersz okolicznościowy machnie – na pamięć znają nawet kloszardzi z Hożej. Słowem, co autor bąka puści – burza z piorunami. Nic tylko siedzieć i zazdrościć. I nie ma się co pocieszać, że prosta receptura tu działa: zirytuj wszystkich – trafisz pod strzechy. Owszem, to też, ale nie wyłącznie. Co jeszcze? To mnie na razie mniej ciekawi. Stokroć bardziej mnie ciekawi – imaginacyjna niestety – rzeź protestantów.

Czy recenzenci znów będą Rymkiewiczowi tę rzeź wypominać, tym razem boleśniej, bo przecież niezawodnie się pojawi zarzut powielania (wtórności) rzezi, czy będą jakieś poczciwe obrony świętego spokoju, pochwały kraju bez stosów i inne apologie polskiej tolerancji, i przeciwstawianie takiego stanu rzeczy jakimś

chorym pomysłom, które jakby się stały, drugą, a może i pierwszą Francję by z nas uczyniły, przed czym – akurat pod tym względem, pod względem wyrzynania gardeł – już wtedy Pan Bóg nas obronił... Czy takie głosy będzie nad najnowszą książką Jarosława Marka Rymkiewicza słychać – na razie nie wiadomo. Pewnie będą i takie, i – że powiem coś od siebie – będą też inne[2]. Na razie trudno się domyślać, jaki będzie generalny wywód, tym trudniej, że już w ogłoszonym fragmencie jest dziwny zakręt. Dziwny zakręt wywodu.

---

[2] Nie było prawie żadnych. Zwłaszcza w porównaniu z poprzednimi pracami JMR książka przeszła praktycznie bez echa; los innowierców w Polsce jest doprawdy upiorny – nawet ich imaginacyjna rzeź wszystkim wisi.

29 czerwca 2010

„Czy było nas wtedy stać – pyta Jarosław Marek Rymkiewicz – nas, rzymskich katolików; nas innowierców – na rzeź; na coś takiego, na co było stać Francuzów; czy byliśmy gotowi, ogolone łby, bronić naszej wiary (jakakolwiek ona była) za pomocą szabel; czy byliśmy gotowi bronić naszej polskiej wiary (rzymskokatolickiej; albo wiary kalwińskiej czy luterańskiej, czy ariańskiej, wszystko jedno) i nie dopuścić do tego (do tej żenującej sytuacji), żeby inni, tuż obok nas, w naszym sąsiedztwie, w naszych domach, wierzyli inaczej? Polacy są tolerancyjni i nie robi im różnicy, w ogóle ich to nie obchodzi, jeśli ktoś, tuż obok nich, wierzy w coś innego niż oni, inaczej niż oni? No może tak jest. Ale zastanówcie się, ogolone łby, nad współczesną wersją tego pytania – czy będziecie tolerancyjni, będziecie wyrozumiali i będziecie się łagodnie uśmiechali, kiedy w waszym najbliższym sąsiedztwie, w waszych blokowiskach, między waszymi blokami, obok waszych kościołów albo raczej na miejscu waszych kościołów ktoś inny, wierzący inaczej niż wy (jacyś innowiercy), zacznie stawiać swoje meczety? To wtedy co zrobicie? Macie to przemyślane, jesteście na to przygotowani, ogolone łby? Jesteście gotowi stanąć przed meczetami i zdjąć buty? Dacie sobie z tym radę, poradzicie sobie z waszą tolerancją, z waszą wyrozumiałością, z waszą łagodnością, którą ktoś wam wmówił

(jacyś źli ludzie, którzy was nie lubią – i nie lubią waszych obyczajów, waszej przeszłości, waszych dziejów)?".

Hasa sobie JMR z pozorną kontrowersyjnością – pochwalam hasanie, łatwymi kontrowersjami świat jest obficie porośnięty, niech sobie rosną. Rozumiem, że punktem dojścia jest ostrzeżenie przed meczetem – zalatuje to jakąś łatwizną, ale proszę bardzo.

Sens, podstawowy sens niedoszłej masakry w roku 1574 był jednak, byłby jednak domowy – katolicy rżnęliby nas, innowierców, polscy katolicy rżnęliby nas, polskich innowierców, być może i nam udałoby się w jakiejś desperackiej obronie paru, a może nawet – daj Boże – parunastu katolików zabić, ale to są szczegóły bez znaczenia. Jakieś honorowe bramki (pojedyncze katolickie trupy) nie miałyby wpływu na wynik; generalnie byłaby to bardzo wysoka nasza – polskich innowierców – porażka.

Rzeź, pomimo że jej zasadą jest pewnie dziki chaos i uwolnienie demonów, ma swoją logikę – jedna strona masakruje drugą. Rzeź wymyślona musi mieć żelazną logikę i imaginacyjna historyczna rzeź odmalowana przez autora *Kinderszenen* ma taką logikę: katolicy wyrzynają nas innowierców. Piękny ten obraz da siłę polskim innowiercom, będą go wspominać, będą prawie – z katolicka grzesząc – doń się modlić, będą żałować, że jest to tylko historical fiction, bo gdyby to prawda była, gdyby nasze trupy na krakowskim rynku były prawdziwe, jakąż ogromną trupią wszechmoc dałyby one następnym pokoleniom! Pogrom dałby nie tylko męczeńskie wzmocnienie tożsamości i pamięci, ale być może nastąpiłoby po nim jakieś fizyczne odrodzenie. Zawstydzeni i trawieni wyrzutami sumienia katolicy sprzyjaliby, ustępowali pola, nie sprzeciwialiby się małżeństwom mieszanym –

i w efekcie po stuleciach byłoby wyraziściej; obecności ewangelików w Polsce nie wyczerpywałaby pięciolinijkowa notatka w encyklopedii, że mianowicie nieliczni przedstawiciele gatunku wciąż występują na ziemiach polskich, plus rytualna pierwsza luterska czwórka: Mikołaj Rej, Samuel Bogumił Linde, Jerzy Buzek i Adam Małysz, skład zresztą – jak się wmyślić – bardzo intensywny.

Niestety ofiarowawszy nam – widmowemu stronnictwu innowierczemu – dar tak wspaniały, autor psuje go jakimiś odniesieniami do współczesności. Niby retorycznie, niby serio pyta: Czy my dziś równie gotowi jak tamci wtedy? Słychać tu fałsz, symetryczne, a nawet niesymetryczne powtórzenie tamtej sytuacji wypada kiepsko. Wtedy rzeź, choć mogła wybuchnąć, nie wybuchła – mimo że wyrzynać było kogo – obecnie z braku innowierców w Polsce nie ma komu rzezi sprawić, ergo nie da się jej nawet wyobrazić. Zachęcanie do zarżnięcia i wypatroszenia Małysza i Buzka wypadłoby głupio, tym głupiej że ten drugi był ostatnio na katolickiej pielgrzymce w Piekarach, słowem snucie dzisiejszych analogii idzie jak po grudzie, niezręczności za to idą falą.

30 czerwca 2010

Staje JMR na swojej – jak wyznaje – na starość całkowicie wygolonej głowie i próbuje oddzielić, a raczej próbuje nie mylić innowierczości z niepolskością. Wychodzi to licho, puszczone to jest w całym wywodzie miejsce. Można jeszcze przed wydaniem książki przepracować i pogłębić.

Bo gdybym miał na serio – a nie tylko retorycznie – brać pytanie o gotowość obrony wiary, czyli gdybym ja, Jerzy Pilch, miał odpowiedzieć na pytanie, czy ja, polski luter, jestem gotów do obrony mojej wiary przed tymi, co w moim sąsiedztwie wierzą inaczej, to musiałbym się porządnie zastanowić, przed którymi najpierw.

Polski luter jest w sytuacji, że w jego sąsiedztwie wszyscy od wieków wierzą inaczej. Jest to oczywiście sytuacja tragiczna, tym tragiczniejsza, że w ciągu tego bezmiaru czasu żadne z tych inaczej wierzących plemion, w osaczeniu których żyjemy, żadnej specjalnej krzywdy nam nie wyrządziło. Raz prezydent Lech Wałęsa napisał jakiś list do mniejszości wyznaniowych, w którym użył frazy: „bardzo bracia innowiercy jesteście bliscy nam Polakom". Nie zmyliśmy tej hańby krwią, nawet najbliżej – czyli za ścianą – mieszkającemu katolikowi włos nie spadł z głowy, nie zabiliśmy w odwecie jego katolickiego dziecka ani nawet nie zgwałcili jego katolickiej żony. Polski ludek luterski nie tylko nieliczny, ale i mdły.

Inne represje, jeśli w ogóle bywały, miały wymiar jeszcze bardziej groteskowy, raczej certolono się z nami. Dziesięć lat pracowałem w redakcji katolickiego tygodnika – noszono mnie tam na rękach, podtrzymywano na ciele i duchu. Złośliwi wprawdzie twierdzili i twierdzą, że tygodnik był tak samo katolicki jak ja luterski – na wszelki wypadek zostawmy to na boku.

1 lipca 2010

Jesteśmy przeto – choć prawie nas nie ma – gotowi do obrony naszej polskiej wiary luterskiej przed tymi, co w naszym pobliżu wierzą inaczej, jesteśmy gotowi kota im pogonić, ale jaki to ma być kot? Katolicki? Islamski? Pogański? Arabski? Żydowski? Afrykański? Aż taka wielokulturowość, aż taki pluralizm wyznaniowy cechuje wolną Polskę? W żłoby dano? Co począć? Kogo wpierw wziąć na celownik? Może na początek na przykład z baptystami – dla rozprostowania kości – porządek zrobić? Jest ich całkiem sporo. Jaka polsko-polska wojna ma być pierwsza? Polskie lutry kontra polscy muzułmanie na polskim blokowisku? Trochę artystycznie wydumane i przestylizowane, ale może być.

2 lipca 2010

Jan Kott w jakimś swoim autobiograficznym, a raczej autofantastycznym eseju wspomina, jak to pod koniec lat pięćdziesiątych wstąpił do paryskiego bistra, zamówił kieliszek calvadosu i po chwili rozpoczął rozmowę z siedzącym tuż obok mężczyzną o przenikliwym spojrzeniu i wyważonych ruchach. Wychylili po kolejce, przy następnej przedstawili się sobie: – Jan Kott. – Miło mi, Albert Camus.

Rozmawialiśmy – wspomina Kott – o Algierze, piłce nożnej i egzystencjalizmie. Ma się rozumieć! O czym innym można rozmawiać z przygodnie spotkanym Camusem? Przynajmniej, a może zwłaszcza, tematy urojonej pogawędki powinien (skądinąd znany przecież ze skłonności do blagi) Kott wymyślić staranniej. Za niestarannością fikcji idzie schematyzm i śmieszność. „Spotkałem na ulicy Sołżenicyna i zaczęliśmy rozmawiać o łagrach". Niby nie może być inaczej, a gołym okiem widać, że może być wszystko, tylko nie to.

3 lipca 2010

O czym rozmawiałem z Elżbietą Czyżewską, nie pamiętam prawie wcale, na pewno nie rozmawialiśmy ani o Algierze, ani o piłce nożnej, jeśli o egzystencjalizmie, to w ekscentrycznym wymiarze. Zupełna niejasność, tym niejaśniejsza, że nawet teraz, czytając nekrologi i wspomnienia, nie od razu uświadomiłem sobie: przecież swego czasu poznałem nieboszczkę! Nie w paryskim bistrze, nie tak bajecznym zbiegiem okoliczności jak Kott Camusa, ale wystarczająco fantasmagorycznie.

Przeszło dwadzieścia lat temu wyczołgałem się wreszcie z pierwszego kręgu niewyraźności. Dziesięć opowiadań przepisanych na Wantułowej, pamiętającej wojenny, a pewnie i przedwojenny Londyn maszynie Everest nie tylko przekraczało magiczną objętość stu stron, wręcz do stu czterdziestu, a może nawet do stu czterdziestu siedmiu dochodziło. Narkotyczne wyrażenie „pierwsza książka" stawało się ciałem, wyrażenie „pierwsza książka w Pulsie" dławiło swą materialnością.

Wszyscy moi wtedy bliscy przyjaciele byli związani z Pulsem, drukowali w periodyku „Puls", wydawali w wydawnictwie Puls. Zbyszek Mentzel był filarem Pulsu i jego wysokiemu zdaniu o moich pierwocinach, jego wpływom, zwłaszcza zaś wpływowi na kierującego Pulsem Janka Chodakowskiego zawdzięczałem, że otwierała się droga do „wydania pierwszej książki w Pulsie", ergo

droga do Londynu, bo to przecież emigracyjne, londyńskie wydawnictwo było.

Droga do Londynu nie tyle się otwierała, ile trzeba było ją pokonywać sprytem i odwagą. Nawet tak niegroźne, znacznie bardziej bezinteresownie poetyckie niż wymownie antykomunistyczne prozy jak moje trzeba było szmuglować. Jedną z najwybitniejszych przemytniczek materiałów wolnościowych w tamtych czasach była Agnieszka Osiecka; z paru krakowskich, nagłosowych imprez znaliśmy się – jak to z imprez – z jednej strony bardzo powierzchownie, z drugiej dosyć dobrze. W sumie wystarczająco, by przekazanie przerzutowego materiału mogło się odbyć bez siatki konspiracyjnych pośredników.

4 lipca 2010

Pewnego tedy zimowego dnia roku Pańskiego 1987 z lekkością autora dźwigającego w podróżnej torbie pierwszy maszynopis wyskoczyłem z krakowskiego pociągu na warszawski peron, Osiecka w fantastycznym ciemnoniebieskim (kobaltowym?) płaszczu czekała na tym peronie.

W zasadzie niewiele więcej. Zamiast rozglądać się wokół, byłem skupiony na przeżywaniu własnej sytuacji, a przeżywałem ją z całą egzaltacją poważnie opóźnionego w rozwoju trzydziestopięciolatka. Wpadniemy tu i ówdzie? Proszę bardzo. Zajrzymy do Europejskiego? Proszę bardzo. Zjemy obiad? Proszę bardzo. Czyżewska akurat przyleciała z Ameryki! Proszę bardzo. Zabierzemy ją? Proszę bardzo.

Defensywność i uległość moją wzmacniał fakt, iż podróże do Warszawy w tamtych czasach były makabrą makabr, były matką wszystkich makabr, jeździło się tylko w najwyższych koniecznościach, jadąc w tamtą stronę, marzyło się o powrocie, dojechawszy, liczyło się godziny do wyjazdu. Zawsze z duszą na ramieniu przemierzało się to wrogie, wilcze miasto, w którym zawsze wiały azjatyckie wiatry i zawsze padały gubernialne deszcze. Wtedy był luty, warszawski luty, rzecz wiadoma, to się i dziś nie zmieniło: koło zera i woda do kostek. „Luty w Warszawie" ani nawet „Warszawa w lutym" nie są to komediowe ani nawet miłosne tytuły.

Głównie utkwiło mi w głowie, że Czyżewska miała futro i że tego futra nie zostawiała w obowiązkowych przecież wtedy szatniach. Za wiele zresztą tych szatni nie było, obowiązkowe były w cudzysłowie, szatniarze przeważnie moim przewodniczkom w pas się kłaniali. W Forum, nie mówiąc o – nomen omen – Europejskim, panował już kapitalizm, a nawet wolność – szatnie nie były obowiązkowe.

Przemierzaliśmy miasto od szatni do szatni – tak da się powiedzieć. Czy ja dałem radę powiedzieć Czyżewskiej, że w wieku dwunastu lat po wielokrotnym obejrzeniu *Giuseppe w Warszawie*, *Żony dla Australijczyka* i *Domu bez okien*, po wycięciu setek jej zdjęć z „Filmu", „Przekroju" i „Panoramy Śląskiej" platonizm przestał mi wystarczać i jąłem szukać bliższego kontaktu? W trybie realnym szło mi jak zwykle kiepsko, ale z wystarczającą wyrazistością uroiłem sobie, że przyjedzie na wczasy do Wisły, i czekałem na nią w sensie ścisłym. Jak tylko się pokaże – kombinowałem – zagadnę ją bez ceregieli, stanowczo zażądam, by rzuciła swego amerykańskiego narzeczonego, łagodząco dodam, by nie przejmowała się niekorzystną dla niej różnicą wieku i ludzkimi językami, tylko po prostu była ze mną. Czekałem na nią napięty jak struna, tym bardziej napięty, że nie narażając na szwank mego uwielbienia, podejrzewałem ją o gwiazdorską rozwiązłość, której zamierzałem stawić czoło. Z całym mianowicie heroizmem brałem pod uwagę odrzucenie jej równie pojednawczej jak niemoralnej propozycji czystego seksu bez konsekwencji. Wóz albo przewóz!

Czy po latach podzieliłem się z realną bohaterką dawnymi majaczeniami na jej temat? Czy parę pomniejszych wyznań

uczyniłem? Raczej nie, atmosfera owszem, z każdą kolejną szatnią się rozluźniała, zwłaszcza – powiedziałbym – moja atmosfera się rozluźniała. Maszynopis oddany – należy się nagroda, ale chyba do stopnia charakterystycznej dla mnie wylewnej bezceremonialności nie doszedłem. Coś mi mówiło, jakiś quasi-dżentelmeński, a może całkiem opaczny instynkt mi mówił, że wspominanie starych dziejów, nawet jak to były ekstatyczno-fantazyjne dzieje, może być w tym wypadku nieostrożne. Rok 1964 to była w roku 1987 czeluść taka jak rok 1987 dziś. Przy paniach niezręcznie.

Odholowały mnie na dworzec, wsadziły do pociągu, nie jest wykluczone, że tego wieczora pierwszy raz nie tyle chciałem w Warszawie zostać (do takich szaleństw na razie daleko), ile być może pierwszy raz wyjeżdżałem z Warszawy bez ulgi, a nawet z jakąś nutą żalu.

Obie nie żyją. Niedawno żyły. W 1964, a nawet w 1987 obie żyły co się zowie, wędrowaliśmy przez miasto, może nawet rozmawialiśmy o egzystencjalizmie, jedna z lewej, druga z prawej strony trzymała mnie pod rękę, widmo jednej w płowym futrze, widmo drugiej w kobaltowym płaszczu.

5 lipca 2010

Zapisać mijający dzień można najprędzej wieczorem, lepiej nazajutrz, pełniej po paru tygodniach, najdoskonalej – w pełnym splendorze zmyślenia i prawdy – po latach. Piszę przedpołudniami i stawiam bieżące daty niczym skrupulatny urzędnik. Pora zamieszać. Nie ustępuję ze stanowiska sekretarza własnego umysłu. Przeciwnie – trwam na nim desperacko i spazmatycznie; tym bardziej desperacko i tym bardziej spazmatycznie, im bardziej chaos naciera. Jaki dzień dzisiaj mamy? Niewinne roztargnienie może znaczyć: krawędź czeluści niedaleko. Jeszcze nie pod stopami, jeszcze nie za rogiem, może nawet jeszcze nie na horyzoncie, ale pierwsze podmuchy znać. Podobno do pierwszych podmuchów jako tako, potem galopada i z górki. Jak nie wiadomo co dziś, to co wczoraj? Albo mozolna rekonstrukcja, albo studnia jeszcze głębsza. Skończyły się żarty, zaczęły się studnie. Głębokie, lodowate i zatrute. Wczoraj to było czy może przedwczoraj? Chyba wczoraj, bo przecież wczoraj usiłowaliśmy przebić się do Domu Zdrojowego celem oddania głosu. Przebijaliśmy się przez ten sam tłum? My – ludzie tłumu?

11 lipca 2010

Mundial się skończył, a miał trwać wiecznie. Było jak zawsze: młócka rozgrywek grupowych, dramaturgia jednej ósmej, apogeum ćwierćfinałów, melancholia półfinałów, groza i nuda końca. Od złotego tytułu Hiszpanów ważniejsze, że wygrywając z Holandią, pomścili Urugwaj i Brazylię. Za cztery lata turniej tam właśnie, w Brazylii – gospodarze muszą wygrać, obciążenie już dziś takie, że pewnie przegrają. Jak Brazylia wygrywa – nic takiego; jak przegrywa – przegrywa cała piłka nożna, bo przegrywają ci, co w piłkę grają najlepiej. Bez względu na to, kto wygrywa mundial.

Pojechałbym do Rio za cztery lata. Pojechałbym. Gdyby nie to, że najpierw będzie grupowa młócka, potem dramaturgia jednej ósmej etc., etc. – pojechałbym. Gdyby nie to, że potem trzeba wracać – pojechałbym. Pojechalibyśmy. Gdyby nam przyrzekli, że mundial tamtejszy zatrzyma się na wiecznie trwających ćwierćfinałach, pojechalibyśmy. I zostali. Do samego finału.

17 lipca 2010

Tłum. Betonową aleją wzdłuż morza defiluje, chyba pełznie, tłum równie bezwolny jak zdecydowany; równie beztroski jak znękany; częściowo obezwładniony przez żar, częściowo sterroryzowany przez pędzących połową chodnika rowerzystów; nie dają pardonu, niektórzy umyślnie polują na przekraczających linię niezdarów – zabawa na sto dwa. Byłaby większa, gdyby nie kanikuła. Nieruchome lodowate morze stawia czoło upałowi. Tłum jest jak najludniejsza i zarazem pozbawiona celu demonstracja świata, jak apatyczne rzesze kibiców sunących na mecz, który dawno się odbył, jak skrzyżowanie pogrzebu z pochodem pierwszomajowym – połowa uczestników w zetlałych strojach kąpielowych. Ktoś kiedyś dowodził tym wielkim ruchem społecznym, niektórzy powiadają, że przywódcy dalej kroczą na czele, ale ile kilometrów do czoła?

Nagle daleki rozpaczliwy krzyk, nagle poruszenie w na pół śpiącej armii, nagle wielkie zgromadzenie odzyskuje tożsamość i jest tym, czym zdaje mu się, że jest: gromadą przechadzających się wzdłuż Bałtyku letników. Krzyk staje się bliski i wyraźny, przez rozstępujące się kłębowisko przedziera się zrozpaczona kobieta koło czterdziestki. – Filipek! Filipek! – drze się na całe gardło. – Filipek! Gdzie jesteś?! Widzieli państwo Filipka?! Widzieli państwo malucha?! Malucha w kapelusiku! – krzyczy

wniebogłosy i, jak na swoje, lekko licząc 75 kilo (przy zdecydowanie średnim wzroście), pędzi dalej z chyżością gazeli.

Łzy i artykulacja imienia, tyle zostało z człowieczeństwa, reszta jest czysto darwinowska: ciężki i wściekły kłus samicy, która utraciła młode. Przed chwilą wszystko się skończyło, utopione dziecko leży na dnie morza, lodowate prądy znoszą je do Szwecji, uprowadziła je nieuchwytna szajka wyuzdanych pedofilów albo wypranych z uczuć handlarzy narządami. Matka galopuje betonową aleją, ale czuje, że życie się skończyło. Resztki umysłowych doznań nie zawodzą: galop i zwierzęcy ryk, co to za życie? A tylko to – i to na lata – zostało. – Filipek! Filipek! Widzieli państwo Filipka?!

Owszem, widzieliśmy. To znaczy A. widziała. – Widziałam to dziecko – mówi do mnie. Oszalałej sprinterce nie było jak przekazać, przemknęła i nie wiadomo gdzie już doleciała, nawet krzyk przestał dochodzić. – Minęliśmy chłopczyka w kapelusiku, przez sekundę pomyślałam, że coś z nim jest nie tak – mówi A. – Wróćmy się.

Ja, ma się rozumieć, żadnego gnojka w kapelusiku nie widziałem, a nawet jak widziałem, natychmiast wymazałem z pamięci – nie będą mi żadne gnojki w kapelusikach psuć pobytu w Sopocie. Zwłaszcza gnojki zagubione w tłumie, zwłaszcza gnojki, z którymi coś jest nie tak. Ale oczywiście wracamy się, nie ma o czym gadać. Spostrzegawczość A. jest – jak większość jej cech – z lekka tylko nieludzka.

Jakieś pięćset metrów i oczywiście! na krawężniku stoi feralny Filipek. Nie tylko feralny, ale i butny, bo już jacyś koło niego są i chcą jakiś kontakt z nim złapać i pytają, czy się zgubił, a on ani

nie potwierdza, ani nie zaprzecza, wymyka się z rąk jak piskorz, w koło lata i do ryku porównywalnego z rykiem jego matki się szykuje. Niedaleko pada jabłoń od jabłek. Próbujemy i my doń przemówić – dopiero histeria! Tobie się też, gówniarzu, różnica wieku nie podoba? Czy co? – międlę bezgłośne przekleństwo; on gania coraz szybciej, nikt mu już nie daje rady; szykuję się – jak będzie koło mnie przelatywał – do podłożenia mu nogi tak, żeby szczęką o beton strzelił, albo wprost w ryja mu dam. Trzylatkowi nic się nie stanie, waży mało, energia równa się masa razy prędkość, a tu masa nikła; idzie tylko o to, by na chwilę przytomność stracił. Ale pojawia się jakaś wprawna w rozbrajaniu gnojków saperka i nie tylko Filipka uspokaja, ale i na ręce – bez obrzydzenia! – bierze. To jeszcze pół biedy, ale ona i zasługę znalezienia zguby sobie przypisuje! Zgarniaj, babo, co chcesz, myśmy się i tak za daleko w kierunku rzeczywistości wychylili. Odpuszczamy, ale z obejrzenia finału nie rezygnujemy. Trochę to trwa, bo galopująca macierz nie tylko zmysły, ale i macierzyńskie instynkty najwyraźniej postradała i szuka nie tam, gdzie trzeba, może nawet całą linię brzegową Rzeczpospolitej przemierza.
W końcu słychać ciężki tupot, poszukiwaczka kończy maraton, ręce wyciąga, tamta Filipka jej podaje, ta sił już nie ma i z kurczowo uchwyconym dzieckiem w piach się zwala, łzy obsychają, wyraz bydlęcego szczęścia oblicze powleka – wraca człowieczeństwo. Będzie co po wczasach opowiadać – tryumfuje literatura; tłum rusza swoją drogą – pora się wydostać.

20 lipca 2010

William Faulkner w Hollywood do wielkich rzeczy nie doszedł, pisanie scenariuszy westernów czy innych przebojów ekranowych specjalnie mu nie pasowało. W jednym z nielicznych filmów, które mogę oglądać w koło – do końca nie wiem czemu, jakbym wiedział, pewnie bym nie oglądał – mianowicie *Burtonie Finku* braci Cohenów jest postać na hollywoodzkim epizodzie autora *Azylu* oparta; wątek niby boczny, ale dla tonacji całości kluczowy. W ogóle mało jest sytuacji, których by obecność ducha czy litery Williama Faulknera nie wzmacniała. Chyba że ktoś przesadza albo się myli.

21 lipca 2010

Książki Karola Maya oraz filmy *W samo południe*, *Rio Bravo* czy *Dyliżans* to były, są i będą arcydzieła o Dzikim Zachodzie. Nie bardzo widzę konieczność innych. Na myśl, że te inne miałyby też musowo być głębsze, wpadam w popłoch. Walki Apaczów z kowbojami mają swoją tonację, swój gatunek, swoje niebagatelne miejsce w kulturze; mają swoich autorów, swoich scenarzystów i swoich piewców – po co im Faulkner? A zwłaszcza po co im następca Faulknera? (Z drugiej strony pół biedy, że nie Joyce. Gdyby się miało okazać, że rzeczywistość westernów doczekała swego Joyce'a, toby dopiero było! Z dwojga złego Faulkner, nawet drugi Faulkner, strawniejszy).

Jak się o kimś mówi, że jest „następcą Faulknera" albo „kontynuatorem Kafki", albo że – śmierć pewna – „idzie śladami Gombrowicza", gościa się spala i likwiduje. Zbyt osobnymi byli ci geniusze zjawiskami, by jakiekolwiek dążenie ich tropem było czymś innym niż popłuczynami (Schulz – że od ręki odprawię wyimaginowanych i nieopuszczających poziomu oczywistości polemistów – był sobą, a nie żadnym polskim Kafką).

Kiedy więc słyszę – a ostatnio słyszę to często – że Cormac McCarthy to jest spadkobierca Faulknera, raczej się jeżę. Kiedy na dodatek czytam, że jego (Cormaca) właśnie u nas wydany *Krwawy południk* to jest arcydzieło z mocą, głębią i realizmem dające obraz prawdziwego Dzikiego Zachodu – raczej wątpię.

Wątpliwości potęguje samo (umiarkowane) istnienie tego autora – urodzonego w 1933, debiutującego w połowie lat sześćdziesiątych, a do niedawna – przynajmniej u nas – nie tylko w aurze wielkości, ale w ogóle nieistniejącego. Oczywiście przyjemne, a nawet ekscytujące bywa nagłe wyjście z ukrycia wielkiego pisarza, dotychczasowa skrytość i zwłaszcza rzekoma wzgarda dla mediów przydają charyzmy, niezależności i tajemnicy. Niestety, licząc na równie ekscytujące walory dzieł nagle odkrytych, można się przeliczyć. Rozbieg piękny, skok już mniej.

22 lipca 2010

Weźmy wielkie tryumfy Sándora Máraia – rozbieg piękny, bo pośmiertny, a nawet po-samobójczy. Mroczna stąd charyzma najwyższej jakości; w kompletnie nieznanym dotąd dorobku książek zatrzęsienie, na samo oko co druga arcydzieło, co trzecia klasyczna – czytaliście? Naprawdę? No to z ręką na sercu odpowiedzcie: połowa z tych niesłusznie zapomnianych, a teraz po latach na światło dzienne wydobytych utworów to wysokie nudy na pudy? Połowa? Czy tylko dwie trzecie?

Pozwalam sobie na kąśliwość, bo i takich chwytów McCarthy używa. Może on kolegów, mogę ja – pęd owczy. W każdym razie czytałem jakiś wywiad, w którym rozstawiał po kątach Marcela Prousta i Henry'ego Jamesa. Kłopot nie w tym, że chłop czcigodnych klasyków od czci i wiary odsądza, to jest normalne, oczywiście powinno się takie urazy skrywać, ale w końcu każdy jest człowiekiem. Kłopot, że akurat tę parę. James i Proust to są autorzy biegunowi, jeden jest podziemny, drugi powierzchniowy, jeden pisze totalnie, drugi realistycznie, jeden długą, wyszukaną

i dokładną frazą, drugi krócej i – zwłaszcza na tle epoki – przezroczyście. Obaj psycholodzy? – powiedzieć, że różne to są psychologie, to nic nie powiedzieć, etc., etc. Nikt nie wymaga od pisarzy, by znali się na literaturze, ale w ramach elementarnej sprawności umysłowej i nawet całkowicie ekspansywnego subiektywizmu kwestionować można – na Boga! – albo jednego, albo drugiego, ale obu? To jest – nieznacznie tylko wyostrzając – mniej więcej tak, jakby ktoś oświadczył: Nie znoszę Leśmiana i Miłosza. Co zostaje? Mizantrop McCarthy?

W literaturze mizantropia autora nieco mniejsze ma znaczenie od jakości jego książek. Owszem, żyjemy w czasach, gdy media windują, ale sama niechęć do mediów nie gwarantuje wysokiego poziomu literackiego. Przed *Krwawym południkiem* próbowałem czytać *Drogę* czy sfilmowany przez braci Coenów *To nie jest kraj dla starych ludzi* – umiarkowane uniesienia.

Sam *Krwawy południk* – nie da się tego powiedzieć inaczej – proza osobna, ale kontrowersyjnej próby. Z najlepszą wolą próbuję piać, nie bardzo wychodzi, wysiłek do wieku też trzeba dostosowywać – jakbym miał czterdzieści czy nawet pięćdziesiąt lat, piałbym bezgranicznie. To nie jest proza dla starych ludzi. Gość pisze obrazami – jeśli jest w tym jakiś Faulkner, to z *Wściekłości i wrzasku*, czyli najdziwniejszy, najhermetyczniejszy i niepodrabialny. Czyli jest, a jeszcze bardziej go nie ma. Gdyby te wizje nie były tak troskliwie ponure, tak bezdennie makabryczne, gdyby choć raz na kilkadziesiąt stron błysnął jakiś błysk humoru, gdyby się pokazał jakiś cień wyrozumienia dla ludzkiego losu, wymieniłbym święty kontekst Andrieja Płatonowa – narkotyczna wędrówka przez fantasmagoryczną jakąś krainę pozwalałaby tak

niebotycznie Cormaca McCarthy'ego wywindować. Pozwalałaby – tryb przypuszczający nieprzypadkowy. Słowem pisarz równie sprawny i równie jak (parę miesięcy temu na tych kartach omawiany) reżyser Heneke ponury: epizody dobre, całość bez szans.

„Natknął się na wóz z miasta, wyładowany trupami, z małym dzwoneczkiem, który brzęczeniem wytyczał drogę, i latarnią dyndającą u burty. Na koźle siedziało trzech mężczyzn, którzy sami wyglądali jak trupy albo zjawy, bo tak byli pobieleni wapnem, że świecili o zmierzchu. Wóz ciągnęły dwa konie. Potoczył się drogą wśród lekkich wyziewów karbolu, niknąc w oddali. Dzieciak odwrócił się i patrzył. Bose stopy umarłych bujały się sztywno na boki".

Owszem, fraza piękna i nagrody godna, i sam Płatonow by się nie powstydził. Ale dalszy ciąg jazdy? „Jechali, a blask na wschodzie pobłyskiwał smugami bladego światła, potem rozlał się po widnokręgu ciemniejszą barwą, jak krew przesączająca się nagłymi falami, a tam, gdzie na krańcach świata niebo wchłaniało ziemię, słońce ukazało nie wiadomo skąd swój wierzchołek jak żołądź ogromnego czerwonego fallusa i przekroczywszy niewidoczny próg, rozsiadło się za ich plecami – przysadziste, pulsujące, nieprzyjazne".

Nie mówię, że złe. Nie mówię nawet, że ryzykowne. Nie mówię, że fallus słońca, jak już musi być – niech będzie, ale niech się za plecami nie rozsiada. Nic nie mówię. Mówię jedynie, że Płatonow by tak nie napisał. W mojej hierarchii zastrzeżenie tego rodzaju jest najwyższym komplementem, jaki mogę dać żyjącemu autorowi.

24 lipca 2010

Kolejna, coraz mniej różniąca się od poprzednich, wersja odżegnywania się od polityki: nie przepadam za polityką, ale ci, co polityką gardzą, nie są moimi idolami. Jeśli z koniunkcji tej wynika, że nie przepadam za samym sobą – proszę bardzo.

Nie znam się na polityce; wielce się z analfabetyzmem politycznym nie obnoszę, ale też żadne ambicje, by w tej dziedzinie uzupełnić choćby elementarne braki, mnie nie trawią. Żadnych zgubnych marzeń o politycznej edukacji nie mam – piłka nożna i literatura starczają mi aż nadto; nie jestem panem od polityki, jestem panem od opowiadań, powieści i felietonów w przeważającej mierze literackich. Jeśli zdarza mi się jakiś „polityczny" tekst napisać, to jedynie wtedy, gdy materia polityczna przybiera jakiś szczególnie karykaturalny wymiar.

Rozchwiany przeto, niebaczny, wątpiący i w wiecznym kłopocie – Bogu dziękuję, że choć to kluczowe pasmo tożsamości udało mi się wypracować, a zwłaszcza utrzymać. Wygląda, jakbym się zbytecznie, a może nawet asekurancko tłumaczył – a tylko wytyczam własne granice. Przyszedł czas, że własnych granic trzeba pilnować, powtarzać je sobie, bo zaniedbane, mogą wylecieć z głowy. Poetyka zatem – nie polityka, estetyka – nie polityka, w najgorszym razie poetyka i estetyka polityki.

Prawdopodobnie liczba argumentów antypolitycznych jest niebotyczna, tysiące powodów przemawiają za olewaniem polityki.

Jeden z pierwszych jest taki, że wymaga ona oglądania telewizji. Czyli zło podwójne w zaraniu – telewizja ma tylko dwie dobre strony: prognozy pogody i transmisje piłkarskie. Polityka (poza obniżaniem podatków, ale to bywa rzadko) nie ma praktycznie żadnych dobrych stron – wystarczająco, jak na początek, podwójna pustka. No ale polityki bez telewizji nie ma; nawet najwięksi jacyś polityczni eremici, polityczni erudyci, polityczni nobliści, zaszyci w bibliotekach omszali historycy idei, zamknięci w politycznych wieżach z kości słoniowej wybitni teoretycy polityki (nie wspominając o nałogowych politycznych dyskutantach, monologistach czy innych namiętnych uczestnikach wszelkich debat) – nawet oni muszą przed telewizorami, i to nieraz z obu stron ekranu, siadać i siedzieć jak nie całymi dniami, to codziennie. Gazety też muszą pilnie czytać – nic dobrego, ale co robić, takie wstydliwe hobby, taka kłopotliwa pasja, taka robota – po kolana w mule.

25 lipca 2010

Z innej strony: słuchaliście kiedyś na artystycznym kanale dyskusji krytyków artystycznych o sztuce albo literaturze? Tak jest; macie rację: nawet najwulgarniejsza debata polityczna ciekawsza od tych finezyjnych i tak wysokich, że kosmiczną pustką zalatujących mędrkowań.

Ilości politycznych mielizn dorównuje jedynie ilość politycznych komunałów, zresztą nie dziwota: język polityki ma małe zasoby. Pewne frazy, jak przychodzi ich sezon, powtarzają się rozpaczliwie, eksplozywnie rosnąca frekwencja czyni z nich wszechobecne, migające trupim neonowym blaskiem oślepiające, a nieraz nawet odbierające rozum frazesy, co tam frazesy, zaklęcia! Prawdziwie obezwładniające i inne szkody czyniące zaklęcia.

„Inny język" jest obecnie taką szamańską mantrą, taką frazą kluczem, frazą wytrychem, frazą otwierającą i frazą zamykającą.

Można takie rzeczy mówić, ale innym językiem. Powiedziałbym to samo, ale innym językiem. Potrzebny jest inny język. Jakby J.P. (zbieżność inicjałów nie tylko z Józefem Piłsudskim, Janem Pawłem czy Jerzym Putramentem – przypadkowa) mówił to, co mówi, ale innym językiem, byłby do przyjęcia. Kandydat mówił zupełnie innym językiem. Kandydat przestał mówić innym językiem. O katastrofie trzeba mówić innym językiem. Kampania wyborcza operowała innym językiem. Pamiętajmy, że jesteśmy

w sytuacji, która wymaga innego języka. Obrońcy krzyża mówią innym językiem. Wewnątrz partii obowiązuje inny język. Inny język. Jaki? Inny! Inny! Inny!

Co to jest? Choroba nowa jakaś? Zaraza, na którą nie ma szczepionki? Gaworzenie bez umiaru? Podział na treść i formę wrócił? A może w parlamencie przez parlamentarzystów i w niektórych redakcjach przez niektórych redaktorów dopiero teraz został odkryty?

26 lipca 2010

Co specjalnie komiczne, a też co zupełnie zrozumiałe: o innym języku specjalnie perorują, innego języka specjalnie się domagają, inny język specjalnie zaklinają ci, którzy innych języków nie tyle nawet nie znają, ile wręcz nie odróżniają. Idzie, ma się rozumieć, o języki (inne) wewnątrz polszczyzny. Polszczyzna to nie jest jeden język, to jest języków mnóstwo. Dla nich jeden, władają nim kiepsko, winni być oratorami, znawcami retoryki, szkoda gadać – nie odróżniają języka ironicznego od potocznego, szyderczego od żartobliwego, nie słyszeli o języku streszczającym – tendencyjnie lub nie – czyjeś poglądy, nie znają języka przytoczeń i jego życzliwych lub wrogich odcieni, nie zetknęli się ze zjawiskiem aury językowej (słynne „dorzynanie watah" ma przecież – jak można tego nie słyszeć! – ironiczną aurę sienkiewiczowską), nie wiedzą, co riposta, co obrona: cudzysłów czy nawias to są dla nich znaki nieczytelne, nie słyszą tonacji ani wymownie położonego akcentu, jakiś język symboliczny, jakieś specjalne językowe sztuczki, jakieś przydane językowi rekwizyty – to jest dla nich czarna magia. Każdą metaforę, każdą przenośnię, każdy skrót i każdy obraz wezmą dosłownie. Klepią wszystko, wszystko słyszą i wszystko czytają jeden do jednego, jednobarwnie i jednowymiarowo. Ledwo pełznie ich język, ale do wzmożenia języka będą nawoływać niczym poligloci polszczyzny, niczym jej

władcy, niczym jej nie polityczni, lecz może nawet poetyccy suwereni.

Instynkt jakiś mają? Skazani na dożywocie w jednowymiarowej – tak jednowymiarowej, że płaskiej jak mowa-trawa – klatce za wolnością tęsknią? Instynkt samozachowawczy podpowiada, że prędzej czy później gazetowa mowa gęby pozakleja? Wiadomy narząd skołczeje? Z przedśmiertnego strachu o inny język się dopominają? A skąd! Ten rzekomo inny język, którego im w cudzych ustach brakuje, to jest przecież ich trywialne narzecze! Do niego nawołują! Nielicznych, nieco tylko barwniejszych, odstępców piętnują! Ci, co mówią innym niż oni językiem, na inny, czyli w istocie na ich codzienny i jedyny, język przejść winni! Potrzeba innego języka! Jakiego? Naszego! Pięknego! Godnego! Dostojnego! Demokracji nie tylko nie psującego, ale ją wzbogacającego! Parlamentaryzmu nie tylko na łopatki nie rozkładającego, ale go wzmacniającego! J.P., jakby naszym językiem mówił, byłby nawet w pewnych wąskich pasmach do przyjęcia!

Wołanie o inny język jest wezwaniem do zrezygnowania z jakiejkolwiek językowej inności, jest apelem o trwanie w językowej sieczce, o wierne stanie po kolana, po pas i po szyję w językowym mule. Można takie rzeczy mówić, ale innym językiem. Jakim? Naszym. Obowiązującym. Kto innego, ergo nie naszego użyje, kto choć raz jakąś ironiczną, cudzysłowową, metaforyczną frazą się posłuży – temu takie zdanie do ryja na wieki się przyczepi, temu na czole takie znamię zostanie wypalone. Bez ironii, bez przenośni i – wiadoma rzecz – bez cudzysłowu.

27 lipca 2010

Z dziejów zaniku. Zachciało mi się obejrzeć mecz Sparta Praga – Lech Poznań. Transmisja niepewna, nie wiadomo, czy do niej dojdzie, ale w końcu okazuje się, że Polsat Sport transmituje. OK, w hotelowym odbiorniku mam Polsat Sport – chce się żyć. Zstąpienie z wyżyn mundialu – jakkolwiek kontrowersyjne były to wyżyny – chęć życia wzmaga, świat dalej istnieje, niziny egzystencji są przyjemne; ligowy futbol daje smak tej codzienności, która oby trwała jak najdłużej. Spokój, szczęście, prawie euforia.

Dwie, góra trzy godziny przeszły – czarny grom uderzył. W sam środek euforii, w sam środek mózgu. Nagle nabrałem pewności, że transmisja jest nie na Polsacie Sport, ale na Polsacie jako takim. Z jakiego powodu tak czarnej pewności nabrałem – nie mam zielonego pojęcia. Nagle Polsat Sport został bezpowrotnie wytrzebiony, a nawet doszczętnie wyłuszczony z tego organu, co decyduje o człowieczeństwie.

Przykre, ale nie odczuwam przykrości, przestałem o niej wiedzieć. Nie zaznaję braku Polsatu Sport, zaznaję obecności Polsatu Matki i jest OK. Jak najbardziej OK. Polsat Matka również jest w hotelu, w końcu Polsat Matka jest wszędzie. Ale godzina meczu drużyny Bohumila Hrabala (Sparty Praga) z sojuszniczą drużyną Cracovii (Lechem Poznań) wpierw się zbliża, potem wybija, a na wiadomym kanale nawet śladu piłki –

jakiś megahit w najlepsze leci. Element paniki. Do zagorzałego (blisko skrzyżowania patologii z fanatyzmem) kibica Lecha Jurka B. SMS-em depeszuję, co z transmisją, czy w ogóle jest jakaś transmisja, a jak jest, to gdzie? Bo na Polsacie nie ma.

Transmisja jest na Polsacie Sport – odpowiada spokojnie Jurek – właśnie siedzę w knajpie i oglądam. Radosna nowina jest dla mnie hiobową wieścią, bo czarny grom, co uderzył, nie tylko uderzył, ale i znaczne obszary kory spopielił. Słyszę: Polsat Sport, ale żadne ocknięcie, żaden powrót do świata nie następuje, przeciwnie – staczam się w jeszcze głębszą czeluść. Nagle mam absolutną pewność, że spotkania nie obejrzę, bo przecież w hotelu (dla pełni obrazu dodajmy: w sopockim hotelu) Polsatu Sport nie ma. Polsat jako taki jest, jak najbardziej, Polsatu Sport nie ma. W domu jest, w Warszawie jest, w Wiśle jest – tu nie ma. Nagła pewność, że Polsatu Sport nie ma, daleko mocniejsza i wyrazistsza od niedawnego błogostanu, że Polsat Sport jest. Tamten błogostan w sensie ścisłym zapadł się pod ziemię, kawałek głowy, która była nim wypełniona, zamarł zupełnie, a może odkleił się i odpadł jak liść z drzewa. Nie jest tak, że nagle zapomniałem, że mam Polsat Sport. Nagle jest nicość i ciemność – i one, nicość i ciemność, całkowicie pochłonęły i całkowicie zeżarły pamięć, jej mechanizmy i jej przedmioty. Pewność, że w hotelu nie ma Polsatu Sport, jest tak niezbita, tak tragiczna i tak definitywna, że smętny i wyzuty z doznań, nawet nie sprawdzam.

Grom gromem; szukam języka nijakości, nie jest on kataklizmowy, bo nie czuję się apokaliptycznie, czuję się nędznie i nijako – czuję się tak, jakby mi kto z prostotą i bez interwencji niebios czarny, smolisty i nieprzejrzany kubeł na łeb nasadził.

Dalszy ciąg jeszcze bardziej upokarzający. Na Polsacie Sport, który miałem w numerze, trwała transmisja Sparta – Lech, ja w tym czasie (darujcie ekshibicjonizm) oglądałem *Depresję gangstera*, a Jurek B. relacjonował mi przebieg zawodów, które były o jedno naciśnięcie pilota. Przy takim upadku niegdysiejsze moje wyjście z domu w dwu różnych butach było wzlotem.

3 sierpnia 2010

Na atrakcyjnie się zapowiadającą imprezę przenoszenia krzyża spod Pałacu Prezydenckiego do pobliskiego kościoła wybrałem się z niezbyt świetlanymi oczekiwaniami. Głównie, szczerze powiem, liczyłem na przyjemną – daj Panie Boże, może nawet krwawą – naparzaninę braci katolików. Innowierczemu sercu są to rzeczy zawsze miłe. Adam Pilch, którego cienia cała akcja z natury śmierci też jakoś, chcąc nie chcąc, dotykała, wybaczyłby mi niewczesne jaja z kolejnej – mnożącej się drogą pączkowania – wersji pogrzebu. Co tam wybaczył! Uśmiałby się setnie, choć jak to on, dyskretnie i prawie bezgłośnie. Co tu zresztą głupstwa gadać – dotyczy, nie dotyczy. Nawet jak dotyczy – Jego tam nie ma. A jak jest – ucieknie rychło.

Zapowiadało się nieźle. Już po drodze, zaraz za Świętokrzyską minął mnie szaleńczym biegiem odziany w niewspółmierny do upału i fest za luźny garnitur obrońca krzyża. Leciał jak wściekły, raz po raz oglądał się za siebie, jakby pościgu wypatrywał albo jakby dymy nad polem bitwy szacował; potem biegł dalej i krzyczał: – Niech się biją beze mnie! Niech się biją beze mnie, mam gaz i dwa pistolety! Mam gaz i dwa pistolety! Niech się biją beze mnie! – darł się jak opętany i za obszerny (jak się okazuje, nie z przyrodzonej niedbałości, lecz celowo na bojową okazję dobrany) przyodziewek przeszukiwał, chyba faktycznie po rozmaity oręż do specjalnie wszytych kieszeni sięgał...

Po takim początku jakież dalsze ciągi? Nijakie niestety. Postałem w tłumie dwie godziny i czułem się, jakbym stał w centrum nicości. Jeszcze kilka miesięcy temu ze smakiem odnotowałbym choć dwa, trzy dialogi obrońców krzyża z jego przeciwnikami, opisałbym choć parę pojedynków sędziwych matron, znoszących upał z beduińską wytrzymałością, z ich rozchełstanymi pogromcami. (Strażnicy miejscy podawali wodę nacierającej na nich falandze, wyciągały się pokryte wątrobianymi plamami ręce, z tyłu rozlegał się kabotyńsko ostrzegawczy ryk: – Nie brać! Nie brać, bo zatruta! – ręce opadały, z tyłu rechot).

Dziś utrwalanie takich scen zdało mi się daremne, jałowe i przykre. Jeszcze raz ta sama historia? Kolejny satyryczny skecz „Kto jest pełnokrwistym Polakiem?". Owszem, jacyś Polacy, a zwłaszcza arcy-Polacy, byli w tłumie na Krakowskim, choć zgrana to obecność. Katolików sporo, chrześcijan na lekarstwo. Wielu uczonych. Dawni specjaliści od wód geotermalnych przeistoczeni obecnie w ekspertów od katastrof lotniczych – tak jest – liczni. Swoją drogą jak owi scjentyści i jak w ogóle wszyscy zgromadzeni tam bracia i siostry w Jezusie Chrystusie byli tymi, którymi się mienili – niech nikt mi więcej w życiu nie mówi, że Luter się mylił albo że przesadzał! Umiarkowany, a nawet bardzo umiarkowany był to augustianin.

4 sierpnia 2010

Wracałem powoli, na przystanku pod księgarnią Prusa zobaczyłem Janka Turnaua – zgadzało się: ci, co powinni, wsiadali do powrotnych autobusów. Polska istniała, chciałem podejść do Janka, ale jego słynna frasobliwa sylwetka była bardziej niż zwykle zafrasowana, a też z daleka dobrze widziałem i bez ryzyka się domyślałem, że myśli to co ja, a może nawet to co też wsiadający do jakiegoś powrotnego wehikułu cień Adama – i jeden, i drugi, i ja z nimi myśleliśmy zgodnie: bijcie się bez nas.

5 sierpnia 2010

Nakładem Biura Literackiego ukazała się ciekawa książka o Tymoteuszu Karpowiczu – pozwolą państwo, że w związku z tym rytualnie powiem coś o sobie.

Tom zatytułowany *W cztery strony naraz* jest zbiorem wspomnień i rozmów o poecie, jakie z jego przyjaciółmi i znajomymi przeprowadziła Joanna Roszak. W pierwszym wywiadzie, z profesorem Edwardem Balcerzanem, pada pytanie o mój napisany po śmierci Karpowicza felieton, w którym twórczość autora *Odwróconego światła* przyrównałem do swoistego laboratorium językowego.

Odpowiedź Balcerzana jest następująca: „W czasach wielkich tryumfów Adama Małysza Pilch w telewizji oznajmił, że nasz skoczek różni się od zagranicznych zawodników tym, że oni walczą o miejsce na podium, podczas gdy Małyszowi zależy jedynie, by wykonać piękny skok. Była to ewidentna mistyfikacja, której na pewno sam Małysz by nie przyjął. Ja Pilchowi nie ufam. Nie wiem, kiedy kpi, a kiedy o drogę pyta. Zdaje się, on sam już tego nie wie, jest ofiarą współczesnego hiperionizmu, czyli produkowania tekstów w cudzysłowie, za które mówiący nie bierze odpowiedzialności. Zgodnie z zasadą tralala bomba, kto czytał, ten trąba. Wedle mnie laboratorium nie było celem poety".

Wedle mnie też nie było, choć bezcelowe nie było. Tekst swój pamiętam słabo, sprawdzać ani mi w głowie; czytanie własnych

rzeczy, zwłaszcza po latach, to jest trauma, wstyd i wyniszczenie. Nawet dla nieufnego – ale skoro pamięta, co mówiłem bez mała dziesięć lat temu, też wielce oddanego – odbiorcy, nie jestem w stanie tego uczynić. Owszem, być może oddanie Balcerzana jest z lekka chorobliwe, może nawet jest to fascynacja podszyta jakąś odrazą, ale dajcie pokój! – tego, co na początku mijającej dekady mówiłem w telewizji, nie pamięta nawet moja matka.

Ufa, nie ufa – pamięć tak dalekosiężna, tak czuła – prawdopodobnie wierne co do słowa zacytowanie mojej wypowiedzi – zasługuje na pietyzm, a też plasuje profesora w ścisłej wierchuszce moich wielbicieli, a w gruncie rzeczy – myślcie, co chcecie – wielbicielek.

Ewentualności, że Balcerzan zapamiętał, ponieważ palnąłem jakąś piramidalną bzdurę nie do zapomnienia, nie ma. Jeśli powiedziałem to, co profesor pamięta, to powiedziałem prawdę tak starą i tak często w sporcie powtarzaną, że stała się frazesem, komunałem, a nawet banałem. Jaka tam mistyfikacja! Banialuka znana każdemu dziecku! Wiadomo, że na ogół mistrzami zostają ci, którzy grają na radosnym luzie, ci, którzy cieszą się pięknem zawodów, ci, którzy „zdają się zapominać" o wyniku. I na odwrót: tych, co z zaciśniętymi zębami myślą tylko o wygranej, laury – że użyję estetycznego terminu – omijają.

Oczywiście zdarzają się wyjątki, na przykład sławny swego czasu szwedzki tenisista Borg przez ładnych parę lat kosił wszystkie turnieje z ponurym ryjem, na którym nawet jeden mięsień nie drgnął; grał szpetnie, zawsze jednakowo, zawsze atomowe uderzenia z głębi kortu, nie było na to sposobu, facet

miał siłę stada bawołów. Ulubieńcem kibiców nie był, a i Pan Bóg za brak piękna w grze pokarał go podatkami i kłopotami z żoną.

Piękno jest kluczowe, wielkich sportowców obdarza się wprost z dziedziny sztuki wziętymi atrybutami i tytułami; upiorne, ale wymowne określenia: „wirtuoz kortu", „artystka bieżni", a nawet, tak jest: „poeta ringu" – musiały przecież Balcerzanowi obić się o uszy! Nigdy nie słyszał zapewnień graczy, że przede wszystkim chcą zagrać pięknie, dać radość kibicom, stworzyć atrakcyjne widowisko? Chcemy włożyć w grę wszystkie umiejętności, całe serce, a wynik nie jest aż tak ważny? Albo: Jak zagramy tak pięknie jak tydzień temu, zwycięstwo mamy w kieszeni? Obcy to jest jakiś język?

Zapomnij o rywalizacji, zapomnij, że jest to finał olimpijski, skup się na kunszcie! – przecież to jest wskazówka, którą trenerzy dawali zawodnikom już za Arystotelesa!

Jednym z podstawowych składników tryumfów Małysza była radość skakania i piękno skakania. Harmonia lotu, która – jak sam mistrz wspominał – niekiedy zdała mu się harmonią nieskończoną: „Myślałem – wyznał w jednym z wywiadów – że nigdy nie wylądуję". Ten zapał, ta radość, to piękno sprzyjały rywalizacji; oczywiście całkiem jej nie przesłaniały, ale w fundamentalny sposób ją warunkowały. Jak było na odwrót, jak rywalizacja przesłaniała radość sportu, jak Małysz „musiał wygrać", jak zawody sprowadzały się do posępnej walki – skoczek nie tylko przegrywał, ale w ogóle się gubił.

Poza wszystkim akurat w skokach piękno jest obecne w sensie wymiernym! W futbolu za piękno gry – owszem – goli nie doliczają, w skokach punktuje się przecież styl – kategorię

estetyczną w sensie ścisłym. Skoczyć możesz nie najdalej, ale jak skoczysz pięknie, stylowo, możesz wygrać. A jeśli estetykę skoku olejesz, choćbyś skoczył nie wiadomo jak daleko, choćbyś nigdy nie wylądował – przegrasz niezawodnie!

Zupełne truizmy przed laty w telewizorze wygadywałem! Jakże intensywnymi uczuciami trzeba mnie darzyć, by i takie rzeczy mi pamiętać!

Czy usiłowałem te frazesy ratować i pogłębiać jakimś cudzysłowem? Wątpię. Raczej trema mnie żarła i nawet na śladowe finezje nie miałem siły. Kwestia odpowiedzialności za takie marności też zdaje mi się mglista. Akurat mój mało wyszukany komentarz do zawodów narciarskich sprzed wojen perskich jest znakiem epoki? Być może tak ekstatycznie widzi to roznamiętniony Balcerzan, ja natomiast skromnie uważam, że nie każde moje słowo jest obowiązujące. Przynajmniej to, co mówię w telewizji, na razie mocy prawnej nie ma.

7 sierpnia 2010

Metafora „laboratorium językowego” jest równie, a może bardziej jeszcze wyświechtana niż frazes o „pięknie sportu”. Co nie znaczy, że jest fałszywa. Nie wiemy, ku czemu prowadzą prace Mistrza, ale sam jego warsztat, sama jego droga budzi zachwyt. Aż tak nie pasuje to do Karpowicza? Proszę bardzo. Snadź sam nie byłem do końca pewien i jeśli faktycznie takiego obrazu użyłem, musiałem niezawodnie dać jakiś cudzysłów, może napisałem, że dzieło Karpowicza „sprawia wrażenie laboratorium” albo „jest pozorem warsztatu alchemika”. Jakiś dystans, jakieś zastrzeżenie musiałem dać.

Jeśli z kolei stawianie cudzysłowu jest szerszą pretensją i dotyczy innych moich – powiedzmy – wypowiedzi, odpowiadam: lubię cudzysłów. Nie tak perwersyjnie jak kursywę i nie tak zboczeńczo jak średnik, ale lubię. Bardzo, a nawet pasjami. Jako człowiekowi obdarzonemu pewnym – gasnącym, bo gasnącym, ale wciąż jeszcze jakim takim poczuciem humoru – ciężko by mi było bez cudzysłowu się obejść. Zwłaszcza w pisaniu.

Postawienie cudzysłowu nie jest przecież żadnym – na Boga! – wyrzekaniem się odpowiedzialności, ale prostym sygnałem dla czytelnika, by zwrócił uwagę na tonację. Liczne cudzysłowy świadczą o częstym zmienianiu tonacji. Nie zdaje mi się, by była to jakaś przesadnie wyuzdana awangarda; gorsze i mniej odpowiedzialne hermetyzmy w literaturze bywają. Nadmierności

cudzysłowowych ujęć, jak wszelkiej nadmierności, strzec się oczywiście należy – osobiście strzegę się jej w ten sposób, że licznych – circa 47% – cudzysłowów nie zaznaczam. Cudzysłów wreszcie jako symptom „hiperionizmu", a może nawet jako „hiperionizm" sam w sobie? Fuj! Nie chcę wiedzieć, co dokładnie i literalnie znaczy to słowo, na pewno znaczy coś obelżywego.

Oczywiście ci moi czytelnicy, którzy rejestrują cudzysłowowy dystans, a zwłaszcza ci, co widzą cudzysłowy graficznie niewidzialne, są mi najbliżsi – ale i ich sposoby czytania są wyłącznie ich sprawą. Autor za to, w jaki sposób jest czytany, odpowiedzialny nie jest. Nawet gdyby chciał, nie da rady. Ja pisałem tak, wy czytacie owak. Moja dola, wasze prawo. Fertig.

Swego czasu gdy Grecy, grając szpetnie, ale skutecznie zdobyli mistrzostwo Europy, napisałem felieton *Grecja musi być zburzona*. Od wstrząśniętego czytelnika otrzymałem pełen oburzenia list, czy zdaję sobie sprawę, co proponuję, jakie w tym kraju są zabytki, Akropol itd. Nawet jeśli „prowokacyjny", pożal się Boże, tytuł w druku cudzysłowem nie został opatrzony, do nadmiernej odpowiedzialności się nie poczuwałem.

Oczywiście są, bo zawsze byli, jacyś równie buńczuczni, co przypadkowi literaci, którzy w jakiś – przeważnie niestety ordynarny – sposób chcą narzucić sposób czytania, wmontowują w utwór akapity ostentacyjnie bluźniercze, obraźliwe, na święte oburzenie obliczone; piszą nie z kluczem, nawet nie z wytrychem, ale z łomem. Nieciekawe i przeważnie pozaliterackie są to przypadki, nie tylko dlatego, że cudzysłowu nie znają.

Tak czy tak, utwór po ogłoszeniu – w tomie rozmów o Karpowiczu przypomina o tej zasadzie Mirek Spychalski, a i

Balcerzanowi musi być ona znana – jest własnością czytelnika. On czyta ufnie, wrogo, pornograficznie, autobiograficznie, obsesyjnie, politycznie, z miłością, z odrazą, on pisze do autora pełne wdzięczności listy, on pamięta każde jego publicznie wypowiedziane słowo, on go latami nienawidzi, on podaje go do sądu. Czyta, jak chce – autorowi niestety nic do tego.

Na przykład Balcerzanowi – też w końcu praktykowi literackiemu – nic do tego, jak swego czasu czytałem i jak całkiem niezłego zdania byłem o niektórych jego wierszach, a zwłaszcza o wydanej na początku lat siedemdziesiątych powieści *Któż by nas takich pięknych* – pamiętam te lektury znakomicie, ale nie będę się nad ich walorami rozwodził; nie będę do dawnych uniesień wracał. Po cóż miałbym przykrą nieufność, czy kpię, czy o drogę pytam, w profesorze wzniecać?

10 sierpnia 2010

Kończę pięćdziesiąt osiem lat. Kiedyż spoważnieję? Kiedyż będę godzien zaufania? Świętej pamięci ojciec miał sezonowe frazy, którymi zamęczał. Często były to cytaty z Pisma albo z *Doktora Faustusa*, niekiedy przysłowia wzięte z języków obcych, których pilnie się uczył; być może niektóre porzekadła sam wymyślał. Sezony Starego – nie ma co ukrywać – wymagały, jak zresztą praktycznie wszystko, co czynił, pewnej cierpliwości. Delikatnie mówiąc.

Niektóre jednak były fajne. Jeden z najlepszych był wtedy, gdy chodził po domu i maniakalnie powtarzał: „Ktokolwiek nazwie mnie poważnym człowiekiem, natychmiast strzelę go w mordę! Ktokolwiek nazwie mnie poważnym człowiekiem, natychmiast strzelę go w mordę!". Łaził tak, przyglądał się nam czujnie, powtarzał po raz setny – nikt nie reagował. Zazwyczaj nikt nie reagował, tym razem jednak niereagowanie zdało się nam, by tak rzec, prostsze. Ktokolwiek nazwie mnie poważnym człowiekiem, natychmiast strzelę go w mordę! Tyle. Żadnego tralala. Nawet z okazji urodzin. Koniec. Nie tralala, a koniec.

20 sierpnia 2010

Sprawa zaginionej Iwony Wieczorek z różnych powodów nie wychodzi mi z głowy. Pierwszy z brzegu jest taki, że po prostu byliśmy wtedy z A. w Sopocie. Oczywiście w tym czasie miliony ludzi były w Sopocie, ale tak się składa – my też. Mieszkaliśmy, jak tysiące, tuż przy prawdopodobnie ostatnim szlaku zaginionej. Mogę nawet – ryzykując niejaką taniość efektu – powiedzieć, że tegoroczny pobyt w Sopocie, rozpoczęty pod znakiem cudownie odnalezionego Filipka, kończył się pod znakiem przepadłej bez wieści Iwony. Filipek odnalazł się po kilkunastu minutach i bardzo niedaleko miejsca, w którym się stracił – gdzie jest żywa czy martwa Iwona, nie wiadomo do dziś. Jego przygodę zapisałem dokładnie w dniu jej zniknięcia – niejeden w tej zbieżności widziałby palec boski, chyba diabelski.

Już jej nie było, ale o tym, że już jej nie ma, jeszcze mało kto wiedział; może to był poniedziałek 19 lipca, może dzień później lub wcześniej. Wracaliśmy do hotelu, u dołu Monciaka skręciliśmy w Grunwaldzką, mija się tam – jak wiedzą miliony – różne knajpy, salony kosmetyczne i fryzjerskie, za chwilę jest klub Sanatorium, do witryny przyklejona była niewielka kartka – pierwsze, jedno z pierwszych ogłoszeń, że Iwona gdzieś przepadła.

Nawet przez myśl nie przeszło, że jest to początek zaginięcia tak wszystkich intrygującego, tak swoiście – zrozumcie mnie dobrze – kultowego. Ogłoszenie było niepozorne, nie większe od zeszytowej

kartki, chyba tylko skserowana odbitka fotografii i numer telefonu, żadnej jeszcze grozy, a już jakiś dreszcz, coś dalekosiężnego niby; świstek, a niepodobna nie zauważyć.

Dziś dziewiętnastolatki szuka cały Sopot, całe Wybrzeże, a nawet – jak piszą w gazetach – cała Polska. Sławni jasnowidze, sławetni detektywi, policja, przyjaciele, rozmaici ochotnicy. Najnowsza wersja głosi, że żywą lub martwą ktoś uprowadził autem.

21 sierpnia 2010

Wyszedł po papierosy i kamień w wodę – owszem, wszystkie tego typu przypadki zawsze robiły na mnie wrażenie. Ktoś porzucił dotychczasowe życie, co też teraz robi? Kogoś porwano, zabito, tylko najbliżsi mają jeszcze cień nadziei, każdy telefon – szkoda gadać. W jakiej jest krainie, piwnicy, izbie tortur? Stare życie zakończone, nowe rozpoczęte? Czy tylko to pierwsze? Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie, wyszedł i dotąd nie powrócił, lat tyle a tyle. Nagle nowa i najważniejsza z dat: data zaginięcia. Na razie pewniejsza od daty śmierci, którą ktoś już może ma, a może nie. Obok fotografia. Odezwij się, odezwij.

Nigdy niczego takiego – odpukać – ani osobiście, ani nawet z bliska nie zaznałem, na chwilę jednak prawie każdemu ktoś bliski znikał z oczu – wiadomo, jakie ma się wtedy myśli. A jakie ma się myśli, gdy ktoś – jak Iwona – rozpuszcza się w powietrzu? Jak teraz żyć? Na niemożliwym styku nadziei, beznadziei, niby-śmierci i nieziszczalnego cudu powrotu?

22 sierpnia 2010

Śpij spokojnie – diabeł czuwa. Przeszło miesiąc temu śpimy w najlepsze w oddalonym o niecałe pięćdziesiąt metrów od plaży hotelu, wstaje upalny lipcowy dzień, jakieś czterdzieści kroków od naszych głów z nieudanej imprezy wraca młoda kobieta, niesie w ręce niewygodne matczyne ekstraszpilki, jest już widno, za niecałe pół godziny ktoś zrobi jej coś strasznego.

23 sierpnia 2010

Od pewnego czasu mam arystokratyczno-sentymentalny kaprys, by wsiadać do warszawskiego pociągu nie w Wiśle Uzdrowisku, ale w Wiśle Głębcach. Edek P., zaprzyjaźniony szofer, niedaleki krewniak, a przede wszystkim dobry kolega – podrzuca mnie do tej zagubionej na południowych krańcach stacyjki, dalej nie ma torów, są za to rozmaite czeluście, miejsca do startu idealne. Na ogół przez pierwsze dziesięć minut jazdy – czyli do samego Centrum – jestem jedynym pasażerem, czasem ktoś się jeszcze po pustym składzie błąka, ale to rzadkość.

Nawiasem: raz zdarzyła mi się rzadkość wymowna i pouczająca (jeśli już ją opowiadałem, przyjmijmy, że jest to refren). Pociąg stał jeszcze w Głębcach, ja jeszcze na korytarzu, nagle w jego perspektywie pojawił się, a potem ruszył w moim kierunku młody człowiek. Im był bliżej, tym kroczył prędzej, ale i swoiście – jeśli można tak powiedzieć – nabożniej, z bliska widać było, iż oblicze jego naznaczone jest radością nieoczekiwanego rozpoznania. Przyjaznym uśmiechem dawałem mu do zrozumienia, że się nie myli... „Czyżby?" – pytała jego fizys. „Tak, to ja" – odpowiadały moje rysy. W końcu dotarł, w kornej pozie stanął tuż przede mną i niemo przepraszając, że zakłóca spokój, i cały z emocji stremowany i rozdygotany zapytał: – Czy jest pan może konduktorem?

Sprostowałem chłodno. Owszem, miałem na sobie wykwintną granatową kurtkę firmy Tatuum, ale to za mało, by prostować inaczej niż chłodno. Mylący pozór przyodziewku zresztą ograniczony, nie w kurtce był pies pogrzebany, kurtka niczego nie ratowała, ale też – nie histeryzujmy – specjalnie niczego nie trzeba było ratować, w sumie przecież drobiazg. Żadnych w każdym razie studziennych traum, żadnych konsekwencji, status quo zachowane, konduktorem nie jestem, Głębce dalej moje.

Z okien ekspresu cała Wisła przede mną, a nawet pode mną, chwilami jazda przez las gęsty, chwilami przez pola skrzętnie przez moich współbraci uprawiane; z przeciwległego zbocza, z przeciwległej części doliny matka macha mi z balkonu, wiem, że tam jest, ale jej nie widzę, ona mnie też nie widzi, ale widzi pociąg – można powiedzieć, że dożyliśmy na starość jakiej takiej komunikacji.

Wczoraj po bez mała dwu tygodniach spędzonych w Wiśle początek drogi powrotnej jak zwykle przyjemny. Upał owszem daje się we znaki, ale ja akurat dość dobrze znoszę prasłowiańskie tropiki. Nie tylko znoszę, ale wręcz przy słynnej ponadtrzydziestostopniowej apokalipsie, „podczas której starsi ludzie nie powinni wychodzić z domu”, dobrze mi się pracuje. Pot i duchota po paru dniach dają aurę szaleństwa, a każde szaleństwo – nawet z przegrzania – uskrzydla.

W Warszawie przeto równie ściśle, jak ochoczo stosuję się do wskazówek głównego sanitariusza kraju; w Wiśle rzecz jest trochę inna. Dom na Parteczniku na kataklizm skwaru jedyny, przy laptopie można wręcz nie tylko koszulę, ale i lekki sweter włożyć,

a kiedy z zimna drętwieć zaczynasz, skaczesz do ogrodu. Tam upał – jakby Ingmar Bergman powiedział – wali się na ciebie jak ogromna betonowa ściana.

Teraz jednak pociąg, a upał w polskim pociągu, grzanie w polskim pociągu, temperatury w polskim pociągu, przeciągi w polskim pociągu to są sprawy odwieczne i sławne. Mimo obecnych europeizacji, standaryzacji i innych klimatyzacji moje pokolenie tragicznych atawizmów nie pozbędzie się nigdy; weźmie te traumy do grobu – choćbyś przez resztę życia podróżował nie wiadomo jakimi salonkami, nigdy nie zapomnisz tamtego włażenia przez okno i tamtej jazdy osobową rzeźnią. Mówcie, co chcecie, Peerel był intensywny.

Teraz jednak od nadto – jak niektórzy mówią – harmonijnego i nadto bezkrwawego upadku tamtych pociągów (totalitarnego systemu tamtego kolejnictwa) przeszło dwie dekady przeszły i moszczę się w europejskim składzie jak przystało członkowi Unii i członkowi NATO w poczuciu pełnego bezpieczeństwa i zupełnego komfortu.

24 sierpnia 2010

I jest, jak powinno być w Unii, w NATO i w Głębcach: pusto, głucho, pojedynczo. Upalnie, ale to lubimy. Nikt się nie pokazuje w głębi korytarza, żadnych w związku z tym ryzykownych zagajeń nie trzeba się obawiać, żadnych lapsusów nie trzeba będzie prostować, weekendowe gazety naszykowane, woda mineralna – gdyby nie było warsu (kolejny przedwieczny lęk nie do wyrugowania) – w zacienionym miejscu, wszystko OK, a jednak nie bardzo.

Jednak odnotowuję niepokój jakiś wyczuwalny i z minuty na minutę rosnący. I nie jest to odwieczny i bez względu na system obecny, i żadnymi metodami nielikwidowalny lęk, że zaraz dosiądą się jacyś rodzice z trójką dzieci albo (nie rób mi tego, Boże) ktoś znajomy. Na takie strachy nie ma rady, to się zawsze może zdarzyć – to jest inny porządek, to zawsze trzeba brać pod uwagę. Pewnym w takich okolicznościach zabezpieczeniem, ale też nie na sto procent, jest przedział dla palących, najlepiej ostatni, to znaczy z miejscami od 91 do 97. Nawet jak „w składzie obowiązuje bezwzględny zakaz palenia tytoniu", to wymienione miejsca bywają wolne, w każdym razie – powiedzmy ostrożnie – dają pewną szansę. Tym razem jednak idzie o inny niepokój. Jaki?

25 sierpnia 2010

Szydło z worka wyłazi nieubłaganie: obsługa niespokojna. Niby nic się nie dzieje, a najgorszy wariant z możliwych. Wiadomo przecież, jak niepokój obsługi udziela się pasażerom, nasze losy im powierzamy, a jak tu powierzać, kiedy konduktorzy, kierownicy składu, a może i maszyniści latają po wagonach wte i wewte jak koty z pęcherzami? Też długa i pozorna, a nawet bardzo pozorna grzebanina na rozmaitych tablicach rozdzielczych i innych centrach energetycznych następuje. Na moje oko, obserwatora umiarkowanego, ale częstego bywalca tych linii, zarysowuje się element braku prądu w moim wagonie, czyli po pierwsze brak klimatyzacji, po drugie sama końcówka jazdy – po ciemku. Pierwszy brak bez znaczenia, drugi – zwłaszcza jakby jakieś, w zaistniałej sytuacji wysoce prawdopodobne, spóźnienie doszło – wart poważnego namysłu. Zmienić przedział??? Na razie zostawmy tę grozę. Tym bardziej ją zostawmy, że ruszamy punktualnie i jakby z przytupem. Wisła, Ustroń, Goleszów, Skoczów und so weiter. Jazda jak muzyka. W Bielsku dwa pierwsze dysonanse, a w zasadzie – nie ma co ukrywać – klęski. Wprawdzie nie rodzice z trzema pociechami, ale ojciec z pięcioletnim synem – tak czy tak, już naprzeciw mnie siedzą. Wrogo się upewniam, a nawet próbuję ich poniżyć wyniosłą frazą, że jest to, proszę panów, pierwsza klasa. Daremny trud, wszystkie papiery mają w porządku.

Za chwilę kolejny harmider, groźniejszy. Kierownictwo ekspresu dostęp do mojego wagonu ogranicza, za brak – tak jak odgadłem – prądu, a co za tym idzie klimatyzacji, przeprasza, przejście do sąsiedniej pierwszej klasy sugeruje. Sugeruje niby elegancko, ale jakoś nazbyt stanowczo, na granicy natarczywości wygląda ta propozycja: – Proszę bardzo, przesiadamy się, tu nie ma warunków, wskażemy państwu nowe miejsca! Proszę bardzo! Raz-dwa! – I rzecz jasna wszyscy obciążeni ślepym obywatelskim posłuszeństwem reagują karnie, czemadany taszczą, ojciec syna za rękę bierze, wędrówka ludów to nie jest, ale nonsensowne przegrupowanie społeczne – jak najbardziej. Ma się rozumieć, odmawiam. – Odmawia pan? – Pogróżka brzmi słabo, ale brzmi. – Tam panu będzie wygodniej! Tam klimatyzacja i prąd, i wszelkie dobrodziejstwa! – Po pierwsze całe życie podróżowałem bez klimatyzacji, po drugie nie znoszę klimatyzacji, po trzecie uwielbiam puste przedziały! – Ach tak! – Tak, zastanowię się jeszcze, ale tak, czyli nie. Wygrywam. Z korytarza dobiega mnie potem zgryźliwe: – Zastanowi się jeszcze! Zastanowi się jeszcze! – ale są to oddalające się pomruki. Wagon pusty. I z powodu awarii zamknięty. Do Katowic. Bo w Katowicach wsiada doń wataha najwyraźniej zaprzyjaźnionych z kierownictwem gagatków i kontenta podróżuje, ile wlezie. Ancymonom pasuje pierwsza klasa. Na brak klimatyzacji się nie uskarżają, zresztą nie dziwota, powoli nadciąga zmierzch, powietrze stygnie, niedługo Warszawa.

4 września 2010

Siedemnaście lat temu umarła moja babka, matka mojej matki, Maria z Chmielów po pierwszym mężu Chlebkowa, po drugim (moim dziadku) Czyżowa. Do dziewięćdziesiątki wiele jej nie brakowało, ale nie dojechała, schorowana była bardzo. Konała raczej w męczarniach, choć męczarnie rzecz względna, bolało ją bardzo, ale ducha oddawała w domu, we własnym łóżku, pod dobrą, choć w obliczu końca bezradną opieką.

Niejedną linijkę o niej albo o kimś do niej mniej lub bardziej podobnym ułożyłem, zawsze w przeświadczeniu, że jeszcze nie czas, że na razie to są wzmianki i napomknienia, aluzje i przebrania, że na szkicowanie pełnego portretu przyjdzie pora.

Kiedy? Jak to kiedy? Cóż za pytanie! Wiadomo kiedy! Na emeryturze, jak przyjdzie spokój, zdrowie, dystans, doświadczenie, bezmiar czasu, druga, trzecia, siedemnasta młodość i liczne inne rozkosze. Wtedy – planowałem od dawna – zabiorę się do pisania autobiografii w sensie ścisłym, wtedy dam zupełne i żadnymi groteskowymi ujęciami niepokręcone, i żadnymi uproszczeniami nieskarykaturowane żywoty najbliższych. A i o sobie całą, w duchu realizmu ujętą, prawdę na wierzch wydobędę. Całą, niecałą – większość niewątpliwie.

Motto tych intymnych wyznań dawno u księdza Baki wyszukane: „Co moment z pola dzień życia schodzi, / Przecie ma dusza w ekscesach brodzi” – tytuł z tego motta, *Dusza*

w ekscesach, też się nada. W moim jest stylu, z kontrowersyjnego klasyka wzięty, rynkowo niezły – nic, tylko czekać, aż godzina szczerej spowiedzi wybije, mamy czas. Mieliśmy go, póki był.

5 września 2010

Leszek Kołakowski pod koniec życia – nie pamiętam gdzie, może w rozmowach, jakie prowadził z nim i potem w dwu tomach wydał Zbyszek Mentzel, może w innym jakimś tekście, wywiadzie czy w ogóle innych okolicznościach – wyznał, że od dawna przestał czytać dwa rodzaje książek. Przestał mianowicie studiować wywody dowodzące istnienia Boga i wywody istnienie to obalające. I to, i to daremna, a jakież oceany wielosłowia wyzwalająca jałowizna. Pewnie tyle samo co o Bogu autor *Obecności mitu* przeczytał książek o czasie – słowo „nieskończoność" paść tu może swobodnie. I choć ten ogrom również mógłby zostać podobną rezygnacją zbilansowany – podobną tylko, bo fachowe książki napisane przez fizyków warto czytać zawsze – to ostateczna puenta jest równie lakoniczna co nierozstrzygalna.

Zacytowaniu wiadomego fragmentu ze sławnej *Kompletnej i krótkiej metafizyki* nie jestem w stanie się oprzeć: „Na czterech węgłach wspiera się ten dom, w którym, patetycznie mówiąc, duch ludzki mieszka. A te cztery są: Rozum. Bóg. Miłość. Śmierć. Sklepieniem zaś domu jest Czas, rzeczywistość najpospolitsza w świecie i najbardziej tajemnicza. Od urodzenia czas wydaje się nam realnością najzwyklejszą i najbardziej oswojoną. (Coś było i być przestało. Coś było takie, a jest inne. Coś się stało wczoraj albo przed minutą i już nigdy, nigdy nie może wrócić). Jest zatem

czas rzeczywistością najzwyklejszą, ale też najbardziej przerażającą. Cztery byty wspomniane są sposobami naszymi uporania się z tym przerażeniem”.

6 września 2010

Pisanie, a raczej planowanie pisania autobiografii jako „sposób uporania się z tym przerażeniem” wygląda nieźle. Do tego stopnia nieźle, że wręcz uspokajająco: jak już zasoby inwencji czy czego tam całkiem ci się wyczerpią, autobiografia zawsze jest w zapasie. Może fragmentami, może nawet obszernymi partiami wyjdzie „jeszcze raz to samo”, ale ujęcie inne, linearne, pełne i dokumentalne. Jest się czym łudzić. Raczej było. Gdyby nie to, że czas przestał istnieć – czym swój przerażający fenomen wzmógł do całkowitej upiorności, czym egzystencję obnażył, a bieg jej przyspieszył do granic piekielnej galopady – byłoby OK. Ale nie jest. Nawet do dwudziestej rocznicy śmierci babki Marii nie ma co czekać, trzydziesta zresztą za pasem, a właściwie już po niej.

Czas przestał istnieć. Dokładniej: czas teraźniejszy przestał istnieć, a z nim oba pozostałe; przyszłość nadlatuje tak nachalnie, że z miejsca przemija; przeszłość tak monstrualnieje, że jest wykluczone, by kiedykolwiek była niezdarzoną przyszłością czy inną teraźniejszością, co kiedyś trwała. Nie trwała. Nic nie trwało. Zdawało się, że coś jest, a to gnało jak nie wiadomo co. W ludzkim języku na tę przemijalność nie ma głosu.

Kiedy mówię, że siedemnaście lat temu umarła moja babka, to na pozór olbrzymi jakiś szmat czasu wymieniam; siedemnaście lat to jest ho, ho w każdej dziedzinie. Książka, która siedemnaście lat przetrwa, to jest klasyka, film – arcydzieło; człowiek

siedemnastoletni uważa, że ma za sobą jakieś bezmiary. Miałem ściśle tyle, gdy Amerykanie wylądowali na Księżycu, tamto niezwykłe, aż dwumiesięczne lato było monolitem teraźniejszości, wszystko trwało w bezruchu i poza czasem (nawet mitycznym). Niby jakieś dni mijały, ale to były pozory, przeszłość, którą w 1969 miałem za sobą, była absolutną nieskończonością.
O niezmierzonej wtedy przyszłości szkoda gadać.

Co tam zresztą młodość sprzed dziesięcioleci! Jeszcze niedawno, może z dziesięć lat temu, podstawowa jazda mojego życia, czyli podróż wokół starej chałupy w Wiśle, zdawała mi się na bezmiary rozłożona, teraz widzę, że muszę przyspieszyć, bo wciąż nieskończonego, a solennie samemu sobie obiecanego jednego okrążenia nie zrobię. Ale jak w takim pędzie przyspieszać? Jak wskoczyć do tego, co, nie zwalniając, nie dając ani chwili teraźniejszości, nie zatrzymując się ani na sekundę, coraz straszliwiej leci? Bóg? Rozum? Miłość? Śmierć?

7 września 2010

Dla babki Marii żaden z „czterech sposobów uporania się z lękiem" nie był dostateczny. Bóg – oczywiście tak, ale jej wiara trochę była (zwłaszcza jak na kontekst luterańskiej Wisły) niepokojąca, fest tragiczna i praktycznie bez nadziei na Wielką Pociechę. Tylko wiara, tylko wiara – powtarzała niczym sam Marcin Luter, ale wyraźnie był to bardziej sposób na przetrwanie ziemskiego bytowania niż nadanie mu sensu jakimś nawet najsolenniej przez samego Pana Jezusa przyrzeczonym dalszym ciągiem. Nadzieja na ciał zmartwychwstanie nie była – delikatnie mówiąc – najmocniejszą stroną mojej babki. Życie, owszem, da się przeżyć tylko z Pismem w garści, ale po pierwsze ona nawet jak na niebieskie cuda za twardo stąpała po ziemi, po drugie, jak przystało fanatycznej luterce, czytała Pismo polemicznie. Cztery lektury całego Nowego Testamentu – co najmniej dwie celem wychwycenia katolickich błędów i wypaczeń.

Ze śmiercią, owszem, była za pan brat, ale na podobnych zasadach – niech przyjdzie i zrobi swoje, będzie ulga. Wieczór usnąć, rano się nie obudzić – praktycznie nie było dnia, żeby tego pobożnego życzenia choć raz nie wypowiedziała. Wieczór usnąć i rano się nie obudzić – powtarzała i wymownie spoglądała na Dziadka. Gdzieś tak po trzeciej powtórce robił się nieco niespokojny, na razie mniejsza o to, jak sobie radził. Rozum miała wielki, ale używała go tylko w sprawach codziennych

i politycznych – zagadki bytu tą drogą nie rozwikływała. Miłość? Zostawmy to na razie, odłóżmy do nieskończonego czasu pisania historii rodzinnej w sensie ścisłym.

11 września 2010

Z doktorem K. muszę przestać umawiać się na konkretną godzinę, muszę wrócić do dawnego – zarówno dobrze pojmowanym egalitaryzmem, jak i wiadomymi atawizmami naznaczonego – obyczaju: przychodzę, a tu poczekalnia pełna. Kto z państwa ostatni? Pani? Doskonale, dziękuję.

Nie żebym gustował w brataniu się z towarzyszami niedoli, nie żebym smakował wzajemne omawianie mniej lub bardziej analogicznych dolegliwości, nie żebym sycił się odnajdowaniem nowych koleżanek czy kolegów, którzy mają „dosłownie, ale to dosłownie te same objawy".

W kolejce do neurologa takie rytuały są zresztą umiarkowane, by nie rzec: nie ma ich prawie wcale – bractwo tak się trzęsie, że raczej się skupia, niż rozprasza; raczej zapada w sobie, niż ekstrawertyzuje; raczej uważa, by od zbytecznego – zawsze przecież jakimiś ruchami wzmaganego – gadania przed samym wejściem do gabinetu nie rozlecieć się do reszty. Nawet jak są między nami jacyś bajeranci, nawijacze czy inni urodzeni gawędziarze, to artykulacja przeszła im w gestykulację.

Siedzimy w poczekalni i wyglądamy jak zespół koncentrujących się przed występem mimów – ten próbuje jeszcze poprawić ruch łokcia, ów kolana, tamten głowy, prawie wszystkim ręce zrywają się do lotu. Obecnie moja (nawet powiedziałbym: obecnie specjalnie moja) wspólnota wspólnotowością także mnie nie kusi.

Pewnie, że przyjemnie wiedzieć: roztrzęsionych cała kupa, nic nowego pod słońcem; wspólnoty jednak nigdy nie były moją mocną stroną, stroniłem nawet od upajających.

Inny i na wskroś indywidualny jest powód mojej tęsknoty za pełną poczekalnią do lekarza. Otóż jest to obecnie jedyne – nie zawsze, ale wystarczająco często – miejsce, w którym jeszcze czasem bywam najmłodszy. Nie zarzucajcie mi próżności – każdy trzyma się takiego przyczółka, jaki się przed nim pokazał. Niedawno byłem jednym z najmłodszych asystentów na wydziale polonistyki, potem należałem do „młodej redakcji" „Tygodnika Powszechnego", niepostrzeżenie i krótko, ale przynajmniej ze dwa lata byłem „młodym literatem" – teraz roztrzęsionymi łapami trzymam się juniorskiego stołka w przedsionku dla pacjentów.

A i to żadna reguła, wystarczy, że – tak jak dziś – przyjdę na wyznaczoną godzinę i pocieszycielskiej skali porównawczej nie ma. Poczekalnia pusta, ktoś zostawił laskę, co twardo o roztrzęsioną ziemię wesprzeć się pomagała, pod sufitem cień zapomnianego parkinsonizmu, właściciel sam się znajdzie. Rychlej, niż mu się w obecnej euforii („Chyba mi przeszło!") wydaje. Nawet Papież wiadomą dolegliwość wyleczył przelotnie. Niestety miewa ona i bez świętej interwencji zwodnicze kaprysy – w tym przypadku jakież zawstydzające korowody! Cóż z tego, że teologiczno-medyczne! Samo przeszło? Skądże samo! Ale wróciło! Samo nie przeszło, a co do powrotu, zobaczymy; może jeszcze raz ni stąd, ni zowąd przejdzie. Ni stąd, ni zowąd? Jak zwał, tak zwał – byle przeszło, z braku laku i cud dobry.

12 września 2010

Doktor K. ma w oczach spokój speca, który widział niejedno, może nawet wszystko. Jasnobłękitne spojrzenie rzadko bywa przenikliwe, ale jak już, to na wylot, rentgen pestka. Plus pogoda ducha i bielutki łeb – w moich stronach taki lekarz byłby mitem, pieśni by o nim śpiewano. Pogawędziliśmy ze zwykłą rzeczowością; jak na razie cztery powody sprawiają, że z powolnego, flegmatycznego, a nawet nieco ospałego zawodnika stałem się dynamicznym facetem w wiecznym i coraz bardziej wszędobylskim ruchu. Jeden powód do wyhamowania, drugi do powściągnięcia, trzeci do zatrzymania, na czwarty na razie nie ma rady, ale i tego nie rozstrzygamy; trzeba cierpliwości.
Z cierpliwością najgorzej, cierpliwy to ja byłem w poprzednim wcieleniu, teraz gestykulacja tak porywcza, że sam nie wiem, jaką myśl wyprzedza. Ale idzie. Powoli, ale idzie. W kluczowej kwestii pół roku przeszło. Domyślacie się jakiej. Jak nie, to strzelcie banię dla rozjaśnienia umysłu i za moje zdrowie.

Za kolejne pół roku będziemy wiedzieć więcej. Bez równie zgranych jak kokieteryjnych fraz typu „Jeśli dożyjemy". Dożyjemy. Czas teraźniejszy przestał istnieć, ale życie się zaczyna. Wieczór usnąć i nie móc się doczekać przebudzenia.

13 września 2010

Oprócz przyjemnej okoliczności, że bywam w poczekalni młodzikiem, lubię też wizyty u doktora K. z powodu pory. To jest zawsze najpóźniej pierwsza w południe – czas, w którym ja rzadko, bardzo rzadko bywam na mieście. Do tego samo centrum, okolice Tamki. Po wizycie skręcam w lewo i słynnymi schodami przy Dynasach wyłażę – zdaje mi się – na powierzchnię miasta, na Nowy Świat, na Krakowskie i niemal do zwiedzania się zabieram. W dobrym humorze – powody zadowolenia wyliczyłem, a generalny da się wręcz w maksymę ułożyć: jak masz sześćdziesiątkę na karku i po wizycie u doktora na własnych nogach wracasz do domu, możesz nie tylko iść, ale i skakać.

Teraz jednak? W minioną sobotę czy w ogóle w te dni przedostatnie, chyba ostatnie! Idź tu chłopie i spaceruj, i zwiedzaj, i biegnij, i skacz radośnie! Badaj, jak o tej niezwykłej porze świat wygląda! Ganiaj wte i wewte! Zwłaszcza po Krakowskim!

Tam dopiero dygot! Tam dopiero rozedrganie! Tam dopiero choroba! Tam dopiero drżenie samoistne, tam dopiero hipoglikemia, tam dopiero stwardnienie rozsiane, tam dopiero basedow! Tam dopiero wszelkie możliwe konsekwencje przedawkowania środków intensywnie pobudzających ze Słowem Bożym na pierwszym miejscu. Mało kto wytrzymuje konsekwencje upojenia religijnego. A ci, którzy dzień i noc

z krzyżem muszą obcować? Spróbujcie im go zabrać! Każcie im go odstawić, a zobaczycie, co to jest – doskonale nie tylko medycynie znany – „zespół odstawienia krzyża”!

Nie tyle zobaczycie, ile od wielu tygodni możecie te symptomy śledzić, w sercu stolicy dzień w dzień drgawki, paraliże, mdłości, bezsenne majaczenia, zimne poty, białe noce, ataki furii i inne deliria. A po zbawiennym przyjęciu choćby tylko maleńkiej dawki symbolu męki Pańskiej jakież euforie, jakież błogosławione błogostany, jakież przypływy sił i jakież wszechmoce!

Ale by tego dotknąć, trzeba to zobaczyć, a żeby to zobaczyć, trzeba tam pójść, a mnie niesporo. Tabuny całe wiedzione ciekawością tam walą; z jednej strony atrakcja turystyczna na skalę europejską, z drugiej strony wiadomo: są takie chwile, kiedy my, Polacy, pragniemy być razem. I od tej wspólnoty nieskończoność mnie dzieli. Wspominałem już na tych kartach, że nagle Krakowskie Przedmieście nie wiadomo jak dalekie się stało. Dalekie niedalekie, ale przecież jest okazja! Akurat blisko, fizycznie nieskończenie blisko jestem! Choćby poznawczo, choćby przez rozum, choćby przez niejasny obowiązek obywatelski pójść trzeba. OK, jak mus, to mus. Na początek do księgarni Liber wstąpiłem i dla wzmocnienia *Historię tortur chińskich* oraz tom rozmów z Henrykiem Berezą kupiłem i w taki oręż ducha zaopatrzywszy, ruszam dalej.

17 września 2010

Warszawski krzyż, a może raczej warszawskie krzyże niczym wańki-wstańki – w chowanego, a jeszcze bardziej w przewracanego można się nimi bawić. W zeszły piątek – jak w końcu się zdecydowałem i polazłem – jeszcze był. Obozowisko obrońców marne, bo marne – wielkiego poparcia społecznego ci herosi jednak nie mieli – ale jeszcze było. Za niecały tydzień, w następny czwartek, już nie. Akurat córka z mężem w ważnych sprawach zawitali; na podstawową atrakcję stołeczną się szykowali, nie bacząc na przenajrozmaitsze ryzyka, kosztowny aparat fotograficzny ze sobą zabrali, a tu już od rana wiadomo: z krzyża nici.

Od nici do nicości daleka jednak droga. Przechodzimy, patrzymy, a tam pustka po krzyżu od samego krzyża sto razy intensywniejsza, jaka zresztą pustka, kilkadziesiąt nowych krzyży z daleka nadciąga, pieśni od dawna tu śpiewane teraz na full lecą, modlitwy w sensie ścisłym do niebios się wznoszą – piekło na wieki.

18 września 2010

Nie ze strachu przed piekłem, ale być może w poszukiwaniu elementu równowagi do Krakowa ruszyłem. Miasto w przeciwieństwie do warszawskich krzyży stoi jako skała. Owszem, na każdej ulicy tłumy, jakby i tu Polacy w sprawie najwyższych wartości patriotycznych, religijnych, narodowych się gromadzili, a może jeszcze poważniejsze – jeśli takie są – przedsięwzięcia wszczynali, ale to żałosny pozór. Idę Floriańską, patrzę, tłum gęsty i rozgorączkowany, oho, myślę, ktoś tu krzyż albo inne święte godło, albo już odlany pomnik stawia, ktoś inny niczego stawiać nie pozwala, ciekawe, kto z kim za łby się bierze. Podchodzę bliżej – ordynarną niestety konsumpcję odnotowuję; tłum owszem jest, ale ze sklepu do sklepu i z knajpy do knajpy pielgrzymuje. Bez pieśni, bez przewodników, bez gotowych na śmierć męczenników, nawet bez brytyjskich turystów w slipach. Na Siennej to samo, na Wiślnej to samo, nawet przy wiadomej bramie na Szewskiej nikt niczego nie sadzi i nikt niczego z korzeniami nie wyrywa, nawet na Grodzkiej nikt innowierczego i ze swej innowierczej natury w krzyże ubogiego – jak to się w Polsce mówi – zboru nie kwestionuje.

Dalej musicie moi współbracia na męczeństwo czekać – co innego ma teraz Polska na głowie. Polska ma teraz na głowie parę metrów kwadratowych Krakowskiego Przedmieścia – zero demagogii, nie od takich powierzchni bryła świata drżała.

19 września 2010

Swoją drogą powoli tracę orientację, czy wlokąca się za mną innowierczość daje jeszcze jakiś napęd, czy drętwieje, staje się hamulcem, manierą, natręctwem? Sklerozą o zawstydzających objawach? Może niczym bohater powieści Rotha zacząłem przeciekać umysłowo i cieleśnie? Przestałem powstrzymywać luterstwo? No ale jak ma rozwijać wątek krzyża ktoś, komu od najgłębszego dzieciństwa wbito w łeb, że krzyż może być tylko w kościele, na cmentarzu i ewentualnie w domu zborowym? Nigdzie więcej! Przy żadnych drogach, zakrętach, kapliczkach – których zresztą u nas nie ma wcale – i na żadnych Giewontach! Na żadnej szyi z wyjątkiem szyi biskupów diecezjalnych i biskupa Kościoła żaden krzyż nie ma prawa wisieć, a i wymienione władze tylko przy specjalnych okazjach mogą się tak z pokorą ozdobić. W ewangelickich domach żadne krzyże na ścianach nie wiszą! Krzyżyki na szyjach krakowskich koleżanek? Jak miałem to perwersyjne bluźnierstwo przeżyć – też w literaturze – i nie dostać pierdolca? Dostałem, ale przeżyłem. Mimo wszystko lepiej niż na odwrót.

20 września 2010

Gdy biskup Wantuła swego czasu przywiózł z Jerozolimy mały krzyżyk uczyniony z drzewa oliwnego i ofiarował go matce w prezencie, ta w drodze zupełnego wyjątku (i mniejsza o to, czego jeszcze) powiesiła dar na kilimie w małym pokoju. Dziwaczny, bo dziwaczny, słabo uzasadniony, ale uzasadniony przejaw obyczaju – nie da się ukryć – katolickiego.

Jedyny z tej okoliczności wynikł przypadek, gdy z ojcem stanęliśmy, a nawet ramię w ramię zjednoczyliśmy się na twardym gruncie ortodoksji luterskiej: zawsze gdy grywaliśmy w szmaciankę, kilim był bramką – teraz mecze wychodziły atrakcyjniej, bo trafienie w krzyż liczyło się podwójnie.

Oczywiście na pytanie, jak ma rozwijać wątek krzyża, jak ma rozwijać obecny polski wątek krzyża luterski kacerz – można odpowiedzieć: niechże go zostawi, niechże go nie rozwija, niech się czym innym zajmie. Ktoś tak, ja niestety nie. Ja bez specjalnego spinania się moralnego wspominam pewnego młodego księdza, którego imię, nazwisko i postać powoli, a nieodwołalnie przykrywa wieko z napisem: „i pozostałe ofiary". Jak w kinie. Jak w filmie: główne role, kilka drugoplanowych, gościnny udział miss rodzin ofiar, na końcu zaś mały napis: „i inni".

21 września 2010

Co do udziału kacerstwa w sprawie ogólnej, co do samej – bez znaczenia, jak jest marginalna – natury kacerstwa-luterstwa, to nie jest to kwestia wyboru, a zdeterminowanych, odpowiednio skonstruowanych i z czasem wyczulonych władz poznawczych. Przykład pierwszy z brzegu: niedawna bezsenna noc, udręczony oddaję się jednemu z kluczowych rytuałów współczesności, jadę mianowicie pilotem po kanałach, trafiam na jakiś film najwyraźniej szwedzki, para bohaterów rozmawia o kimś, kto niebawem wyjdzie ze szpitala. „Udało mu się – mówią – był w strasznym stanie, był tak strasznie chory, że omal nie przeszedł na katolicyzm". Utwór nie był komedią, ale uciecha, którą czerpię z takich pereł, sprawia, że ich poławiaczem będę do końca. Nawet gdybym chciał to hobby, ten temperament, tę skłonność porzucić – nie dam rady. Wiarę w Pana stracić można, luterstwa się wyzbyć nie da się żadną miarą, żadnym wysiłkiem i za żadną cenę. No, chyba że Pan w popędliwości swojej zabierze nie tylko dar poławiania wiadomych pereł, ale w ogóle dar poławiania czegokolwiek. Jak przyjdzie pora, będziemy się tym trapić. Albo i nie; w końcu o tym, że przyszła pora – wedle takiej wykładni – nie będziemy mieć pojęcia.

22 września 2010

Kraków stoi jako skała, a w nim Hotel Francuski zwłaszcza. Służy mi to miejsce. Z samych poczynionych tu zapisków i notatek mógłbym osobną książkę, jakieś – bo ja wiem – „Dzienniki Hotelu Francuskiego" ułożyć. Przeglądam te chyba przed wiekami, bo jeszcze ręcznie na tutejszym papierze listowym zapisane akapity i kto wie, kto wie. Oczywiście żadnej przy okazji dławiąco sentymentalnej tęsknoty za ręcznym pisaniem, za wykwintnymi zeszytami i innymi za naszej młodości, a nawet w wieku średnim nieosiągalnymi notesikami. Pewnie, że byłoby fajnie, jakby rękopismo wróciło, ale czy byłbym teraz w stanie porzucić laptop i wrócić do czarno-zielonego pelikana? Nawet ze stalówką kaliber BB? A piszże, chłopie, jak i czym chcesz, byle to jakie takie – nawet roztrzęsione – ręce i nogi miało. Kaliber BB owszem masywny, ale na ekranie i on, i wszelkie strofy na jego temat zmieszczą się lekko.

2 października 2010

Matka kończy dziś siedemdziesiąt sześć lat. Nie sądzę, by było gdzieś wyjaśnienie takiej sprawy. Ani w historiach liczb, ani w księgach cyfr, ani w wielotomowych rozprawach o czasie nie jest dostatecznie wytłumaczone, dlaczego ziemski pobyt wpierw się wlecze, potem idzie, potem się toczy, potem biegnie, przyspiesza, a na koniec leci, jakby go coś opętało; człowiek ani za własnym wiekiem, ani za dniem dzisiejszym nie może nadążyć. Wychodzą uczone prace tłumaczące rozmaite „fenomeny pamięci wieku dojrzałego", sam miałem niedawno w ręce potężną rozprawę dokumentnie wyjaśniającą, dlaczego z czasem czas biegnie szybciej, niestety rozdziału zawierającego wskazówki, skąd wziąć czas na przeczytanie analizy tego przyspieszenia, nie było; o próbach sprostania reszcie – szkoda gadać.

Mnie zresztą ani w głowie przy matczynych urodzinach mierzyć się z jakimiś zagadnieniami „wieku dojrzałego". Idzie raczej o zdumienie. Kto wie, ten wie, a kto zechce, wyliczy łatwo, że ja i moja matka rówieśnikami wprawdzie nie jesteśmy, ale też różnica wieku pomiędzy nami za duża nie jest. Jest minimalna – szczerze mówiąc, na granicy patologii. Wynikają stąd niekiedy nietypowe dla relacji matka–dziecko wspólnoty. Na przykład wspólne zdumienie, że dla obojga zaczął się czas jubileuszy. Przecież poważne Geburtstagi to była domena ludzi dojrzałych;

pięćdziesiątki, sześćdziesiątki, siedemdziesiątki obchodzili dziadek, babka, biskup Wantuła, nawet ojciec. Ale matka? Ale ja?

Znacie to zdumienie i doskonale wiecie, że nie tylko nie ma na nie wytłumaczenia, ale też nie ma sposobu, by je przyjąć. Wanda z Czyżów Pilchowa kończy dziś siedemdziesiąt sześć lat i robi to wrażenie jakiegoś urojenia, a przecież żadnym urojeniem nie jest – jest absolutną fikcją. Żadnego: „wierzyć się nie chce" – tu nie ma w co wierzyć.

Matka najzwyczajniej w świecie jest dalej młodą, atrakcyjną osobą, od lat wprawdzie z niejasnych powodów na emeryturze, dalej zapracowana, dalej nie ma chwili czasu, dalej od roboty ledwo żyje. To akurat najmniej dziwne – ewangelicy z natury bez roboty ledwo żyją, prawdę mówiąc – prawie wcale. Coś tam oczywiście szwankuje, ciśnienia trzeba pilnować, ręce bolą – ma się rozumieć tylko w nocy, kiedy żadnych prac nie ma – rano wstaje, bierze się do roboty, po bólu.

3 października 2010

Teraz, owszem, trud wzmożony, bo dwa – jak to w Wiśle mówią – „bestyjskie" psy na głowie. Odnotowuję ten fakt, ponieważ po pierwsze o początku kynologicznego zamętu (i to na tle religijnym) już na tych kartach wspomniałem, po drugie historia domu na Parteczniku jest też historią kolejnych pokoleń psów tam żyjących, tam uwielbianych, tam rozpieszczanych i tam do granic rozwydrzanych. Zawsze były to owczarki, ściśle mówiąc: owczarki w pewnym sensie, owczarki niekoniecznie stuprocentowe, w najgorszym razie ćwierćowczarki, ale owczarki. Elementy rasowości, choć niepełne, to i w tej niepełności jakoś szlachetne i nietypowe. Na przykład do dziś w Wiśle wspominany jest pewien nasz pies, którego uszy skłaniały się ku sobie i tworzyły na łbie rodzaj spiczastego – jak na wieży – zadaszenia. Ludzie z dalekich stron przyjeżdżali, żeby takiego (owszem, inteligentnego, ale dziwoląga) zobaczyć.

Opatrznie czy też nieopatrznie – nie ma to już najmniejszego znaczenia – wzięte z cieszyńskiego schroniska kundle są, delikatnie mówiąc, nieco inne. Nie chodzi o wyznanie ani zwłaszcza o urodę – idzie o siłę, przebiegłość i ruchliwość. Powiedzieć, że te psy mają ADHD, to nic nie powiedzieć – one mają tę przypadłość w stężeniu milionkrotnym. Dla nich zrobić podkop pod płotem, rozmontować żelazne ogrodzenie, przetoczyć z jakichś powodów przeszkadzającą im stertę kamieni to pikuś.

Matula gania za nimi po ogrodzie, bezradnie wygraża pourywanymi smyczami i kolejnych strat wypatruje, i mądrość, dostojeństwo dawnych owczarków wspomina.

– Biały wrócił do domu i wyglądał jak świnia, drugi nie wiadomo gdzie polazł i co zeżarł, nasze stare psy przy tych okazach to byli pełni godności nobliści! – mówi przez telefon. W głosie skarga, irytacja i miłość bezgraniczna.

4 października 2010

Rok temu, gdy skończyła siedemdziesiąt pięć lat, zrobiliśmy w Wiśle małą uroczystość i jeśli coś faktycznie doskwiera, a nawet druzgocze, to fakt, że rok minął. Jak by nie patrzeć, jak by nie liczyć, czym by się nie podpierać, jak by w Boga wierzyć albo jak by w niego nie wierzyć – rok minął jak mniejsza o to co. Szczerze mówiąc, robi się dość przerażająco.

5 października 2010

Dla rozweselenia serca opowiem o perypetii – o pewnym aspekcie perypetii, jaką jest posiadanie młodziutkiej, pełnej uroku i długo, a w zasadzie wiecznie zachowującej dziewczęcy urok i urodę matki. Sytuacja ta, w moim przekonaniu, na rozmaitych elementach mojej duchowości odcisnęła się w sposób kluczowy.

Gdy się urodziłem, matka moja była piękną siedemnastolatką i potem latami i dziesięcioleciami nic się nie zmieniało. Ja rosłem, ona nie. Mnie przybywało lat, jej w ogóle. Ja się starzałem, matula w żadnym wypadku. Najprzód wszyscy uważali, że jest absolutnie niemożliwe, by góra dwudziestoletnia dziewczyna była matką tak dużego chłopca jak ja, potem wszyscy byli święcie przekonani, że jestem jej młodszym bratem, potem okazywało się zupełnie, ale to zupełnie wykluczone, by tak młoda i tak piękna kobieta była matką takiego krasego byka, „Co najwyżej jest pani jego siostrą!". I nie trochę młodszą, ale grubo, a nawet bardzo grubo młodszą siostrą!

Matka moja na okrągło i przy każdej okazji wysłuchiwała tego rodzaju zapewnień i, ma się rozumieć, była przeszczęśliwa. Trudno się jej dziwić – w końcu nie puste i daremne komplementy to były, a czysta, lita prawda. Rada była i ja byłem rad, choć z czasem jęły mnie nawiedzać pewne wątpliwości. Nie gryzłem się tym dniami i nocami, ale z wolna wzbierało we mnie przeświadczenie, że matula lubi nie być moją matulą, że ożywia ją

to bardzo, że – krócej mówiąc – mało co sprawia jej większą przyjemności niż domysł, że nie jestem jej synem.

Tu się zatrzymuję, bo po pierwsze progi podświadomości za wysokie, a po drugie sytuacja się zmieniła: matka od pewnego czasu – jak ją kto zapyta – lubi się do mnie przyznawać. Na ogół. Nawet jak kto wątpi, przekonuje go z wyrozumieniem i bywa to nieraz iście macierzyńskie wyrozumienie.

8 października 2010

Czytam komentarze po przyznaniu Nobla Llosie i powiedzieć, że ogarnia mnie poczucie wielkiej wspólnoty, to nic nie powiedzieć. Jeszcze parę lat albo nawet jeszcze parę miesięcy temu napisałbym, że autor *Rozmowy w „Katedrze”* zjednoczył naród polski. Teraz dowcip wydaje mi się umiarkowanie zabawny, podziały za głębokie, a prawda za głupia. Głupia, ale jest. Od lewego do prawego, od spełnionego do sfrustrowanego, od małego do dużego, od porażającego do przerażającego, od nieuka do erudyty – wszyscy wybór szwedzkich akademików nie tylko chwalą, ale wręcz pod niebiosa wynoszą. Lewica nie tylko wie, co czyni prawica, ale czyni to samo. Niby w porządku, a jakoś nie bardzo. Z jednej strony literacka wielkość Peruwiańczyka faktycznie nie do podważenia i nie do zachwiania, z drugiej jakby duch w narodzie ginął? Pamięć zawodziła? Sił i jadu starcza tylko na plugawienie Miłosza? Do kart, dziejów i kuluarów literatury światowej nie zaglądamy? Nawet jeśli w nas, ewidentnie w nas są tam rzeczy wymierzone? Straciliśmy czujność? Czy co?

Przecież Mario Vargas Llosa nie zawsze stał po właściwej stronie. W pamiętnym roku 1982 stał wręcz tam, gdzie stało ZOMO.

9 października 2010

W Hiszpanii odbywał się wówczas mundial – przypominam rzeczy oczywiste, bo okazuje się, że i z oczywistą pamięcią nietęgo – na którym polska reprezentacja odniosła jeden z dwu swych dziejowych tryumfów. Zajęła mianowicie trzecie miejsce. Czasy były trudne, niektórzy pod patriotycznym względem zatwardzialsi nie kibicowali, a nawet wręcz źle życzyli drużynie Antoniego Piechniczka. Uważali, że sukcesy (reżymowej?) kadry w jakiś i może wcale nie byle jaki sposób legitymizują stan wojenny i Jaruzelskiego. Wtedy stanowisko takie zdało mi się szaleństwem, dziś mam większe wyrozumienie, jednakowoż i wtedy, i dziś uważam piłkę nożną za obszar wolności. I nie ma takiej korupcji, i nie ma takiej polityki, która by mi tę wolność zakłóciła.

W tym względzie ważnym pasmem było kasowanie przez telewizję obficie na mundialowych trybunach rozwiniętych sztandarów i transparentów Solidarności. Mówcie, co chcecie, kłopot mundurowa ekipa miała poważny, nasi grali jak w natchnieniu, wygrywali mecz za meczem, z każdym kolejnym zwycięstwem wiadomych transparentów przybywało, apogeum nastąpiło w ćwierćfinałowym pojedynku z ZSRR – smak dodatkowy, jak we wszystkich bitwach z Ruskimi oczywisty. Wtedy przekazu całkowicie nie dało się uszczelnić i parę razy jakieś pisane solidarycą hasła na ekranie błysły. Rzewne były

nasze migawkowe zwycięstwa, a rozpaczliwa cenzura państwowej TVP jeszcze rozpaczliwsza? Może tak, może nie. Bywają drobiazgi, które po latach nabierają znaczenia – że powiem coś z dziedziny filozofii.

Prawdziwe zwycięstwo, a w każdym razie bardzo poważne wzmocnienie dał wtedy reżymowej telewizji nie kto inny, jak tegoroczny noblista Mario Vargas Llosa. Być może nieświadom obowiązującego w kraju bojkotu (co, powiedzmy sobie jasno, nie jest żadnym usprawiedliwieniem) udzielił on jednemu z naszych sprawozdawców obszernego i nie tylko piłki tyczącego wywiadu. Wydarzenie to, ma się rozumieć, rozlegle było przez ówczesną propagandę wygrywane. Taki pisarz! Taka sława! Taki autorytet! Noblista lada chwila! – a nie wybrzydzał, nie domagał się uwolnienia internowanych, nie groził sankcjami, nie bolał nad łamaniem praw człowieka. Miast reżymową ekipę gdzie pieprz rośnie przegnać, bez żadnego certolenia siadł przed kamerą i wywiad dał jak ta lala!

Nie chce mi się, szczerze mówiąc, snuć jakichś domysłów, że autor *Zielonego domu* za bardzo znał się na rozmaitych militarnych dyktaturach i za bardzo był z nimi oswojony, by rozmowa z jakimiś żurnalistami zza żelaznej kurtyny wywoływała w nim wstrząsające rozterki moralne. Zesłany do służby wojskowej przez surowego ojca (który to już toksyczny tatuś w dziejach ofiarowuje światu wielkie książki syna?) znał, rozumiał i intensywnie przeżył sezon pogardy. Oczywiste związki futbolowych sukcesów z rozmaitymi i niekoniecznie latynoskimi dyktaturami to też nie był mu temat obcy. Poza wszystkim wiedział, że słuchać go będą i tak jednakowi na całym świecie,

jednako w każdym systemie kochający piłkę kibice piłkarscy. I nawet gdyby pełnię jego głosu mieli docenić tylko kibice piłkarscy czytający książki – niczego by to nie umniejszało – oni też są ważni, oni też istnieją.

10 października 2010

Tak jednak czy tak, w 1982 roku stał tam, gdzie stało ZOMO, a teraz lada dzień stanie przed obliczem wręczającego mu noblowski medal króla Szwecji – jak to jest możliwe? Znów nikt nas nie zapytał o zdanie? Może to i dobrze, bo jakby zapytał, zbłaźnilibyśmy się masowym poparciem i brakiem pamięci.

11 października 2010

Co zabawne, już wtedy, w roku 1982, lekko zatem licząc, dwadzieścia osiem lat temu, Mario Vargas Llosa faktycznie był poważnym kandydatem do Nobla, był w zasadzie pewnym in spe noblistą. Jak to rangę telewizyjnego wywiadu zwiększało, już mniejsza.

Przechodzę na grunt literatury czystej – nieczystej. Bywają otóż nobliści – by tak rzec – jednorazowi: autorzy, którzy nagle wyskakują jak demon z pudełka, i bywają nobliści niezniszczalni, tym mianowicie się charakteryzujący, że co roku Nobla nie dostają. Na psychikach odciska się to różnie – znawcy rzeczy legendy opowiadają o opętaniu, z jakim podobno na Nobla czekali Graham Green czy zwłaszcza Alberto Moravia. Nasz biedny i schorowany Gombrowicz, sądząc z niektórych wynurzeń, też miał na tym punkcie niezłego hyzia. Mit powstał, jak to u nas tragiczny – zmarł latem, miał dostać jesienią. Lubię i jednych, i drugich – o istnieniu Izaaca Singera mało kto wiedział przed Noblem, a ile absolutnej radości daje jego czytanie. Wielu było pewnych, że dziesięcioleciami na Nobla zasługujący Llosa nie doczeka, ponieważ jest absolutnym pewniakiem, spokojnie można mu rok w rok nie przyznawać – doczekał i oby doczekali i Milan Kundera, i Philip Roth, jedni z ostatnich żelaznych i wielce zasłużonych kandydatów. Zagajewski też byłby OK – powstałaby

tradycja, że co kilkanaście lat jakiś polski poeta pruje do Sztokholmu. Dobre by to było.

13 października 2010

Od czasu gdy mój stary przyjaciel Marian S. zaczął pisać w „Tygodniku Powszechnym" felietony polityczne, niesłychanie wzrosła jego polityczna wiedza, orientacja i intuicja. Nic w tym nie ma dziwnego, polityką Marian interesował się zawsze, zawsze ją śledził, zawsze miał w tej dziedzinie wyraziste własne zdanie. Od czasu jednak, gdy jął ogłaszać swoje „Wyznania człowieka apolitycznego" – może nie od razu, ale po paru tygodniach z pewnością – widnym się stało, że zna labirynty, rewersy i odwrotne strony politycznych gobelinów, że posiadł polityczną wiedzę zakulisową, kuluarową, sekretną i coraz bardziej się w niej zagłębia. Intuicją wszystkiego wyjaśnić się nie da. Z wyprzedzeniem zna fakty, wie, jakie zbliżają się personalne roszady, orientuje się w przebiegu rozmaitych nieoficjalnych spotkań i narad. Prawie nigdy o tych rzeczach nie pisze, czasem da jakąś zrozumiałą tylko dla wtajemniczonych aluzję – nie dziwota, jest jednym z wtajemniczonych. Najwyraźniej ma swoje źródła i swoich informatorów. W służbach? Why not? Może nawet w byłych.

Czasem jak jest w nastroju łaskawym i jak wie, że rzecz i tak lada chwila przecieknie do mediów, puści mi – ma się rozumieć pod przysięgą absolutnie śmiertelnej dyskrecji – jakąś błahą informacyjkę.

Dziś zadzwonił z wiadomością, że w telewizji publicznej szykują się poważne zmiany, między innymi znika z anteny program *Bronisław Wildstein zaprasza* oraz *Misja specjalna*. – Przecież *Misję specjalną* już zdjęli? – zapytałem lekko speszony. – Zdjęli, ale potem przywrócili i teraz znów zdejmują – warknął zirytowany moimi elementarnymi brakami. – Doskonale wiesz, Marianie – odparłem – że dopóki TVP nie przywróci *Wielkiej gry* ze Stanisławą Ryster, dopóty nie odzyska pełnej wiarygodności.

16 października 2010

Jako zawodowy poławiacz antykatolickich pereł zwłaszcza o zabarwieniu komicznym nie mogę pominąć w dzisiejszych „Wysokich Obcasach" rozmowy Wojciecha Orlińskiego z Johnem Irvingiem. Pierwszorzędna perła jest już na samym początku, przepisuję ze smakiem: Pytanie: „Jeśli chcesz zostać pisarzem, unikaj katolików – mówi jeden z bohaterów pańskiej najnowszej powieści. Mógłby pan tę poradę rozwinąć?". Odpowiedź: „Zacznę od wyjaśnienia, że nie mam nic przeciwko katolikom jako takim. Ketchum, mój bohater, mieszka w północnym New Hampshire. Jedyni katolicy, jakich zna, to Québécois, przybysze z francuskiej Kanady. Niepiśmienni drwale. Ketchum ich nienawidzi, bo oni tu przyjeżdżają, odbierając pracę Amerykanom. Nie znają też angielskiego, co wkurza wszystkich wokół. Ketchum przy tym to ekscentryczny samouk, przemawia przez niego ludowa ksenofobia. Równie dobrze mógłby wybrać inną grupę, której nienawidzi, a jest tego [jak w Wiśle – JP] sporo". Pytanie: „No ale jednak wybrał tę, a nie inną, bo tak zadecydował autor. A John Irving to zbyt dobry pisarz, żeby takie wybory były przypadkowe". Odpowiedź: „Dlaczego mówi o katolikach? Bo uważa, że pisarz nie powinien być dogmatykiem. A dogmatyzm wpisany jest w naturę Kościoła katolickiego. Jest różnica między Kościołem, który mówi: Nasi wyznawcy powinni przestrzegać tego i tego, a Kościołem,

który mówi: Wszyscy powinni tego przestrzegać. A to właśnie robi Kościół katolicki!”.

Niby racja, ale im głębiej w las, tym pereł mniej, by nie powiedzieć – żadnej. Klasyczny przykład zasady, że pisarz swych książek nie powinien komentować. Fraza „Jeśli chcesz zostać pisarzem, unikaj katolików” jest świetna, gęsta, błyskotliwa, ironiczna i tajemnicza. Nie należy jej rozwijać, tłumaczyć i rozcieńczać, bo traci smak, styl i wymowę. To zdanie jest jak linijka wiersza. Napisał to zdanie interesujący pisarz, wyjaśnia jego sens umiarkowanie porywający intelektualista. Pisarz nie powinien być dogmatykiem? No, raczej nie. Choć od zajadłych wszelkiej maści dogmatyków na przykład politycznych w literaturze aż się roi (Fiodor Michałowicz kroczy na ich czele), to może faktycznie katolików nie tak wielu, chyba że katolicy po przejściach, jednakowoż katolicy po przejściach to są bardzo specjalni, bardzo mało katoliccy katolicy.

Z kolei brak dogmatyczności nie jest niestety żadną gwarancją ani żadnym warunkiem literackiej skuteczności. Na razie dalej nie brnę, ale do wątku niechybnie wrócę.

W pierwszym odruchu natychmiast chciałem jechać do północnego New Hampshire – tego raju, w którym jedynymi katolikami są niepiśmienni drwale – w miarę lektury wywiadu chęć ta malała. Trochę tak miałem z książkami Irvinga. Początki (*Świat według Garpa* i *Hotel New Hampshire* – idę według chronologii polskich wydań) – zachwyt, próby nawiązania kontaktu z następnymi tytułami – dosyć daremne.

17 października 2010

W innym fragmencie wywiadu Irving takie race daje: „Prywatnie uważam, że im gorzej w kraju, tym lepiej dla pisarza. Krytyka własnego kraju to najważniejsze zadanie – każdemu pisarzowi powiedziałbym, że jeśli ostatnio nie skrytykował swego kraju, to znaczy, że źle wykonuje swój zawód. Emigrant traci możliwość krytyki. Nie dlatego, że uważam, że mu nie wypada, że traci moralne prawo czy coś w tym guście – po prostu gdy widzisz swój kraj z oddali, przestajesz go dobrze rozumieć. Twoja krytyka staje się niecelna".

Nie mówię, że ręce opadają, ale takie rzeczy koło siedemdziesiątki wygadywać? Inna rzecz, z fotografii sądząc, autor trzyma się doskonale, jest byłym zapaśnikiem, dalej dba o formę, młodo się czuje i być może z tego powodu młodzieńcze dyrdymały wygaduje. Bo spokojnie można powiedzieć na odwrót: krytyka kraju i jego bolesne chłostanie to – zwłaszcza u nas – częsta domena pragnących się za wszelką cenę wyróżnić grafomanów. Można też rzec i nie pomylić się: jeśli choć godzinę dziennie tracisz na krytykowanie ojczyzny, wiedz, że jest to godzina stracona. Co do emigracji, to Irving rzecz jasna (tak samo jak w całym wywiadzie) ma prawo do głoszenia jakich chce rzeczy, wszelako lepiej, gdyby wrócił do pisania.

Jak to pisał Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza? Czesiu, ty nie gadaj, ty pisz! Bo jak gadasz, to głupstwa wygadujesz, a jak

piszesz, to świetne rzeczy Ci wychodzą.

18 października 2010

Do New Hampshire nie jadę, ale po książkę *Ostatnia noc w Twisted River* do księgarni zaraz lecę. Kraina niepiśmiennych katolickich drwali korci mnie jednak niesamowicie.

19 października 2010

Przeszło dwa tygodnie temu Tadziu Słobodzianek odebrał nagrodę Nike. Na bieżąco nie odnotowałem tego i dla mnie istotnego wydarzenia; w kraju miały miejsce jakieś rozpraszające strzelaniny, trochę musiałem pomyśleć, a nade wszystko zaczekać, aż Bóg przeniesie duszę utęsknioną na ulicę Sebastiana w Krakowie i pozwoli czas cofnąć do drugiej połowy lat siedemdziesiątych minionego wieku.

Niby w tamtej erze podstawowym miejscem mojej pracy był Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale „podstawowo" to ja się czułem na Rynku Głównym 25, w redakcji dwutygodnika „Student". Tam się przesiadywało, tam się gadało, tam się biesiadowało, tam się drukowało. Zadomowiłem się w redakcji do tego stopnia, że przez pewien czas – chyba nawet do samego stanu wojennego – pełniłem odpowiedzialne stanowisko kierownika działu kultury, a był i taki moment, gdy krótko, ale serio wahałem się, czy nie objąć posady zastępcy redaktora naczelnego. Ówczesnego szefa gazety Wacka Żurka do dziś wspominam świetnie, pokusa była mocna. Szczerze mówiąc, byłem gotów, ale skrewiłem, musiałbym rzucić uniwersytet, który wprawdzie za parę lat sam mnie rzucił, ale to jest osobny rozdział.

O niezbadanych ścieżkach żywota wtedy się nie myślało, wtedy w ogóle za dużo się nie myślało, wtedy się pisało i chciało się drukować, chciało się nazwisko swoje w druku widywać –

„Student” spełniał te marzenia podniebne. Wobec takich spełnień przykry polityczny kontekst bladł. Okoliczność, że wchodziliśmy na pole, z którego usunięci zostali publikujący tam za niedawno zakończonej odwilży gierkowskiej poeci Nowej Fali, że zlikwidowany został ważny, dziś już legendarny, dodatek pisma, „Młoda Kultura”, że odeszła drużyna poprzedniego naczelnego, „Wuja” Janka Pieszczachowicza – wszystkie te i kto wie jakie jeszcze mroczne konteksty nie spędzały nam snu z powiek. Było gdzie publikować – było dobrze. Wydarzenia czerwcowe? Zjazdy partyjne? Zmiany w biurze politycznym? Proszę bardzo! My wchodziliśmy w literaturę wysoko ponad jakąkolwiek doraźnością polityczną, wchodziliśmy w literaturę, by w niej objąć władzę i zostać w niej na wieczność.

Marian Stala zaczął pisać o poezji, obaj planowaliśmy jakiś wspólny, pod jednym pseudonimem ogłaszany cykl tekstów bezlitośnie analizujących i chłoszczących twórczość dzisiejszą. Ukazały się może ze dwa, trzy odcinki – poza pseudonimem (Władysław Szreniawa Rzecki) nie pamiętam ani słowa.

W każdym razie to właśnie Marian przyniósł do redakcji pierwszą recenzję teatralną Jana Koniecpolskiego – taki z kolei pseudonim przybrał sobie Tadeusz Słobodzianek. Doskonale napisana, przenikliwa i wysoce jadowita rzecz natychmiast poszła do druku, Tadeusz pisał i osobiście przynosił następne, „Student” ochoczo drukował, w środowisku teatralnym – o którego strukturach, maniach, dziwactwach i obłędach nie miałem wtedy pojęcia – wrzało. Zdaje się, że jednym z głównych pasm tego wrzenia była zgaduj-zgadula, kim jest Koniecpolski. Nazwiska padały najczcigodniejsze – biednego studenta teatrologii

z Białegostoku nikt nie obstawiał. Gdy się wreszcie dowiedzieli, a zwłaszcza gdy go osobiście poznali – żadnego rozczarowania, wręcz przeciwnie. Tadziu, nie tylko z racji swej postury, ma wielce obezwładniającą charyzmę i jest to – delikatnie mówiąc – charyzma władcy. Miał ją i wtedy, gdy wreszcie się poznawszy i zbratawszy, wstępnie nasyceni, a o wielkim, a nawet nieskończonym nasyceniu dalej myślący, biesiadowaliśmy niekiedy u mnie na Prokocimiu, przy specjalnych okazjach w restauracji Temida na Grodzkiej, a najczęściej, z racji dekadenckich warunków, w słynnej – i przeze mnie już nieraz opiewanej – Tadziowej kanciapie na Sebastiana. Ta klitka bez okna, z kiblem na zewnątrz i wiecznie kręcącym się po podwórku pewnym zupełnie makabrycznym kloszardem, to jest po prostu jedno z najważniejszych miejsc mojej młodości. Z Marianem, niekiedy też z Bronkiem Majem, który do naszej formacji doszlusował, z otwartymi gębami słuchaliśmy monologów, nauk, ocen i przepowiedni Tadeusza. Dla mnie do dziś te wspomnienia są dość wstrząsające nie tylko dlatego, że niemal wszystko, co mi przepowiadał (w jednej zwłaszcza frazie), się sprawdziło. Może nie co do joty, ale z grubsza – bardzo. Z tamtych czasów wniosłem też absolutne zaufanie do wszystkiego, co Słobodzianek mówi o teatrze – już wtedy miał teatr w małym palcu. Ile przez trzydzieści lat przybyło? Nieskończoność.

20 października 2010

Uświadamiam sobie, że mimo wspólnie spożytych hektolitrów wiadomo czego nigdy nie widziałem Tadeusza w kiepskiej formie, co najwyżej nieco wolniej się poruszał (o ile w ogóle można niż on wolniej), co najwyżej wolniej mówił, wolniej gestykulował – tak czy tak, dostojeństwo rosło. Gdy zdarzała się nieco ludniejsza impreza i gdy osiągaliśmy stan przychylności dla świata, ulubioną zabawą było odgrywanie scen z filmu *Ojciec chrzestny*. Marnie to wychodziło, bo gdy Tadziu reżyser mówił do mnie: – Pilchu, będziesz Tataglią – nie miałem pełnej jasności roli. Jak pisał Jerofiejew: straciłem przytomność, ale nie dałem tego po sobie poznać. Nie bardzo wychodziło, ale próby ponawialiśmy.

21 października 2010

W dzisiejszym „Dużym Formacie” w długim tekście o Tadeuszu Anna Bikont pisze: „Po kolejnym skandalu mieli go już w «Studencie» dosyć i wtedy dostał propozycję «Polityki»”. Otóż nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Tadeusz, który wśród rozmaitych talentów ma też talent, a nawet jest wirtuozem, rozmaitych fundamentalnych i krwawych rozstań, i to pierwsze rozstanie podbarwia. W „Studencie” nikt nie miał go dosyć, wielowymiarowy rezonans jego tekstów cieszył i gdy „Polityka” go wyławiała, ludzie „Studenta” byli dumni i szczerze mu gratulowali, i dobrze życzyli – tamte czasy były w pewnych pasmach nieco wspaniałomyślniejsze od dzisiejszych.

Tak czy tak, tego popołudnia, gdy było już wiadomo, że w najważniejszym polskim tygodniku zostaje stałym recenzentem, umówiliśmy się na Sebastiana celem urządzenia drobnych obchodów. Trochę się spóźniał, czekaliśmy z Marianem, po kilku minutach zza węgła wyłoniła się charakterystyczna postać, po kilku krokach Tadeusz rozłożył ręce i wpierw zaczął biec, a za chwilę nieco uniósł się w powietrze i frunął, w sensie ścisłym frunął nad ulicą Sebastiana.

22 października 2010

Zadomowiwszy się w „Polityce”, Tadziu Słobodzianek jął i nas do „Polityki” kaperować, a przynajmniej uwadze tamtejszych redaktorów polecać; kto Tadzia zna, ten wie, że były to „sugestie” nieznoszące cienia sprzeciwu. I myśmy powoli, ale arcychętnie w „Politykę” wchodzili, jeden, drugi, trzeci tekst pojawiał się na łamach. Stala pisał o literaturze, ja trochę o filmie. Dział kultury znakomicie prowadził wtedy Tadeusz Drewnowski, najwyraźniej sprzyjały mu nasze pióra; wszystko wskazywało, że w nieodległej przyszłości tygodnik ten stanie się naszym miejscem, a może nawet adresem.

Niestety dotknęła nas historia. Nasze euforie i transfery (cienie transferów) miały miejsce w czasach anarchii, w roku po narodzeniu Chrystusa tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym i pierwszym. Wiadomo, jak to się skończyło – liczni redaktorzy z „Polityki” odeszli, Jan Koniecpolski przestał pisać, rzecz jasna żadna tragedia, wręcz przeciwnie: – Pilchu, jaka ulga, jaka niesłychana ulga – powtarzał w koło Tadziu, gdyśmy się w stanie wojennym zeszli. Podstawowy frazes opisujący Tadeusza mówi, że zaczynał jako surowy i smagający krytyk teatralny, potem zaś przeszedł na drugą stronę, sam nie wiem, barykady? kurtyny?, że biurko recenzenta zamienił na biurko dramaturga, w porywach na krzesło reżysera albo na urząd kierownika literackiego – słowem z człowieka piszącego o teatrze stał się praktykiem

teatru. Tak jest oczywiście, ale w oddzielaniu, zwłaszcza w radykalnym oddzielaniu tych wcieleń byłbym ostrożniejszy. W pewnym bowiem i o wiele większym, niż się zdaje, sensie Słobodzianek dalej jest Koniecpolskim – zebrane do kupy teksty Jana Koniecpolskiego można odczytać jako program, a nawet manifest artystyczny Tadeusza Słobodzianka, swoiście negatywny, ale wyrazisty i konsekwentny. W końcu jak ktoś się nauczy, czego w teatrze nie wolno robić, jakich błędów nie popełniać, do jakich bredni nie dochodzić i jakich bełkotów unikać, jak ktoś „tylko" taką wiedzę posiądzie, to daj Panie Boże zdrowie. Uczyć się myśleć można i od tyłu.

26 października 2010

O, powiedzmy, nieco mroczniejszej stronie Tadeusza wiem mało albo nic. Z rozmaitych źródeł wynika, że współpraca z nim – ujmijmy rzecz eufemistycznie – do łatwych nie należy. Ja takiej okoliczności właściwie nie doświadczyłem, a jedyny z tej parafii epizod, czyli wspólne i pod jego kierownictwem prowadzenie dramaturgicznych warsztatów nad Wigrami, wspominam błogo. Tymczasem w koło słyszę: trudno, trudno, bardzo trudno. Ale kto powiedział, że ma być łatwo? Tadeusz ma bardzo mi bliską zasadę: albo wiecie, z kim macie do czynienia, i wszystkie moje warunki, żądania i ekscentryzmy akceptujecie, a nawet podziwiacie, albo pa, pa.

Agresja jakaś? Może tego potrzebuje? Nie on jeden. Świętej pamięci Tadeusz Kantor, póki kogoś na scenie, w obecności widzów nie opierdolił, nie był w stanie zacząć przedstawienia.

27 października 2010

Z całego serca cieszę się z Nike Tadeusza, pierwszy bowiem raz bierze tę nagrodę ważna postać mojej młodości i człowiek bardzo mi bliski.

Ale to się zdarzy za dwadzieścia lat, może nawet trochę później. Na razie pewni, że życie jest wieczne, siedzimy na Sebastiana i próbujemy Havana Club. Zdecydowaliśmy się na ten trunek, ponieważ Tadeusz zapewnia, że to jest po prostu pyszne. Jak zwykle ma rację.

28 października 2010

Dobrzy ludzie przekazali mi interesujące materiały jakiś czas temu opublikowane w „Gazecie Polskiej" i „Naszym Dzienniku". Z pismami tymi styczność mam, delikatnie mówiąc, żadną. Nie żebym nie był ciekaw, co tam piszą, albo miał jakieś uprzedzenia – przeciwnie, ciekaw jestem bardzo, wręcz zdaję sobie sprawę, że te łamy mogą być częstym, może nawet permanentnym źródłem inspiracji, niestety nie daję rady, czas się kurczy. Pociechę mam taką, że jak pojawia się coś prawdziwie ekstra, tak czy inaczej, z mniejszym lub większym opóźnieniem, ale do mnie dotrze. I właśnie dotarło, i właśnie mam przed sobą dwie prawdziwe perły: „Oświadczenie" Jarosława Marka Rymkiewicza oraz tegoż „List otwarty do Adama Michnika". Oba teksty tyczą procesu, jaki Michnik wytoczył autorowi *Wieszania* za nazwanie go spadkobiercą Róży Luksemburg w idei wynaradawiania Polaków i kontynuatorem w tym względzie linii KPP.

W „Liście" Rymkiewicz dziwi się, że szef „Wyborczej" podaje go do sądu, miast szlachetnie z nim na ten ciekawy temat dyskutować. Naprawdę jest się czemu dziwić? Przecież najmniej od dwudziestu lat szef „Wyborczej" jest przez JMR uważany za najczarniejszą postać współczesnych dziejów, za godnego plunięcia mu pod nogi zdrajcę, za zakamuflowanego komunistę. W tej najczarniejszej wersji nie ma cienia miejsca na jakikolwiek cywilizowany odruch – owszem, kierując sprawę do sądu, Michnik

potwierdza, że jest złem wcielonym, tym samym oczekiwania JMR spełnia, tym samym swój haniebny wizerunek podtrzymuje. Czemu tu się dziwić? Chyba tylko temu, że Michnik, wiecznie zło czyniąc, wielkie zarazem daje Rymkiewiczowi dobro, daje mu szansę największej chwały, jakiej może zaznać pisarz – daje mu mianowicie nadzieję na męczeństwo.

29 października 2010

Męczeństwo to jest w zasadzie jedyna rzecz, której wielkości JMR brakuje. Wie on o tym. W zakończeniu „Listu" subtelnie daje do zrozumienia, że dzieła Jego przetrwają wieki, w „Oświadczeniu" przywołuje legion podobnych mu męczenników: „W dziejach cywilizacji europejskiej procesy przeciwko pisarzom nie są niczym nowym. Wielu pisarzy było więzionych, byli nawet tacy, których powieszono lub rozstrzelano. Wielu pisarzy nonsensownie oskarżono, wielu wygnano z ich ojczyzny, wielu innym w różny sposób próbowano zamknąć usta i ocenzurować ich poglądy". JMR świetnie się w tym towarzystwie czuje i aż szkoda, że – najpewniej ze skromności – trzech jedynie współbraci w tragedii wymienia z nazwiska – Flauberta, Owidiusza i Mandelsztama. Swoją drogą dziwna jest to trójka, nie tylko z tego powodu, że, jeśli pamięć mnie nie myli, powody wygnania Owidiusza do dziś nie są jasne. Jeśli Rymkiewicz uważa, że i w tej zbrodni maczał palce Michnik – rozprawa (mniejsza o to, z jakich powodów) może zostać odroczona. Tak czy tak, tych, co byli prześladowani za książki czy poglądy, istotnie było sporo. Ilu było takich, którym wytaczał ktoś sprawę za gadanie obraźliwych głupot?

30 października 2010

Nie pierwszy raz powtarzam: są napastliwe teksty, z którymi się polemizuje, są wypowiedzi, które się wzgardliwie bądź litościwie ignoruje, i są takie, które kieruje się do sądu. Każdy ma prawo poczuć się urażonym tak, jak uważa, że został urażony. Ludzie Agory i redaktorzy „Gazety Wyborczej" poczuli się nieco urażeni koncepcją, że podstawowym ich pragnieniem jest, by Polska przestała być Polską, a Polacy Polakami, że wychowani w duchu KPP zieją nienawiścią do Polski, a zwłaszcza polskiego krzyża, że doprowadzili wolną – nawiasem skąd wolną, skoro przez nich niewoloną? – ojczyznę do Smoleńska.

(Na tłumaczenie Rymkiewiczowi rzeczy najoczywistszej, że mianowicie pozywa go do sądu Agora, nie Michnik, szkoda czasu. Tu jest wiekuiste, bo z poezji – a ona wedle JMR zawsze jest górą – wzięte przekonanie: partia to Lenin i na odwrót).

Swoją drogą jeśli wreszcie Michnik weźmie kiedyś pokojowego Nobla, to chyba bardziej za odporność na kalumnie, jakimi był i jest w wolnej Polsce obrzucany, niż za walkę o tę wolność, niż za lata kryminału, na który rzeczywista tyrania go skazywała i których to lat dzisiejsi bojownicy nie wybaczą mu nigdy. Z serca życzę mu tego wyróżnienia – też dlatego, że przyjemnie będzie popatrzeć, co też wówczas w kraju będzie się działo. Działo się bowiem będzie wiele, a i do czytania będzie niejedno...

2 listopada 2010

Teraz Polska jest pod okupacją „Gazety Wyborczej” i tyranią Agory? Redaktor wytacza procesy, zasłaniając się potęgą – głównie finansową – swego wydawcy? Kto chce, niech tak myśli. W przypadku Rymkiewicza byłbym w snuciu takich tez, a snuje on je uparcie, ostrożniejszy. Adam – jak nawet najjadowitsi jego wrogowie wiedzą – z udziałów w spółce zrezygnował, gigantyczną kasę tym samym odrzucił. Nie każdy byłby w stanie. Nawet Polak wszech czasów, JMR, który – chyba z obawy, że na widok Michnika wylewu dostanie – na wręczeniu przyznanej mu (jak najsłuszniej) nagrody Nike się nie pojawił (zasłonił się wydawcą), kasę Agory, owszem, z pełnym dostojeństwa obrzydzeniem przyjął.

3 listopada 2010

W zakończeniu „Oświadczenia” Rymkiewicz zaprasza wszystkich na przemówienie, które wygłosi na sali sądowej. Nie wybieram się, ale mam nadzieję, że poeta w ostatnim słowie poprosi sąd o wymierzenie mu najwyższego – mniej nie wypada – wymiaru kary, do której to prośby sąd się nie przychyli i, ku rozczarowaniu artysty, daruje mu życie.

4 listopada 2010

Krótka rozmowa z Tadziem Słobodziankiem przez telefon, niby się umawiamy na jakiś obiad, niby nie, ale jakiż nawrót wspomnień! Przede wszystkim może nie całkiem zapomniane, ale chyba nie dość często wspominane podróże! Nigdy nie byłem, a teraz, delikatnie mówiąc, zupełnie nie jestem amatorem jakichś jazd po świecie i kraju, w młodości jednak człowiek mało odróżnia rzeczy konieczne od zbytecznych. Gdzieś się więc na jakieś zjazdy młodych literatów wyjeżdżało, jak redakcja „Studenta" wydelegowała na jakiś kongres albo inną, Wakacyjną Akademię Kultury Studenckiej, jechało się bez szemrania albo z szemraniem, ale skrytym. Jak wyjazd inicjował albo nań zapraszał Tadziu – żadnych szemrań, żadnych fochów, wyłącznie subordynacja, ochota i zachwyt. Tym trybem tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego – o czym wtedy nikt nie miał pojęcia, a co teraz naszej wyprawie dodaje barwy szczególnej – ruszyliśmy (ja, Marian Stala, Tadziu i Bronek Maj) do Poznania na spotkanie z Nową Falą. Nie znaliśmy ani Krynickiego, ani Kornhausera, ani Barańczaka, ani Zagajewskiego wcale, ale jak się to pięknie w polszczyźnie mówi: pragnęliśmy być przy nich, pragnęliśmy – w coraz bardziej niepewnej Polsce – wszyscy być razem. Wystarczająco silny powód, by wsiąść do nocnego pociągu. Na miejscu czekał na nas i miał być przewodnikiem inny jeszcze przyjaciel z tamtej epoki, ciekawie się zapowiadający poeta

Romek Chojnacki. Wedle jego opowieści ze wszystkimi, nie tylko nowofalowcami, ale ze wszystkimi w ogóle był za pan brat, wszystkim miał nas przedstawiać i wszystkim polecać; urojenie, że przyjedziemy jako kibice Nowej Fali, a wrócimy jako najbliżsi tej formacji przyjaciele, a może nawet jako nowofalowcy w sensie ścisłym, było znaczne.

Plan powiódł się, delikatnie mówiąc, połowicznie. Romek, owszem, czekał, ale wszystkie jego, tak przyrzekane, dalsze działania jakoś nie następowały. Okazywał zaskakującą powściągliwość, próbował defensywę przełamywać wiadomo jakimi środkami – efekty daremne, by nie rzec rozpaczliwe. Krótko mówiąc, zostaliśmy na tej imprezie nieco osamotnieni. Może jeden Bronek kogoś tam zagadnął, z kimś się przywitał – tyle orgii, tyle całonocnego bratania, tyle całonocnego gadania o literaturze.

Swoistą pociechą, a potem gwoździem do naszej towarzyskiej trumny było pojawienie się przy naszym stoliku Jana Komolki. Kto go przyprowadził, nie pamiętam, chyba Słobodzianek. Tak czy tak, dosiadł się do nas pisarz już wtedy mityczny; przez chwilę się zdawało, że tragiczny bieg poznańskiej nocy został odwrócony.

5 listopada 2010

Jan Komolka – to wtedy był nie byle kto – zwycięzca legendarnego konkursu wydawnictwa Czytelnik na powieść, z miejsca został pisarzem zakazanym. Jego tocząca się w poprawczaku, doskonała też w stylu i sposobie opowiadania powieść *Ucieczka do nieba* pierwsze miejsce bezdyskusyjnie zdobyła i równie bezdyskusyjnie została przez cenzurę zatrzymana. Prawdopodobnie powodem była tak zwana szersza wymowa. Jakiś bystrzak w cenzurze zorientował się, że obraz zamkniętego zakładu można czytać jako obraz całego społeczeństwa i fertig.

Legendą też był fragment prozy Komolki *Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole* opublikowany w dodatku do „Studenta" „Młoda Kultura" („Młoda Kultura", a nie „Nowa Kultura", jak niedawno napisałem, na który to błąd zwrócił mi uwagę – wielkie dzięki – Tadziu Nyczek). Czy to było opowiadanie, czy fragment kolejnej, a do dziś (konkurs był w 1976) nieukończonej nowej powieści – nie mam zielonego pojęcia. Zwycięski, zakazany autor w mityczne mroki nieobecności się spowił, pisze, a może nie pisze, jest, a może go nie ma.

Wtedy nie tylko był, ale był na fali. *Ucieczka do nieba* po paru latach, bo po paru latach, ale właśnie się ukazywała, Nagroda Kościelskich wisiała w powietrzu. Gapiliśmy się – zwłaszcza ja – na spełnionego pisarza jak cielęta na malowane wrota, on zaś

zastanawiał się, czy zostać z nami i co nieco pobiesiadować, czy też pójść na strajk studentów na uniwersytecie. Takie wówczas wybory ojczyzna stawiała. Komolka w końcu wybrał strajk, ale – i niechaj będzie mu to policzone – zastanawiał się długo, a nawet bardzo długo.

(Historia ma puentę żadną miarą i w żadnych warunkach nienadającą się do publikacji).

8 listopada 2010

Lektury męczą coraz bardziej, samo planowanie czytania wyniszcza, wyjątków już w zasadzie nie ma, nie warto ani na nie, ani na ich brak liczyć. Sam fakt, że po książkę zatytułowaną *Daleko od Wawelu* sięgnąłem, był z lekka nieobliczalny, ludzie gapili się, choć udawali, że niczego nie widzą. W sumie w planach czytelniczych rzeczy tej nie miałem wcale.

Czego to jednak człowiek nie miewa w planach, a potem co innego realizuje, i to realizuje z superzajadłością, a nawet krok po kroku z odcieniem sadyzmu. Czego to człowiek w księgarni nie bierze do ręki! Zwłaszcza jak nadto dobrze pamięta sezony, w których w sensie ścisłym nie było co wziąć do ręki. Sięgnąłem przeto po dzieje dworu byłego prezydenta – napisane i ukończone, póki ten prezydent i póki ten dwór istnieli. O ukończeniu pracy na początku kwietnia autorzy informują na okładce i nie ma najmniejszego powodu im nie wierzyć. Pisali o tym, co istnieje – wyszło, że w przeważającej mierze pisali o tym, co było. Fart gruby, dramatyczny, krwawy, niestosowny, ale fart. Narracyjne poczucie humoru Pana Boga jest, jak wszelkie jego atrybuty, drastyczne, ale za to nieskończone.

9 listopada 2010

Pewien, a może wyłączny wpływ na pogrążenie się w natychmiastowej lekturze miała okoliczność, że z miejsca, jeszcze w księgarni, trafiłem na fragment poświęcony dosyć ważnej dla mnie miejscowości, mianowicie Wiśle Uzdrowisku, powiat Cieszyn. Nie była to myśl, nie był to gest przesadnie materialistyczny, wyjątkowo sentymentalny, perfidnie symboliczny, z duchowością też bym nie przesadzał. Do dziś reaguję na przykład na tablice rejestracyjne aut z moich stron i wielkiego znaczenia to nie ma; w każdym razie nostalgicznym szlochem nie wybucham.

10 listopada 2010

Jak powszechnie wiadomo, prezydent kraju, a nawet wszyscy kolejni prezydenci kraju miewają cały szereg tu i ówdzie rozsianych rezydencji – jedne okazalsze, drugie więcej kameralne; jedne ściśle tajne, drugie jawniejsze, w jednych wielcy mężowie stanu czują się gorzej, w innych lepiej.

Z książki *Daleko od Wawelu* – i nie tylko z tej książki, z rozmaitych źródeł i z rozmaitych przecieków wiślanie wiedzieli o tym bez żadnego czytania (co oni swoją drogą robią i skąd prawie wszystko wiedzą bez żadnego czytania – osobny temat). W każdym razie zewsząd wynikało, że sławny wiślański zameczek prezydenta Mościckiego prezydentowi Kaczyńskiemu odpowiada (odpowiadał) mniej. Ściśle rzecz ujmując, nieboszczyk nie znosił tego miejsca. Do tego stopnia, że był w stanie olać szczery tłumek stojących na deszczu swych wielbicieli. Tłumek nie tłumek. Nawet kilku fanatykom nie należy zbyt nachalnie podsuwać idei o zmianie barw klubowych.

11 listopada 2010

Cytat z książki: „Wszyscy, co bywali w nadmorskiej rezydencji, w Mewie – niezależnie od opcji – mówią, że ta rezydencja to powód do dumy. O tym, że ośrodek jest przepiękny, świadczą subtelne prośby przywódców innych krajów, którzy delikatnie wpraszają się tu na urlop – opowiada współpracownik prezydenta. Za pieniądze podatnika? – Jeśli nawet, to są to doskonale zainwestowane środki. Ci, którzy raz byli w ośrodku, będą chcieli tam wracać – oświadczył z przekonaniem biegły w sztuce przekonywania rozmówca. Poza tym bywają goście (na przykład Sarkozy), którzy nie tylko upierają się, że zapłacą przynajmniej za siebie, ale wręcz gdzieś w sekretnym miejscu, na jakimś kelnerskim zapleczu to czynią. I co wtedy? Nic, trzeba się pogodzić z losem”. Przyjaźnijmy się tak, liczmy się owak.

10 listopada 2010

Prezydencki zameczek w Wiśle wyremontował i, jeśli można tak powiedzieć, przywrócił nie tylko do politycznego istnienia Aleksander Kwaśniewski. Wisła, moja rodzinna miejscowość, jakkolwiek to brzmi, była i chyba nadal jest oczkiem w jego głowie. Czy kult niedaleko mieszkającego Adama Małysza odgrywał tu pewną rolę? Nie wykluczam, ale nie wiem. Wiem tyle co wy, a może jeszcze mniej.

Kaczyński za Wisłą nie przepadał, a za wiślańskim zameczkiem całkiem i wcale.

Zapewne ciężko mu było zapał poprzednika ostentacyjnie chwalić; być może nawet akcji kibicował, ale w duchu. Kto wie, może wręcz bez cienia wątpliwości przystał do tej elitarnej grupy kibiców, którzy uczuć nie okazywali, którzy nad niektórymi miejscowymi ruinami boleli, ale dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata przechodziły – a tu nic. Ani roboty, ani kierownika roboty. Do czasu pojawienia się ludu i przywódcy tegoż ludu.

11 listopada 2010

Powody niechęci prezydenta Kaczyńskiego do Wisły podobno były (oficjalnie) dwa. Pierwszy taki, że występuje tam wielka obfitość sprzętów przypominających jego poprzednika, łącznie z aurą pałacu, łącznie z portretami byłej prezydenckiej pary w strojach – na domiar występku – z okresu międzywojennego.

Słowem, jest tam tyle rozmaitych „kwaśniewskich" realiów i „kwaśniewskich" dusz pokutujących, że aby je usunąć, nie wiadomo ilu ludzi i nie wiadomo ile czasu musiałoby pracować. A pobyty w Wiśle siłą rzeczy musiałyby być krótkie – wtedy najwięcej się zapomina i traci.

Czyste przeciwieństwo Wybrzeża, gdzie – jak wspominają autorzy – do zasłonięcia jednego tylko oblicza (co specjalnie kuriozalne, była to tabliczka upamiętniająca First Lady Jolantę) użyto gustownej makatki, w sensie estetycznym raczej nieporównywalnej z niczym.

Drugi powód taki, że Wisła jest jednym z nielicznym miejsc w polskich górach, gdzie Kaczyński przegrał w wyborach 2005 roku. To są jakieś dziwne wytłumaczenia. Lech wybiera Juratę, bo ją lubi, i tyle – tłumaczył ówczesny minister Michał Kamiński w 2008 roku. Takie są fakty, innych nie ma. I tyle. O subtelnej okoliczności, że Wisła jest także miejscowością w przeważającej mierze zamieszkaną przez ewangelików, że wieją tam innowiercze wiatry – co pociąga (może pociągać) zdecydowaną większość za

sobą, a nawet prowokuje pewne określone decyzje i wybory polityczne – nie padło ani jedno słowo. Jak najtaktowniej, rzecz jasna.

12 listopada 2010

Niepojawienie się prezydenta na spotkaniu z wiślanami było jednakowoż również faktem. Negatywnym, nieco niższego rzędu, ale faktem. Jak piszą autorzy Majewski i Reszka: „Prezydent odwiedzał Wisłę sporadycznie, a Wisła czekała. W prezydenckich apartamentach codziennie były świeże kwiaty, na stołach leżały dopiero co kupione owoce, w łazience wisiały świeże ręczniki".

A jakie, na Boga, miały wisieć? Raz tylko przez poprzedników użyte?

13 listopada 2010

Podobno psychologizowanie w polityce jest pierwszym kardynalnym błędem, pierwszą ludzką, a może nieludzką naiwnością i w ogóle dowodzi zdziecinnienia. Mam przeto w tej dziedzinie kwalifikacje wysokie – może nawet najwyższe. Jestem naiwny niczym popełniające szkolne byki dziecko. Całej masie ludzi – nawet specom od katastrof lotniczych – wierzę, i to wierzę bezkrytycznie, nieraz wręcz entuzjastycznie, jak rozpłomieniony baśniami pięciolatek.

Wierutne bzdury, w które przy w miarę zdrowych zmysłach uwierzyć się nie da, budzą mój szczery żal, że aż tak są żałosne. Jest mi żal, że żadne UFO, duchy, zjawy i inne byty spirytystyczne nie istnieją. Milej by było, gdyby istniały.

Z totalną za to naiwnością nie wierzę w obfite klechdy o spiskach, i to nie wierzę w nie – by tak rzec – podwójnie. Nie wierzę ani w same spiski, ani w to, by istnieli ludzie, których wymyślanie, konstruowanie i realizowanie jakichś terrorów by zajmowało. Nie przyjemniej poleżeć na kanapie, niż trudzić łeb wymyślaniem niewidzialnych zapalników? Oczywiście przyjemniej, ale ludzkość wciąż mamy nieludzko krnąbrną.

14 listopada 2010

Choćby spece od katastrof uwijali się jak w ukropie, choćby wydajność mieli stachanowską, precyzję szwajcarską czy choćby przeciwnie, z pracą się nie spieszyli, choćby miesiącami analizowali każde ziarnko piasku, choćby nie wiadomo z jaką flegmą każdą blaszkę dawali pod mikroskop – niezależnie od tego, jak przekonujący i jak rozjaśniający wszelkie okoliczności byłby i będzie werdykt, katastrofa smoleńska na dziesięciolecia, na wieki, i na zawsze pozostanie katastrofą tajemniczą, dziwną, straszną, w wysoce niejasnych okolicznościach mającą miejsce. Tego nic nie zmieni, tej ciemności nic nie rozwidni. Głód apokalipsy mało kiedy maleje. Sensownie jest żyć w świecie normy – ciekawiej jest jednak, gdy świat wypada z normy.

Z każdym rokiem, z każdą dekadą i z każdym stuleciem tragedia ta będzie mitycznieć, mrocznieć i świętości nabierać. Zapomniana nie zostanie nigdy. Cała, a jak nie cała, to znaczne obszary genetycznej polskiej antyrosyjskości będą na niej wzrastać, owocować i czerpać z niej życiodajne soki. Żaden zarzut, żadna płaska ironia. Gdyby żyła moja babka i gdyby się dowiedziała, co się stało, powiedziałaby to, co zawsze w takich czy raczej w podobnych okolicznościach mawiała, powiedziałaby mianowicie: Ze wschodu nawet dobry wiatr nie wieje.

Jako człowiek rozsądny powinienem dać w tym miejscu, a może wręcz rozwinąć jakąś ogólnohumanistyczną uwagę typu: wybiła

godzina, by i ze wschodu dobry wiatr powiał, albo coś jeszcze bardziej ogólnoludzkiego. Niestety nie mogę tego uczynić. Relacje polsko-ruskie relacjami polsko-ruskimi, a babka babką. Wiadomo, co ważniejsze.

15 listopada 2010

Albo polityka, albo psychologia? Olewam tę alternatywę, wyważanie otwartych drzwi przychodzi łatwiej – niejeden czynił to przede mną. Wszelkie metafory sportowe dawno wyczerpane. Wy gracie – ja kibicuję; nic więcej.

Jak wszystkich kibiców zajmuje mnie ostatnio (ostatnia?) gra Jarosława Kaczyńskiego. Zajmuje mnie od strony osobistej, ma się rozumieć. Jakieś przemowy, listy, wywiady, jakieś usuwanie członków – i to jak oddanych i jak wiernych – z partii to nie są moje melodie.

Choć trochę są. Za Polski Ludowej, za wczesnej Polski Ludowej, obowiązywała partyjna fraza, ewidentny na dodatek rusycyzm – „wyprowadzanie". Ten a ten towarzysz „wyprowadzony" został z KC. Robiło to na dziecku upiorne wrażenie, ponieważ frazes rejestrowałem dosłownie: wyobrażałem sobie, jak dwóch, a może nawet trzech muskularnych członków Biura Politycznego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej podchodzi do jednego z czołowych autorów okresu błędów i wypaczeń, i bierze go pod ramiona i pomimo wrzasków, zapewnień o ideologicznej nieskazitelności, może nawet mimo czynnego oporu, obezwładnia go i wywleka (wyprowadza) z sali obrad. Precz, niezasługujący na tytuł towarzysza zdrajco! Potem, niechybnie na skutek wyparowania z organizacji jakiejkolwiek ideologii, a nawet pozorów ideologii,

słowo to zanikło – by jedyny jeszcze raz na „wyprowadzenie” własnych zwłok wrócić.

16 listopada 2010

Z jednej strony do psychologicznych analiz Jarosław Kaczyński pasuje jak nikt, z drugiej byłaby w tego rodzaju (nawet chałupniczych) akcjach wyjątkowa jakaś nieprzyzwoitość. Z trzeciej strony obecna Polska to nie jest boisko, na którym rozgrywa się jakieś fair mecze. Tu się gra ostro, na granicy brutalności, daleko za tą granicą, szczerze mówiąc.

Przed byciem zwyczajnym – jak większość facetów w jego wieku – pacjentem, któremu szwankuje to czy owo – broni byłego premiera to, że jest pacjentem nad pacjentami, że jest politykiem, w którego życie śmierć wdarła się z niewiarygodną brutalnością, że często jemu i jego bratu towarzyszące komizm i groteska jednym ruchem samolotowego steru obróciły się w kir, w żałobę, w pieśń pogrzebową. Polityczna sezonowość przeistoczyła się w transcendentną wieczność. Małość obróciła się nie w normalność, lecz w gigantyczność. Niczym postawiony niedawno na ziemiach polskich posąg Chrystusa Olbrzyma, który góruje nad wszystkim. Nawet nad sobą samym.

17 listopada 2010

Co z tym zrobić? Wykwintnie milczeć? Wypowiadać się wyłącznie w trybie współczująco-żałobnym? Oddzielić – to już się nie udało – żałobę od polityki? Obserwować zmiany? Ależ to jest mistrz przywdziewania barw ochronnych! Już raz się zmienił i była to najwyższego podziwu godna zmiana. Przypuszczam, że nawet brat, gdyby żył, byłby w szoku.

A może to nie była żadna zmiana? Może on taki dobry, życzliwy, otwarty, wręcz potulny jest zawsze? Może polityka – dziedzina, którą kocha, która jest jego nałogiem, jego pasją, jego posłannictwem, może ten hazard, któremu oddał i poświęcił wszystko – go psuje? Kanceruje mu osobowość? Kaleczy duszę? Furie nań sprowadza? On zaś, wiedząc, z jak trudnym, jak zwodniczym i jak zgubnym żywiołem ma do czynienia, broni się, przywdziewa maski i kostiumy, ucieka, gdzie się da, myli pogonie?

18 listopada 2010

Pisząc, że ciekawi mnie prywatność byłego premiera, nie miałem na myśli żadnych relacji, kontaktów, jazd czy spacerów. Szło mi o jeden jedyny moment, o parę minut, o tych parę minut, a może nawet o tych kilkadziesiąt sekund, podczas których człowiek budzi się i przychodzi do siebie. Wraca do świata i uświadamia sobie, jaki ten świat jest. Jaki teraz jest. Przy okazji niechaj nikt nie myśli, że ja na tego rodzaju pytanie oczekuję jakiejś odpowiedzi. Myślę, wyobrażam sobie, pytam, ale odpowiedzi znać nie chcę.

19 listopada 2010

Ci, którzy czytują moje teksty, mogą pamiętać, że dosyć lubiłem o Kaczorach pisać i że czyniłem to przeważnie w tonacji błazeńskiej. Ma się rozumieć, nie żałuję ani jednego słowa, ani jednej litery z tamtych komedii. Pod tym względem katastrofa smoleńska budzi we mnie silną (na granicy furii) irytację – pisz tu, chłopie, o estetycznych walorach podwójności, gdy została tylko liczba pojedyncza, a i ona ledwo żywa.

Na powszechne dowcipy o Kaczorach – a był ich, jak pamiętacie, bezlik – reagowałem przychylnie, choć nie bez elementu chłodu. Uważałem, że moje celniejsze. Rozmaite rzeczy się działy.

Ale gdy teraz słyszę rozmaite uwagi, co zrobić z Kaczorem albo co powinien sam Kaczor zrobić ze sobą – buty mi może nie spadają, ale się rozwiązują. Jedna z fundamentalnych rad głosi, że Kaczor powinien się wycofać z polityki. Tak? Tak! A co będzie po tej rezygnacji robił? Książki czytał? Kota głaskał? Przez okno się gapił? Wszystko to są miłe rzeczy – tyle że w pewnych sytuacjach zabójcze. Dajcie mu święty spokój. Trauma (na przykład katastrofa samolotu, którym leciał brat) wzmaga ciemne strony osobowości. Jeśli oczywiście ktoś takie strony ma. Jarosław Kaczyński raczej ich nie ma. Sam kiedyś oświadczył, że jest samym dobrem – teraz ludycznym wymiarem tej konfesji nie ma co się zajmować. Jak działa, jak mówi, jakie ma plany polityczne –

nie jest aż tak ważne. On wstaje rano i próbuje kolejny dzień przetrwać, bo swoje życie przed samym sobą ratuje.

24 listopada 2010

Jak tak dalej pójdzie, nie tylko konstrukcja tych notatek, ale życie codzienne – i tak z najwyższym trudem w wątłych ryzach utrzymywane – runie. Znów znalazłem się w centrum miasta o nietypowej porze. Gdzieś tak koło drugiej, a może nawet pierwszej ruszyłem na przechadzkę w kierunku placu Trzech Krzyży. Kiedyś był to mój niepodważalny szlak królewski, od czasu jednak, gdy zlikwidowano tam knajpę o – do dziś dla niektórych ekscentrycznej – nazwie Modulor, szlak się zmienił. A nawet gorzej – popadł w nieokreśloność zupełną. Raz tu, raz tam, byle niedaleko i byle zawsze tak samo.

Walory Modulora były ogromne, a możność siedzenia przy szklanej ścianie i tępawego przyglądania się okolicy – frajda pierwsza, główna i w stolicy w zasadzie niewystępująca. Kto ma atawizm wynikający ze spędzenia ładnego kawałka życia przy panoramicznej szybie z widokiem na przykład na krakowski rynek – z kleszczy klaustrofobii nie wyjdzie nigdy.

Gdy przenosiłem się do Warszawy, Modulora jeszcze nie było, a teraz, po paru zaledwie latach, już go nie ma. Nowa Europa jest szybka, sprawna i perwersyjna. W miejscu, w którym był nieźle prosperujący bar, obecnie jest, jeśli się nie mylę, sklep z jakimś kapitalistycznym przyodziewkiem – sama guma do majtek szesnaście tysięcy euro.

25 listopada 2010

Oczywiście nie muszę tam łazić, ale polazłem, rozdrażniony i w nerwach. W istocie na żadną „przechadzkę w kierunku placu Trzech Krzyży" się nie wybrałem, w istocie ruszyłem tam w ataku furii, z pianą na ryju – z własnego domu odgłosami niekończących się remontów wygnany. Jeśli przynależność do Unii wieczny remont oznacza – to ja dziękuję bardzo. Hymnem tego świata nie jest żadna *Oda do radości*, ale symfonia wiertarek najnowszej generacji. Dzięki nauce, a specjalnie myśli technicznej, za wszelkie jej zdobycze!

Czy ja zresztą dokładnie wiem, że akurat przed mechanicznym dziurawieniem ścian uciekam? Może jakiś zastój przykrywam? Pisanie pół na pół? Jak się pisało całość na całość, nawet młoty pneumatyczne nie wadziły.

Pewnie trochę przesadzam, resztkami świadomości zdaję sobie sprawę, że wiele moich wyznań to są coraz częstsze biadolenia starego dziadygi – ale mówcie, co chcecie: dawniej remonty były cichsze. Może dłuższe, ale cichsze. Wybór też niełatwy, ale był. Jedna wiertarka na pół osiedla robiła swoje.

26 listopada 2010

U mnie zresztą całkiem niedawno też bywały jakieś prace murarskie, kanalizacyjne i wszelkie inne, ale u mnie z zegarmistrzowską precyzją i w kościelnej ciszy pracowała ekipa świętej pamięci Krzysia Wysockiego. Będzie ze dwa tygodnie, jak umarł, i choć niedorzeczność śmierci to jest pojęcie znane mi nie tylko z lektury, w tym akurat przypadku kompletnie nie jestem w stanie oswoić się z myślą, że wybitny majster, godzien najwyższego zaufania spec i dobry mój kolega nie odbierze już komórki, nie zapisze daty i kolejności robót w opasłym notesie, nie wpadnie rzucić okiem, czy wszystko w porządku. Miałem plany zabrać go do Wisły, by przy chałupie parę rzeczy poprawił – pojechał sam i w innym kierunku. Niech Ci, Krzysiu, ziemia lekką będzie – tyle mogę dla Ciebie zrobić – linijkę w pisaniu poświęcić.

27 listopada 2010

Wracam do groteskowej, a nawet tragikomicznej marszruty w kierunku placu Trzech Krzyży. Otóż ja podobno, nawet jak idę normalnie, to chodzę nieprzychylnie. Nie wysuwam samego siebie na plan pierwszy, ale tyle razy zwracano mi na to uwagę, że coś może być na rzeczy. Za często słyszę pytania, czy nie jestem chory, czy nic się nie stało, czy wszystko OK. Inni znów mówią, że chcieli o coś zapytać, ale się bali, bo wyglądało, że nie wszystko OK. Owszem, wszystko OK, a nieprzychylny ryj mam od urodzenia. Elastyczność nie jest tu znaczna. Raz moje rysy są bardziej wrogie, raz mniej, ale zawsze wrogie. Pytania, jakie miałem oblicze wygnany z mieszkania i z ciągłym warkotem wiertarek pod czaszką, nie ma sensu zadawać.

Zdawałem sobie sprawę z własnego stanu i prułem wartko, z opuszczoną głową, ani w lewo, ani w prawo, ani w ogóle w żadnym kierunku się nie oglądałem, sąsiadowi jedynie, eleganckiemu starszemu panu z wyraźną skłonnością do militarnej galanterii, uścisnąłem dłoń i hajda dalej!

Ale coś nie hajda! Coś idzie nie tak, za gęsto i za zielono wokół się robi, jedna ciasnota przechodzi, za nią kolejna nadciąga, nagle w sercu dziwacznego znajduję się tłumu i już, nie bacząc na własną minę, w sensie ścisłym do muru przyparty, podnoszę głowę i – jak to pisał Lechoń? „Milcz serce! Mundury!”.

Tłum w mniej lub bardziej zielonych uniformach, jednolitość, ale nie ortodoksyjna, czapki na przykład różne; słowem, formacja dla mnie kompletnie nieczytelna. Owszem, gdzieś kiedyś widziałem takie kroje, takie szyki, takie kapelusze, ale nigdy w takiej liczbie i nie jest pewne, czy na jawie – może oni pochodzili z ilustracji, z baśni, z filmu, ze snu?

Myśl, że są to ludzie Bola Tejkowskiego (tak się napotkany przed chwilą sąsiad nazywa – kto identyfikuje, co to za postać historyczna, ten identyfikuje), otóż myśl, że Bolo swoje oddziały gdzieś prowadzi, jest niby możliwa, a jednak wykluczona. Niby symetria podsuwa taki wariant jako niezbitą przesłankę, a gołym okiem widać, że samą symetrią daleko się nie ujedzie.

To nie była armia o wyrazistym profilu i żelaznej dyscyplinie. Mimo dookolnej zieleni trwałem w ciemnościach. Trwałem w nich długo, bo długo jeszcze moje władze poznawcze nie funkcjonowały jak trzeba, ale w końcu rzecz się wyjaśniła, i to sama z siebie. Otóż na końcu pochodu (bo to prawdziwy, choć już nieco wyluzowany pochód był), na samym jego końcu szły dwie damy w zielonych sukniach i entuzjastycznie wykrzykiwały: „Jesteśmy z leśnikami! Jesteśmy z leśnikami! Jesteśmy z leśnikami!”.

Oto cała historia – to, co za dziwaczną armię czy inną korporację brałem, okazało się demonstracją, a może nawet kongresem gajowych. Po Warszawie tego dnia liczni gajowi łazili, a moje usprawiedliwienie, że ostatnio z bliska gajowego pana Sztwiertnię widziałem pół wieku temu, niewiele jest warte – wyciem wiertarek mały obszar świata da się usprawiedliwić.

4 grudnia 2010

Barbórka – jest jeszcze takie święto? Kiedyś było. Ojciec przywdziewał mundur górniczy i na długie wieczory przepadał na rytualnych „karczmach piwnych". Z każdej przynosił olbrzymi i co roku inny kufel. Wracał późno, niekiedy w nieznacznym zachwianiu, ale z grubego szkła uczynionego nie tyle naczynia, ile w pewnym sensie dzieła sztuki – nie uszkodził nigdy.

„Karczmy piwne" były rygorystycznie męskimi imprezami, żadne baby, nawet kelnerki na tych biesiadach nie miały prawa się pojawić. Anegdoty, powiedzonka, opowieści, obrzędy inicjalne (skok przez skórę? Majaczy mi w pamięci coś takiego?), przyjmowanie do rzemiosła młodych adeptów – wyłącznie dla męskich oczu i uszu były przeznaczone. Teraz, jak się zdaje, reguły te nie są zbyt ortodoksyjnie przestrzegane, a wszystko, co „nie jest zbyt ortodoksyjne", jest w tej epoce eufemizmu dowolnością w stanie czystym.

„Karczmy piwne" uroczystości barbórkowych nie wyczerpywały, były istotnym podziemnym obyczajem, ale i na powierzchni działo się niejedno. Głównie wielkie bale Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Z młodzieńczą ochotą rodzice na te bale wyruszali, stary zawsze z muszką pod szyją, matka w światowych (niektóre sama szyła albo przerabiała) kreacjach; przed wyjściem nawet drinka dla śmiałości wypijali. Uwielbiali te imprezy, co nie

dziwota. Lekko licząc, ode mnie obecnego o trzydzieści lat byli młodsi – chciało im się. Jeszcze im się chciało.

Są nadal takie bale? Pewnie są i pewnie są sto, tysiąc razy bogatsze, ekskluzywniejsze i huczniejsze, są z całą pewnością, tyle że nie nasze. Zrzędzę? Kapryszę? Grymaszę? Owszem. Prócz tego z melancholią patrzę na lekko przykurzoną kolekcję ustawionych w rozmaitych miejscach kufli. Jest tego trochę – ojciec Barbórek i wszelkich związanych z tym świętem okoliczności nie odpuszczał nigdy.

5 grudnia 2010

Dalszy ciąg utyskiwania? Rzecz jasna. W końcu wystarczy w okno spojrzeć. Jeszcze nie tak dawno narzekało się, i to narzekało się gremialnie, że prawdziwe zimy to były za Stalina, a nawet za Gomułki. Ci maruderzy – należę do nich – co współczesnych zim doczekali, mają za swoje. Tym bardziej mają (mamy) za swoje, że wyznawany przez nich (przez nas) mit globalnego ocieplenia runął. Zaraz, zaraz? Runął w końcu czy nie runął? Aż tak ściśle sprawy nie śledziłem i w gruncie rzeczy nie wiem, czy była jakaś konkluzja. Zwłaszcza czy była jakaś konkluzja obowiązująca. Jak w końcu jest z tym ociepleniem? Jest czy go nie ma? Dla tych, co uważają, że jest – jest, a dla tych, co uważają, że go nie ma – nie ma? Czy jak? Każdy przy swoim stoi i jakiegoś globalnego konfliktu z tego powodu też nie ma? Jak tak, to najlepiej.

Jedyna prawdziwie przykra zimowa konsekwencja – odwołanie ostatniej kolejki piłkarskiej ekstraklasy. Z jednej strony dobrze, bo kolejna porażka „Pasów" przełożona na wiosnę, człowiek ma trochę czasu, żeby choć na chwilę dojść do siebie. Z drugiej strony szkoda; mam upodobanie do meczów rozgrywanych w surrealistycznych warunkach pogodowych. Może to wspomnienie granych w śniegowych zamieciach spotkań Górnika Zabrze z Manchesterem United ze świętej pamięci George'em Bestem w składzie, może słynnego „półfinału na wodzie" z Niemcami w 1974, a może nie tak słynnego, ale też

rozgrywanego w rzęsistym deszczu i błocie prestiżowego pojedynku z VIB (z Marchewczykiem i Borkackim) w latach sześćdziesiątych? Może Bóg wie jakie jeszcze widowisko futbolowe tak się na podświadomości odcisnęło, że do dziś pragnie ona wznowienia tego rodzaju spektakli?

Na pociechę do gazet weekendowych zajrzałem, ale weekendowa prasa – bez materiałów podgrzewających gorączkę czy choćby, w naszych stronach permanentnie występującą, podwyższoną temperaturę ligowej młócki – zawsze zdała mi się mdła. Pewną pociechę zapowiadał tytuł artykułu nienachalnego znawcy i kibica, Bronisława Wildsteina: „Piłka jest najważniejsza", ale i to zmyła – tytuł był puentą i na odwrót. Poza tym o piłce ani dudu.

6 grudnia 2010

W swej najnowszej, świetnej książce *Spiski. Przygody tatrzańskie* Wojciech Kuczok czyni wyznanie – tyczące pewnego gazdy, który nader ospale, mimo że mecz już trwa, uruchamia telewizor. „Być może wtedy właśnie nabrałem nieuleczalnej niechęci i dozgonnej nieufności do wszystkich mężczyzn nieemocjonujących się futbolem; być może niemiłosierne ociąganie się gazdy i jego brak zrozumienia dla mojej rozpaczy z powodu tracenia pierwszych, jakże istotnych minut spotkania inauguracyjnego (nawet początkujący eksperci i raczkujący analitycy wiedzą, że najwięcej bramek pada na początku i pod koniec każdej połowy, te zaś, którym zdarzy się paść w pierwszych minutach, mają szczególną moc układania meczu) spowodowały, że później zawsze stroniłem od piłkarskich ignorantów".

Dobrze powiedziane, ale do utrzymania trudne – o facetach, których piłka nie ciekawi, rozprawiał nie będę. W najbliższym moim otoczeniu wielu ich nie ma – szczerze mówiąc, jeden tylko występuje, a i on niebawem pewnym edukacjom zostanie poddany. Cóż jednak robić, gdy ktoś z mitycznej i duchowo najbliższej obstawy tak grzeszy? Na przykład silnie obecna w moim życiu babka Maria po sportowej transmisji radiowej, widząc moją rozpacz albo euforię, zadawała zawsze to samo pytanie: „Co z tego będziesz miał?". Kochałem ją nadal, ale kryzysy bywały. (Nawiasem: *Spiski* czyta się świetnie, ale ani ta rzecz, ani sam

Wojtek nie przekona mnie, że gwara – nawet w minimalnych dawkach – jest w prozie do obrony).

7 grudnia 2010

Pewnie, że im mistrzostwa bliżej, tym niektórym dziennikarzom dalej, a zwłaszcza ciężej. Po pierwsze entuzjazm i społeczny poryw w swej elementarnej pozytywności są trudne do opiewania. Po drugie ci, co w piłkę nigdy nie grali, nigdy nie kibicowali i nie mają o tej dyscyplinie zielonego pojęcia, mogą się czuć zmarginalizowani. Robić będą mieli co – w końcu reszta na rzeczach naprawdę ważnych będzie skupiona – lecz tym mocniejsze może tu być poczucie wykluczenia. Jest jakaś rada? Jest oczywiście. Świętej pamięci Jan Błoński, promotor mojego nienapisanego doktoratu, gdy uskarżałem się, że proza naukowa nie bardzo mi wychodzi, wzruszał ramionami i mówił: „Niech się pan tego nauczy".

9 grudnia 2010

Katastrofa smoleńska nie tylko pojedynczymi utworami poetyckimi zaczyna owocować – pokazują się pierwsze książki. Literatura faktu, czyli też literatura, też proza, też mieszanina faktów i fikcji. Ba, póki żył i tworzył Ryszard Kapuściński, liczni głosili, że to jest nasza specjalność, że w tej dziedzinie – za sprawą choćby tylko tego jednego autora, który lada chwila Nobla weźmie – jesteśmy światową potęgą, mocarstwem reportażu, imperium reporterskich relacji etc., etc.

Jak Kapusta umarł, powstało wprawdzie zamieszanie – niekiedy wśród tych samych wielbicieli – bo pokazało się, że autor *Cesarza* prawdę i fikcję mieszał – łagodnie mówiąc – w umiarkowanie ortodoksyjnych proporcjach. Zamęt ten – ma się rozumieć – dowodził jedynie, że on umiał proporcje kombinować, oni zaś nie mieli zielonego pojęcia, co właściwie, jakie w gruncie rzeczy ich pupil pisał książki. Kłamał? Jak to możliwe? Przecież ktoś odpowiedzialny za prawdę powinien w wydawnictwie czy innej instytucji za prawdę odpowiadać! Owszem, kiedyś było ministerstwo prawdy, ale i z nim nasz – jak się okazuje – fantasta chytrze sobie radził.

O kreacyjnych pasmach w pismach Ryszarda Kapuścińskiego nie będziemy się tu rozwodzić. Ile takich pasm może być w wydanych właśnie dwu książkach o smoleńskiej tragedii, strach pomyśleć. Jak żadnego tego rodzaju akapitu tam nie ma – też

niedobrze. Jakby dla wzmożenia niejasności obie prace mają identyczny tytuł: *Ostatni lot*, obie zostały wydane przez Prószyńskiego. Jedna jest tłumaczeniem z rosyjskiego, podtytuł *Spojrzenie z Rosji*, autor Siergiej Amielin, druga to dzieło trzech naszych dziennikarzy – Jana Osieckiego, Tomasza Białoszewskiego i Roberta Latkowskiego. Na razie nie czytałem, ale już kupiłem. Nie pierwszy raz mówię: posiadanie książki jest formą lektury.

Na razie nie czytałem, bo obie rzeczy są tak dla nich dogodną temperaturą rynkową podgrzane, że trochę parzą. Nic złego nie mówię, nie wykluczam, że lektura – nawet, a może zwłaszcza w sferach domysłów, pogłosek, zakulisowych wieści i innych fikcji – może okazać się frapująca. Na razie jednak mam kłopotliwe poczucie, że temat autorom (bez mała sześciuset stron) za dosłownie spadł z nieba. Żadnego moralizowania, ale gdy pomyślę, jak gigantyczna i w jak gorączkowym tempie praca musiała zostać wykonana – zdążyć póki lotnisko niezamiecione, a nieboszczycy jeszcze ciepli – mam uczucia mieszane. Luterski podziw dla nieludzkiej w nadludzkich warunkach roboty przeważa, ma się rozumieć. Poza tym zakładamy wyłącznie dobrą wolę – w końcu wszystkich domagających się wyjaśnienia cechuje wyłącznie krystaliczna dobra wola. Nieprawdaż?

10 grudnia 2010

Bliższa mi jest na obecnym etapie poezja tycząca katastrofy, poezja katastrofą zainspirowana, poezja katastrofę piętnująca. O sławnym wierszu Jarosława Marka Rymkiewicza zostało powiedziane wszystko. W moim przekonaniu, a też w moim języku znaczy to, iż wszystko, co ma istotny sens w tym tekście (i wokół tego tekstu), napisał w „Tygodniku Powszechnym" profesor Marian Stala. Tekst nosił tytuł *Poeta i polityka*. Cytuję wybrane fragmenty.

„1. Jarosław Marek Rymkiewicz jest wybitnym poetą. Nie tak wielkim jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Herbert, ale mocno i trwale obecnym w poezji ostatniego półwiecza.

2. Jak dobrze wiedzą jego wierni czytelnicy, centralnym nurtem twórczości JMR jest poezja metafizyczno-egzystencjalna, poezja istnienia i nieistnienia, poezja śmierci. Ale: jest on także autorem kilku wielkich wierszy politycznych, pochodzących z tomu *Ulica Mandelsztama*, wydanego po raz pierwszy (poza zasięgiem cenzury) w roku 1983. Nie zapomnę nigdy tytułowego wiersza, przypominającego los wielkiego rosyjskiego poety; nie zapomnę odpowiedzi na pytanie «A gdzie jest ta ulica» – «Tam gdzie z Bogiem pod rękę co dzień spaceruje / Kufajkę ma przegniłą i w szwach mu się pruje // Za nim enkawudzista idzie w sztok pijany / A Bóg z Schubertem grają na dwa fortepiany».

Nie zapomnę też innego wspaniałego wiersza, napisanego we wrześniu 1982, odtwarzającego nastrój pierwszego poranka stanu wojennego: «Kiedy się obudziłem, Polski już nie było. / Na skwerze przed Teatrem, jak za Paskiewicza, // Małe włochate konie kozackich szwadronów / Szczypały suchą trawę, krzyczeli setnicy // I słychać było śpiew w nieznanej mowie»... «Kiedy się obudziłem, Polski już nie było»: rzadko udaje się napisać tak mocną frazę.

3. W «Rzeczpospolitej» z 21 kwietnia przeczytałem nowy polityczny wiersz JMR, przesłany do redakcji dwa dni wcześniej i noszący tytuł *Do Jarosława Kaczyńskiego*. Jak *Ulica Mandelsztama* i jak *Kiedy się obudziłem...*, tak i on napisany jest trzynastozgłoskowcem, najbardziej polską z polskich miar wierszowych. Więcej: słychać w nim mickiewiczowskie reminiscencje i pojawia się nazwisko największego z romantycznych poetów. A przecież: trudno byłoby powiedzieć, iż tak brzmi, tak powinien dziś brzmieć głos polskiej poezji. Jeszcze trudniej powiedzieć, że jest to wielki wiersz.

4. Napisać w tych dniach wiersz skierowany do Jarosława Kaczyńskiego, wiersz mierzący się z duchową i polityczną sytuacją Adresata – to bardzo trudne wyzwanie. Nie dziwi mnie, iż podjął je właśnie Jarosław Marek Rymkiewicz. Nie dziwi mnie wpisane w wiersz ludzkie i polityczne wsparcie udzielone Kaczyńskiemu. Nie dziwi mnie apel: «Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien Bratu!», ani końcowe pocieszenie: «Niech się Pan trzyma – Drogi Panie Jarosławie!».

5. Co psuje i pomniejsza wiersz Rymkiewicza? Psuje go, już w pierwszym wersie, nazwanie ideowych przeciwników – «łajdakami». Psuje go powtarzanie w roku 2010, w wolnej

Rzeczypospolitej, iż istnieją dwie Polski. Psuje go twierdzenie, że Polska pierwsza to «ta o której wiedzieli prorocy», a druga – «ta którą w objęcia bierze car północy». Psuje go powtarzanie, że Polska jego przeciwników «chce się podobać na świecie», zaś Polska bliska mu to «ta którą wiozą na lawecie». Nie warto tych ocen rozważać i interpretować, nie warto z nimi dyskutować. Nie warto, bo mimo poetyckiej stylizacji – Rymkiewicz nie mówi w przywołanych fragmentach językiem politycznej poezji ani nawet poetyckiego pamfletu. Mówi za to językiem czarnej, partyjnej propagandy. To jest smutne. To odbiera wierszowi poetycką siłę. Doprawdy: wybitni poeci nie muszą wykonywać takich zadań; w tej dziedzinie sprawniejsi są partyjni propagandziści.

6. Redakcja «Rz» dodała do wiersza JMR długą notę przypominającą wszystkie jego dzieła i wszystkie wyróżnienia, jakie kiedykolwiek otrzymał. Zastanawia mnie ten brak wiary we własnych czytelników. Bo kto jak kto, ale czytelnicy gazety Pawła Lisickiego powinni wiedzieć, kim jest ten właśnie poeta.

7. «Rzeczpospolita» wydrukowała wiersz JMR dwa dni po przysłaniu go do redakcji, na stronie 17. Ośmielę się wyrazić przypuszczenie, że polityczne wiersze, o których doniosłości redakcja gazety jest przekonana, drukuje się natychmiast, na pierwszej stronie. Rzecz jasna: mogę się mylić".

Tak powiada Marian Stala i, jak to bywa prawie we wszystkich jego tekstach, nic dodać, nic ująć.

11 grudnia 2010

Chyba że ktoś ma niedosyt. Okazuje się, że przykry stan niedosytu, a może nawet głodu, doskwiera autorowi, który we właśnie wydanym zbiorze *Wiersze polityczne* wiersz *Do Jarosława Kaczyńskiego* zamieścił (być może wiersz ten w ogóle dał asumpt do ogłoszenia takiej antologii) i który do tej swoistej „Ody do Jarosława" kilka stroniczek egzegezy – co całkowicie zbyteczne – dołożył.

Poeci tłumaczący własne wiersze, w odpowiednich kontekstach je umieszczający i wymowę – nieraz ich zdaniem głęboką – ukazujący to jest zawsze ryzyko, a przeważnie fiasko. Wielbię Miłosza, ale czytanie wydanego przezeń *Traktatu poetyckiego* z jego komentarzem było doświadczeniem trudnym. Czytelnik jest od zachwytu – nie musi, a może nawet nie powinien wszystkiego wiedzieć.

Rymkiewicz swój komentarz daje, ponieważ zauważył, „iż historyczny kontekst tego wiersza – a także wszystkie zawarte w nim odwołania do poezji Mickiewicza – nie zostały [co bardzo poetę boli] zauważone". Z bólem bym nie przesadzał, bywają ignorancje boleśniejsze. Prawdziwie wielkie wiersze obywają się bez przypisów, co nie znaczy, iż nie ma w nich tajemnic godnych nieraz nawet frapujących przypisów. Ale nie są to rzeczy konieczne. Uświadamiając czytelnikowi wszystkie mickiewiczowskie odwołania, z nieukończonym (a może tylko

ledwo zaczętym) przez wieszcza dramatem *Jakub Jasiński, czyli dwie Polski* na czele, Rymkiewicz strzela sobie w nogę – wychodzi, że jak zwykle znów coś odpisał. Inspiracja inspiracją, ściąganie ściąganiem. Osobiście – pełen dobrej woli – widzę tu inspirację, liczni jednak na mieście mówią i mówią uczenie, że to jedynie parafrazy, pastisze i inne zabawy sędziwego polonisty. Jeśli tak – i to jest dobre. Gra wierszami o katastrofie mniej brzmi przerażająco niż z każdej strony słyszalna „polityczna gra katastrofą".

Nie wszystkimi wierszami i inspiracjami będę się zajmował, lecz nad ogłoszonym w ostatniej „Twórczości" wierszem Bohdana Zadury nie ja jeden powinienem się pochylić. Sam dystans poety jest zjawiskiem w dzisiejszym pisaniu (pisanie o katastrofie – mniejsza, jakich autorów pomijam szerokim łukiem – mniejsza) zjawiskiem tak rzadkim, że warto tę tonację przypomnieć i warto wiedzieć, że istnieje wielki poeta, który takie rzeczy umie robić.

12 grudnia 2010

Spośród rozmaitych pism literackich, które podobno w wielkiej liczbie i rozmaitości istnieją na rynku, najregularniej kupuję „Twórczość". Kupowałem ją i czytywałem za Iwaszkiewicza i po śmierci Iwaszkiewicza, kupowałem i czytywałem za Lisowskiego i po śmierci Lisowskiego i teraz za Zadury nadal kupuję i przeglądam. Henryk Bereza przestał regularnie pisać – dalej kupuję i dalej przeglądam.

Mówiąc „przeglądam", broń Boże nie mówię ani nie daję do zrozumienia, że miesięcznik klapnął i mniej jest rzeczy wartych pilnej lektury. Skąd! Raczej moje czytanie klapnęło, uwaga stępiała, dawne dokładne i nieraz bardzo żarłoczne obcowanie z tekstami – nie tylko z tekstami ogłaszanymi w „Twórczości", w ogóle z wszelkimi tekstami – przeistoczyło się w zasadzie nie wiem w co. W pobieżność? W niecierpliwość? W powątpiewanie, że jeszcze w życiu trafi się na coś ekscytującego? W starczy, słowem, sceptycyzm? We wszystko to naraz plus parę kto wie jakich jeszcze składników? Jeśli sił nie zbraknie, będziemy dociekać wyczerpującej odpowiedzi.

Na razie mogę powiedzieć, że mam do „Twórczości" wielki i dwojakiej natury sentyment. Po pierwsze ja nigdy w „Twórczości" nie wydrukowałem ani linijki, a istnieje – nie tylko w moim wypadku – zjawisko pewnego, by tak rzec: quasi-turystycznego zaciekawienia miejscami, w których nigdy się nie

było, ergo redakcjami, których progu nigdy się nie przekroczyło, łamami, na których swego nazwiska nigdy się nie widziało. Im takie miejsca czcigodniejsze, klasyczniejsze, starożytniejsze, im o takich miejscach więcej legend krąży, tym element zainteresowania wyraźniejszy. W moim wypadku szczególnie wyraźny – mam z racji wieku poczucie, że redakcja na Wiejskiej istnieje, od kiedy żyję, czyli że istnieje od zawsze.

Przy tym nie jest tak, że nigdy w „Twórczości" niczego nie wydrukowałem, bo nie chciałem, bo niczego nie proponowałem, bo żadnego tekstu nie wysłałem. Przeciwnie: chciałem, proponowałem i wysyłałem. Dawno to było, ale było. Gdzieś tak – nie odmówię sobie Herbertowskiej, choć do szczętu zgranej metafory – przed pierwszą wojną perską, czyli w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wyekspediowałem do „Twórczości" tekst, który z młodzieńczą przesadą uważałem za moją pierwszą powieść. Rzecz była zatytułowana: *Masy upalnego powietrza*, o co w niej chodziło, do dziś boję się sprawdzać, ale całość miała prawie sto stron, rozmiar zarówno wymarzony, jak i długo nieosiągalny. Wśród młodych literatów krążyła hiobowa pogłoska, że jak się chce prawdziwą książkę wydać, maszynopis musi mieć najmniej sto stron. Wymóg dla kogoś, kto niewiele albo zgoła nic nie ma do powiedzenia – morderczy. Specjalnego epickiego rozmachu to ja do dziś nie mam, cóż dopiero wtedy. Ale w końcu po latach wytężonej pracy uzbierała się – nie przesadzajmy z pedanterią – prawie setka, a może nawet setka w sensie ścisłym. Ktoś mi (nie pamiętam kto, ale z pewnością nie był to Henio Bereza) doradził, by teksty do „Twórczości" wysłać w dwu

egzemplarzach: jeden na Iwaszkiewicza, drugi na redakcję. Tak uczyniłem.

Po pewnym czasie nadeszła lakoniczna, a nawet mordercza w swej lakoniczności, odpowiedź: „Ponieważ tekst nie będzie drukowany – zwracamy maszynopis". Niezła, przyznajmy, fraza, nawet w niej znać latami wypracowywaną we wszystkich detalach rangę firmy. Wyznam, iż wiele lat później, gdy zdarzało mi się z racji pracy w rozmaitych redakcjach prowadzić analogiczne korespondencje, w kilku specjalnie uciążliwych przypadkach użyłem tej bezwzględnej formuły.

Drugi mój sentyment do „Twórczości" polega na tym, że gdy wspominam Kraków mojej młodości, nigdy nie obywa się bez nostalgicznej mapy dawnych księgarń i antykwariatów, a też kiosków, w których bywała „Twórczość". Bywała oczywiście regularnie na dworcu, ale też na przykład na rogu Syrokomli i Ujejskiego, na placu Szczepańskim, przy wjeździe na osiedle Kozłówek, na Kościuszki przy moście Dębnickim i rzecz jasna w empiku na Małym Rynku. Tam bywała regularnie, ale krótko. Trzeba było pilnować, co było zajęciem zupełnie fantazyjnym – dawna „Twórczość" kalendarza nie trzymała się wcale, nigdy nie było wiadomo, kiedy kolejny numer wyjdzie, czerwcowy bywał w listopadzie, lipcowy zimą. Nikomu to nie przeszkadzało, chyba nawet przeciwnie – taka samowola w swoisty sposób niezależność miesięcznika podkreślała.

Ach owszem, owszem, raz, a może i dwa razy zdarzyło mi się o „Twórczości" jadowicie pisać. Była to wszakże – po latach potwierdzam w całej rozciągłości – bardzo nabożna jadowitość.

13 grudnia 2010

Listopadowy numer „Twórczości” otwiera wiersz Bohdana Zadury – tytuł: *Wożą, wożą generała*. Nie tylko dlatego, że w dzisiejszych czasach „Twórczości” w żadnym, nawet widmowym kiosku nie uświadczysz, przytaczam tekst w całości.

Będą wozić generała po Krakowie
Jak powożą, no to może coś im powie
    Z sarkofagu wyjmą trumnę z trumny truchło
    Nie był święty więc to truchło musi cuchnąć
Choć premierem był to nie jest taki głupi
Kawalkada jedzie blisko Montelupich
    Towarzyszy jej z wysoka wciąż kamera
    Przekaz mamy teraz wprost z helikoptera
Czeka Zakład Medycyny go Sądowej
Lecz więzienie pozostało w jego głowie
    (W tym co z głowy jego teraz pozostało)
    Niech kość powie czego już nie powie ciało
Co tam było co tam było w Gibraltarze
Potylica może żebro niech pokaże
    Niech wyśpiewa co przemyśleć kazał Churchill
    Niech opowie całą prawdę o swej śmierci
A jak nawet już nie zdoła słowa pisnąć
To z bakterii może da się coś wycisnąć

Albo z grzybów albo z innej mikroflory
One muszą coś pamiętać do tej pory
One wiedzą, że Kreml jego nie mógł kochać
Że był zamach a nie zwykła katastrofa
Więc niech dadzą jakiś dowód wreszcie na to
Że już nie żył, gdy startował liberator
Że go wcześniej zastrzelili lub otruli
Powiesili udusili lub zakłuli
Niechaj naród wie, że będzie trwać w niewoli
Nim go prawda ekshumacji nie wyzwoli
Żaden lampas w trumnie się nie złoci
Pochowali go w bieliźnie skąpi Szkoci
Jak szynelem owinęli pledem starym
Krawcy nowy mundur szyją mu na miarę
Generalską szyją bluzę szyją spodnie
Wódz naczelny więc go trzeba ubrać godnie
Jego śmierć o pomstę będzie wiecznie wołać
Może wojsko przykład wzięłoby z kościoła
I pocięło na plasterki jego kostki
A mnie znudził już ten wiersz Rymkiewiczowski
Choć jest miara nie ma miary wszystko chore
Czas najwyższy rozwieść się z telewizorem

Otóż mnie ten „wiersz Rymkiewiczowski" nie nudzi, a przeciwnie – zachwyca. Widzę tu ręką mistrza wykonany pokaz kunsztu, widzę – choć temat śmiertelnie poważny – lekkość i dystans. Tak jest, autor stąpa po krawędzi, a nawet – rzekłbym – po licznych krawędziach, ale od pierwszej linijki ma się pewność, że nie tylko nie upadnie, ale nawet się nie potknie. Daty

nie ma, więc nie wiemy, kiedy rzecz została napisana, ale to jest ten właśnie rodzaj arcydzielności, która obywa się bez dat i bez – zwłaszcza – przypisów. Niektórym może by się i przydały – ja nie potrzebuję.

16 grudnia 2010

Kłopoty z pamięcią, a może nawet ze świadomością narastają. Mózg rusza tropem rąk i dygotać zaczyna? Chyba ze śmiechu. Kłopot w tych dniach miałem taki, że przez ładnych parę godzin nie byłem sobie w stanie uświadomić, z czym mi się kojarzy 13 grudnia. Co to za data? Co się w ten dzień zdarzyło? A może dalej zdarza? Przy czym wiem: nie marginalne, ale wiekopomne jest, czy było, to wydarzenie! Pod czaszką jednak ciemność, nie ma mnie kto na świetliste ścieżki wyprowadzić.

Ach nie, nie to, co myślicie – aż tak odklejony ani aż tak „dowcipny" nie jestem. Fundamentalna czerń tej daty, krwawa poświata tej daty, cmentarna wstęga tej daty glob opasała dokumentnie i wszechogarniająco; wszyscy na świecie wiedzą, że trzynastego grudnia roku pamiętnego but żołdacki, chyba generalski, zdeptał to, co dla Polaków najświętsze – ich wolność mianowicie.

Pośród tych, co nierówną walkę wówczas podjęli, liczne mniej lub bardziej dosłowne ofiary były – tych zabito, owych zraniono, tamtemu rozsypał się kręgosłup, niejeden czy to samotnie, czy to z całą familią ojczyznę musiał na pewien czas, a niekiedy na zawsze opuścić.

Jedni ten czas mają za początek końca reżymu, drudzy za początek zdradzieckiego spisku, najśmieszniejsi są ci, co uważają, że ich przedszkole również w walkach ulicznych brało aktywny

udział. Jest to zabawne, ale niepozbawione ziarna prawdy, owszem, rozmaite i o rozmaitej skali represje miewały wszechogarniający wymiar.

Rozliczni, co ani do przedszkola nie chodzili, ani w żadnych demonstracjach czy bitwach na kamienie udziału nie brali (szczerze mówiąc, nawet przez myśl im to nie przeszło), także pałowani byli. Raz czy dwa razy każdemu się trafiło. Gdzie się człowiek nie ruszył, prędzej czy później zza węgła jacyś faceci w kosmicznych hełmach wychodzili i grzbiet mu grzmocili. Pałowanie było wówczas tak masowe i tak ekstensywne, że nic – poza jakimiś bardzo policzalnymi przypadkami – nie znaczyło. Zomowiec machnął pałą i zawsze kogoś trafił, bo tłumy były wszędzie. Ten bój był zbyt rozległy i zbyt bezwładny, by losy czy to jednej, czy drugiej strony się ważyły. Wszystko było w miarę jasne: system był zgnilizną, jego obalanie było obalaniem zgnilizny – zajęcie przykre, a pod względem heroizmu kontrowersyjne.

Stan wojenny mon amour. Pytać, z czym się kojarzy data 13 grudnia, i mieć na myśli czarną noc stanu wojennego, to by była nie tylko ignorancja, nie tylko wielka niestosowność, nie tylko gruba nieprzyzwoitość, ale swoiste naruszenie tabu. Pytać o datę stanu wojennego w Polsce to trochę tak, jakby pytać o datę urodzin Pana Jezusa. Żaden alzheimer tego nie usprawiedliwi.

17 grudnia 2010

Paroma, bo paroma, ale jednak całymi zdaniami rozpisałem się o epoce Jaruzelskiego. Taka tej epoki cecha, taka wada czy, sam nie wiem, zaleta: wjedziesz w ten świat jednym słowem, a on bez umiaru zaczyna cię osaczać i przed głoszeniem jakichś prawd, a nawet banałów nierozstrzygniętych, setki za to razy wte i wewte wałkowanych nie chroni. Magnetyczne nasze dzieje – gdzie byś nie był, zaczynają cię wciągać i nic a nic nie popuszczają, przeciwnie: dławią.

Zupełnie inny był mój kłopot. Moje zaćmienie inny wymiar miało i czegoś bezbrzeżnie odmiennego i milion razy od stanu wojennego ważniejszego tyczyło. O jasność i światłość mi szło, nie o ciemność i czerń. Kompletny jednak zator, zupełnie jak wtedy, gdy długo nie mogłem sobie przypomnieć, jak miał Bruno Schulz na imię.

Rzecz oczywista – 13 grudnia, stan wojenny. Co jednak pod spodem, a raczej wyżej, nieskończenie wyżej? Wreszcie ulga! Ktoś kiedyś, może nawet ja sam, napisał, że nieuchronne z wiekiem sklerotyczne dolegliwości mają jedną niebagatelną zaletę – męczarnie niepamięci straszliwe, ale jak sobie w końcu przypomnisz, ulga graniczy z orgazmem.

Oświeciło mnie na tej granicy: 13 grudnia – imieniny Łucji, dzień świętej Łucji. Święto światła. Co to za impreza, wie chyba każdy Polak, o Szwedach nie wspominając. I cóż, że ze Szwecji?

Tam właśnie jest to podobno gigantyczne – też w sensie duchowym – święto. Większe od wszystkiego, choć od Wielkiego Piątku, mam nadzieję, nie. W końcu na luterskich jesteśmy terytoriach i tak nisko, by Wielki Piątek czy Pamiątkę Reformacji przebijać, chyba szwedzkie lutry nie upadły? Chyba nie, ale głowy bym nie dał – w tym ewangelickim raju rozmaite i o rozmaitym wymiarze kraksy się zdarzają. Jakie ściśle? Mniejsza z tym. Wystarczający popłoch budzi sam fakt, że „święta Łucja" w wytrzebionej ze wszystkich świętych (z wyjątkiem rzecz jasna Ojca, Ducha i Syna) protestanckiej rzeczywistości kluczową rolę odgrywa.

W każdym razie święto wielkie, a scenografia i zwłaszcza kostiumy w świecie doskonale znane – młodziutkie Szwedki w długich białych sukienkach, a raczej koszulach, ze świetlistymi z zapalonych świec uczynionymi koronami na blond włosach od domu do domu chodzą i pięknie śpiewają. Często bywa tak, że śpiewają laureatom Nobla, co mniej więcej w tym właśnie czasie do Sztokholmu na ceremonię wręczenia wiadomych dyplomów i wiadomych medali przybywają. Czy urocze kolędniczki wszystkich noblistów nawiedzają, nie wiem, do literackich łażą na pewno, jest to i z hotelową obsługą, i z telewizją ustalona pradawna tradycja. Potem świat obiegają filmiki ukazujące spłoszonego laureata w pościeli. Przeważnie dobrą minę do niezapowiedzianej wizyty usiłuje on czy ona robić, niekiedy zdarzają się rzeczy barwniejsze. Podobno William Faulkner, który z wielkimi oporami i – delikatnie mówiąc – w nie najlepszej formie po odbiór nagrody przybył, o bladym świcie widząc stojącą przy łóżku gromadę białych duchów z płomykami na głowach,

przeraził się i pomocy wzywał. Był pewien, że ma delirium. Prawda? Nieprawda? Szczerze mówiąc, w żadnej biografii potwierdzenia anegdoty nie znalazłem – tym większa jej lekkość.

18 grudnia 2010

W naszej starej chałupie święta Łucja była świętą, a bardziej wróżką od pogody, i to pogody całorocznej. Jak łatwo wyliczyć, od Łucji do Wigilii jest równo, równiutko dwanaście dni i pogoda w te dni panująca jest dokładnym odbiciem, wróżbą i przepowiednią pogody, jaka w kolejnych miesiącach nadchodzącego roku panować będzie. Jeśli na przykład w pierwszy dzień po Łucji mróz panuje, znaczy to, że w styczniu też będzie zimno, jeśli w szóstym dniu po Łucji śnieg sypie – w czerwcu deszcze luną itd., itp. Zapisywało się pogodę kolejnych grudniowych dni w specjalnym zeszycie i nadchodząca przyszłość w tym jednym, ale dla gospodarstwa podstawowym paśmie była wiadoma. Skąd ten obyczaj pochodził, nie mam zielonego pojęcia. Na to, że pochodził z Biblii albo z pism Marcina Lutra, nie wygląda.

27 grudnia 2010

Święta, święta i po świętach, że powiem coś od siebie. Nie bardzo jest co opowiadać, nie dlatego, że nie ma co, ale dlatego, że pracuję w warunkach rygorystycznej cenzury wewnętrznej. Sama praca zresztą też ocala, i to ocala wielorako. Nawet jak jej nie ma. To znaczy: tak żeby jej nie było, nie ma nigdy – zawsze można zejść na dół i usiąść za biurkiem, i pozorować wyższe konieczności, i napiętymi rysami twarzy dawać do zrozumienia: terminy palą! Zawsze gdy przychodzi chwila – znana przecież praktycznie każdemu domowi – zawsze gdy mianowicie sytuacja świąteczna z nagła robi się nadmiernie świąteczna, ergo wymaga dodatkowych sił, by jej sprostać, zawsze gdy, jak raz, tych sił brakuje, można zejść na dół. „Zejść na dół", bo dom w stromiznę Partecznika wpasowany – „z pola" wchodzi się na piętro.

Trzeba dodawać, że w Wiśle toczy się akcja niniejszej nie tyle opowieści, ile dygresji wigilijnej? Chyba nie, w końcu ja pewne elementarne dla mnie wyznania powtarzam maniakalnie, co najwyżej w rozmaitych oświetleniach i z nadzieją, że za którymś razem z tych refrenów (zza tych repetycji) wychynie głębia, a może coś jeszcze. Chyba przeto („przeto" nie dla pretensjonalnej dekoracji, ale dla znaczenia. Było to jedno z ulubionych słów ojca, pisał mi rozmaite usprawiedliwienia i zwolnienia szkolne i zawsze, obszernie sytuację naświetliwszy, kończył: „Proszę przeto o zwolnienie mojego syna Jerzego z zajęć takich a takich) –

chyba „przeto” nie trzeba dawać specjalnych wyjaśnień, w końcu wiadomo, w każdym razie temu i owemu wiadomo, że ja bez mała sześćdziesiąt dotąd danych mi – jak się u nas wciąż jeszcze mówi – godów spędziłem w Wiśle, w pobliżu Zameczku Pana Prezydenta, który postawiony przed moim pojawieniem się na świecie, przed wojną światową, a nawet wcześniej – zdaje mi się – był zawsze. W cieniu idącego do Głębiec stromego nasypu kolejowego, w starym domu naczelnika Czyża, niedaleko ewangelickiego kościoła Piotra i Pawła, blisko fary i hotelu Piast (dawniej Louisendorf), w którym w latach dwudziestych – i tej powtórki sobie nie daruję – spędził ładnych parę tygodni Witold Gombrowicz. Konsekwencje pobytu odnaleźć można w *Kosmosie*. Akcja tej powieści tylko z nazwy toczy się w Zakopanem – rozmaite, też językowe, realia są wiślańskie. Nawiasem mówiąc, swego czasu wznawiające Gombrowicza Wydawnictwo Literackie wykazało się arcyintuicją: na okładce *Kosmosu*, w tak zwanym białym wydaniu, widnieje fotografia autora *Ferdydurke* uczyniona w Wiśle, pod sklepem i gospodą Rotha – nazwisko i postać świetnie przez starych wiślan wspominane.

Wiedziałem, że w dzisiejszych zapiskach będzie mnie trochę w bok znosić, ale że zniesie mnie na Gombrowicza w Wiśle – nie zakładałem. Nie ma się co krygować – zniosło mnie za daleko. Granica wywodu czy nawet z lekka panicznych i nieco przez to chaotycznych notatek miała biec przez prezydencki zameczek. Jak powszechnie wiadomo, tegoroczne „gody” spędzał tam pan prezydent Komorowski – pobyt jest gestem, podziękowaniem i ukłonem w stronę wiślan, którzy w lipcowych wyborach szczodrze – prawie najszczodrzej w kraju – na obecnego

prezydenta głosowali. Pięknie. Szczerze dumny jestem z postawy moich wiślan i w żadnym wypadku nie chcę psuć zabawy czy wręcz uroczystości – podziwu godne to są tryumfy, ale element ostrożności bym zachował. Moi krajanie to jest jednak w jakimś paśmie ludek dziwny, a nawet nieobliczalny. Teraz wybrali chwalebnie, ale przecież swego czasu (nie czepiam się, jedynie pamiętam) wygrał tu – może nie tak wysoko, ale wystarczająco wysoko – niejaki Stan Tymiński. Inna rzecz, nie jedna Wisła dała się wówczas zrobić w trąbę. Inna rzecz, uczymy się na błędach – niektórzy dodają – do śmierci. Wychodzi: na błędach do śmierci – cokolwiek heroicznie, ale dobrze.

28 grudnia 2010

Od bez mała sześćdziesięciu wiślańskich wigilii odjąć trzeba kilka krakowskich i zwłaszcza jedną warszawską. Warszawską i na dodatek samotną. Nie było to przeżycie przeraźliwe ani nawet – jak ktoś gotów pomyśleć – smutne. Było to dobre, oczyszczające, intensywne, a na koniec: zachwycające. Skłonny do wzruszeń, do łez i w ogóle kruchy (wówczas) psychicznie, przetrwałem z trzech powodów – podaję informacje w trybie instruktażowym, niejednemu mogą się one przydać. Po pierwsze nie zalałem pały – tu rozmaite destrukcyjne szczegóły i ostrzegawcze sygnały pomijam, ci, co wiedzą, to wiedzą. Po drugie nie wdawałem się w żadne przygotowywanie samotnej wigilii, nie szykowałem żadnego barszczu, ryby, kapusty czy czego tam jeszcze, nie przełamywałem się sam z sobą czy z jakimiś widmami opłatkiem; samotność jest dobra i bardzo do zniesienia bez melodramatycznych, w istocie żenujących przedstawień. Po trzecie nie siedziałem w domu – ruszyłem na spacer. Porę wybrałem przypadkową, ale trafną: miasto było jeszcze całkowicie puste, lecz z wolna, z wolna pojawiali się w perspektywach pierwsi zmierzający na pasterki bracia katolicy. Czyli było tak, jak wtedy przynajmniej dwa razy w tygodniu bywało: Świętokrzyska, Nowy Świat, Aleje, Dworzec Centralny – moja, przez prawdziwych wędrowców nisko ceniona, ale moja trasa. Wszystko puste i wszystko – ma się rozumieć – zamknięte. Ciemność i mróz

niewielki. Zbliżałem się do ostatniego odcinka i nieco rozczarowany – jakbym w ten wieczór nie wiadomo jakiej przygody wigilijnej się spodziewał – ujrzałem z dość jeszcze odległego dystansu, że nie wszędzie zamknięte! Jednak przygoda! Mała, ale tak! Dla mnie zresztą nie mała, bo książek tycząca! Bukiniści – z każdym krokiem coraz wyraźniejsze to się stawało – którzy pod dworcem Warszawa Śródmieście dzień w dzień urzędowali, i w tę noc wigilijną miejsca swego, chyba świętego, nie opuścili i niczym trzej królowie prezenty książkowe oferowali! Oczywiście postanowiłem cokolwiek, na wieczną pamiątkę, kupić. Nie było to jednak łatwe. Gdy już byłem blisko, gdy już słowo powitania wygłosiłem, gdy już do przeglądania tytułów się zabrałem – zorientowałem się, że dziwna cisza i zupełna nieruchomość na stoisku panuje. Trzej królowie owszem byli, ale w zupełnej martwocie tak zastygli, że ani o transakcji, ani o rozmowie mowy nie było. Wyjaśnienie proste, ale jak powszechnie wiadomo: prostota jest cechą wielkiej sztuki – chłopcy przesadzili z wigilijną banią, sparaliżowała ich ona i ani zwinąć, ani prowadzić dalej stoiska nie byli w stanie. Czuwali jedynie nad nim niczym śpiący rycerze. Złożyłem im życzenia, wybrałem *Miłość w czasach zarazy*, kwotę sporo wyższą, niż widniała na egzemplarzu, w dłoń najbliżej stojącego wetknąłem i z lekkim, w każdym razie o wiele lżejszym niż na początku spaceru, sercem do domu ruszyłem.

30 grudnia 2010

W święta raz po raz „na dół schodziłem” i nawet nie musiałem jakichś bzdur wymyślać, zamówione przez „GW” życzenia dla braci Ukraińców układałem. Rozmaite znakomitości, liczni nobliści ponoć to samo szykowali – nie oparłem się, nie pierwszy raz pycha silniejsza. Dziś się gazeta ukazała, na zbitą mordę do kiosku – by jak najszybciej nazwisko w druku ujrzeć – lecę, życzenia są, ale skład raczej postny. Owszem, lubiani i cenieni koledzy, ale noblistów mało, a szczerze mówiąc, ani jednego. Chyba że uwzględnić wdowę po niedoszłym nobliście. Rozumiem, że w kraju jest teraz najwyższego szacunku i najwyższej czci godzien wielki czas wdów, czy musi on jednak być tak wielki, że o groteskę zahacza?

31 grudnia 2010

Wszystkim braciom i siostrom Białorusinom na Święta, na Nowy Rok i – zwłaszcza – na dalsze czasy życzę odwagi. Ze specjalną mocą pozdrawiam tych, których sytuację – zdaje mi się – rozumiem lepiej. Z całego serca pozdrawiam mianowicie białoruskich pisarzy. Drodzy Koledzy! Bez pyszałkowatego wywyższania naszego fachu da się spokojnie powiedzieć, że jesteście w sytuacji trudnej, i to wielorako trudnej.

Jeśli któryś z Was w młodzieńczym – dajmy na to – zaczadzeniu napisze czy napisał jakąś nieopatrzną strofę chwalącą, a nawet tylko broniącą (w końcu też człowiek) dyktatora – ma przechlapane. Choćby potem do końca życia pisał arcydzieło za arcydziełem – niegdysiejszy, fatalny kawałek będzie mu zawsze wypominany i przesłoni wszystko.

Jeśli któryś z Was napisze rzecz wymierzoną w dyktatora, może trafić do kryminału. Oczywiście nie ma honoru większego niż męczeństwo, ale w praktyce może to być trudne, zwłaszcza jak się nie jest w poezji Osipem Mandelsztamem, a w prozie Aleksandrem Sołżenicynem. A się nie jest – nieprawdaż, kochana literaturo białoruska?

Jeśli któryś z Was zajmie się opiewaniem spraw naprawdę ważnych – miłości, dzieciństwa, futbolu – będzie za tego rodzaju paseizm atakowany, a w najlepszym razie przemilczany.

W tym prawdziwie trudnym osaczeniu mam dla Was jedyną i tak starą, że i Wam doskonale musi ona być znana, radę: piszcie tylko to, na co macie ochotę. Broń Boże nie ulegajcie żadnej obywatelskiej pokusie czy presji. Inaczej zresztą – jak doskonale wiecie – się nie da. Tylko tak jest możliwa arcydzielna mieszanina prawdy i fikcji, polityki i poezji, doraźności i wieczności.

Jesteście w sytuacji trudnej, ale też wyjątkowej. Na przykład powieści, a zwłaszcza wielkiej powieści o jakimś pół krwawym, pół kabaretowym satrapie z Europy wschodniej nikt jeszcze nie napisał – macie ten temat pod ręką. Jak go rozwiążecie na miarę *Jesieni patriarchy* albo choćby *Cesarza*, może zdarzyć się wszystko: będziecie atakowani, prześladowani, represjonowani, będą nękać Waszą rodzinę, możecie trafić do łagru albo co gorsza dostać wielką nagrodę, po której odbiór z całym sadyzmem Was nie puszczą, i tysiąc innych facecji. Nie żebym jakiejś męczarni jako swoistego warunku powstania książki życzył, ale stanowczo życzę pośpiechu. Nalegam na pośpiech. Jak teraz weźmiecie się do roboty, to zaczęta za Łukaszenki rzecz o Łukaszence być może ukaże się w kraju, którym już nie rządzi Łukaszenka. Wielu z Was przeczuwa: to nie będzie długo. Trzymajcie się tego przeczucia. A jak się wam z jakichś powodów nie chce, to się – rzecz jasna – nie trzymajcie. I tak jak mówi nasze stare, jeszcze za reżymu ułożone powiedzenie: „Dłużej pisarza niż dygnitarza”.

2011

1 stycznia 2011

Od dawna nie gromadzę ani przeczytanych, ani na czas nieprzeczytanych gazet, nie odkładam też periodyków, w których „jest coś niezmiernie ważnego". Po pewnym czasie – a niekoniecznie są to lata, miesiące czy nawet tygodnie – i tak żadnej istotności w tych papierach nie pamiętam. Wszystko drętwieje, marnieje, kona. W internecie – jak przekonują specjaliści – podobno i tak można znaleźć wszystko, ale ponieważ nie rozumiem tego argumentu, nie biorę go pod uwagę.

A. z dziewczęcym zapałem używa tego medium, a też z podziwu godnym szacunkiem dla minionego świata to i owo, a nawet dużo więcej wycina i gromadzi w wykwintnych teczkach. Pod jej wpływem ze dwie takie teczki założyłem – strach pomyśleć, co jest w środku.

Kiedyś było inaczej, i to jak inaczej! Kiedyś na parapetach, półkach, stołach, szafach i we wszystkich możliwych kątach piętrzyły się sterty wszelkiej możliwej maści dzienników, tygodników, miesięczników i czego tam jeszcze – o żadnym czytaniu czy wyszukiwaniu czegoś do czytania kluczowego, ale na razie na później odłożonego mowy praktycznie nie było, ale w razie czego, kto wie?

W zamierzchłych epokach – gdy w domu w Wiśle paliło się w węglowych piecach – woziliśmy do mitycznej krainy makulaturę, ale i tak przybór był stokroć obfitszy od ubytku,

z czasem zamiast węgla inne paliwa się pojawiły i nawet wyjazd do Wisły przestał pomagać, a jest to w jego dalekosiężności pełne rozpaczy zdanie.

Jeszcze jakimiś dookolnymi ścieżkami próbowałem sprawę ratować, absurdalne układałem argumenty. Kompletnie bezbronny wobec przerośniętych kurzem barykad wmawiałem sobie, że ze zbioru tekstów stały się zbiorami przedmiotów, że z funkcji intelektualnej przeszły do domowej pragmatyki i gacą wątłe ściany i nieszczelne okna, i dają ciepło – w końcu także to złudzenie pierzchło, zaniechałem pożałowania godnego kolekcjonerstwa, sformułowałem zasadę, że gazeta nieprzeczytana we wtorek nie zasługuje, by ją trzymać do wtorku, i jaki taki ład zapanował.

3 stycznia 2011

Jak we wszystkim zdarzają się jednak wyjątki – nie muszę dodawać – arcywyjątki. Noworoczny „Tygodnik Powszechny" z rozmową redaktorów naczelnych – ustępującego księdza Adama Bonieckiego i obejmującego stanowisko Piotra Mucharskiego – odłożyłem na bardzo dostępne miejsce i prędko z pola widzenia nie mam zamiaru tego numeru tracić. W końcu idzie o „Tygodnik", bez specjalnego krygowania się i bez specjalnej uzurpacji mogę powiedzieć: mój „Tygodnik". Dziesięć spędzonych na Wiślnej lat to było w rozlicznych pasmach nie byle co. Ale uporządkujmy doznania.

Do wszystkich redakcji, w których pracowałem (sprawiedliwiej będzie powiedzieć: w których drukowałem, bo w żadnej firmie na politykę redakcyjną nie miałem wpływu najmniejszego), do wszystkich tedy redakcji, na łamach których odpowiednio długo i odpowiednio regularnie występowałem, mam wielki sentyment, specjalną czułość i liczne uczucia. Pierwszym z tych uczuć jest, rzecz jasna, zdumienie, że po moim odejściu redakcje te działały nadal, a gdy (jak „Echo Krakowa" czy dwutygodnik „Student") przestawały się ukazywać, to nie z powodu mojej absencji.

Jakże to tak? Mnie nie ma, a wy sobie hulacie? Nawet „Polityka" jak gdyby nigdy nic nie tylko nadal wychodzi, ale króluje na rynku? „Dziennik" trochę poprawia mi komfort

wewnętrzny, bo niby jest, a jakby go nie było, ale i ten quasi-byt, jak wszystko, co „quasi”, nie syci całkowicie.

4 stycznia 2011

Całkowicie sycił „Tygodnik". Piotr Mucharski ma wielką szansę, niemałe możliwości i liczne umiejętności, by z „Tygodnikiem" stan pełnego „nasycenia" osiągnąć. Nie mówię o żadnym „przywracaniu" świetności. Za Bonieckiego pismo nie upadło ani się nie stoczyło, raczej na odwrót – jak były kryzysy, to był to tygodnikowy constans. W tym sensie moje dziesięciolecie w redakcji było szkołą hartu i dystansu, człowiek należał do redakcji, która upadała praktycznie co tydzień, a w porywach codziennie – z tej katastrofalnej monotonii osobliwa stabilność się wyłaniała. Jeśli jednak ktoś przez „nasycenie" rozumie „świetność", wolno mu.

Przywracać niczego się nie da, bo Turowicz nie żyje. Pszon też nie. Andrzej Bardecki też nie. Staszek Musiał też nie. Jan Paweł II – choć w redakcji bywał rzadziej nawet ode mnie – też nie. Daruj, Piotrze, banał, ale na razie inaczej powiedzieć nie umiem i starą, i świetnie ci znaną, i pewnie teraz do rozpaczy ci w łeb wbijaną formułę raz jeszcze powtórzę: otóż pamiętając i czcząc ojców założycieli, trzeba pójść własną drogą.

5 stycznia 2011

Turowicz oczywiście tak, Turowicz jak najbardziej tak, ośmielę się powiedzieć, że żywił do mnie pewną słabość. List od niego oprawiłem w ramki i umieściłem na ścianie w warszawskim mieszkaniu, ułożona przezeń anegdota o samobójstwie pewnego mojego antagonisty krąży tu i ówdzie, same frajdy, ale Szef był jednak postacią tak charyzmatyczną, że z lekka widmową. Wiadomo było, że do jego gabinetu na końcu korytarza można było wejść zawsze i w każdej sprawie – nikt tego przyzwolenia nie nadużywał. Chyba że nie do końca świadome kaskaderki. Kiedyś jedna z nich wpadła tam jak bomba i z lekka tylko podniesionym głosem zapytała: – Jest tu Bereś? – Niestety nie ma – odparł z lekka osłupiały Naczelny. Ona na chwilę zamilkła, potem zaś karcąco spoglądając na tolerującego nieobecność pracowników przełożonego, zadała kolejne, niejaką retorycznością naznaczone pytanie: – A on tu kurwa w ogóle pracuje? – obróciła się na pięcie i wyszła. Turowicz więc tak, jak najbardziej tak. Ale w pewnych elementarnych sensach „moim naczelnym" na Wiślnej był Krzysztof Kozłowski. To on mnie do zespołu ze sceptycyzmem przyjmował – twierdził, że wytrzymam góra trzy miesiące. To on, jak było ciężko, odwiedzał mnie w szpitalu. To on przyjechał do Wisły na pogrzeb mojego ojca. Wspominam te sprawy, bo są niezapomniane, i tylko tyle. Broń Boże, po tysiąckroć broń Boże nie znaczy to, że pytam nowego naczelnego o jakieś personalia.

Niestety nie ma o czym mówić. Stara miłość, owszem, nie rdzewieje, ale nawet gdyby nalegania były silne, nawet gdyby sam prezes Jacek Ślusarczyk nalegał – musiałbym odmówić.

6 stycznia 2011

Główna zaleta obejmującego stanowisko naczelnego „Tygodnika" Piotra Mucharskiego? Są liczne, ale pewnie jedna z pierwszych jest taka, że zna gazetę jak własną kieszeń. Zaczynał od korekty. W zamierzchłych czasach, u progu niepodległości, gdy okazało się nagle, że ni stąd, ni zowąd „Tygodnik" pogrąża się w cotygodniowych równie groźnych co w sumie pozornych upadkach, zdesperowane kierownictwo łapało się wszystkiego, co mniej lub bardziej miało jakość poprawiać. Korekta nie była najmocniejszą stroną i ktoś wpadł na pomysł, by co tydzień, tuż przed drukiem jeden z młodych redaktorów udawał się do drukarni przy alei Pokoju i pracę zgromadzonych tam korektorów wspierał. Zaliczałem się do młodych redaktorów i parę razy – zanim nonsensowna ta procedura zmarła śmiercią naturalną – w drukarni się stawiłem. Moje umiejętności korektorskie do dziś są żadne, a wtedy były rozpaczliwe. Ale tam i wtedy poznałem przyszłego naczelnego.

Amerykańska kariera? Od korektora do redaktora naczelnego? Źle to nie wygląda, a jak będzie nieźle, to będzie świetnie.

8 stycznia 2011

Bez mała miesiąc temu opiewany przeze mnie wiersz Bohdana Zadury kończy się następująco: „Choć jest miara nie ma miary wszystko chore / czas najwyższy rozstać się z telewizorem".

Łatwo, zwłaszcza wielkiemu poecie łatwo powiedzieć. Rozwód w sensie elementarnym to jest ciężka sprawa, rozwód z telewizorem to sprawa z kategorii najcięższych, heroicznych i w zasadzie niewykonalnych. Gapienie się w ekran z czasem staje się uzależnieniem groźnym, terminalnym i w zasadzie nieodwracalnym. Nawet jak uda ci się jakaś przerwa, skończy się ona, nie miej złudzeń – jesteś w szponach TVN 24.

W Warszawie złudzenia bywają trwalsze. Przeważnie gapię się w ekran, na którym wyświetlana jest piłka nożna; specjalne upodobanie mam do meczów archiwalnych, znam je na pamięć, tym zajadlej czekam na bramki, których w oryginale nie było. Każdy spodziewa się takiego cudu, na jaki zasługuje.

W Wiśle jest dramatyczniej. Mocą niepisanej zgody siadamy z matulą o dziewiętnastej i do oporu – najplugawszymi słowy lżąc widocznych na ekranie nieszczęśników – oglądamy politykę. Na ogół wytrzymujemy do dwudziestej trzeciej, choć czasem – gdy jakiś arcynadrodak czy inny wolnomularczyk specjalnie patologicznie peroruje – trwamy w męczarni dłużej. Wytrzymujemy, albowiem raz w tygodniu politycznym upojeniom

dajemy szlaban i w ramach detoksu oglądamy niemieckich *Milionerów*. Rozumiem piąte przez dziesiąte, ale to jest dobre.

13 stycznia 2011

Jestem po tygodniu takich szałów i poza tym, że dalej żyję, żadnych pociech nie mam. Nie mam też żadnych spostrzeżeń ani wniosków. Zgranych do cna tez, że Polska jest podzielona, nie będę przecież powtarzał. Nie tylko Polska, ale świat cały od początku jest podzielony, zwłaszcza jest podzielony na głupszych i mądrzejszych, i do takiej różnicy wszystko jest sprowadzalne.

Nie będę też nikogo ostrzegał, że rozdymanie, jątrzenie i pompowanie spraw, nawet najtragiczniejszych, spycha te sprawy ku mniejsza o to jakim rejestrom. Nie będę referował poglądów tych, co uważają, że wiadoma katastrofa była splotem licznych złych okoliczności, ani tych, co perfidnie zaplanowaną zbrodnię w niej widzą. Nie będę głosił banałów, że wszystko sprawił całkowicie w swej roli pogubiony, nieporadny i małostkowy prezydent, ani nie będę frajersko podkreślał, że swój udział w makabrycznym wypadku ma też generał na porannej lufie.

Swoją drogą, cóż takiego nagannego w tym ostatnim szczególe? Generał przed ważnym lotem grzmocący prostowniczą setkę czy dwa nieduże piwa to jest przecież – jak na środkowoeuropejską armię – zupełny i przykry abstynent. Niby że Rosjanie ten kłopotliwy detal z całą złośliwością ujawnili? Chyba raczej ze zdumienia symbolicznością dawki. Taka symboliczność trafia się może jednemu procentowi ruskich lotników – stąd popłoch. Jak w ogóle o coś tu idzie, to – na Boga! – idzie nie o to, że generał się

napił, ale o to, że wypił tak mało! Rosyjskim ekspertom oczywiście przyszło – bo przyjść musiało – do głowy, że gdyby generał walnął flaszkę i urządził tumult albo chociaż stracił przytomność w kokpicie, nawet do próby lądowania, o katastrofie nie wspominając, na pewno by nie doszło. Umieścić jednak takiej hipotezy w żadnym raporcie nie da rady – to jest wyłącznie domena finezyjnych rysów kulturowych.

Problemem, i to poważnym problemem, jest, że zachodnie gazety wychwyciły ten epizod i w poniżającym nas duchu eksponowały? A cóż ci dandysi wiedzą o alkoholu? Cywilizacja, która klasyczną „pięćdziesiątkę" zastąpiła nowoczesną „czterdziestką", nie potrwa długo. Za wszystko się płaci.

Nonsensem jest oskarżanie dowódcy lotnictwa o nietrzeźwość; w tym wypadku biadać nad jego powściągliwością należy. Jakakolwiek – niechby i pijacka, niechby i z Rokitami (gdyby ktoś pamiętał, że warto ich zaprosić, bo w razie czego swymi kapeluszami wszelkie mgły rozpędzą) – jakakolwiek zwada podczas lotu mogła ludzi ocalić.

14 stycznia 2011

Nie zamierzam też przytaczać z ekranu telewizora wchłoniętych poglądów tych, co uważają, że świętej pamięci prezydent był prezydentem tak potężnym, tak mocarnym i tak – specjalnie dla zagrażającej nam zaborem Rosji – przerażającym, że jedynym nań sposobem był od dawna na Kremlu opracowywany mord. Niektórzy, pozornie rozsądniejsi, pytali po co i twierdzili, że żadnego pożytku z mordowania Kaczyńskiego Rosja by nie miała, że był to polityk, co rychłą porażkę w wyborach miał praktycznie w kieszeni, i że jeśli już, to po co go zabijać na własnej ziemi? A po to, by śledztwo przejąć i fałszować do woli! A po to, by groźnego tego rycerza – na którego widok Putin w portki robił, a Miedwiediew płakał ze strachu – powstrzymać! On bowiem jeden nie tylko do ruskiego zaboru nie dopuścił, ale dla ojczyzny ratowania z bratem i z panem Gosiewskim samotrzeć na Moskwę by ruszył! Słowem, im bardziej jedni uważają, że był większy, tym silniej drudzy są pewni, że był mniejszy. I na odwrót. Płyń, wodo. Mnóż się, Polsko. Jak bakteria. Przez podział.

15 stycznia 2011

Podczas spaceru po Wiśle, pod pocztą, której w czasach wieczności naczelnikiem był mój dziadek, spotkałem pana T. Postać znana, człek szalony, do zamętu skłonny, wielce jednak przenikliwy. Zupełny przy tym fantasta mający samego siebie za kogoś rząd dusz – zarówno luterskich, jak i katolickich – na Śląsku Cieszyńskim sprawującego. Założyciel i wieloletni przewodniczący sławnego na pół kraju stowarzyszenia „Jedną Nogą w Grobie", które tak dramatyczną i na osobną opowieść zasługującą rolę w naszej świadomości religijnej odegrało. Ten – zdawało się pod koniec życia – ze wszystkim skłócony, z własnej organizacji przez pryszczatych młodzików na pysk wywalony, zupełny przegrany, ten otóż niezwykły człowiek nigdy ani nie upadł, ani nie umarł. Owszem, na pewien czas, nie dłużej jednak niż na dwa, trzy lata, zniknął bez wieści. Ci, co mówili, że pod ziemię w literalnym znaczeniu się zapadł, zdawali się bliscy prawdy, bliżsi w każdym razie od rozmaitych blagierów, co utrzymywali, że wyjechał do Paragwaju i tam u boku pewnej atrakcyjnej milionerki o niemieckich korzeniach dostatnie życie wiedzie albo że na Kubie siedzi i jest jednym z ulubionych doradców Fidela – czy jaką tam jeszcze tandetną dyrdymałę w związku ze zniknięciem człowieka bez śladu wymyślić można.

On zaś spokojnie wrócił. Gdzie był – nie wiadomo. Żadnej z krążących wersji nie zdementował, swojej nie podał, dosyć

rychło przestało to mieć znaczenie.

Ładnych parę lat temu pojawił się w doskonałej formie, jak zawsze we wszystkim, zwłaszcza w sytuacji politycznej, znakomicie zorientowany. Co dzień o południowej godzinie rusza do centrum i długo, bardzo długo (ładnych kilkadziesiąt, a niektórzy wyliczyli, że równe sto okrążeń) miarowym krokiem wokół placu Hoffa krąży i – jak słuchacz jaki się nawinie – z zapałem perypatetyzmowi się oddaje. Perypatetyzmowi zuchwałemu, bluźnierczemu i bezbożnemu.

16 stycznia 2011

– Jerzyku! – zawołał wczoraj na mój widok – Jerzyku! Wiesz, co było najdziwniejsze podczas niedawnej obecności pana prezydenta Komorowskiego w Wiśle?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

– Nie dziwi mnie to, nigdy nie byłeś radykalnym poszukiwaczem prawdy, ale chyba wiesz, że tylko prawda jest ciekawa?

– Wiem, ale do końca nie podzielam. Wolę tych, co mówią: dobrze, że istnieje sztuka, bo prawda by nas zabiła.

– Właśnie à propos zabijania, wiem, że brzmi to niezręcznie, ale właśnie w związku z rozmaitymi śmiertelnymi okolicznościami, które teraz wte i wewte tak gorliwie się wałkuje, właśnie takiej sytuacji tyczy moje – co tam moje! wszyscy przecież widzieli! – spostrzeżenie. Otóż Jerzyku, najbardziej zdumiewający w obecności pana prezydenta był zupełny brak – przynajmniej widzialnej – ochrony. Wszystko otwarte, wszystko dostępne, wszystko czynne. Na granicy niefrasobliwości. Do pary prezydenckiej śmiało każdy mógł się zbliżyć. Tym bardziej było to, Jerzyku, zauważalne, że gdy poprzedni, nieżyjący pan prezydent miał tu swego czasu przybyć, Wisła została przeistoczona w oblężoną twierdzę! Powiadam ci, Jerzyku! Drogi zamknięte, szpalery wojska, tłum potykających się o siebie ochroniarzy, wszystkie sklepy, poczta i apteka zakluczone, nawet biblioteka

nieczynna. Chyba się obawiano, że z każdej strony skrytobójczość może uderzyć, czy co? Śmierć się zbliżała, wszystko tedy zapobiegawczo wyłączono z życia? Nawiasem – co specjalnie komiczne – monarcha i tak nie przybył.

– Podobno z powodu deszczu – odparłem.

– Deszcz od mgły lepszy. – Pan T. rozejrzał się niespokojnie. – Wiesz, Jerzyku, ja myślę, że on trochę kusił los, a może i Pana Boga. Brata zaś specjalnie. Ta ochrona, te ekrany przeciwpancerne, te kamizelki kuloodporne, ta historyczna polityka śmierci, ten kult zabitych, to gadanie „że gdyby czerwonoarmiści na gruzińskiej granicy strzelali inaczej, prawdopodobnie nie rozmawiałbym z państwem", to wszystko było kiepskim, bo kiepskim, ale wymownym kuszeniem losu.

– Pan zdaje sobie sprawę – odpowiedziałem nie bez niesmaku – że ludowa, a nawet bardzo ludowa jest to metafizyka?

– Każdy ma taką metafizykę – uśmiechnął się pan T. – jaką w telewizorze widzi.

– Pan ma telewizor?

– Nie, ale do sąsiadów, do państwa Kościelnych często zachodzę, oni mają odbiornik na okrągło puszczony i tam na to i owo zerkam. Zdanie mam, oczywiście po starannych przemyśleniach, wyrobione, a pewne ujrzane na srebrnym ekranie detale jedynie mnie w mej racji utwierdzają.

– Jakiej racji?

– Spiskowej, rzecz jasna. Jestem wielkim zwolennikiem i orędownikiem teorii spiskowych. W Wiśle mają mnie przez to za szaleńca, ale, jak doskonale wiesz, za szaleńca miano mnie tu zawsze.

– Jaki spisek wchodzi tu w grę?

– Niestety, w pewnym sensie kainowy.

– Brat brata?

– Owszem, tyle że nie z zawiści, a dla ocalenia i wywyższenia.

– Pan się dobrze czuje?

– Chłopcze, jak będziesz miał choć w połowie tyle lat co ja, pogadamy o dobrym samopoczuciu.

– Ja mam sześćdziesiątkę na karku.

– No właśnie. Nie ma się co oburzać, nawet wróble na dachu wiedzą, że pozostały przy życiu brat był przewodnikiem, kierownikiem, nauczycielem i mistrzem duetu. On widział dalej, ostrzej i przenikliwiej, on doskonale wiedział, że brat wybory przegra i że w związku z tym rychło trupem politycznym zostanie i nie ma na to rady. Nie ma na to rady z wyjątkiem jednej.

– Jakiej?

– Co się bardziej kalkuluje? Żywy trup idący w zapomnienie czy prawdziwy jadący na Wawel? Komu wieczna narodowa pamięć? Politycznemu niezgrabiaszowi czy herosowi, co przez Moskali umęczon i zabit, żył będzie wiecznie? Tak, Jerzyku! Brata w tak niekonwencjonalny sposób ocalić i wywyższyć to jest miłość godna Szekspira i Dostojewskiego razem wziętych.

– To, co pan gada, godne jest szpitala wariatów. Najbliższy po staremu w Rybniku.

– Ależ ja nic nie gadam, zwierzam ci się jedynie ze skrytych myśli, boś człek dyskretny.

Spojrzałem nań chłodno, skłoniłem się jeszcze zimniej, on odpowiedział tak, jak przy często spotykających go lodowatościach zwykł reagować, czyli z wystudiowanie eksplozywną

serdecznością. Stara szkoła. Nie tylko dobrych manier, ale i taktyki.

18 stycznia 2011

Zaczynają mi podchodzić klasyczne – delikatnie mówiąc – frazy. Dzisiejsza: Ani się człowiek obejrzał – rok przeleciał, i to rok z okładem. Niby że szybko? Ma się rozumieć! Dawniej rok trwał dwanaście miesięcy, teraz miesiąc, góra sześć tygodni. Swoją drogą, kiedy ostatnio marudziłem, że czas szybko leci? Latem czy dopiero jesienią?

Istnieje szereg prac psychologiczno-medyczno-Bóg-wie-jakich zjawisko to opisujących, rzekomo na fundamentalne pytania – dlaczego czas z biegiem czasu coraz prędzej płynie? dlaczego w tej jedynej dziedzinie następuje na starość sprinterskie przyspieszenie? – odpowiadających, skandaliczne to zjawisko naukowo badających. Jak przystało człowiekowi wierzącemu w księgi, zajrzałem pomimo chronicznego braku czasu do paru opasłych tomów, pociechy nie zaznałem. Generalne wnioski sprowadzają się do mało zniuansowanej tezy: na starość leci ci szybciej, bo wszystko – w najlepszym razie prawie wszystko – masz już za sobą. Poznałeś prawdę? Skacz z radości, dziadu!

19 stycznia 2011

Tak czy tak, przeszło rok pisania dziennika minął. Jubileuszu nie obchodzę, ale ciekawe i nowe dla mnie zjawisko, że był to mianowicie rok bez dziur, rok systematycznego pisania w sensie ścisłym, a nawet najściślejszym, odnotowuję i ku pożytkowi – może nie tylko mojemu – analizuję. Jeśli jakiś specjalnie uważny czytelnik mimo wszystko znajdzie w tych linijkach element samochwalczy – nie wyprę się.

Pisałem przez dziesięć lat felietony w „Tygodniku Powszechnym" – bez chwilowych nieobecności na ostatniej stronie się nie obywało. Pisałem ładnych parę lat w „Polityce" – dziury, a nawet ciągi dziur bywały jak złoto. W „Dzienniku" prawo do dwóch, trzech dziur rocznie przysługiwało mi mocą umowy niepisanej. Wykorzystywałem te urlopy bez – jeśli mnie pamięć nie myli – specjalnych naddatków. Dobro samoświadomości powoli i w kawałkach, ale już spływało.

Kwestia dziur w twórczości felietonowej ma dwa oblicza. Co innego dziura przez autora zaplanowana, co innego dziura (czarna) autora wchłaniająca.

„Dobrze, że robisz dziury" – pochwalił mnie swego czasu Adam M. i wbrew pozorom nie było w tym cienia ironii, była to uwaga poważna, trafna i głęboka. Adam niezawodnie od najświetniejszego w naszych dziejach felietonisty, od samego Antoniego Słonimskiego musiał ją usłyszeć, w końcu nie od

parady był jego osobistym pierwszym sekretarzem. Otóż w robieniu dziur jest coś, a nawet bardzo sporo. Pamiętam Słonimskiego ogłaszającego felietony w „Tygodniku", pamiętam też innego księcia gatunku, Stefana Kisielewskiego – obaj kunszt zostawiania pustych miejsc uprawiali. Oczywiście w tamtych czasach w uprawianiu tego kunsztu mieli silne wsparcie ze strony cenzury, która często gęsto teksty im z prostotą zdejmowała, wszystkich jednakowoż duchowych zdobyczy tamtej epoki udziałem wrażego urzędu wytłumaczyć się nie da. Myślę, że cenzurze znacznie więcej „zawdzięcza" Kisiel. To był atleta pisania felietonowego, swobodnie dawał rady, zajmując się przy tym całą masą innych rzeczy, pisać regularnie – cenzura zastępowała wizerunek siłacza obrazem grymaszącego kapryśnika, któremu raz się chce teksty ogłaszać, raz nie. Słonimskiemu też dziury czynili, ale pewnie były i takie tygodnie, kiedy on sam nie zabierał głosu.

W żelaznym utrzymywaniu cotygodniowego rytmu jest i podstawowa zasada fachu felietonisty, i elementarne zarazem tego fachu niebezpieczeństwo. Gość, który latami, a może i dziesięcioleciami potrafi co tydzień na łamach zbornie się wypowiadać, jest oczywiście rasowym felietonistą, z wolna wszakże (choć potem coraz prędzej) przeistacza się w kogoś, kto latami nieprzerwanie i mechanicznie – bez zmiany rytmu i bez chwili oddechu – tłucze wiadomą liczbę znaków. Czyta się go nadal, ale to czytanie pozorów i nie tylko pozorów mechaniczności nabiera. Zdrowie zawodnik musi mieć żelazne, ale gdy podziw dla jego gry zaczyna się sprowadzać wyłącznie do podziwu dla kondycji, słuszniej od czasu do czasu zrobić dziurę i nie pokazać

się na boisku. Lepiej, jak pytają: „Dlaczego gracza nie ma?”, niż widząc go, wzdychają: „Ten znów jest”.

20 stycznia 2011

Rzecz jasna co innego „Tygodnik”, co innego „Polityka”, co innego Springer i zwłaszcza co innego „Przekrój”. Co innego felieton, co innego dziennik – nawet w felietonowym rytmie ogłaszany. Owszem, chętnie w tym miejscu formy felietonowej używam, ale – by tak rzec – ani jej nie szukam, ani przodem nie puszczam.

21 stycznia 2011

Używając formy dziennika, a nawet dziennika intymnego, spokojnie i bez względu na ryzykowną stylistykę mogę wyznać: mnie dziury wchłaniały. Kto wie, ten wie. Przepadałem w nich bez wieści. I nie tylko formie dziennikowej zawdzięczam, że to się skończyło. Pewne rzeczy się tu nakładają, ale jak to przy nakładaniu – trzeba uważać. Spod przeszło rocznicy dziennika bez dziur coraz śmielej prześwieca rocznica życia bez dziur. Prawie, prawie jestem gotowy o tym mówić. Elementarna dla wielu prawda, że nie sztuka wyjść i skończyć – sztuka nie wejść i nie zacząć, dochodziła do mnie długo, ale w końcu doszła. Długo trzymałem się obiegowej wersji: jakoś się wyczołgasz. Unikajcie, bracia, tych, co wspierają was w wyczołgiwaniu się, rzetelnie pomogą wam tylko ci, co was wtedy olewają. Trudno to przyjąć, ale – jak by powiedział Miłosz – raz przyjęte, wynagradza. Jak na zatwardziałego przeciwnika wszelkich nowinek, jak na radykalnego na przykład wroga teorii, że Ziemia jest kulista (jest ona płaska jak naleśnik), nowina dotarła do mnie i tak rychło. Oczywiście żadnych fajerwerków, ulg czy euforii – raczej przeciwnie. Mam za sobą rok nie najgorszej formy i zupełnie koszmarnego – dzień w dzień – samopoczucia. Plus ryzykowną wiedzę, jak jednym ruchem, tracąc formę, poprawić samopoczucie. Plus proste przeświadczenie, że minimalny wysiłek – najlepiej umysłowy – warto zrobić. Całkiem w sobie samym jeszcze się nie

uplasowałem, ale kto wie. Sporo odzyskując, nie mam częstego u współbraci złudzenia, że uzyskałem życie wieczne. Skąd! Poczucie jego biegu teraz dopiero jest tragiczne. Ale zwycięża – cóż z tego, że nieco zgrana – kwestia smaku. Od frazy: „Zapił się na śmierć", znacznie przecież bardziej wyrafinowana, znacznie dowcipniejsza i znacznie radośniejsza jest fraza: „Przestał pić i umarł".

2 lutego 2011

Podobno istnieje coś takiego jak temperatura i temperatura „odczuwalna” (?). Wygląda mi to na kolejny wybitny wynalazek epoki relatywizmu powszechnego. Jeśli temperatura wrzenia wody wynosi, dajmy na to, sto stopni, to jaka jest „odczuwalna” temperatura wrzenia tej cieczy? Zależy od pogody? W upał wyższa, zimą niższa? W warunkach wojennych – że sięgnę pamięcią do czasów studium wojskowego – skacze, w czasie pokoju opada? Proszę bardzo. W sumie popieram. Wszystko, co służy literaturze, wszystko, co da się na teren literatury przenieść, i wszystko, czym się da lepiej jej zakamary oświetlić, jest dobre. Z temperaturą – że powiem coś od siebie – jak z temperaturą: nieraz jest, nieraz jej nie ma.

Ale na przykład czytanie i „czytanie odczuwalne” to jest coś! Zwłaszcza z wiekiem. Niby czytasz po staremu, a odczuwasz coraz mniej. Lektura trwa nieprzerwanie – lektura odczuwalna trafia się coraz rzadziej. Stąd starcze powroty do dawnych, jakże wstrząsających w ich odczuwalności, tekstów. Przy nowych bywa to rzadko, chyba że nowość jest nieoczywista.

3 lutego 2011

Wydawnictwo Znak wydało opasły tom: *Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady*. Nad prowokacyjną przekornością, ergo zaplanowaną kontrowersyjnością tytułu nie pieję, ale też nie wydziwiam, bywały rzeczy groźniejsze, a mistrzostwo świata w dziedzinie rozdzierających tytułów, czyli opatrzenie (mniejsza już o to przez kogo) zbioru pośmiertnych szkiców Andrzeja Kijowskiego szokującym nagłówkiem *Bolesne prowokacje*, nadal jest i długo jeszcze będzie nie do pobicia.

Przeszło sto stron *Dziennika* Błońskiego przeczytałem niezmiernie „odczuwalnie". Mam na punkcie Błońskiego swoistego bzika – bliska mi jest ta postać niesłychanie, a zarazem tak daleka, że choćbym połowę jego sekretów – też tych mniej lub bardziej zakamuflowanych w *Dzienniku* – rozgryzł, za bardzo się doń nie zbliżę nigdy. Gdybym powiedział, że był moim mistrzem i nauczycielem, byłaby w tym spora uzurpacja, jak zresztą zawsze, gdy uczeń daje nominacje, wiarygodnie jest tylko na odwrót. Pewne więzi jednak istniały i rekonstruuję je pieczołowicie; na naszym marnym świecie jedynie tęsknota – skłonna do egzaltacji siostra pamięci – jest doskonała.

Na sto drugiej stronie trafiam na takie linijki: „Kiedy szedłem ze szkoły powszechnej do gimnazjum, miałem nadzieję, że teraz zacznę się uczyć naprawdę; przyjeżdżając w 48 do Krakowa, myślałem o uniwersytecie jako o krynicy, z której tryska i wiedza,

i mądrość. Nie marzyłem o niczym innym, jak o tym, aby mieć nauczycieli. Ale wtedy wszyscy zajęci byli zmienianiem przekonań, jakże mogliby stać się nauczycielami?".

Gombrowicz przekonań nie zmieniał, ale na nauczyciela – mimo nadziei ucznia – też się nie nadawał: „Przy uznaniu wybitności przeważał u mnie lęk [...] że mnie przyszpili, przygniecie, każe się wykręcać albo składać wyznania wiary, których bym się później wstydził. Że do niego nie dorastam, że chciałbym się raczej czegoś nauczyć, posłuchać". Niestety autor *Kosmosu* miał zaledwie jedną naukę: „Niech pan żyje dla siebie, człowiek powinien żyć najpierw dla siebie", i tę naukę Janek miał raczej za frazes. Niską notę ułatwiał fakt, że nauczyciel w osobistych rozmowach jechał całymi partiami ze swego czy to już opublikowanego, czy – częściej – napisanego, a niepublikowanego jeszcze *Dziennika*.

Owszem, autor cytujący samego siebie – to zawsze budzi mieszane uczucia. Nawet, a może zwłaszcza, najwięksi rzadko mają do powiedzenia więcej nad to, co napisali, chyba że o dupie Maryni. Gombrowicz, specjalnie późny i ciężko chory Gombrowicz, takich tematów nie znał. Poza tym – cóż za problem w sensie ścisłym! Ja, ledwo klecący akapity pisarzyna, raz po raz bezkarnie się powtarzam, sławni klasycy mieliby nie mieć takiego prawa?

„Niech pan żyje dla siebie". Jak zderzyć ten frazes z takim oto wyznaniem Błońskiego: „Tak niezmiernie powoli postępuję, jakbym żył we mgle albo spowolnieniu, gdzie nawet oczywiste porażki przestają mnie obchodzić [...] od wszystkiego uciekam właściwie, niby odruchem samoobrony [...]. Nieustanna prawie rozpacz nieautentyczności, rozpamiętywanie pomyłek, niepojętej –

dzisiaj – dla mnie drogi, jaką przybrało moje życie intelektualne”; jak taką boleść, a też dane tu i ówdzie w tekście próbki nie byle jakich możliwości pisarskich Błońskiego zderzyć z „frazesem” Gombrowicza, robi się ciekawie, a nawet bardzo ciekawie. „Zapisuję nieporządek własnego umysłu, który wszakże – nieporządek – żadnej z siebie iskry poetyckiej nie skrzesze”. Poetyckiej może nie, ale diarystycznej? Czemu nie? Przypuszczenie, że gdyby z *Dziennika* Jana Błońskiego zostało nie sto, a kilkaset stron, mielibyśmy dzieło na nie wiadomo jaką skalę, taki otóż żal zbyt automatyczny mi się zdaje, by go odnotowywać. Skądinąd o widmowych dziełach Błoński umiał pisać olśniewająco.

5 lutego 2011

Całą młodość nie marzyłem o niczym innym, jak o tym, aby mieć w Błońskim nauczyciela, chciałem, by czytał, co piszę, by pisał o tym, co piszę, by ogłosił w „Tygodniku Powszechnym" entuzjastyczną recenzję, by zgłosił moją kandydaturę do Nagrody Kościelskich – słowem miałem wszystkie elementarne marzenia wszystkich ówczesnych galicyjskich (stołeczni marzyli dodatkowo o druku w „Twórczości") młodych literatów.

Niby się spełniło, ale jak z płatka nie szło. W ostatnich porywach siedmioletniej pracy na uczelni zacząłem pisać u niego doktorat. Zamiast koncepcji i pierwszych rozdziałów dysertacji przyniosłem mu w niemałym trudzie wymęczone sto stron prozy. Przeczytał i nawet dokładnie omówił i wrażenia zreferował, ponieważ jednak ani na początku, ani w środku, ani na końcu nie padła fraza: „Największe objawienie literackie ostatnich dziesięcioleci", słuchałem – wkurwiony nań – nieuważnie, a szkoda, a szkoda. W końcu przyciśnięty do muru pod względem zawodowo-naukowym przedstawiłem kawałek, nawet spory, ze trzydzieści stron doktoratu – rewelacja to nie jest, kręcił nosem.

Pachniało rozstaniem, przestojem, a nawet zastojem. Na wielkie, a może na największe moje szczęście wybuchł stan wojenny. Promotor wyjechał za granicę, doktorant zajął się urokami, jakie w życie zniewolonego narodu wnosiła godzina policyjna. Tak jest. Jaruzelski dał mi nie tylko wolność, dał mi też

– jak się miało po latach pokazać – jaki taki fach do ręki. Bo przecież gdyby historia potoczyła się inaczej, gdyby Błoński siedział w Krakowie, gdyby wziął mnie – a potrafił być bardzo zasadniczy – do galopu, to ja z samego strachu napisałbym ten nieszczęsny doktorat i w rezultacie może do dziś mój trup błąkałby się w jakichś lochach Gołębnika.

6 lutego 2011

Tak jest – przy całej swej lekkości, elegancji, humorze, przy całym swym wiecznym i dziwacznym chichocie, Błoński był facetem poważnym, pryncypialnym i wymagającym. Co ciekawe, lubił stanowiska – jako dyrektor instytutu czy jako prorektor uniwersytetu czuł się świetnie. Oczywiście i wtedy chichotał, całe życie chichotał dziwacznie – rozmaite w związku z tym anegdoty krążyły, najmniej poprawną może wam Bronek Maj nie tyle opowiedzieć, ile wręcz odegrać.

Kiedyś napisałem, że był to chichot leverkühnowski – dla unaocznienia parę linijek z *Faustusa*. „Gdy jednak przypomnę sobie śmiech Adriana, stwierdzam dziś, że miał on w sobie coś z wiedzy i szyderczego wtajemniczenia. Śmiech ten pozostał mu na zawsze i później często go słyszałem, gdy u boku Adriana siadywałem na koncertach lub w teatrze i uderzał go jakiś trik artystyczny, jakieś pomysłowe, uwagi tłumu uchodzące, zjawisko w wewnętrznej strukturze muzycznej, jakaś cienka intelektualna aluzja w dialogu dramatu. Podówczas śmiech ten wcale jeszcze nie odpowiadał jego wiekowi, był już jednak zupełnie ten sam, co później u dorosłego. Składało się na niego lekkie wytchnienie powietrza przez nos i usta przy jednoczesnym odrzuceniu głowy w tył, krótko, chłodno, ba, wzgardliwie lub najwyżej jakby chciał powiedzieć: Dobre to, dowcipne, interesujące, zabawne! – Lecz oczy jego nabierały wówczas dziwnie uważnego wyrazu, szukając

czegoś w dali, a ich metalicznie cętkowana mroczność osnuwała się głębszym jeszcze cieniem".

Swoją drogą żyję długo, ale że żyję tak długo, by zacząć dostrzegać u Tomasza Manna rozwiązania z lekka, a może nawet fest (jak w końcówce o mroczniejących oczach jenijusza) grafomańskie, nigdy bym nie pomyślał. Daj, Panie, pożyć jeszcze trochę, a może i paroma innymi bogami literatury uda mi się zachwiać. I cóż z tego, że uciecha niska?

Tak czy tak i nadto nie demonizując szczegółów – chichot Adriana Leverkühna wypisz, wymaluj: Jan Błoński, też – niepodobna przy okazji nie zauważyć – Józef Tischner, też – choć jemu do zaświatów daleka droga – Marian Stala. O zaświatach wspominam, bo obaj, i Błoński, i Tischner nie tylko śmiech mieli leverkühnowski, ale i na tamtą stronę trochę w leverkühnowskim stylu przechodzili. Osobne opowieści. Osobne obrazy i osobne rozważania. O żadne tanie analogie mi nie idzie, dlaczego zresztą miałyby być tanie? Bo płytki umysł je spostrzega? – jakoś się nie poczuwam.

Przeczytawszy całość konfesji J.B. z najwyższą żarłocznością i pewien, że właściwie co chwila w rozmaitych pasmach wielce wymowne akapity odkrywam – teraz jednak ich nie komentuję. Czy kilkustronicowy sen zaczęty na sto ósmej stronie jest proroctwem choroby? Czy skargi na pamięć („Na pamięć bardzo się uskarżam. Ale i tu dziwne można zaobserwować fenomeny") w tym samym kodzie się mieszczą? Czy właśnie ci, co „naprawdę byli wtedy marksistami" – ponieważ wgłębiali się w określone tezy myśli, które zresztą zaraz kwestionowali, ponieważ nie grymasili i nie bronili zasromanej subiektywności – jak na

przykład Kołakowski – intelektualnie najmniej stracili? Wszystkie te i parę jeszcze innych kwestii zostawiam na razie na boku. By na nie odpowiedzieć, a może tylko dokładniej przemyśleć, potrzeba – że powiem coś od siebie – dystansu.

8 lutego 2011

14 stycznia 1962 roku Błoński w swym *Dzienniku* taki zapis daje: „Wracając z Paryża do Polski, niesłychanie mocno, do łez prawie reagowałem na widoki obce i ojczyste, byle jakie nawet; budziły się skojarzenia, pomysły, czemuś głębszemu odpowiadające, jak ten apokaliptyczny neon Bayera w Leverkusen [Leverkühn...], towarzyszący w bezbrzeżnej plątaninie szyn i dróg nocnej jeździe pociągu: symbol antynatury, mocy, potęgi człowieka (brednie, bo potęgi reklamy) i jej przeraźliwości – coś z końca świata jednak, bo neon «wyobcowany» grozi komuś, wyzywa w tej pustej nocy, coś zapowiada, życie przyszłe ludzkości zapewne, ale w jego kruchości i nostalgii; przy tym barwa apokaliptyczna, bo właśnie zaczynały się awantury berlińskie i drżałem przed atomem. Jeszcze to głębiej siedziało – co właściwie – trudno mi teraz dostrzec”.

9 lutego 2011

W dzisiejszej „Gazecie Wyborczej” rozważania, czyim patronem po beatyfikacji powinien zostać JP II. Niepłodnych małżeństw? Praw człowieka? Sportowców? Wolności? Rodziny? Narciarzy? Całej Polski? Etc., etc. Autorka tekstu Katarzyna Wiśniewska cytuje franciszkanina ojca Jana Marię Szewka, który „podpowiada, by obrać Jana Pawła II patronem takiej grupy lub sprawy, która będzie natychmiast go przypominała – gdyby Papież został patronem sportowców, trzeba by niektórym tłumaczyć cały jego życiorys. Co innego demokracja, wolność. To wielki przełom, który dotyczył wielu ludzi i narodów, i jest powszechnie znany. Ale ze świętymi patronami bywało różnie. Bo kto skojarzyłby żyjącą w XIII wieku świętą Klarę z mediami elektronicznymi? A jednak w 1956 roku Pius XII ogłosił ją patronką telewizji. Święta Klara – wyjaśnia ojciec Szewek – chciała uczestniczyć w pasterce, ale schorowana leżała w łóżku. Siostry obiecały jej, że po powrocie opowiedzą wszystko ze szczegółami. Ale Klara otrzymała od Boga wizję, widziała, co się działo w kościele. Siostry niczego nie musiały jej opowiadać. Uznano więc, że święta Klara, mimo iż żyła w średniowieczu, miała dar pierwszej transmisji telewizyjnej”.

Dla protestanta jest to oczywiście czarna magia, dla sporej liczby polskich katolików – polskie nienasycenie. (Wyraz „chciejstwo” taktownie pomijam). Od pychy stan ten cienka

granica dzieli. Niedawno na tych samych łamach w arcyważnym wyznaniu *Nie modlę się do Papieża* Halina Bortnowska dotknęła zjawiska „naszego zarozumialstwa, niemądrego przeświadczenia, że bycie Polakiem liczy się przed Bogiem jako cnota i zasługa, że zjednanie sobie miłości i wdzięczności tylu ludzi w różnych miejscach świata wiąże się z pochodzeniem tego konkretnego następcy Piotra". Tekst przeszedł kompletnie niezauważony. Nie dziwota – za trudny, powiedziałbym: wielorako za trudny.

10 lutego 2011

Wszystko w naszym kontekście i wszystko w kontekście JP II za mało. Na razie jest patronem polskiego nienasycenia. Wszelką w tej mierze powściągliwość i wszelki rozum (dotychczasowy, miejscami dziki, miejscami nieobliczalny) kult papieża Wojtyły dawno unieważnił. Gdy więc na adres mailowy, pod którym redaktorzy gazety czekają na odpowiedzi na pytanie „Patronem jakiej grupy powinien być Jan Paweł II?", przyjdą daleko idące idee, gdy na przykład zaczną pojawiać się propozycje, by został on patronem Trójcy Świętej, należy to przyjmować z wewnętrzną pogodą i równowagą. W końcu ani Panu Jezusowi, ani Panu Bogu, ani Duchowi Świętemu nie zaszkodzi, gdy w potrzebie, na przykład naszymi wybrykami znękani, pomodlą się od czasu do czasu do swojego patrona. Korony z głów im nie pospadają, gdy go niekiedy o jaką łaskę poproszą.

19 lutego 2011

Nie roniąc ani krztyny z niechęci do podróżowania, byłem zarazem całe życie pewien, że najdoskonalszym w tej mierze środkiem jest kolej. Zalety wiadome: można było nawiązać jakiś ciekawy, a nawet intensywny kontakt towarzyski, można było poczytać, pogadać, posłuchać, wyjść na korytarz celem rozprostowania kości, można było całą drogę próbować zgadnąć, jakiej to lekturze – z całkowicie skandalicznymi wypiekami – oddaje się siedząca pod oknem towarzyszka podróży. Można też było – to prawda – natknąć się na jakąś mało sprzyjającą minę, ale w tamtych czasach i takie niebezpieczeństwa bywały – bo ja wiem – z jednej strony łagodniejsze, z drugiej komiczniejsze. Miny, i to bardzo specyficzne miny bywały.

Pamiętam, raz byłem w silnej potrzebie pójścia do toalety, a może do warsu, a może nawet, w odpowiedniej – rzecz jasna – kolejności, do obu tych punktów usługowych. Potrzeba była raczej neurotyczna niż fizjologiczna, więc pewnie o bufet chodziło. Wszystko jedno – do rytualnej, prostej i z pozoru banalnej wędrówki nie doszło. Dlaczego? Nie zgadniecie nigdy. Choć byście milion lat zgadywali – nie zgadniecie. O co szło? A oto, że przez większą część jazdy korytarzem wte i wewte krążył kardynał Macharski i odmawiał różaniec. Klęska zupełna, droga odcięta, o jakimś niezauważalnym przemknięciu się szkoda marzyć. Książę Kościoła modlił się i kroczył w osobliwie, rzekłbym,

sportowo-wojskowym rytmie, marsz, zwrot, marsz, zwrot i tak w koło, nawet kacerska mysz by się nie prześlizgnęła. Poza tym jakże to tak? Człowiek na ratunkowe piwo zmierza, a tu rozmodlony kardynał nadciąga! Rozmodlony i darem Ducha obdarzony, nie trzeba mu psychologizmu, widzi wszystko: całą moją nędzę, całe faryzejstwo i wszelkie inne nikczemności.

Może jakbym był katolikiem, dałbym jakoś – Szczęść Boże! Szczęść Boże! – radę. Może dla rzymskich współbraci spotkanie kardynała w pociągu czy wręcz na wagonowym korytarzu to byłaby rzecz prostsza. Dla mnie nie do przejścia.

Cytowałem już kiedyś pewnego bystrego watykanistę, który zauważył, że owszem przez bramy Watykanu najprzeróżniejsze grupy z rozmaitą nabożnością przechodzą, najbardziej nabożnie czynią to jednak protestanci i socjaldemokraci. Tak jest, bracia ewangelicy – po tym też nas w świecie poznać: po specjalnym skuleniu, z jakim progi katolickiej stolicy przekraczamy! Jednakże wtedy w pociągu nie stać mnie było ani na korność, ani na skulenie, ani na nabożność. To znaczy teoretycznie, wysoko teoretycznie, tak wysoko, że prawie abstrakcyjnie, niby stać mnie było na jakieś marne pozorowanie rozlicznych chrześcijańskich cnót, ale tym większy lęk przed demaskacją. – A dokądże to, młodzieńcze? – Odpowiedzią na taką kwestię – strach i niemota. Życie (ewangelickie życie) w wiecznym poczuciu winy robiło swoje. Kombinowałem wyłącznie, jak się ratować, nic innego mi po łbie nie łaziło. Jakimś cudem bez wzmocnienia, a może przeciwnie w szczególnie mocnym, bo duchowym wzmocnieniu do Krakowa dojechałem.

22 lutego 2011

Inne jeszcze przygody w pociągach się trafiały, różne historie ludzie opowiadali, najśmieszniejszą chyba Piotrek Pytlakowski – zapytajcie go, jak grono będzie wystarczająco wąskie – może opowie. Literatura wagonowa literaturą wagonową, rzeczywistość kolejowa rzeczywistością kolejową, a ich walory zaczęły maleć, i to w galopującym – jak wszystko teraz – tempie. Książek w pociągu dawno nie da się czytać, gazety ledwo ledwo, zajmujący narratorzy wymarli albo emigrowali. Słuchać czyjegoś szczebiotu czy zrzędzenia – korzystniej oknem wyskoczyć; zawrzeć jakąś znajomość – lepiej od razu na policję. Elementarne marzenie jeszcze nie całkiem zdziczałego, ale nieubłaganie dziczejącego podróżnika, czyli pusty przedział – zwłaszcza od czasu zakazu palenia – to jest marzenie ściętej głowy. Dostojnicy kościelni też nie bardzo (a może bardzo) wiadomo gdzie się podziali, ich miejsce zajęli znacznie groźniejsi wajdeloci komórkowi. Nie tylko nie wstyd im śpiewać przy ludziach, publiki chyba specjalnie szukają – słowem czasy dyskrecji, heroizmu i innych liryzmów minęły. Zapewne bezpowrotnie.

Z tych i – nie byłbym sobą, gdybym nie dodał – z paru jeszcze innych powodów coraz częściej wybieram przejażdżki samochodem. Wspominany już na tych kartach Edziu Pilch prowadzi, trasy mamy nieprzesadnie urozmaicone, ale jak na

nasze potrzeby aż nadto obfite. Warszawa, Kraków, Wisła. Kolejność dowolna.

23 lutego 2011

Na debiut – że powiem coś od siebie – nigdy nie jest za późno. Jeżdżąc z Edkiem, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Pierwsza to banał nad banałami, ale widać, że w moim wypadku i elementaria potrzebują czasu. Uświadomiłem sobie mianowicie rzecz, którą od dawna znałem doskonale, uświadomiłem sobie rzecz, którą od blisko sześćdziesięciu lat mam we krwi i sercu, ale która w czasie ostatniej jazdy dotarła do mnie z wyjątkową – rzekłbym nawet – tajemniczą siłą. Uświadomiłem sobie mianowicie, że mój świat, moje strony, moja – niech będzie – ojczyzna zaczyna się i kończy jakoś koło Bielska. Widać góry – jesteśmy w chałupie. Góry się tracą – wjeżdżamy w Polskę. Równą, rozległą i – myślcie o tym epitecie, co chcecie – płaską. Druga sprawa kłopotliwa, sentymentalizm pierwszej łamie – może mianowicie być odwrotnie: góry wasze, równiny moje. O remisie nie wspominam nawet – remisy są nudne. Tak czy tak, podróżujemy sobie jak gdyby nigdy nic. Edziu ma w aucie urządzenie, które wszyscy również w swoich autach mają, najchętniej nazwałbym to krótkofalówką, ale wstydzę się archaizmu, wiecie zresztą doskonale, o czym mowa – jest to aparatura służąca komunikacji, powiedziałbym, wewnętrznej. Jak się ściśle nazywa, nie wiem, ale wiem, że czyni trasę i mapę podróży czytelniejszą i zapewne bezpieczniejszą. Ludzie

ostrzegają się przed policją, radarami, objazdami, korkami i czym tam jeszcze.

Z początku bawiło mnie słuchanie tej dziwacznej siatki wywiadowczo-podsłuchowej, z czasem jednak pojawił się element irytacji, a nawet niechęci. Wkradła się monotonia, i to klasyczna, i przez to straszna, polska monotonia. Uwaga koledzy, tu a tu jest zwężenie, dawno powinno go nie być, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga koledzy, za niecały kilometr objazd w prawo, dawno powinno go nie być, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga koledzy, za Częstochową prace drogowe, dawno powinno ich nie być, ale niestety jesteśmy w Polsce. Uwaga koledzy, za chwilę dziura wielkości Rowu Mariańskiego, dawno powinno jej nie być, ale niestety jesteśmy w Polsce. Uwaga koledzy, tu jest ograniczenie do pięćdziesięciu, nie wiadomo z jakiego powodu, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga koledzy, jest to a to, powinno tego nie być, ale jesteśmy w Polsce.

Może to drobiazg? Jeżdżą sobie Polacy przez bardzo nielubianą Polskę i nic z tego nie wynika? Może nawet dobrze, że mogą przez krótkofalówki najnowszej generacji popsioczyć sobie? Nie mam pojęcia. Prawie we wszystkim lubię szukać dobrych stron, ale wiem też, że takie szukanie bywa niebezpieczne.

12 marca 2011

Z krótkiej notatki w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” dowiaduję się o śmierci księdza Bruella. Przytaczam całość. „W poniedziałek 7 marca w kościele Jezusowym w Cieszynie pożegnano ks. Tomasza Manfreda Bruella, ewangelickiego kapłana, który po przeżyciu 77 lat, w tym ponad 50 w pracy duszpasterskiej, spoczął na cmentarzu przy ulicy Bielskiej.

Ks. Tomasz Bruell urodził się 5 lipca 1933 roku w Bielsku-Białej. Co ciekawe, jego ojcem chrzestnym był znany pisarz Tomasz Mann, przyjaciel ojca, dr. Oswalda Bruella (autora biografii pisarza) – stąd też ukryte w imionach księdza imię i nazwisko wielkiego poety. «Z powodu żydowskiego pochodzenia rodzina nasza znosiła w okresie okupacji najgorsze prześladowania ze strony hitlerowców. Babcia i ciocia zostały w Oświęcimiu zamordowane, a stryjek wraz z synami przebywał w różnych obozach koncentracyjnych. W szkole byłem na każdym kroku prześladowany. Będąc tak poniewierany zacząłem w jedenastym roku życia czytać Biblię» – tak wspominał początek swojej drogi ks. Tomasz Bruell.

Po ukończeniu studiów teologicznych w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej ks. Tomasz Bruell został ordynowany w 1959 roku w Bielsku-Białej. Zaraz potem został wikariuszem w bielskiej parafii, a następnie pracował w wielu zborach, m.in. Skoczowie. W 1960 powołano go na duszpasterza

ewangelizacyjno-misyjnego na terenie Diecezji Cieszyńskiej i Katowickiej, a później całego Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Wraz z grupą pracowników Błękitnego Krzyża działał też wśród osób uzależnionych od alkoholu. W 1986 roku przeszedł na rentę chorobową, lecz nadal czynnie udzielał się w służbie w parafii cieszyńskiej. Zmarł 1 marca 2011 roku".

13 marca 2011

Na marginesie chcę podkreślić okoliczność niby zupełnie drobną, a w istocie o rzadkim wymiarze nie tylko międzyredakcyjnym, ale – przede wszystkim – międzyludzkim. Otóż redakcja „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" dba o mnie jako o swego czytelnika z zawstydzającą troską i od lat, jeśli już nie od dziesięcioleci, z żelazną regularnością co tydzień w kolejne egzemplarze pisma mnie zaopatruje. Przeglądam zawsze, głównie śledzę losy mojego wiślańskiego praklubu piłkarskiego, kiedyś Startu, dziś Wisły Ustronianki, ale – jak widać – nie tylko. Mam nadzieję, że napomknienie o tej sprawie przy okazji pisania o niezwykłej postaci księdza Bruella ani niezręcznością nie jest, ani nikt jej za jakąś żenującą prywatę nie uzna.

Podobnie zresztą jak z kolei nie jest z mojej strony żadną wielkodusznością fakt, że praktycznie pomijam milczeniem określenie przez autora czy autorkę tekstu Tomasza Manna jako „wielkiego poety". Znak czasu i wieku – za młodu nie nad takimi rzeczami człowiek się pastwił. Przed wiekami nie na takie okazje się czatowało. Dziś – spokojnie. Po pierwsze mam wrażenie, że Mann za młodu nie tylko wierszami samymi w sobie grzeszył, ale znacznie gorsze rzeczy wyprawiał. Mnie się zdaje, że spod pióra geniusza w swoim czasie spływały na przykład na wskroś poetyckie dramaty w duchu Fryderyka Schillera albo coś jeszcze bardziej krwawego. I co? I nic. Ludzie klaskali poecie. A ojciec

biednego księdza Bruella najbardziej. Po drugie w lapsusie, że autor *Czarodziejskiej góry* był wielkim poetą, jest coś wymownie naszego, polskiego, gombrowiczowskiego – nie tyle wielkim poetą był, ile skoro wielkim był, to tylko poetą. Kraj poetów i wszystkie z tego faktu wynikające makabryczne konsekwencje. Nie uprawiam jakiejś żenady, nie dorabiam przecież po starej cieszyńskiej znajomości niefortunnemu autorowi „Głosu" obronnej teorii, ale co widzę, to widzę.

14 marca 2011

Rzecz jasna wiedziałem, że ojcem chrzestnym księdza Bruella był Tomasz Mann. Bracia ewangelicy nie tylko z racji wątłej liczebności znają się na wylot i nie takie rzeczy o sobie wiedzą, wiedzą przecież i znają sprawy nawet nieistniejące – jakżeby mieli takiej fundamentalności nie znać? Inna sprawa, że historia miała – jak nietrudno się domyślić – wymiar nieco jednostronny. Ojciec chrzestny prawdopodobnie o tym, że jest ojcem chrzestnym, wiedział. I nic ponadto. Może raczej mniej. Jeśli przejrzeć pod tym kątem *Dzienniki* pisarza, to, owszem, nazwisko Oswalda Bruella, fabrykanta tekstylnego z Bielska, przewija się tu i ówdzie, na tych samych wszakże co setki innych nazwisk zasadach – protokołowane jest z chłodną i lakoniczną wyniosłością. Przepraszam – raz nawet przychylniej i w gruncie rzeczy niebywale rozlegle. W czwartek 11 grudnia 1919 roku Mann notuje: „Oswald Bruell, który zawsze nazywa mnie mistrzem, przyszedł, przynosząc dwa zeszyty, w które wkleił wszystkie omówienia *Fiorenzy* [przedstawienie według opowiadania T.M.] razem ze zdjęciami głównych aktorów. Wzruszające".

O wysoce bucowatym wizerunku twórcy *Faustusa*, jaki się z jego zapisków wyłania, napisano wystarczająco wiele, doprawdy nie ma się już czym ekscytować. W tym wypadku uwielbienie dla Mistrza było tak trwałe, wzruszenie Mistrza tak łaskawe, że za kilkanaście lat Mistrz wielkodusznie wyrazi zgodę, by nazwisko

jego w wiadomej rubryce umieścić, bo przecież osobiście ojciec chrzestny na chrzcie nie był. I to akurat jest zrozumiałe – latem 1933 Mann na początku swego „niepowrotu” do Niemiec zbyt wiele i zbyt trudnych spraw miał na głowie, by dać radę ze Szwajcarii na dzień, dwa do Bielska skoczyć.

15 marca 2011

Niech to nie zabrzmi za łatwo, niech jedno z drugiego za prosto nie wynika, ale powiedzieć, że w samym Bruellu była pewna literackość, to nic nie powiedzieć. W nim był bezlik takich elementów. I wysoki nosowy głos, i twarz pociesznego sybaryty, i krążące anegdoty o jego wilczym, a może dziecięcym apetycie, i to, że, jak opowiadano, podobno przeżył wyrzucony z pociągu jadącego do Oświęcimia, i sławna jego fotograficzna pamięć – chcieliście się z jakichś powodów upewnić, jaka była pogoda w pierwszy wtorek lipca pół wieku temu? Ksiądz Tomek odpowiadał bez zająknienia (w naturalny sposób łączył ten dar z rozległą erudycją). Widywałem go niekiedy w Skoczowie na gościnach, jakie z rozmaitych okazji proboszczujący tam jeszcze do niedawna mój wuj ksiądz Andrzej Czyż organizował. Można wtedy było docenić i narracyjny dar Mannowskiego chrześniaka. Moja pamięć inna, ale kilka fraz, a przynajmniej ich początków („Jako duszpasterz misyjny często spotykałem się z dziwakami wśród kościelnych"), przechowuję czule. Prawdziwie jednak bliski i niepozbawiony elementu przygodowości kontakt zdarzył się nam w pewien Wielki Piątek w krakowskim kościele ewangelickim.

Oczywiście nie jestem w stanie w tym miejscu nie dać kąśliwo-dygresyjnej uwagi, że wbrew temu, co się dość powszechnie sądzi, my ewangelicy nie tylko uznajemy Wielki Piątek, ale wręcz dzień ten jest u nas największym świętem. Do tego stopnia, że za młodu

matka niekiedy zmuszała mnie do udziału w wielkopiątkowej komunii. Źle mówię – zmuszała. W protestantyzmie przymus jest okolicznością tak wszechogarniającą, że w zasadzie jest nieobecny, nie może ci przyjść do głowy, że nie idziesz do kościoła, nie iść do kościoła w Wielki Piątek – na takie wyrażenia nie ma głosu w luterskim języku.

Tamtego feralnego Wielkiego Piątku komunię sprawował w Krakowie nie kto inny, a ksiądz Tomasz właśnie. Nie wspomniałem jeszcze, że wśród jego przenajrozmaitszych osobliwych cech był też specjalny sposób poruszania się, gestykulacji, manualna nieporadność i to nieporadność dość zupełna, słowem, był to też przy wszystkich swych atrakcjach kapłan niezgrabiasz. Kapłan jajcarz, bezwiedny, bo bezwiedny, ale jajcarz. Ksiądz pechowiec. Zawsze coś mu się trafiało – a to wkraczał przed ołtarz z pełną powagą, ale w todze nieoczekiwanie frywolnie podwiniętej, ma się rozumieć, w najryzykowniejszym z możliwych miejscu, a to biret z brawurową zawadiackością na bakier włożony, a to potknie się biedaczysko i zupełnym cudem na zbity pysk z kazalnicy nie zleci – cała masa klasycznych, jakże przez parafian uwielbianych, gagów. Jak ksiądz Bruell miał nabożeństwo, na ogół było wiadomo, że świętość będzie nie tylko święta, ale i barwna.

A tu była sytuacja nie tylko najwyższego wielkopiątkowego skupienia wymagająca, ale i elementarnej zręczności. Trzeba było tłumowi wiernych (w Wielki Piątek nawet w Polsce trafiają się tłumy luteran) kolejno opłatek podawać i odrobiną wina z dzbana (brzeg naczynia za każdym razem serwetą wytarłszy) poić ich, ergo dzban przechylać. Niby pestka, niby banał zupełny, niby

nawet dla niesprawnego nic trudnego, ale odkąd moje własne ręce wydostały się na swobodę, doskonale rozumiem, w jakich napięciach musiał bywać świętej pamięci Tomasz Manfred. Był to, na kolejny dodatek, kapłan poważnie wierzący, znawca teologii, więc na jakąś sytuacyjną, doraźnie wymodloną (spraw, Panie, bym dziś jakichś jaj przy ołtarzu nie uczynił) pomoc Pana za bardzo nie liczył.

Wybranką Boga okazała się jak zwykle moja matka. Ciało Pańskie podano jej w należytej objętości, ale Krwią Pańską ksiądz swą rozdygotaną i najwyraźniej już zmęczoną ręką lunął jej od serca. Może nie całe matczysko od stóp do głów, ale kosztowny żakiet i wytworna bluzka – mokre doszczętnie. Ksiądz Bruell stropił się niebywale, luterska powaga podszyty śmiechem popłoch stłumiła, co było robić? Wielki Piątek szedł pełną parą, cud natychmiastowego wyschnięcia z monotonnym uporem wszystkich niezdarzonych cudów się nie zdarzał. Co było robić? Wracaliśmy jak zawsze do domu wiślanym bulwarem, wokół pełno spacerowiczów, turystów czy innych katolików, a od matki jak z gorzelni jechało. Tym bardziej że wytworna bluzka zdobna była z przodu w sutą falbanę i teraz ta falbana – samo wińsko. Źle! Bardzo źle. Tym gorzej, że skonfundowana całym wydarzeniem do zupełnych granic matka ledwo lazła. Niejeden mógł pomyśleć: przeholowała kobiecina.

18 marca 2011

Jeśli nie chcesz wpaść w czarną dziurę, nie chwal się jej omijaniem. Jeśli nie chcesz, by dziennik przeistoczył ci się w przegląd prasy, nie czytaj gazet, a już na pewno o nich nie pisz. Nie jest to specjalnie trudne, na ogół – pomimo pozorów wysokiej temperatury życia publicystycznego – nie ma o czym pisać ani co czytać. Bywają jednak wyjątki, one są najważniejsze, dla nich, dla ich dostrzeżenia trzeba omiatać mało wartą resztę.

19 marca 2011

W „Tygodniku Powszechnym” (nr 12) warta szczególnej uwagi bezlitosna analiza dzisiejszego „rozumu młodzieżowego” pióra Jana Hartmana. „Jeśli dawniej grzeczne pensjonarki i kawalerowie powtarzali za swymi nauczycielami rzeczy jakoś znośne intelektualnie i etycznie, to ich dzisiejsi rówieśnicy torturują siebie i nas trywialnym, bezmyślnym nihilizmem wypranym z jakiejkolwiek idei moralnej i pozbawionym krztyny krytycyzmu” – powiada Hartman i nie bez literackiego błysku rekonstruuje trywialne stany dzisiejszej świadomości: „Czy Bóg istnieje? Chyba istnieje, tak, na pewno istnieje. W każdym razie każdy ma prawo wyobrażać sobie Boga po swojemu i z Nim rozmawiać. To jest subiektywne. Nikt nie wie, co będzie po śmierci, ale na pewno coś będzie. Każdy może mieć swoje zdanie na ten temat. To też jest subiektywne. Na razie jesteśmy na tym świecie, a ten świat składa się z atomów. Fizyka mówi o tym, jak ten świat powstał. Ale może to Bóg go stworzył – tego nie wiadomo do końca. Istnieje «coś wyższego», ale co to dokładnie jest – nie wiadomo i każdy może o tym różnie myśleć. Myśli są sprawą osobistą, subiektywną. Jak czegoś nie można zobaczyć, to tego nie ma tak naprawdę i nie może być żadnych dowodów na to. Można w coś takiego nieistniejącego, czego nie można zobaczyć, wierzyć, ale to jest subiektywne. Nauka mówi o atomach i innych faktach obiektywnych i służy do tego, żeby się nam lepiej żyło,

żeby były wynalazki. Nauka coś odkrywa, a potem się to stosuje. Naukowcem był na przykład Kopernik. Naukowcy mają umysły ścisłe, a my jesteśmy raczej humanistami, z matematyki mieliśmy tróję, a z polskiego zawsze dobre stopnie".

Najchętniej przytoczyłbym całość obszernego tekstu, który zresztą mógłby być jeszcze obszerniejszy; wyrazisty i groteskowy monolog dzisiejszego łba pustego jest ewidentnie w zasięgu autora. Trochę konkretów, zmiana Kopernika na Einsteina, jakiś minimalny szkielet fabularny – i rzecz będzie nie tylko gotowa, ale i ważna.

Specjalnie Hartmana rozwściecza dzisiejszy terror „własnego zdania". Znam ten terror, znam go dobrze, i to od strony jeszcze krwawszej; przez parę lat – pożal się Boże – nauczałem literatury.

21 marca 2011

„Młodzi ludzie – pisze Hartman – przychodzą na uniwersytet i stają przed nami jak zaczarowani. Pogrążeni w jakimś umysłowym autyzmie recytują wyuczoną lekcję, ta infantylna opowieść o świecie i życiu nosi tytuł, jakżeby inaczej: «Moje zdanie». Jest nowa i absurdalna. Pojawiła się kilkanaście lat temu i zapewne wkrótce zostanie zapomniana. Jakiś antropolog powinien ją na gorąco spisać i zbadać. Bo to jest pieśń tego ludu i tych czasów. [...] – Ja mam swoje zdanie, że każdy ma prawo do własnego zdania. – Czyli jakie jest pana zdanie? – No właśnie, że każdy ma swoje zdanie. – Ten nie całkiem hipotetyczny dialog streszcza istotę sprawy".

Czy zjawisko jest istotnie nowe, pewien nie jestem. Raczej jest stare i tylko w nowe szaty przebrane. Stereotypy są wieczne i niezmienne, ale za modami nadążają zawsze. Staję na głowie, by ominąć doszczętnie zgrany frazes, że wszystko już było, że historia utyskiwania na pustogłową młodzież jest tak stara jak historia ludzkości, a może nawet ciut starsza. Było nie było – pisz pan: było. Za moich czasów było. Za moich czasów równie wyliniały co nieśmiertelny upiór własnego zdania grasował po ulicy Gołębiej w Krakowie i był nie do zabicia. A jak udało się go gdzieś przegnać, przychodził nowy i bredził identycznie. „Co do literatury – każdy ma własne zdanie. Jednemu się podoba to, drugiemu tamto. Wszystko jest subiektywne, jeśli ktoś uważa

Trędowatą za arcydzieło, ma do tego takie samo prawo jak ten, co zachwyca się *Czarodziejską górą*. Kicz nie istnieje? Jak ktoś uważa coś za kicz, ma do tego prawo, ale kto inny może to samo uważać za arcydzieło i też ma do tego prawo".

Udręczające brednie były tym trudniejsze, a w zasadzie całkiem nie do obalenia, że szło o literaturę, a przecież o gustach się nie dyskutuje; rozum odrzucony, i to dawno. Na szczęście – sam Hartman wprawdzie tylko w nawiasie, ale zauważa – odrzucony nie przez wszystkich. A to o tych „nie wszystkich" zawsze szło.

24 marca 2011

Wspominam epokę egzaminów wstępnych, chyba kamienia z głów łupanego. Udręczone komisje siedziały w upale i wysłuchiwały najgorszej i zarazem najpowszechniejszej, bo niczym nicość nieuchwytnej szemraniny. Ani przepuścić, ani do końca oblać tych minustrójkowiczów się nie dało, nawet trybem liberalnym: „A proszę nam powiedzieć, co pani ostatnio czytała bezinteresownie i dla przyjemności?". „Ostatnio dla przyjemności czytałam *Ludzi bezdomnych* Stefana Żeromskiego, moim zdaniem to jest bardzo ciekawa książka".

I tak od rana do wieczora. Ale przecież zawsze – profesor Hartman pamiętać to musi – wśród kilkudziesięciu osób dziennie pojawiały się dwie, trzy, a nawet cztery postacie, które były – to się czuło od pierwszego wypowiedzianego zdania – z innej bajki i z innej planety: inteligentne, oczytane, bystre, niekonwencjonalne. I o taką młodzież szło i idzie. W nauczaniu uniwersyteckim nie idzie o to, że średni poziom studencki jest niski. Idzie o tych parę osób, których poziom jest wysoki. Tylko one są warte istnienia wyższych uczelni, one podtrzymują szacowne mury, reszta je wypełnia. Grzeczne pensjonarki i kawalerowie głosili rzeczy znośne intelektualnie, ale przecież – darujmy sobie frywolne odczytania – warte uwagi były i są tylko niegrzeczne pensjonarki i krnąbrni kawalerowie. Ja wiem, że Hartmanowi idzie raczej o powszechny poziom mentalności,

o rzecz metafizycznie ogromną – pustkę. „Pustka pod postacią obojętności, ignorancji, gnuśności podchodzi pod nasze domy jak nocny mróz”. Może i podchodzi, ale jej główną składową nie są studenci. Być może jest tam paru pierwszorocznych studentów Hartmana, ale aż tak groźni oni nie są. Prawdziwie groźna jest ta pustka, która od dawna panuje w naszych domach, jej sine światło widać w każdym oknie.

26 marca 2011

„Trzeba dbać o zdrowie – Hartman przytacza kolejne młodzieżowe stereotypy – i uprawiać sport. Fajnie jest podróżować, żeby poznawać inne kultury. A od polityki lepiej trzymać się z daleka. Bo politycy tylko się kłócą i to do niczego nie prowadzi".

Brzmi to wszystko fatalnie, choć w końcu – moim zdaniem – jest prawdą. Skąd ta fatalność? Na razie nie mam pojęcia. Zazdroszczę sportu – za późno i upokorzony starością zszedłem z boiska. Nie znoszę podróży, ale przecież za młodu bywało się tu i ówdzie, oni bywają intensywniej – mówią językami. Nawet jeśli w tych językach mają do powiedzenia te same banialuki albo nic zgoła nie mają do powiedzenia – jest w tym jakiś postęp. Banał po angielsku, a zwłaszcza po francusku, brzmi ciut głębiej. Polityka? Mój Boże! Aż tak błyskotliwy, by powiedzieć, że politycy zły przykład młodzieży dają, to ja jednak nie jestem.

27 marca 2011

Politycy furda. Ale jakiż przykład i jaki terror własnego zdania z literatury, z poezji, i to najwyższej, bo wieszczej, płynie! To znaczy nie tyle z samej poezji, ile z jej traktowania. Złego, bardzo złego. Okazuje się, że Polska to jest taki kraj, w którym każdy może mieć swoje zdanie, z wyjątkiem tych, którzy mają specjalne upoważnienie do posiadania własnego zdania, z wyjątkiem poetów mianowicie. Każdy może co chce gadać, a poeta nie śmie. Wieszcz nie może. Daimonion strofy poecie do ucha szepczący zagrożony jest, i to poważnie zagrożony – może być nawet dycha i piątka na przytarcie rogów. Wiecie, o czym mówię, mówiłem już o tym. Poeta wygłosił własne zdanie na temat Redaktora, a Redaktor, miast – jak to jest w cywilizacji przyjęte – własnym zdaniem odpowiedzieć, w te pędy na komisariat. Zamiast twórczą polemikę tworzyć, meldunek składa! Przeprosin od Poety żąda! Od Poety! Przeprosin! Przecież od poety u nas nigdy niczego się nie żąda! Cóż dopiero przeprosin! Poeta człowiek boży, ma prawo, a może nawet powinien odrzucić precz myślenie! A Redaktor, miast na kolana paść, wdzięcznym być, że Poeta tajemnicze swe porównania z Różą – jak to Paweł Hertz mawiał – Laxemberg doń kieruje, do sądu leci!

Oczywiście z cynicznej perspektywy na wszystko spoglądając, można powiedzieć: nic specjalnego się nie dzieje ani nic takiego się nie stanie. Kary śmierci nie ma, gułagów też nie, na

odsiedzenie w kryminale choćby cząstki tego, co kiedyś Redaktor odsiadywał, Poeta też za bardzo liczyć nie może, pozew – co specjalnie upokarza poetę – jest cywilny. Na męczeństwo, na przywdzianie krwawej korony nie ma co liczyć. Nawet po kieszeni poeta uderzony nie zostanie, bo przecież nawet jeśli drakoński trybunał parę stówek na PCK Poecie wpłacić każe, w porównaniu z milionami, które teraz Poeta na skaczących nakładach zarobi, to pestka. Swoją drogą rozumiem wrażliwość Redaktora i jego ludzi zranionych ciemną pieśnią, ale aż taką wielkoduszność okazywać? Aż taką promocję urządzać?

29 marca 2011

Dwa listy. Jeden od pana T. z Wisły, drugi od Andrzeja Bruella, syna wspominanego niedawno w tym miejscu świętej pamięci księdza pastora Tomasza Bruella. Pierwszy list – pan T. nie byłby sobą – wykwintna koperta, adres mistrzowsko zaprojektowany, litery kunsztownymi zawijasami, chyba spiralami zakręcone, nawet znaczek tchnie nie pocztą, a pinakoteką; sam tekst, jak zwykle, arcydzieło rękopiśmiennictwa. Stara Polska!

Drugi list mailowy, ale z jakimi wiadomościami i z jakimi materiałami! Gdyby nie to, że (zawsze niestosowna) licytacja na tragizm teraz aż furczy w powietrzu, powiedziałbym: Polska jeszcze starsza i jeszcze tragiczniejsza.

30 marca 2011

„Kochany Jerzyku – pisze pan T. – pozdrawiam Cię z serca i bez ociągania piszę, co w głowie. Niepodobna mianowicie w tych dniach nie pomyśleć, że nie tyle zbliża się rocznica Katastrofy, ile nadciąga nad Polskę katastrofa rocznicy Katastrofy. Ciemność wzbiera, znaki się pokazują, komety lecą, wrony kraczą, sienkiewiczowski krzyż ognisty nie tyle na niebie, ile w radiu, telewizji i gazetach. Ja z takich tylko źródeł czerpię informację, całą polityczną prasę u pana Prymusa w kiosku przy moście wykupuję – on rad, bo obroty mu wzmagam, na niedostatek, jak wiesz, nie narzekam, a jakby kiedy i do tego, nie daj Bóg, doszło – też narzekał nie będę. Podobno w internecie szczególna moc znaków, to już jednak nie moja ziemia, nawet jakbym wkroczył, i tak nie uwierzę.

Tak czy tak: nadciąga tajfun rocznicy, plaga rocznicy, klęska rocznicy. Morowe powietrze przyszło już dawno (moim zresztą zdaniem zawsze tu – w mniej lub bardziej jadowitej postaci – było) i swoje w łbach robi. Szykowanie się do pełnych powagi obchodów? Chyba do wojny, a najmniej do bitwy! Dojść do tego, doprowadzić do tego, że lud nie na rocznicę tragedii czeka, ale na to, jakie jaja w tę rocznicę eksplodują? O to się Polska – przez tak liczne wieki – biła?

U nas, oczywiście, takich fermentów nie ma, u nas na prowincji spokój, w całym kraju spokój, ale u Ciebie w Warszawie? Czego

się człowiek dowiaduje? Jak to ma tam wyglądać? Jak to już wygląda? Ci pola dogodne zajmują, tamci dawno już je zarezerwowali, tędy a tędy przemarsze pójdą, nie daj Boże, żeby z innymi przemarszami kolidowały? Bo co? Bo kondukt na kondukt skoczy? Widmami trumien prać się poczną? Podobno najgorsza będzie walka o śródmieście, niektóre gazety i stacje podają, że już się zaczęła. Jak przyjdzie co do czego, na Krakowskim Przedmieściu do wszystkiego, do absolutnie wszystkiego dojść może? Możliwe to, Jerzyku? Podobno znicze, teraz przez pachołków moskiewskich gaszone, tak zapłoną, że jedno wielkie pole ognia pójdzie! Znicze fabrycznie sześciodniowe, teraz za sprawą wyłącznie na nich skupionej Opatrzności całe dwa tygodnie palić się będą! I niech kto ruszy! Rączka mu fik-mig odpadnie. Jerzyku, nie zdaje Ci się to pogaństwo ciut mało chrześcijańskie?

O miejsca do modlitwy ma być walka jak o okopy? Prawda to? Cień prawdy? W radiu słyszałem, że jest propozycja nie minuty, nie godziny, a dwudziestu czerech godzin ciszy, przy czym syreny cały czas wyć mają. Jak to zniesiesz, Jerzyku? Swoją drogą po coś ty się biedaku do tego wilczego miasta przenosił? Ach wiem, wiem, u nas tyle samo demonów na metr kwadratowy co tam i co wszędzie... Wszelakoż w takich chwilach tu chyba raźniej. Może ruszysz? Wieści dochodzą, że liczni mieszkańcy stolicy okna deskami zabijają, dobytek pakują i ewakuują się przynajmniej na czas apokaliptyczno-żałobnego weekendu. Zbieraj się i ruszaj!”.

31 marca 2011

Oczywiście odpiszę panu T., uspokoję go i racjonalnymi argumentami postaram się miarkować jego emocje, zwrócę mu uwagę, że nawet w tak pilnie przezeń czytywanych gazetach rozmaite głosy się rozlegają. Owszem, jest, jak jest, racji wiele, ale spokój, rozsądek, powaga zwyciężą przecież! Wystarczająca jest liczba – niechybnie pan T. skarci mnie za ten frazes – mądrych i rozważnych ludzi w ojczyźnie i oni wygrają! Ton czerni, owszem, może być słyszalny, może ona nawet ten ton nadawać, ale nie wygra! W każdym razie nie histeryzujmy i nie pławmy się w trochę i przez nas samych wykreowanej rzekomej naszej troglodycznej dzikości.

Skądinąd cokolwiek doń napiszę – napiszę w pewnym sensie całkowicie na darmo. Pan T. we wzmiankowanych imponderabiliach pławić się uwielbia! Z fanatyczną pasją szuka wszelkich narodowych bajor i nurkuje z lubością! A jak nie znajdzie, to wymyśla i dopiero nurkuje!

Pana T. ponosi! I to jak ponosi! Powiedzieć o nim, jak ostatnio w Warszawie się mówi, że ma krótki lont, to nic nie powiedzieć. W życiu: człowiek – eksplozja, gdy pisze: autor szał. Upajają go własne wizje, upaja go ich straszliwość, upaja go własna zawiła fraza i upaja go charakter pisma. Mnie w każdym razie upaja. Ściśle mówiąc – zawiść mnie upaja, chyba upadla. Strzelista, krwawa i bezsilna zawiść.

Pan T.! – dajcie spokój, dziewięćdziesiątka nie tyle na karku, ile dobrze za karkiem. Żaden, zaznaczam na wszelki wypadek, literacki „wieczny starzec". Postać powszechnie znana, o znanym życiorysie, słynny drewniany dom zaraz za piaskarnią w Parteczniku. Oczywiście kwękanie, oczywiście to i owo dolega, oczywiście bóle, skurcze, leki. Plecy zgarbione, nogi umiarkowanie sprężyste. Niech to nie zabrzmi niezręcznie czy komicznie, ale zrozumcie: opisuję go w pewnego rodzaju furii, właściwie zawsze wspominam o nim z „pewnego rodzaju furią". Pragnę bowiem powiedzieć, że choć liczne dolegliwości pana T. trapią i całej masy sprawności dziadyga jeden – z oczywistych racji – nie posiada, to ma jedno: niewzruszoną rękę. I tą stabilną dłonią, swoim chyba w latach sześćdziesiątych nabytym watermanem, kropi listy, wywody, zawijasy, histerie, skargi etc., etc. Na papierze kiedyś marnym, dziś z racji muzealności szlachetnym – kancelaryjnym mianowicie. W linije. Pojmujecie, bo nic tu nie do pojęcia nie ma. Czytam listy pana T., gapię się na moje trzy, a może nawet cztery rozsychające się czarno-zielone pelikany i moje serce czarna jak żałobny atrament krew zalewa.

1 kwietnia 2011

List Andrzeja Bruella. „Panie Jerzy, dziękując za przypomnienie postaci mojego ojca, mam dla Pana ciekawą historię, ciekawą, bo prawdziwą. Otóż mój tata – śp. ksiądz pastor Tomasz Bruell – wbrew krążącemu i w Pańskim tekście również przytoczonemu «podaniu» ani z transportu oświęcimskiego nie uciekł, ani nie został zeń szczęśliwie przez kogoś wypchnięty. Okoliczności były inne. Kuzyni i stryjek mego ojca (Walter Bruell) zostali aresztowani w bielskim tramwaju w 1943 roku. Gdy Niemcy zwijali całą czwórkę, ktoś zaczął krzyczeć: jeszcze jeden, jeszcze jeden żydek się tu chowa!, wskazując na dziesięcioletniego wówczas mego tatę. W ogólnym rozgardiaszu Niemcy nie zwrócili na te krzyki uwagi, a tata rozdygotany wrócił do domu, do mamy. Jednym z aresztowanych kuzynów taty był Edwin Bruell (syn Waltera). Żyje on do dziś (rocznik 1918), wojażuje po świecie, czasem odwiedza Polskę. On, dwaj jego bracia i ich ojciec trafili najpierw do Oświęcimia, potem do Buchenwaldu chyba. Przeżyli wojnę. W latach sześćdziesiątych kuzynowie wyemigrowali do USA. Zaś Walter, ich ojciec, na początku lat pięćdziesiątych, jadąc autobusem koło bielskiego lotniska sportowego, jakiemuś znajomemu (prawdopodobnie cudzoziemcowi) wskazał to lotnisko ręką, powiedział o nim dwa słowa... Kilka dni później został aresztowany przez UB i spędził w więzieniu około trzech–czterech lat. Po wyjściu już nie myślał o wyjeździe i zmarł niedługo.

Natomiast co do Tomasza Manna, to owszem, istnieje jeszcze jeden ślad, ciekawe, choć niesprawdzone «podanie» rodzinne. Można wręcz powiedzieć «lwowski ślad».

Zaraz po 1 września 39 dziadek Oswald, babka Hermina, mój tato, wspomniany i do dziś żyjący jego kuzyn Edwin, może ktoś jeszcze wsiedli do samochodu i ruszyli na wschód, dotarli gdzieś za Tarnów, potem pociągami i pieszo aż do Lwowa, tam w domu przy ulicy Tarnowskiego udało im się znaleźć jakiś dach nad głową. Dziadek Oswald został aresztowany w roku 1940, zesłany gdzieś na Sybir, zwolniony, nie zdążył nawet wrócić, znów go zgarnęli, tym razem trafił do Kazachstanu, zmarł tam w obozie w 1942, mam jego przejmujący pożegnalny, gdy wie, że koniec jest bardzo blisko – list. Babci Herminie jako Aryjce (we Lwowie są już w tym czasie Niemcy) udaje się z tatą wrócić do Bielska. I tu jest «mannowski» wątek. Otóż tuż przed opuszczeniem ZSRR i powrotem do Bielska w 1943, moja babcia zakopała w piwnicy tamtego domu listy mego dziadka z obozu i, jak wieść rodzinna niesie, także listy dziadka do Manna i vice versa. Gdyby tak było naprawdę, to byłoby to ciekawe odkrycie. Więc ja w 1992 roku pojechałem do Lwowa, dotarłem na ulicę za komuny Kutuzowa, a przed wojną i obecnie generała Tarnowskiego 76, zapukałem, opowiedziałem krótką historię i zapytałem, jaka jest możliwość jej sprawdzenia. Właścicielem okazał się człowiek na poziomie, dyrektor lwowskiego muzeum. Niestety podłoga piwnicy była wylana betonem. Trudno było się domagać kilofa, młota i pozwolenia na kucie w niepewnej przecież sprawie. Pożegnałem się i wyjechałem. Za to moja mama w zeszłym roku mocno się w tej sprawie uruchomiła i napisała najpierw do ambasadora RP

w Kijowie, potem do konsula we Lwowie, opisała wszystko i co ciekawe, nawet zainteresowała urzędników tą sprawą, była wymiana listów, telefonów, że pomożemy, wstawimy się. Ale potem wszystko ucichło. Więc może listy tam sobie spokojnie leżą, a może nie leżą... Pozdrawiam bardzo serdecznie, Andrzej Bruell".

Przytaczam list bez komentarza, wpierw zdawało mi się, że trzeba tu bezmiaru komentarzy (i może trzeba), że jest pole do popisu dla nie lada znawców dwudziestowiecznych ścieżek ludzkich (i pewnie jest), ale potem przeczytałem raz jeszcze, lepiej zrozumiałem, jak niepojęta jest tu gęstość, i poczułem całą swoją bezradność. Nie chcę komentować; nie chcę myśleć ani o tym Polaku krzyczącym w bielskim tramwaju „O tu! O tu jeszcze jeden żydek się kryje!", ani o tym niewinnym – wskazującym lotnisko sportowe – geście, za który przyjdzie zapłacić więzieniem i życiem, ani o betonie, pod którym może są, a może nie listy Tomasza Manna. A pod jakim betonem może jest, a może nie rękopis *Mesjasza* Schulza? – miałem zamiar nie bez podszytego melancholią konceptu napiąć się na koniec, ale dajcie spokój: nie mam siły, daleko mi do napinania.

2 kwietnia 2011

W związku ze zdemaskowaniem – nie chce mi się stawiać wymownych cudzysłowów – przez Romana Graczyka (w książce *Cena przetrwania*) licznych i ważnych agentów działających na przestrzeni lat w redakcji „Tygodnika Powszechnego", ukazały się w prasie chyba setki artykułów. W zasadzie sukces – niby tematyka lustracyjna zgrana i wyczerpana, a tu proszę, jaka lawina! Ilość tajemnicza, choć może nie aż tak tajemnicza. Za ilością jakość jednak nie idzie. Na ogół wałkuje się to, co zwykle, to znaczy, czy zdemaskowanie jest wiarygodne, czy niewiarygodne, czy ewentualne źródła są, czy ich nie ma, a jak są, to czy są wrogo czy neutralnie interpretowane, czy realia życia w Peerelu – w tym wypadku realia wydawania w tamej rzeczywistości katolickiej gazety – zostały ze zrozumieniem uwzględnione, czy bez zrozumienia pominięte, czy chodzi o prawdę historyczną, czy o frustrację jątrzącą etc., etc. Stałe, można powiedzieć, a nawet bardzo stałe elementy gry.

W dzisiejszej „Wyborczej" przeczytałem tyczący tej sprawy tekst starego mojego kolegi jeszcze z czasów uniwersyteckich (zawsze odrobinę za obszerne garnitury, a ten czarny, w którym bronił świetnego zresztą doktoratu, luz nad luzami) Andrzeja Romanowskiego. Czytuję go regularnie, ma dwie cechy w zasadzie nie do pogodzenia: bezkompromisowość mianowicie i poczciwość.

On jakoś – w tych w dodatku jadowitych czasach – te pierwiastki łączy.

Dziś w zakończeniu artykułu *Wielkość i upadek „Tygodnika Powszechnego”* powiada, że stary (częściowo niepomyślnie dlań przez Graczyka zlustrowany) „Tygodnik” – pismo Turowicza, Pszona, Kozłowskiego – żadnej obrony nie potrzebuje, choć (i tu jest pewien poczciwy paradoks) Graczyk i podzielający jego poglądy niektórzy członkowie nowej redakcji – między nimi Pięciak – „zniszczyli prestiż «Tygodnika»”.

Albo, albo, Andrzeju, że sięgnę do dziedziny filozofii. Jak nie potrzeba bronić, to nie zniszczyli, a jak zniszczyli, to obrona konieczna. Zniszczyli? W czyich oczach? Naszych? W czyich? Tych, jak piszesz, „za późno urodzonych” nieszczęśników? Przecież fatalność dat swych narodzin mają wynagrodzoną sowicie – wiedzą mianowicie wszystko. W jakiej jeszcze wartej uwagi grupie runął teraz honor naszego pisma? Nie ma takiej zbiorowości. Ci, których reprezentanci często gęsto wpadali na Wiślną albo przysyłali listy z rytualnym zapewnieniem, że „czytają od pierwszego numeru”, wymierają albo już pomarli, wrogom „żydownika” kolejny dowód jego nędzy mało daje. A jeśli idzie o historyczne świadectwa tego, czym był „Tygodnik” – *Cena przetrwania* ani takim świadectwem, ani żadną inną lekturą obowiązkową nie będzie. I na dobrą sprawę być nie chce.

„Tygodnika” – choć przerywał jego istnienie – nie zniszczył ani stalinizm, ani realny socjalizm, ani stan wojenny. Prestiżu jego i mitu nie zniszczy i nie obali ani Graczyk, ani nawet Pięciak. Redakcje nieraz krwawo się zmieniają, a legendy starych redakcji – jeśli były prawdziwie legendarne – pozostają.

Jak, nie przymierzając, legenda starego krakowskiego dwutygodnika „Student”, a zwłaszcza jego nowofalowego dodatku „Młoda Kultura”. Choć w połowie lat siedemdziesiątych wszystko zostało przez władzę na siedem spustów zakluczone, choć cała piękna plejada: Barańczak, Krynicki, Zagajewski, Kornhauser, Nyczek, na bruk została wywalona – w pamięci tych, co pamiętają, żyje; nawet nowi i nie za bardzo wiedzący, co jest grane redaktorzy – ja, Stala, Maj, Słobodzianek – jej prestiżu nie zepsuli. Choć niewykluczone, że byliśmy o krok, agresję mieliśmy znaczną. Na szczęście równie znaczną, jak niesprecyzowaną.

3 kwietnia 2011

W Peerelu była silna dbałość o brak ciągłości, „okres historycznie zamknięty" to była fraza klucz, która anihilowanie pamięci miała uzasadniać. W wydawaniu pism „społeczno-kulturalnych" pilnowano tej zasady pieczołowicie, w miejsce zamykanych redakcji powstawały nowe, odcinające się od poprzednich w najlepszym razie zupełnym milczeniem. O oczywistym i klasycznym przykładzie „Po prostu" nie wspominam, ale przecież pamięć nawet tak egzotycznego tytułu jak „Współczesność" w tym i owym ledwo tykającym serduszku kołacze się jeszcze. O tym, że w tamtych operetkowych, jak się z perspektywy zdaje, męczeństwach dogrzebać się jakichś niejasności byłoby banalnie łatwo, wspominać nie warto. Tym bardziej, że chyba wcale grzebać by nie trzeba, na ogół kto jest kim, wiedzieli wszyscy. Broń Boże nie czynię żadnych porównań z „Tygodnikiem", najwyżej daję oczywistą uwagę, że, owszem, „Tygodnik" był niezłomny, ale i w innych wydawanych wtedy pismach pracowali przyzwoici, nękani przez władzę i w najlepszym razie przemilczani przez swych „kontynuatorów" ludzie. Inne czasy – szkoda gadać.

Może w nowych czasach i bez zmiany tytułu o ciągłość trudniej? Może? Ależ z całą pewnością!

Tak czy tak, w „Tygodniku" jest nowy naczelny, zadań przed nim mnóstwo, a zaległości wielkie. Dałem już w tych zapiskach

wyraz nadziei, jakie (w końcu nie tylko ja) łączę z Piotrem Mucharskim – pocałunek śmierci to nie był, nie mam takiej siły rażenia. Boleję nad tym, ale nie mam.

5 kwietnia 2011

W tekście Romanowskiego zupełną i bezbłędnie przez autora wyłowioną perłą jest krótki cytat z Pięciaka. Autor pisze, iż jest to kluczowy „kontekst książki Graczyka". Ależ to jest, Andrzeju, znacznie więcej, to jest istota rzeczy, sedno całości i sam smak przy okazji. Pestka bytu i owoc istnienia. Przepisuję: „
W «Tygodniku» z 20 lutego pisze Pięciak: Ludzie żyjący [spośród oskarżonych przez Graczyka o podejrzane kontakty z SB] to dziś osoby starsze. Zapewne spotykając się z nimi, Graczyk musiał zadawać sobie pytanie: jak oni to przeżyją? Mogę to sobie wyobrazić, gdyż doświadczyłem tego przy okazji sprawy księdza Malińskiego; będąc przekonanym, że trzeba ją wiarygodnie wyjaśnić, zadawałem sobie właśnie pytanie: czy go to, mówiąc otwarcie, nie zabije? I modliłem się, aby tak się nie stało".

Dawno, a może nigdy się tak nie wzruszyłem. Pięciak modlący się o to, by sędziwi donosiciele otrzymujący zaskakującą dla nich wiadomość, że byli donosicielami, nie pomarli z wrażenia – poruszający i w swej straszliwości jakże piękny obraz. I pełen nadziei. Bóg wszakże najwyraźniej wysłuchał modlitw Pięciaka: oni wciąż żyją.

13 kwietnia 2011

Bez mała dziesięć dni temu w Klubie Księgarza na Starym Mieście odbyło się spotkanie z powodu wydania przez Świat Książki zbioru kazań świętej pamięci Adama Pilcha. Na bieżąco nie paliłem się do odnotowywania, w końcu była to uroczystość, której nikt nie chciał, żeby była. Ukazała się książka, która nieprędko i w innych zgoła okolicznościach powinna się ukazać – w jakie gdybania i w jakie rozpacze tu wchodzić. Adam zginął w katastrofie, rok minął, dzięki gigantycznej pracy jego żony Kornelii i jej najbliższych przyjaciół, też dzięki przychylności wydawcy Pawła Szweda mamy postyllę księdza Adama Pilcha, choć klasyczny zbiór kazań na każdą niedzielę roku to nie jest – niektóre niedziele się powtarzają, innych nie ma. Kornelia nie trzymała się kościelnego kalendarza – wybrała kazania, jej zdaniem, najpiękniejsze. W określeniu „gigantyczna praca" ani śladu, ani cienia pozerskiej podniosłości, bo była to robota z rękopisów – Adam pisał i poprawki nanosił wiecznym piórem. Pelikanem, którego, sam otrzymawszy w prezencie, ofiarował Kornelii. Ona mu go jednak niekiedy w przypływach wielkoduszności pożyczała.

14 kwietnia 2011

Z ciężkim sercem do Klubu Księgarza wyruszałem też z tego powodu, że od pewnego czasu definitywnie unikam jakichkolwiek publicznych wystąpień czy nawet obecności. Jednak nie być na tej – nie pasuje to słowo – promocji, rzecz zupełnie poza kategoriami; nie ma okoliczności i nie ma przypadłości, które byłyby usprawiedliwieniem.

Myślcie jednak, co chcecie: lało jak z cebra. Jak powszechnie wiadomo, na Rynek Starego Miasta nawet najbardziej brawurowy warszawski taksówkarz nie wjedzie, w najlepszym razie spod Kolumny Zygmunta trzeba dymać na piechotę.

Po przeszło dziesięciu latach mieszkania w tym mieście ma się rozumieć nie znam Warszawy za grosz (nigdy na przykład tutejszym metrem nie jechałem), ale jednak Starówka, ale jednak Klub Księgarza – dajcie pokój! Nawet tak zagubiony we wszelkich przestrzeniach oferma jak ja w takie miejsca na pamięć trafia! A tu ciemność, ulewa i wichura tak upiorna, że nagle pewien drogi być przestaję, wręcz całkowicie orientację tracę. Tak jest: całkowicie orientację tracę! Nawałnica parasol z rąk wyrywa, w nagłym przypływie paniki nie wiem, gdzie jestem. Niby zatrata, ale niezupełna; nie wiem, gdzie jestem, ale wiem, jak się ratować – tego rodzaju zawstydzające przygody zdarzały mi się na tyle często, że mam opracowaną skuteczną technikę ratunkową. Należy mianowicie (nauczyłem się tego w podziemiach Dworca

Centralnego) odrzucić precz wszelkie władze poznawcze, wysiłki myślowe, zapomnieć o pamięci, na dobrą sprawę zamknąć oczy i ruszyć – znana ci droga zaprowadzi cię sama.

I tak uczyniłem, i w okamgnieniu w środku ludnej i rzęsiście oświetlonej sali się znalazłem. Wszyscy już siedzieli na miejscach, było punkt pół do ósmej, zdążyłem. Zdążyłem, choć fraza „nie zdążyliśmy" (z Adamem się nagadać, nabyć, nacieszyć) była frazą wieczoru. Pięknego. Agnieszka Arnold piękną (znów nie to słowo, dajcie mi inne) laudację wygłosiła, Wojtek Malajkat ostatnie napisane, już niestety niewygłoszone kazanie przeczytał, nawet mnie się udało parę akapitów wstępu (bo parę moich stron o Adamie – zaszczytny dla mnie pomysł Kornelii – książkę poprzedza) jako tako wyartykułować. Na sali liczni parafianie Adama, księża, też minister Bogdan Klich – mój z głębokiego dzieciństwa sąsiad z ulicy (tak jest – Smoleńsk w Krakowie), też Karol Modzelewski, z którym pierwszy raz w życiu dwa słowa zamieniłem. W sumie – daruj, Adamie – impreza bardzo udana. Twoje słowa zostaną – rękopisy nie płoną, książki tym bardziej, zbiory ewangelickich kazań wcale.

15 kwietnia 2011

Impreza udana, ale, jak się prawie natychmiast okazuje, nie dla wszystkich! Co mianowicie się okazuje? Otóż okazuje się, że na sali wśród rozanielonego ludu luterskiego, prócz naczelnego kapelana ewangelickiego księdza Stoli, prócz księdza Cieślara z Łodzi, prócz innych księży, siedział też pewien ksiądz cały czas wydający wrogie pomruki, a nawet na urągliwe uwagi – i to nie tylko pod naszym, ale i pod adresem zabitego kolegi – sobie pozwalający! Niestety miał pecha: obok siedziały dwie panie i wszystko słyszały. Miał podwójnego pecha: panie były związane z Wisłą i natychmiast jednemu z mieszkających tam wujków wszystko przekazały, pełna konsternacji wieść się rozeszła jak nigdzie indziej na ziemi. Cienia przesady. Niedawno na przykład pewien wysoki, ale zgoła ani w sąsiedztwie naszym niemieszkający, ani u nas niebywający hierarcha kościelny zapytał moją matkę, czy nadal sama myje okna? Matula w popłoch nie wpadła, bo to u niej nie bywa, ale tym razem, gdy wiadoma wieść i do niej dotarła, niejaka irytacja ją ogarnęła i pyta, czy czasem na tego księdza, co wrogo pomrukiwał, nie byłoby dobrze jakiej skargi do biskupa napisać? – Mamo – odparłem – przecież wiesz doskonale, że niejeden ksiądz ledwo się powstrzymuje, żeby na mnie za swawole, jakie o lutrach wypisuję, skarg nie słać. Jako oni szlachetnie się powściągają, tak i my się powściągnijmy.

16 kwietnia 2011

Wichury już ustały, wracałem taksówką, za kierownicą siedział natchniony narrator antypisiorowy, słuchałem z rozkoszą, tym większą, że wracałem z uroczystości z sednem wydarzeń współczesnych związanej, a zarazem, bez wywyższania, od całego „tu i teraz" duchowo odległej. – Miło się z panem jechało – mówię, płacąc – bo nieraz jak się wróg polityczny trafi, komfort mniejszy. – A wie pan – odpowiedział, wydając resztę – wiozłem raz pewnego „obrońcę krzyża". Tak się gość rozjątrzył i tak przy wysiadaniu drzwiami strzelił, że o mało mi się auto nie rozleciało. O nie!, myślę sobie, wyskoczyłem i dwa razy mu kopa w dupę. Ty mnie drzwiami, ja ci kopa w zadek, w sumie remis, narodowa zgoda.

28 kwietnia 2011

W związku z sądowym uniewinnieniem generała Kiszczaka od zarzutu bezpośredniego przyczynienia się do masakry w kopalni Wujek w mediach lawina komentarzy, też naturalny w tym kontekście powrót do wątku wciąż nieskazanego i wciąż nieukaranego Wojciecha Jaruzelskiego. Wszystkich wypowiedzi, ma się rozumieć, ani dokładnie nie śledzę, ani nie słucham, moja pasja to nie jest, całkiem jednak uciec przed tym niepodobna, niektóre zresztą frazy mają taką siłę i taką lekkość, że same z siebie wypływają na wierzch, same rzucają się na wzrok, słuch, a może i na inne zmysły. Oto widzę na ekranie telewizora ważnego jakiegoś aktora sceny politycznej, który z najszczerszą goryczą i prawdziwym smutkiem oświadcza, że jeśli chodzi o generała Jaruzelskiego, to – zważywszy na jego i wiek, i stan zdrowia – należy się liczyć z okolicznością, że „wymiar sprawiedliwości przegra z biologią". Tak dokładnie. Generał, zanim zostanie skazany, może zostać przez biologię zabity i to jest poważne zmartwienie, a nawet klęska.

Niby tak to w sensie ścisłym wygląda, ale może nie trzeba załamywać rąk, może nie należy od razu się poddawać? Z każdej bezwyjściowości jest jakieś wyjście, więc i w tym wypadku być ono musi. Może czyniąc pewne wysiłki, da się uniknąć kolejnej przegranej? Może na przykład są jakieś sposoby intensywniejszego leczenia, a nawet odmładzania Generała?

W końcu żyjemy w epoce kultu młodości, sprawności i zdrowia wiecznego, ergo w epoce niezliczonych środków, wynalazków, specyfików, sposobów i zabiegów młodość przywracających, sprawność podtrzymujących, wszelkie dolegliwości i choroby leczących.

Ma się rozumieć, koszta mogą być znaczne, ale przecież nie w takich sprawach publiczne zbiórki i inne narodowe ściepy organizowano! Ludzie sprawą zaabsorbowani, ludzie, którym prawdziwie dobre imię wymiaru sprawiedliwości na sercu leży, powinni się tym praktycznie zająć. Powinni – jest to jedyne wyjście – o zdrowie i życie Generała realnie zadbać. Niechaj powstają odpowiednie stowarzyszenia i koła dokarmiania, witaminizowania i innego wzmacniania nieszczęsnego dyktatora. Srodzy postulatorzy surowych – bo jedynie takie będą sprawiedliwe – rozliczeń z Peerelem powinni śmiało do kieszeni sięgnąć i parę groszy na zagraniczne leki dla Jaruzelskiego wysupłać. Może w ogóle jest potrzebne leczenie za granicą? W takiej sytuacji Komitety Obrońców Wymiaru Sprawiedliwości przed Biologią byłyby mile widziane. Prawdę powiedziawszy, już się powinny zarówno w Warszawie, jak i w terenie zawiązywać i działać!

Tak jest, panie i panowie: działać, działać i jeszcze raz działać! Wszelkimi sposobami – drogą loterii, aukcji, sprzedaży cegiełek i czego tam jeszcze – gromadzić fundusze i na wiadomy cel je przeznaczać! Generał nie może was przechytrzyć, nie może bezkarnie i jak gdyby nigdy nic na tamten świat się wymknąć, musi w jakiej takiej fizycznej sprawności, a zwłaszcza umysłowej przytomności wyroku doczekać!

Czas doliczony ma trwać tak długo, aż wygrają nasi! Ale nad tym trzeba pracować i modlić się o to! Pracujcie przeto nad zdrowiem Generała i módlcie się o jak najdłuższe dlań życie, módlcie się, w końcu teraz macie do kogo. On pomoże z pewnością, On modlitw, specjalnie takich, wysłucha, On w końcu w aliansach z Generałem bywał.

29 kwietnia 2011

Historia zna przypadki odkopywania grobów, wyjmowania z nich zwłok rozmaitych dostojników i stawiania ich przed sądem. Za życia, zdaniem odpowiednich stronnictw, niedostatecznie ukarani, więc niech teraz przynajmniej ich trupy bekną. Historia powszechna, owszem, nawet historia Kościoła katolickiego zna takie zdarzenia, nasza nie. Nasze dzieje mdłe i gnuśne, brakuje im – jak dzisiejszy wieszcz głosi – krwi, królobójstw i innych domowych egzekucji, nasz naród chytreńki, przebiegły i cwany, publicznie srogo grozi, prywatnie oko puszcza, oficjalnie wariacki, w domach normalny, w sumie nieco bez zasad. Podobno dopiero teraz coś wisi w powietrzu. Nie bardzo chce się wierzyć.

1 maja 2011

W świetnej serii wydawnictwa Sic! – „Wielcy pisarze w nowych przekładach” – czytam przełożoną przez René Śliwowskiego *Nieciekawą historię* Czechowa. Ma się rozumieć kiedyś już to czytałem, ale jak w przypadku większości „kiedyś” przeczytanych książek nie pamiętam nic. Główny bohater i narrator, swego czasu sławny profesor, dziś „bezbarwny i szkaradny” śledziennik snuje rozważania na różne tematy. Przytaczam linijki poświęcone teatrowi: „Nie wiem, co będzie za pięćdziesiąt lat, lecz w obecnych warunkach teatr może służyć jedynie jako rozrywka. Jest to jednakże rozrywka zbyt droga, by z niej korzystać. Pozbawia państwo licznych młodych, zdrowych i utalentowanych mężczyzn i kobiet, którzy gdyby nie poświęcili się teatrowi, mogliby zostać dobrymi lekarzami, rolnikami nauczycielami, oficerami; pozbawia publiczność chwil wieczornych, najlepszej pory do pracy umysłowej i rozmów towarzyskich. Nie mówię już o stratach moralnych, które ponosi widz, gdy widzi na scenie nieodpowiednio traktowane morderstwo, cudzołóstwo czy oszczerstwo”. I jeszcze taka perła: „Moim zdaniem, jeśli sztuka jest dobra, to żeby przyciągnęła należytą uwagę, nie ma potrzeby fatygować aktorów: wystarczy sama lektura”.

Niby starczy ekscentryzm na granicy głupoty, ale jak jednym – być może nieco za prostym – ruchem dźwigni przenieść te

spostrzeżenia na grunt dzisiejszego teatru politycznego, to ho, ho! Wystarczy sama lektura, a i ona zbyteczna.

4 maja 2011

Nie będę ukrywał: lubię kiboli. Lubię zadymy na stadionach, lubię petardy rzucane na murawę – dym dają gęsty, przynajmniej na chwilę nie widać tego, co się dzieje na boisku. Jak sędzia przerywa mecz – tym jest lepiej – następuje przerwa w hańbie, wciąż mylnie nazywanej w Polsce rozgrywkami ekstraklasy. Lubię zamaskowanych szalikowców, lubię ich walki między sobą i lubię, gdy się jednoczą do wspólnych bitew z zawsze niedostatecznie przygotowaną policją. Za wulgarnymi wrzaskami i śpiewami, owszem, nie przepadam, niewątpliwie są one piętą achillesową tej zbiorowości, ale w końcu żadna sztuka u nas ani wysoko nie stoi, ani nie bywa wysoko ceniona, więc dlaczegoż akurat od kibiców (niech będzie: pseudokibiców) wymagać wyżyn pieśniarstwa? Antysemityzm często grupy te okazują? Owszem, znam to zjawisko dobrze, mój klub Cracovia Kraków to są przecież, zwłaszcza w starciach z „chrześcijańską" Wisłą, „żydowskie psy" po stokroć w czasie meczu przez wiślackie sektory wysyłane do gazu. Specjalnej grozy to we mnie nie budzi, w zawodnikach też nie bardzo – obojętnie jaka dawka „antysemityzmu" jest im z widowni aplikowana, przegrywają z Wisłą regularnie. Przegrywają nie dlatego, że są prześladowanymi Żydami, ani nie dlatego, że najmniejszego śladu starozakonności w sobie nie mając, są ni z gruchy, ni z pietruchy

antysemickim błockiem obrzucani – przegrywają, bo są na ogół sportowo słabsi.

Wznoszących antysemickie okrzyki uważać za poważnych czy tylko realnych antysemitów – darujcie – niepodobna.
W porównaniu z prawdziwymi antysemitami, w porównaniu z pełnokrwistymi żydożercami wiedzącymi wszystko o światowym rządzie syjonistów i każdy wątpliwy przypadek do siódmego pokolenia wstecz badającymi, w porównaniu z takimi znawcami kibole to są niewinne dzieci. Agresywne młodziki, które nie wiedzą, co czynią, nie wiedzą, co wrzeszczą, i nie wiedzą, co śpiewają. Winni własnej niedorzeczności, są też ofiarami języka, który swoiście zjudaizował zło. (Swego czasu bystro opisał to zjawisko Jerzy Urban). Kiedyś uważano, to znaczy kiedyś uważali ci, co tak uważali, że źródłem każdego zła są Żydzi, obecnie każdemu złu można przypisać (to znaczy przypisują ci, co przypisują) żydowskość. Słowo „Żyd" – specjalnie dla kiboli – stało się obelgą taką jak inne, choć rzecz jasna od innych kojarzy się gorzej. Skandowane przez parę tysięcy gardeł, owszem, grozę budzi – we mnie wszakże nie za wielką.

Notabene rozmaici dzisiejsi demonstranci skandujący pod adresem rozpraszających ich (przeważnie z niesłychaną nieśmiałością) policjantów „Gestapo! Gestapo!" – to jest zjawisko groźne czy tylko kabaretowe? Raczej jednak to drugie.

5 maja 2011

Niczego nie lekceważę, być może od takich „drobiazgów” jak antysemickie okrzyki paskudne rzeczy w historii się zaczynały, swego czasu wielkie opowiadanie na ten temat Kornel Filipowicz napisał, niczego nie bagatelizuję, pokazuję jedynie ewentualną linię obrony. Kocham piłkę nożną, kocham ją z wszystkimi przyległościami, a szalikowcy są przyległością – jak na razie i oby nigdy nie do usunięcia; do poskromienia tak, do usunięcia nie. To oni tworzą aurę meczu, to ich wewnętrzna dyscyplina daje barwy trybunom, to ich doping daje siłę drużynie.

A że na razie są silniejsi i lepiej zorganizowani od policji, że żadne kary się ich nie imają, że – jak wieść gminna niesie – trzymają PZPN w szachu, a co drugiego prezesa w kieszeni, że niektórzy ich prowodyrzy są ponoć w ciemnych, a nawet bardzo ciemnych interesach zanurzeni – proszę bardzo! Tego rodzaju rzeczywistymi patologiami należy się zająć, a nie biadać nad paroma połamanymi siedzeniami, a nie od lat daremnie tokować o konieczności ukrócenia kibolskiego bandytyzmu, a nie – to jest błąd szkolny i dowód kompletnej bezradności – zamykać stadiony.

6 maja 2011

Najkomiczniejsza zdaje mi się rzekoma docelowość wszelkich ewentualnych zabiegów cywilizujących stadionowe obyczaje. Trybuny – powiadają niektórzy – to mają być istne doliny łagodności, na których całe rodziny z nieletnimi dziećmi, a nawet matki karmiące niemowlęta będą zasiadać i w najwyższych idyllach rozgrywkom się przyglądać, biesiadować, klaskać, z uśmiechem przyjmować wygrane, z wyrozumiałością klęski. Otóż tak nie będzie nigdy. Owszem, w Polsce w latach sześćdziesiątych na meczach panował jaki taki spokój. Z restrykcyjnymi rządami Gomułki raczej tego nie wiążę, bardziej z faktem, że większość ówczesnych kibiców pamiętała wojnę i zbyt wielkiego głodu bitewnego dramatyzmu nie odczuwała. Jak było kiepsko, cały stadion skandował: „Sędzia kalosz!", i groza, która wtedy od stóp do głów przeszywała, była znacznie mocniejsza niż dzisiejsza reakcja na najkrwawsze i najplugawsze okrzyki.

Świat jednak od tego czasu, że powiem coś od siebie, trochę się zmienił, kibicowanie wzmogło, stawki wzrosły, przybyły bezcenne puchary i boje o nie jęły skupiać uwagę całych kontynentów, piłka stała się grą wysokich temperatur, i nie tylko transfery za bajońskie kwoty temperaturę tę podnoszą. Nas szaraków też jakoś te wzmożenia tyczą; tyczą, choć nie obejmują.

Obejmą na Euro, z tej racji już robi się nerwowo. Tak czy tak, jeśli nawet, jak w słynnym powiedzeniu, że futbol jest sprawą

daleko poważniejszą od życia i śmierci, retoryka nad sensem nieco góruje, tak czy tak, żadnych idylli. Kibic ma wychodzić z meczu bezbrzeżnie wściekły lub bezgranicznie rozanielony, z najszczerszą chęcią zabicia sędziego lub obsypania złotem strzelca zwycięskiej bramki etc., etc... Natomiast kibic wychodzący z meczu z małżonką u boku? On prowadzi za rączkę paroletnią córeczkę, ona pcha wózek, w którym śpi słodkie maleństwo? Boże, który nas tyloma klęskami doświadczyłeś – takiej plagi oszczędź.

12 maja 2011

Widmo zamykania, i to zamykania wszystkiego, co się da, krąży nad ojczyzną: oprócz zamykania stadionów internet też ma być zamykany; podobno tu i ówdzie sam się już zamknął. Oba przedsięwzięcia daremne, pozorne, a nawet w ich przeciwskuteczności przygnębiające.

Co do rozmaitych zakluczonych – najpewniej na krótko, a może na jeszcze krócej – portali nie tryumfuję, choć z czystym sumieniem i nie bez drobnej satysfakcji mogę powiedzieć: mówiłem. Mówiłem, że ten cały internet to jest jedna wielka rzeka gówna, baza anonimowych agresorów, schronienie i – co może istotniejsze – spełnienie wszelkiej maści popaprańców i frustratów.

W życiu nie bardzo, kariera marna, marzenie – najczęściej jakieś literackie marzenie – prysło, zdawało się, że już jest po meczu, a nawet po dogrywce, a tu masz! Jaka znienacka ocalająca niespodzianka! Nagle w ciemnym jak dusza nieudacznika tunelu błysnęło światło, potem jęło się przybliżać, potem robiło się coraz jaśniej, potem światło było jak euforia i na koniec złocista niczym klucz do wszystkich sezamów świata klawiatura się pokazała. Równie piękna jak dalekosiężna i wszechmocna.

Nagle ci, którzy z racji wszelakiej nikczemności głosu nie mieli i mieć nie powinni, głos zyskali, i to jaki! Tubalny! I z miejsca iluż odbiorców się pojawiło! Ilu wiernych i podziwu pełnych

czytelników! Jaka publiczność! I stworzona wyłącznie przez techniczną wynalazczość, funkcjonująca wyłącznie dzięki demokracji złowroga machina ruszyła i jest nie do poskromienia, nie do zatrzymania. I bywa silnie opiniotwórcza, i niejeden się z nią liczy, i niejeden się jej lęka. „Na forach internetowych zawrzało" – nowa ta fraza w polszczyźnie przez licznych jako znak ważnego jakiegoś wydarzenia społecznego bywa z powagą odbierana; w istocie jest wrzeniem szkoda gadać czego w szkoda gadać czym.

A mówię na razie tylko o, pożal się Boże, „intelektualnej" wierchuszce internetu, o jadowitych komentatorach, o snujących plugawe, ale jednak jakieś wywody, o autorach pełnych pogardy i nienawiści, ale przynajmniej próbujących swą pogardę i swą nienawiść jakoś wyrazić, uzasadnić, wyartykułować. Są władającymi klawiaturą troglodytami – nie są wszami internetu. Ton nadają wszy. Wszyscy ci anonimowi krzykacze, co – niepodobna nie pomyśleć – nawet na forum wbiegają ze strachem, miotają obelgę i chodu w krzaki. Oni są solą sieci, oni – sami zdumieni nagłą siłą, nagłym zasięgiem, nagłą wielokrotnością i poważnymi nieraz konsekwencjami głoszonych przez siebie plugastw – są, jak myślę, upojeni swym internetowym istnieniem. I nie ma się im co dziwić, dawniej mieli (ich wcześniejsze pokolenia miały) do dyspozycji ściany publicznych kibli, na których swe frustracje ryli, dziś mają do dyspozycji sieć oplatającą miasto i świat.

13 maja 2011

Przytaczałem wielkie zdanie wielkiego filozofa: „Zabiliście Boga i myślicie, że ujdzie wam to bezkarnie?". I z całą niestosownością dodawałem parafrazę: „Wymyśliliście internet i nie myślcie, że ujdzie wam to bezkarnie". Nie ujdzie. Zła ten wynalazek przysporzy jeszcze wiele. Dobra również? Istnieją jakieś dobre strony tej instytucji? Niezwykłe korzyści? Nieodzowne przydatności? Tak liczne i tak konieczne, że współczesny człowiek (nie mówiąc o następnych generacjach) obejść się bez nich nie potrafi? Bez wątpienia tak, bez wątpienia istnieją. Istnieją, ale są skażone.

Ilekroć słyszę rytualną tezę, że internet – owszem – z jednej strony kloaka, z drugiej skarbnica, tylekroć przychodzi do głowy równie zgrana fraza tycząca pewnej rozgłośni religijnej. Jak powszechnie wiadomo, kontrowersyjne nieraz – delikatnie mówiąc – rzeczy z tej anteny padają, zasoby rozmaitych kalumni są tam potężne i często gęsto po nie się sięga. W drastyczniejszych przypadkach naturalny i publiczny sprzeciw to budzi i zawsze w takich razach – zwłaszcza gdy sprzeciw generalniejszą postać przybiera – pojawiają się obrońcy Radia i swoją odwieczną mantrę w koło powtarzają. Brzmi ona: owszem, politycznie nie zawsze wszystko w Stacji jest OK, ale modlą się tam pięknie. Nawet rozsądni ludzie, nawet umiarkowani entuzjaści, nawet niespecjalni przeciwnicy „katolickiego głosu w naszych domach"

są w stanie spokojnie te sprawy rozdzielać: publicystycznie bywa paskudnie, ale wątek religijny zachwycający.

Otóż, moim osobistym w sensie ścisłym zdaniem, tych rzeczy rozdzielać się nie da, paskudne rzeczy głoszone z anteny skażają zmawianą na tej antenie modlitwę, modlitwa paskudztw nie uszlachetnia, raczej sama moc i wiarygodność traci.

14 maja 2011

Z internetem jest podobnie. Centralnie przezeń płynąca rzeka fekaliów całą okolicę zatruwa i zasmradza, do najodleglejszych zakątków dociera, nawet podstawowe informacje czy encyklopedyczne wiadomości w jakiś sposób uszkadza. Można oczywiście żywić nadzieję, że z czasem ten rynsztok się ucywilizuje, zniknie, wyschnie. Jeśli tak się stanie – to u nas na końcu. U nas nawet najmarniejsze strumyki gnoju mają arcywarunki, liczne są wręcz pielęgnowane i udrożniane.

Co nie znaczy, rzecz jasna, że należy jakieś obszary zamykać. Zamykanie jest złe z definicji, a w tej konkretnej sytuacji może co najwyżej dać asumpt do wynalazczości, jak się z zamknięcia wydostać. Jedynym skutecznym sposobem „zamknięcia" jest definitywne zamknięcie się w sobie i bezwyjątkowe trzymanie się z daleka.

Czynię to, nie zaglądam, jeden zaledwie raz – wyznaję ze wstydem – uległem. Mniejsza o to, z jakich powodów potrzebna mi była data wynalezienia przez ludzkość centralnego ogrzewania. W moich dosyć licznych encyklopediach i słownikach jakoś nie szło znaleźć. Przełamałem wstręt fizyczny, tknąłem wyszukiwarki i w okamgnieniu wiedziałem wszystko. Ma się rozumieć haniebny ten i trudny do wyznania epizod ani moich zasad nie zmienił, ani czujności nie osłabił.

19 maja 2011

W najnowszej (*Lekka przesada*, wydawnictwo a5) książce Adama Zagajewskiego znajduję fragment następujący: „Samotność przywódców. Zastanawiam się czasami, co czytają, co mogą czytać wielcy przywódcy polityczni. Nie mam na myśli obrzydliwych dyktatorów, władców państw totalitarnych czy wściekłych wodzów autorytarnych, tyranów mniejszych czy większych republik, lecz prawdziwie wielkich przywódców. Czy są tacy w naszym momencie historycznym, nie wiem, chyba nie, wiem jednak, że byli stosunkowo niedawno, na szczęście, w okresie drugiej wojny światowej. Niechętnie o nich pamiętają poeci czy autorzy powieści... Na ogół wolą potępiać całą sferę polityki i w ogóle działania wewnątrz ludzkiej zbiorowości, chętnie chronią się w sztuce, w muzyce, w malarstwie i poezji, lubią tworzyć iluzję świata, niewychodzącego poza mury biblioteki i sali koncertowej”.

Przytoczony fragment dla książki raczej charakterystyczny nie jest, przeciwnie – jest raczej wyjątkowy, polityka w *Lekkiej przesadzie* mało miejsca zajmuje, w każdym razie mało miejsca chce zajmować. To się z kolei, co zrozumiałe, nie całkiem udaje; ileż razy można cytować sławny wiersz Wisławy: „Nawet idąc borem lasem / stawiasz kroki polityczne / na podłożu politycznym / Wiersze apolityczne też są polityczne”.

20 maja 2011

Apolityczny esej (apolityczna duchowa autobiografia? apolityczny dziennik duszy? apolityczne zapiski pana od piękna? – zostawmy te ustalenia krytykom – tym, jak powiada na ogół bosko cierpliwy, ale jednak czasem cierpliwość tracący autor: „pasożytom sztuki") też jest polityczny.

Niekiedy zresztą wątek polityczny jest tu referowany wprost, w takich na przykład politycznych, ale wielce przenikliwych rozważaniach o „politycznym wygaszeniu" wysiedlonych: „Prawie wszyscy wysiedleni należeli do – jak by to powiedzieć – osób o wygaszonym temperamencie politycznym. Komunizm bowiem świetnie się znał tylko na jednym, na tłumieniu różnorodności ludzkiej, na zgniataniu i pokrywaniu szarą ochronną farbą wielobarwnej rzeczywistości. Ci, co w dawnych czasach wyznawali najrozmaitsze poglądy, niekiedy dzikie czy fantastyczne, milczeli teraz, zakazywali sobie jakiejkolwiek ekspresji ich wcześniejszych przekonań. Strach funkcjonował jak udoskonalona brzytwa Ockhama, o której uczą się wszyscy studenci filozofii – Ockham uważał, że trzeba być bardzo skąpym w ontologii, w nauce o bytach, że nie powinno się lekkomyślnie tworzyć nowych bytów. Otóż strach działał podobnie: ci, co dawniej mówili różne rzeczy, teraz starali się o jak największą prostotę metodologiczną. Pozbywali się dawnych swoich przekonań. Być może odzywali się tylko w momentach, kiedy znajdowali się w najściślejszym gronie

najbliższych przyjaciół. A może nigdy. Ostrożność była naczelną cnotą tego momentu historycznego. Mogło się wydawać, że żyliśmy w epoce zupełnie apolitycznej: nikt nie miał żadnych poglądów, życie było monotonne, posprzątane, aseptyczne. Może biedne (owszem, biedne), lecz oczyszczone z tego, co tak bolało Dickensa i innych pisarzy (tak myślałem). Oczyszczone. Już nie widziało się okrutnych, drapieżnych kupców o brzydkich twarzach, które znałem z ilustracji powieści Dickensa i które mogły się przyśnić każdemu, kto spędzał długie godziny na lekturze Dickensa (ja spędzałem długie godziny, czytając jego powieści). Oczyszczone, tak się wydawało. Tak mogło się wydawać ludziom bardzo młodym, tak to było pomyślane, żeby sugerować, że pewne straszne rzeczy z przeszłości już się nigdy nie powtórzą, pewne drapieżne typy, pewne twarze z wypisaną na nich nienawiścią, z chciwością w herbie. Po jakimś czasie zrozumiałem, że operacja oczyszczenia amputowała nie tylko dickensowskie potwory, ale pozbawiła nas też rzeczy pięknych, wspaniałych. Nie mówiąc już o tym, że pozbawiła nas wyboru pomiędzy tym, co obrzydliwe, a tym, co wspaniałe. Po jakimś czasie zacząłem – nie ja jeden – tęsknić za tym, co zostało oczyszczone, odrzucone, za surową rzeczywistością sprzed wielkiej, bezwzględnej operacji”.

21 maja 2011

Choć w dalszym ciągu wywodu jest też – poparta malowniczym przykładem – uwaga, że nie wszystko w tym dawnym świecie, za którym zaczęliśmy tęsknić, mogło się podobać – zasadniczy (dziejowy) ruch świadomości ku wspaniałości, ku pięknu, ku stylowi wysokiemu i cudownej klasyce atawistycznie w samym autorze pozostał, jest jego podstawowym napędem, niektórzy powiadają też obciążeniem. Mnie to osobiście nie przeszkadza, mało takich obciążeń widzę, a należę do tych (nie wiem jak licznych), co wszystkie teksty, wszystkie wiersze i wszystkie książki Zagajewskiego przeczytali dokładnie, uważnie i z częstym podziwem.

Wracając do wątku samotności i lektur wielkich przywódców, podstawowe – jak rozumiem – pytanie brzmi: Co czytają dzisiejsi wielcy przywódcy, których raczej nie ma? Szczerze mówiąc, nawet jak są, może z tym być kłopot. Nie wiem, z jakiego powodu, ale osobiście nie chcę wiedzieć (wolę nie wiedzieć), co czyta Putin czy Obama, o Berlusconim czy innym Sarkozym nawet facecyjnie nie wspominając. A szkoda – cztery wielkie literatury za tymi nazwiskami stoją.

Od dawnych (nie tak zresztą dawnych) satrapów odżegnywać się należy, ale (broń Boże nie oddając im żadnej „literackiej sprawiedliwości") niepodobna pominąć ponurego i dość powszechnie znanego paradoksu, iż ostatnimi prawdziwie

oczytanymi przywódcami byli Mao Tse-tung i Józef Stalin. Pierwszy studiował starochińskich klasyków, drugi lubił literaturę współczesną, nieraz bardzo zaborczym bywał czytelnikiem, często nikt poza nim przez długie lata nie miał dostępu do egoistycznie strzeżonego tytułu. Co działo się z autorami – wiemy aż nadto dobrze.

Pytanie, co czytają dzisiejsi polscy przywódcy, szerzej – co czytają dzisiejsi polscy politycy, wbrew pozorom nie musi być szyderczą puentą. Jest przynajmniej jedna postać, która ocala odpowiedź. Obciążony peerelowskim atawizmem, by jakiej rzadkiej nowości nie przeoczyć, do dziś praktycznie co dzień bywam w którejś z pobliskich księgarń – polityków widuję tam mało, szczerze mówiąc, jednego tylko, byłego mianowicie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Czy inni politycy w innych księgarniach bywają? Na sto procent nie umiem odpowiedzieć.

25 maja 2011

Na pozór oczywiste spostrzeżenie Zagajewskiego o pisarzach i artystach na ogół potępiających politykę nie daje mi spokoju. Choć nie sądzę, bym w pogłębianiu był najlepszy, w tym wypadku mam nieodpartą wolę pogłębienia, a przynajmniej dopowiedzenia.

Otóż niewątpliwie wedle komunału (zdaje się, nie tylko współczesnego) polityka jest czymś, od czego należy trzymać się z daleka, czym należy się brzydzić i czym należy gardzić. Komunał ten nie tyczy tylko ludzi sztuki, ale też na przykład sportowców, rolników, bankierów, rzemieślników, księży, taksówkarzy, królowych piękności, architektów, kierowców tirów, sprzątaczek, hodowców truskawek – szczerze mówiąc, tyczy wszystkich. Każdy, od profesora po kloszarda, złego jest zdania o polityce i każdy przed jej wieloraką nikczemnością gotów jest ostrzegać.

Więcej: sami politycy – zwłaszcza ci światlejsi – rozmaicie o swym zajęciu mówią, nieraz próbują dawać do zrozumienia, że są świadomi jego ułomności, nieraz jakiś dystans sugerują. Nie wypada to zbyt przekonująco – w większości są uzależnieni, a uzależnieni o swym uzależnieniu mało kiedy mówią wiarygodnie, chyba że z uzależnienia wyszli. W tym wypadku to nie działa, politykami, którzy z polityki wyszli, nikt się nie ciekawi.

Ale całą czynną resztą tak! I to jak! Jak zajadle! Jak namiętnie! I jak regularnie! Nikt tej strawy nie znosi, wszyscy na sam jej widok dostają mdłości i wszyscy się nią obżerają, wszyscy ją, aż im się uszy ze wzgardy trzęsą, pałaszują. Wszyscy, nie wszyscy... Tłumaczenie się w tym miejscu z wielkiego kwantyfikatora byłoby kolejną powtórką repetycji i rozdzielaniem włosa na sto; wiadomo, o jakich (licznych, bardzo licznych) zbiorowościach mówię. Mówię o tych, co nie znoszą, a obcują. Czyli – ha, ha, ha – mówię o wszystkich. (Z wyjątkiem ludzi pióra i artystów, rzecz jasna, choć też nie do końca i na razie, a może całkiem nie na razie, bez przekonania).

26 maja 2011

Małe i nienowe jest to odkrycie, ale bylibyśmy u źródła (u jednego ze źródeł) frustracji narodowej? Przecież narodem frustratów jesteśmy jak żaden kraj na świecie. Nawet Islandia wyziewami swych smrodliwych i paraliżujących ćwierć świata wulkanów nie jest tak sfrustrowana jak my sami sobą. Polska – kraj sfrustrowany, tej opinii długo nikt i nic nie zmieni.

Naród jest nieustannie sfrustrowany, ponieważ lubuje się w tym, czego nie lubi? Nie znosi polityki i nie umie, co tam nie umie, nie chce, za żadne skarby nie chce się od niej oderwać!

Obrzucanie obelgami polityków pokazujących się na ekranie telewizora jako jedna z podstawowych rozrywek rodaków? Dialog Polaka z telewizorem jako symboliczny nad- czy arcydialog polski? Bez wątpienia. Mniejsza o to, jakie są nasze pozostałe dzisiejsze symbole i igrzyska. (Są podobne).

Jak to tłumaczyć? Jak zwykle: dziejami bolesnymi, skłonnością do martyrologii i masochizmu, nieufnością do władzy tak atawistycznie, tak ponadpokoleniowo i tak ponadczasowo zakorzenioną, że choćby i tysiąc lat demokracji Bóg zesłał, przypadłość ta ani nie ustąpi, ani nawet o milimetr się nie zmniejszy? Zdawkowe i zgrane są to odpowiedzi, niczym puszczony wątek w powieści. Zostawiam je w niewyraźności i niedopracowaniu.

26 maja 2011

Ach oczywiście! Prawdziwi artyści i prawdziwi ludzie ducha są ponad, zawsze byli ponad, w sumie nic dziwnego, że i teraz są ponad. Niby nic dziwnego, ale jednak niekiedy bywa to trochę zastanawiające, w końcu teraz niekoniecznie, nie zawsze i nie w każdej sytuacji trzeba być ponad, teraz często powinno się być nie ponad, a niekiedy, nierzadko, nierzadko – niżej, a nawet grubo niżej. To, że godłem, symbolem, znakiem rozpoznawczym i czym tam jeszcze dzisiejszego Polaka jest nienawistny dialog z telewizorem – to jest upiorna groteska, ale to, że prawdziwego polskiego człowieka ducha poznać po tym, iż w ogóle nie ma on telewizora (nie chwaląc się zamożnością, mam dwa), zdaje mi się marnym znakiem dystansu. Pewnie, że śledzenie bieżących i nieraz niskich rozgrywek gabinetowych do jakichś wzbogaceń duchowych nie wiedzie, ale skoro – wedle wielkich mędrców, których nikt nie kwestionuje, mimo że żyli przed epoką bieżących transmisji sejmowych – fundamentem egzystencji jest dzień dobrze przeżyć, to cóż zdrożnego sprawdzić, co nowego tego dnia w polityce zaszło? Nie wierzę ani w zupełny antypolityczny dystans, ani w wyłącznie wysokich i wysoce apolitycznych dzieł studiowanie. Specjalnie samemu sobie w takie pozy i takie oznajmienia nie wierzę.

27 maja 2011

Jeśli idzie o kwestię niechętnego sięgania przez pisarzy do tematyki politycznej, to jest ona zrozumiała choćby przez wszechobecność polityki właśnie – liczyć na czytelnika, który cały dzień karmiony, bombardowany i zalewany medialną lawą polityczną, wieczorem zechce otworzyć książkę i poczytać o tym samym, to może być (choć nie musi, bywają maniacy w maniach pogrążeni na okrągło) nazbyt ekspansywny optymizm literacki. Raczej czytać się tego nie chce, a i pisać nie bardzo. W końcu piszemy tylko takie książki, które sami chcielibyśmy przeczytać, to, że nam nie wychodzi, osobna sprawa.

Inna rzecz najwięksi. Pisarskie utyskiwania pisarskimi utyskiwaniami, ale przecież wiadomo, że od czasu do czasu pojawia się ktoś prawdziwie potężny i wszystko, co trzeba, i obraz czasów, i sąd moralny, i namiętność, i politykę w swym dziele zawiera. Czy u Flauberta, Tołstoja, Manna była polityka? Oczywiście tak. Czy miała dla ich dzieł istotne znaczenie? W najlepszym razie ciężko odpowiedzieć. Czy powieści o wielkich tyranach, czy na przykład *Jesień patriarchy* Márqueza to jest utwór polityczny? W bardzo wąskim sensie. Czy u Kundery, Rotha, Pamuka, Llosy, Grassa jest polityka? Oczywiście tak. Czy ma dla ich książek istotne znaczenie? Owszem – swą niezbędnością im szkodzi. Szkodzi im, ale ich nie nokautuje – zbyt mocni, zbyt utalentowani i zbyt przebiegli są to zawodnicy.

2 czerwca 2011

Dalszy ciąg wypisów z Zagajewskiego. Tym razem idzie o postać Helmuta Kajzara, a zwłaszcza o pewne intensywne i tajemnicze zdanie, które pada w trakcie charakterystyki tej postaci.

Intensywne zdania zawsze były mocną stroną autora *Lekkiej przesady* (intensywne zdania zawsze są mocną stroną prawdziwej literatury); na wyraziste frazy Zagaja reagowałem już w trakcie lektury jego powieści *Ciepło, zimno*. Była połowa lat siedemdziesiątych, czyli początek wszystkiego, ogłoszony w „Polityce" pod tytułem *Raderka* fragment książki budził aplauzy, spory i sprzeciwy, nie tylko mnie się zdawało, że młody poeta, autor bodaj dwu tomików wierszy, teraz po napisaniu pierwszej powieści przejdzie wedle klasycznego wzorca od młodzieńczej poezji do dojrzałej prozy, zostanie powieściopisarzem pełną gębą – wybrał inaczej, został poetą i eseistą, intensywne frazy pozostały.

Linijki poświęcone Kajzarowi: „Skromne powroty umarłych: Helmut Kajzar zmarł w 1982 na raka, po krótkim okresie zaciekłej walki z chorobą. Miał czterdzieści lat. Był reżyserem i dramaturgiem teatralnym, interesowały go nowości w teatrze europejskim, czytał z uwagą zwłaszcza literaturę niemiecką. Miał wówczas sporo sukcesów i jako autor, i jako reżyser. Za życia jego nazwisko było znane, teraz jednak, jak to zwykle bywa, został zapomniany. Prawie zapomniany. Pamiętają go przyjaciele,

z pewnością rodzina. Poznałem go przez Jerzego Kronholda. Pochodził z rodziny protestanckiej, z podcieszyńskiej miejscowości. Umarł w lecie. [...] Czasem wraca w moich myślach, przychodzi na palcach, cicho. Kiedy żył, spieraliśmy się nieraz. Były to czasy rodzącej się w Polsce opozycji, z którą ja się w znacznej mierze identyfikowałem, to był okres mojej gorliwej ortodoksji opozycyjnej. Zwłaszcza wobec ludzi obojętnych lub wrogich temu ruchowi byłem przekonanym dysydentem, bo wobec przyjaciół z wnętrza opozycji bywałem często krytyczny (jak zwykle nie miałem stuprocentowej pewności, że postępuję właściwie). Helmut natomiast opowiadał się po stronie przekory całkiem otwarcie, wolał występować w każdej sprawie jako «artysta», tak jakby mieszkał w sztuce, a nie w ówczesnej Polsce, kraju rządzonym przez ludzi o kwadratowych czaszkach. Przyjaźnił się z Tadeuszem Różewiczem, który, jak powszechnie wiadomo, także patrzył niechętnie na zbuntowanych intelektualistów i studentów".

3 czerwca 2011

No proszę, okazuje się, że za starej Polski niejednemu autorowi było Iwaszkiewicz. Dobrze znający i wysoko ceniący Kajzara Kornel Filipowicz też był z pełnej dystansu partii przekornych. (Napomykał nawet niekiedy o jakiejś „trzeciej drodze", ale jako szczerozłoty przedwojenny pepeesowiec nie do takich brewerii i nie do takich ekstrawagancji miał pełne prawo). Paru jeszcze całkiem światłych przekornych spokojnie dałoby się wymienić.

Skąd się brał ten, jak i dziś widać, zgoła niemarginalny dystans? Myślę, że głównie z dwóch powodów – towarzyskiego i dziejowego. Niczego nie trywializując albo niespecjalnie trywializując: oni wszyscy trochę za dobrze się znali. Znali się jak łyse kobyły i widząc, jak ten i ów kolega nagle strzałą polityki przeszyty pobudzenia niepodległościowego doznaje – sceptycznie to przyjmowali. W delikatnej wersji, bo nieraz pusty, niepusty śmiech ich musiał ogarniać – dziejowo system zdawał się nie do ruszenia i na jego pozornie (kto to wtedy wiedział) wiekuistym tle wszelkie wolnościowe ruchy mogły wrażenie nie ruchów, a podrygów sprawiać.

4 czerwca 2011

Istotnym składnikiem przekory Kajzara był – rzecz kluczowa – jego protestantyzm. „Helmut – wspomina Zagajewski – na ogół z dystansem przyjmował moje relacje z podziemnych wykładów czy spotkań autorskich odbywających się w prywatnych mieszkaniach czy kościołach (katolickich!). Ja zresztą rzadko brałem udział w tych imprezach w charakterze głównego bohatera, lubiłem siedzieć wśród publiczności, bardzo rzadko czytałem wtedy moje wiersze, dlatego że mało wtedy pisałem, niewiele udawało mi się napisać. Moja żarliwość nie sięgała tak bardzo głęboko, a raczej powinienem powiedzieć: mój zapał polityczny nie chciał się zmieszać z moją żarliwością poetycką [...] Poezja, wydawało mi się, nie mogła przylgnąć do nowego nurtu politycznego jak jaszczurka do nagrzanej przez słońce skały. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Teraz już nie spieram się z Helmutem, gdy przychodzi do moich myśli. Teraz jest wśród umarłych, a umarli zrzucają z siebie ironię, przekorę. Umarli noszą ciemne garnitury i są niezmiernie poważni. Także i teraz widzę to, co w nim było innego. W katolickim kraju każdy protestant jest trochę inny. Helmut miał w sobie coś, co mnie fascynowało, nawet już w samym sposobie mówienia, bardzo indywidualnym, przemyślanym, eleganckim. W Berlinie wybraliśmy się kiedyś na spacer w stronę stadionu olimpijskiego i tam w miejscu, gdzie kiedyś Hitler pozdrawiał zwycięskich

niemieckich atletów, Helmut pokazywał mi elementy treningu aktorskiego w nowoczesnym teatrze, na przykład ćwiczenie polegające na nienaturalnie powolnym chodzie, na spowolnieniu wszystkich ruchów. Wtedy o tym nie pomyślałem, ale potem przyszło mi to do głowy: to zapewne umarli chodzą tak wolno. Idą drobnymi krokami, stawiają stopę za stopą".

Szczerze mówiąc, jak chodzą umarli, nie wyobrażam sobie, nawet jednak gdyby chodzili krokiem pracowników jakiegoś ministerstwa zmarłych kroków – dalej pozostają tu dwie poważne kwestie do pociągnięcia. Dwie, a najmniej jedna. Poważna. Śmiertelnie.

Idzie, rzecz prosta, o zdanie: „W katolickim kraju każdy protestant jest trochę inny". Idzie o tę frazę, ponieważ w katolickim kraju każde zdanie o protestantach jest na wagę reformacji.

„W katolickim kraju każdy protestant jest trochę inny". Jak rozumieć to zdanie? Przede wszystkim należy rozstrzygnąć, do jakiej części języka ono należy, czy mianowicie należy do części poetyckiej, czy też należy do części publicystycznej – czy jest to myśl dyskursywna, czy intuicyjna? Jeśli mamy do czynienia z poezją, z jakimkolwiek rodzajem poetyckości, problem – jak to na ogół bywa z poezją – z głowy. Nic się nie da zrobić, w najlepszym razie da się zrobić bardzo niewiele, trzeba się z tą – nie wiadomo nawet, czy ironiczną, czy poważną, czy trochę kpiarską, czy bardzo czułą – frazą obchodzić jak z (ekumenicznym?) jajem; należy jej piękno i tajemniczość podziwiać, trochę (ale nie za bardzo) można interpretować, najlepiej poddać się intensywności i chłonąć jej uroki

pozarozumowo. Protestanci – jak powszechnie wiadomo – mogą mieć z tym kłopot. I nie jest, i nie byłby to ich kłopot jedyny: moich współbraci znacznie bardziej od wstępnej kwalifikacji gatunkowej interesuje, interesowałaby przedwstępna kwestia nadawcy.

„W katolickim kraju każdy protestant jest trochę inny" – kto tak mówi? Jeśli tak mówi katolik, jest to prawie na pewno zdanie wrogie i szydercze. Jeśli tak mówi ewangelik, jest to bez wątpienia skarga na upiorny los naszej ledwo w masowym katolickim okrążeniu dychającej garstki.

Wiadomość, że autorem tego zdania jest wybitny, znany z humanizmu i tolerancji polski autor, dałaby moim współwyznawcom nikłe ukojenie. Wybitny humanista, ale katolik? – upewnialiby się podejrzliwie. Katolik, zdaje się, umiarkowany, może nawet marny, za to – w tym miejscu wyjąłbym od dawna czekającego na dobrą sposobność asa z rękawa – za to z luterską odnogą w rodzinie. – Ciekawość jaką? – moim ukochanym odszczepieńcom pojaśniałyby oblicza. – Ciekawość kto?! Ciekawość gdzie?! Ciekawość jak?! – przestępowaliby z nogi na nogę. Gdybym wszakże wyjawił im prawdę, że mianowicie chodzi o świętej pamięci pastora Otka (Ottona) Kubaczkę z Goleszowa oraz jego świętej pamięci małżonkę – rozjaśnione oblicza moich kacerzy zmąciłaby niejaka konsternacja. Ewangelicka, bo ewangelicka, ale że też akurat taka, aż tak osobliwa więź musiała się trafić! Ksiądz pastor był w porządku, ale Kubaczkula w katolickim kraju była inna w sensie ścisłym: miała mianowicie zdrową szajbę. Po przedwczesnej śmierci męża – jeśli pamięć nie zawodzi, zmarł na raka, ledwo pięćdziesiątkę przekroczywszy –

tak desperowała, tak okropnie lamentowała, tyle łez wylała, tyle godzin i dni na cmentarzu spędziła, że stało się: duch, któremu bezbrzeżną swą rozpaczą odejść nie pozwalała, nie odszedł, a jak odszedł, to na krótko. Obezwładniony przez odchodzącą od zmysłów wdowę – rychło wrócił. Wrócił i jeszcze ładnych parę lat na goleszowskiej farze straszył.

Swoją drogą odnoga rodzinna tyleż protestancka, co literacka w sensie ścisłym. Nie tak mocna jak wspomniana (szkoda, że osobno i dokładnie nienapisana) przez Zagajewskiego historia ciotki kompozytorki, ale też mocna, wystarczająco mocna.

10 czerwca 2011

W pierwszej chwili teza, że „w katolickim kraju każdy protestant inny", wzbudziła mój odruchowy sprzeciw. A skądże – pomyślałem bezmyślnie – przecież my wszyscy jednacy. W mniejszości swojej łatwo policzalnej zwarci i homogeniczni. Resztkami takich samych sił i takich samych gestów broniący tożsamości. Jacyż mogą być mieszkańcy maleńkiej wysepki na katolickim oceanie? Jacyż, jak nie identyczni? Nawet jeśli kiedyś były pomiędzy nimi jakieś różnice, to z czasem zatarły się one, niezmienne warunki osobnego bytowania musiały upodobnić do siebie wszystkich członków maleńkiego plemienia i od dawna jesteśmy jednacy duchowo i fizycznie, wszyscy mamy posępne spojrzenia, ogorzałe od nieustannego czuwania – czy aby kto (wiadomo kto!) eksterminować nas nie zechce – oblicza, wszyscy nosimy proste samodziałowe marynarki, nasze kobiety szyją i wdziewają z tej samej materii uczynione spódnice do kostek, wynalazków Złego, specjalnie takich jak kino, telewizja, gazety i skoczna muzyka, strzeżemy się jak ognia.

Z jednej strony pełni wyniosłego żalu bolejemy nad tym, że mało kto nas zauważa, że mało kto w ogóle wie o naszym istnieniu, z drugiej strony na każdą o nas wzmiankę reagujemy z notoryczną podejrzliwością. Pismo na nakrytym białym obrusem stole; trzy razy dziennie najstarszy domownik czyta na głos przeznaczone na dzień dzisiejszy wyjątki, przy nim, przy

Piśmie stoimy, inaczej – identyczni na jawie i tacy sami w uśpieniu – nie możemy, elastyczność nie jest naszą najmocniejszą stroną, tak nam dopomóż Bóg.

11 czerwca 2011

Tożsamości swoistego wyznaniowego uśpienia (we śnie wszyscy łudząco podobni?) bronić najłatwiej, ale też – jak się po chwili nieco mniej bezmyślnego namysłu zdaje – jest to jedyny punkt czy przypadek możliwy do skutecznej obrony.

Za komuny Polska nadal była katolickim – niektórzy powiadają, że wtedy też prawdziwie i o wiele głębiej niż dziś chrześcijańskim – krajem. Wieluż wtedy braci katolików nie tylko wygaszało swe temperamenty polityczne, ale i z wiarą, z chodzeniem do kościoła starannie się kryło – ustalić, choć to rzeczy znane, niepodobna. W każdym razie w pracy (w towarzystwie też, ale w pracy zwłaszcza) ani mru-mru o Panu Bogu. Niby nam, ewangelikom, w rzeczywistości rządzonej przez antykatolicką władzę powinno być łatwiej – w istocie było trudniej. Oczywiście niejeden, nawet niejeden nasz hierarcha, lekkomyślnie się z ludową dyktaturą bratał, nie było w tym istoty rzeczy. Istota rzeczy była w tym, że o ile moje koleżeństwo z krakowskiej podstawówki swoje chodzenie na religię kryło przed nauczycielami, o tyle ja z moim chodzeniem na religię kryłem się i przed jednymi, i przed drugimi.

W każdą środę matka prowadziła mnie na tajne komplety. Rozglądając się ostrożnie, błyskawicznie znikaliśmy w dyskretnie uchylonej bramie przy ulicy Grodzkiej; wpierw ciemna studnia podwórka, potem jeden, drugi korytarz i meta: w maleńkiej

i odpowiednio przyciemnionej parafialnej kancelarii
w towarzystwie paru, pięciu, góra siedmiu innych małych lutrów
pobierałem wiadome nauki.

15 czerwca 2011

Ukazały się „Książki. Magazyn do czytania”, ekstradodatek „Gazety Wyborczej”, dodatek, a w zasadzie osobny periodyk. Czy rzecz ta wypełni dotkliwy brak, na który liczni od lat utyskują, czy stanie się ważnym, centralnym, ogólnokrajowym, prestiżowym, wpływowym, opiniotwórczym i jakim tam jeszcze pismem literackim? Oby. Na razie wyrokować trudno, głównie z powodów formalnych: na razie jest to kwartalnik, a kwartalniki bieżącej twórczości i bieżącemu życiu literackiemu tonu nie nadają, ja przynajmniej nie zetknąłem się z takim przypadkiem. Ale gdy czytelnicze powodzenie i szereg innych (jak to w tej epoce: nie literackich, a ekonomicznych) okoliczności sprawi, że pismo nie tylko nie upadnie, ale z czasem z kwartalnika przeistoczy się w miesięcznik, z miesięcznika w tygodnik – wszystko stać się może.

Tymi, co twierdzić będą, że czarny jest to scenariusz, ponieważ sprawująca w Polsce rząd dusz Agora za pośrednictwem „Książek” i w literaturze polskiej stanie się „rodziną panującą”, przejmować się nie należy. Ich zdaniem tak jest już od dawna, oni taką opinię od dawna pielęgnują i żadne widzialne dowody i potwierdzenia nie są im potrzebne.

Konteksty kontekstami, ale rzecz podstawowa: jakość pierwszego numeru rokuje dobrze. Skądinąd argument to wątły – jeszcze by tego brakowało, żeby zaczynać słabo. Pierwszy numer –

nawet gdyby miał być numerem jednym z niewielu albo wręcz jedynym – musi być racą. Z wydawaniem pism (zwłaszcza literackich) jest trochę jak z samym pisaniem: dobrze zacząć – sztuka, ale prawdziwa sztuka – na tym samym poziomie rzecz kontynuować i na tym samym poziomie całość utrzymać.

16 czerwca 2011

Z bogatej i z głową ułożonej zawartości pierwszego numeru wychwytuję dwa materiały, pierwszy (Olgi Tokarczuk) arcytrafny – drugi (Janusza Rudnickiego) kompletnie pomylony.

Wielką i bezdyskusyjną ma słuszność Tokarczuk, gdy w tekście *Wikipedysta sarmacki* przypomina postać i broni czci (rzecz jasna nie naukowej, ale tysiąc razy w tym wypadku istotniejszej, pisarskiej!) księdza Benedykta Chmielowskiego, autora *Nowych Aten*. W powszechnym i przeszło od dwu wieków funkcjonującym mniemaniu (współcześnie nie aż tak rozległym, bo kto dziś – zwłaszcza wśród młodzieży – wie, o jakie dzieło i jakiego autora idzie?), a zatem w stereotypowo od stuleci utrwalonym mniemaniu pierwszy nasz encyklopedysta uchodzi za rasowego ciemnogrodzianina, ograniczonego umysłowo guślarza, ciemnego jak tabaka w rogu wyplatacza zabobonnych andronów etc., etc., a tymczasem jest to autor co się zowie. Tyle że czytać go należy w odpowiednich, w odpowiednio zmienionych rejestrach.

„Pociąga mnie – powiada Olga – egzotyczna mentalność księdza Chmielowskiego i jego dziecięca, nieskończona ciekawość świata. [...] Jego umysł jest monstrofilny i naiwny, to *pater curiositatis* polskiej literatury. Najbardziej interesują go rzeczy dziwne, niepojęte. Pociąga go niesamowitość. Nie opisuje świata w jego normie, powszedniości i oczywistości, lecz w tym, co od normy odbiega, co z oczywistością nieustannie się mierzy. Księga nie jest

od tego, by opisywać to, co każdy widzi, mógłby powiedzieć dzisiaj wbrew przyprawionej mu końskiej gębie. Księga sięga tam, gdzie panuje nieoczywiste, w rejony, które nie każdy widzi [...]. Powinniśmy docenić wreszcie jego niesamowitą erudycję i rozmach, a także niezaprzeczalny talent literacki. [...] Niechże ludzie czytają stare encyklopedie jak zbiory baśni".

Też, a może zwłaszcza, niech czytają je jak całkowicie odjechaną prozę. Nie jednego autora *Nowych Aten* to tyczy, walor intensywnej, nieraz wręcz narkotycznej literackości miewają wszelkiej maści dawne poradniki, instrukcje, że o rozmaitych młotach na czarownice nie wspomnę; również, ma się rozumieć, książki kucharskie, rozprawy przyrodnicze, geograficzne, astrologiczne i medyczne, nawet zwykłe pisma urzędowe. Nie wszystkie, nie w całości, ale jakąś stylową perłę prawie wszędzie można trafić. Niejeden też klasyk filozofii, naukowo zwietrzawszy, zyskał jako beletrysta. Przeczytajcie *Zoologię* Arystotelesa – dawno czytaliście tak obłędną prozę? Nigdy.

W przypadku *Nowych Aten* literacką atrakcyjność wzmaga kompozycja. Encyklopedyczny układ sprawia, że kolejne hasła, nawet jak są długie, stają się krótkimi rozdziałami fantasmagorycznej opowieści. Gdziekolwiek otworzysz, masz uciechę.

17 czerwca 2011

W ogłoszonym w tym samym (co zresztą oczywiste, innego na razie nie ma) numerze „Książek" tekście pod – prawdopodobnie w autorskim złudzeniu – obrazoburczym tytułem *Palę lektury* Janusz Rudnicki idzie na zupełną łatwiznę. Atakuje mianowicie kanon lektur szkolnych, czyni to na dodatek z – delikatnie mówiąc – umiarkowanym polotem, zdumiewającym brakiem orientacji i całkowitą – mało u tego, zdawać by się mogło, dobrze językowo wygimnastykowanego pisarza spodziewaną – głuchotą. Gdyby zresztą było na odwrót, gdyby wywód Rudnickiego skrzył się najprawdziwszym polotem, porywającym dowcipem i głęboką erudycją – pomogłoby to niewiele. Temat jest tak zgrany, że z jednej strony bezpiecznie i bez strat intelektualnych poruszyć go niepodobna, z drugiej gwarantuje znaczny rezonans czytelniczy, a nawet społeczny. Całkowicie zbyteczna, a w licznych przypadkach wielorako szkodliwa likwidacja na ziemiach polskich analfabetyzmu sprawiła, że każdy przynajmniej na poziomie podstawówki z jakimiś lekturami szkolnymi się zetknął, w związku z tym zarówno łatwizna ataku na literaturę w szkołach, jak i żenada obrony tej literatury w każdej chwili stać się może sprawą ogólnonarodową.

Pamiętacie, co się działo, gdy resortem edukacji władał Roman Giertych? Musicie pamiętać, w końcu było to parę lat temu, czyli wczoraj. Osobiście wspominam tamte chwile i tamte debaty

z najszczerszym rozrzewnieniem, na bieżąco sprawiało to wrażenie zupełnej aberracji, dziś – specjalnie w kontekście wybryków Rudnickiego – można powiedzieć, że była to ważna ogólnopolska debata o literaturze. Niech będzie: z niewielką przesadą można tak powiedzieć. Oczywiście spór ten wywołany został bardzo w swej prostocie skutecznym gestem, prowokacyjną mianowicie próbą usunięcia z lektur szkolnych dzieł Gombrowicza, Witkacego, Kafki, a nawet – jeśli pamięć mnie nie zawodzi – Herlinga-Grudzińskiego. Sam brałem udział w szyderczych protestach, dziś nie byłoby to dla mnie aż tak oczywiste.

Niemałą rolę w tym dystansie odgrywa wzrost życzliwości do samego Giertycha – politycy, którzy utracili władzę, na ogół są sympatyczniejsi. Giertych (ksywa „Koniu") na politycznej wolności zyskał bardzo, żadna – jak można było się spodziewać – frustracja go nie trawi, wypowiada się rzeczowo, precyzyjnie i na luzie. Łatwiej też teraz docenić jego polityczny talent – jak mało kto umiał skupić uwagę na swoim resorcie, a w końcu ministerstwo wojska czy spraw wewnętrznych to nie było. Odpowiednią ustawą wzmógł bezpieczeństwo nauczycieli, a że nie nakładł im do głów niezawodnych i powszechnie obowiązujących sposobów radzenia sobie z literaturą w szkole – na to nie ma patentu, temu tylko wybrani dają rady. Kwestionował obecność oczywistych klasyków, w ich miejsce wstawiał Dobraczyńskiego, w efekcie jednak ani do żadnych rugowań, ani do wyniesienia na klasyka autora *Listów Nikodema* nie doszło, a boczny skutek, jeden z bocznych skutków, takiej akcji, gremialne mianowicie ogłaszanie w prasie (na

przykład w śp. „Dzienniku”) przez rozmaite autorytety osobistych kanonów lektur, był wielce ciekawy.

Na szczęście Janusz Rudnicki w tamtym przedsięwzięciu nie brał udziału, teraz na łamach „Książek” proponuje szkole podstawowej zamiast Mickiewicza, Słowackiego, Orzeszkowej (owszem, zabita na polskim, ale wielka pisarka to była) *Przemianę* Kafki, *Buszującego w zbożu* Salingera oraz utwory modnego dziś (choć są jeszcze modniejsi) Raymonda Carvera. Gwoli sprawiedliwości odnotować należy, że argument mody nie pada, powodem nobilitacji jest przesłanka, iż według opowiadań Carvera Altman film zrobił. Tak czy tak, strach pomyśleć, w jaki jeszcze sposób Rudnicki mógłby swój kanon poszerzyć.

21 czerwca 2011

Rzecz jasna, szkoła generalnie zarzyna, szkoła praktycznie zarzyna literaturę i czytanie, i w sumie obojętnie, czy zarżnie Józefa Ignacego Kraszewskiego czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Gombrowicza czy Orzeszkową, Witkacego czy Staffa. Nawet jakby na listach lektur były same arcydzieła, marny nauczyciel położy je z lekkością; nawet jakby na tych listach był sam szajs i ideologia – dobry polonista da radę.

Czytałem, moja generacja w ramach lektur obowiązkowych czytała *Ojczyznę* pióra znanej powieściopisarki Wandy Wasilewskiej, *Timura i jego drużynę*, *Opowieść o prawdziwym człowieku*, *Chłopców z Placu Broni*, *Łyska z pokładu Idy*, teksty haracze wybitnych poetów: Broniewskiego, Gałczyńskiego czy Tuwima, oraz multum innych dzieł nie najwyższych, a czasem kuriozalnych lotów, i co? I nic. Jakoś to nikomu nie zaszkodziło. Nigdy nie zetknąłem się z kimś, kto z zapałem zabierał się do czytania książek, ale przestał, bo zraziły go lektury szkolne. Nie przypominam też sobie wprawdzie żadnego miłośnika literatury, który popadł w swą pasję na skutek obcowania z takimi pozycjami obowiązkowymi, ale to jest bardziej kwestia chronologii niż jakości. Początki, prawdziwe początki miłości do czytania są zawsze w domowych księgozbiorach. Nawet jak czytać nie umiesz, pierwszą bibliotekę widzisz w domu, szkolna pojawia się później.

22 czerwca 2011

Rudnicki w swym paleniu lektur zadania sobie nie utrudnia. Pali to, co inni – jakoś jednak argumentując – palili przed nim tysiąc razy, równo jedzie po Konopnickiej, Kraszewskim (jako przykład rozpasanej grafomanii daje takie akurat cytaty, po których człowiek natychmiast nabiera ochoty na powrót do *Starej baśni*), Centkiewiczach (najwyraźniej niedoinformowany, że byli to „pisarze polarni" snujący opowieści z życia Eskimosów, zarzuca im słabe zróżnicowanie miejsca akcji), nie ma litości dla Janiny Porazińskiej i Marii Kownackiej, miażdży *W pustyni i w puszczy*, *Janka Muzykanta*, *Syzyfowe prace* i *Legendy warszawskie* Artura Oppmana, po *Wspomnieniach niebieskiego mundurka*, *Zemście*, *Balladynie* czy *Marcinie Kozerze* zostawia mokrą plamę.

Przy czym stereotypy te i tak lepsze od, pożal się Boże, „oryginalnych" przewartościowań, gdy bowiem czytam, że „dzisiejszy domorosły literat z małego miasta ma lepsze wiersze w swoim poślinionym i wymiętym zeszycie, niż napisał na przykład Daniel Naborowski", to nie mam skali, w której mógłbym własną bezradność zmierzyć. O to przecież, że ten domorosły literat to geniusz być musi, autorowi nie idzie, w końcu sam – poza niejasnym poczuciem rzekomej bezkompromisowości swych tez – nie ma pojęcia, o co mu idzie.

23 czerwca 2011

Jak bronić polskiej literatury, mniej więcej wiem – od lat się tym param. Bronić pisarzy polskich przed pisarzami polskimi, zwłaszcza dawnych przed dzisiejszymi, też od biedy dałbym radę, ale jak bronić ojczystej sztuki literackiej przed błazenadami Rudnickiego – nie mam zielonego pojęcia. Myśl jego porusza się w sposób doskonale nieoznaczony, przez co jest doskonale nieuchwytna.

Nawet jak zbuduje jakiś pozór logicznego (dalekiego od merytoryzmu, ale logicznego) rozumowania i na przykład zaatakuje Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego za wiodącą do zaściankowości mętność, nawet jak postawi tezę, że miarą klarowności tekstu jest jego przekładalność, to co to, przepraszam, ma do lektur szkolnych? Tylko przekładalni mają w nich zostać? Trzej wieszczowie pa, pa, a Leśmian z Białoszewskim na dokładkę całkowicie won?

Swoją drogą charakterystyczne, że jedyny wielki klasyk, nad którego ewidentnie wietrzejącym – poza najwyżej trzema utworami – dorobkiem można by się z lekka popastwić – uwadze pamflecisty umknął. Nazwiska nie podaję, Rudnicki im mniej wie, tym mniej żenady nawyprawia. W zasadzie nie powinien nic wiedzieć.

Kto nie umie czytać, niech się nie spieszy z tezą, że ci, których czyta, nie umieją pisać. Choć nie umieć czytać (owszem,

zaszlachtowanych w szkole, ale największych, jacy między nami byli) Mickiewicza czy Fredry to jest jednak dziwna przypadłość. O wielkość zresztą mniejsza; osobiście ze wszystkimi wymienionymi w tekście Rudnickiego autorami chętnie bym się spotkał i pogadał o literaturze, też o szkolnych lekturach. Z nim samym mniej.

Budzący mieszane uczucia – jak całość chybionego paszkwilu – atak na *Dziady* autor *Męki kartoflanej* kończy ostrym jak brzytwa pytaniem: „Zastanawiam się, czy Mickiewicz był inteligentny?". Janusz, ty się nie zastanawiaj! Błagam cię, nie zastanawiaj się! Jakiekolwiek masz mocne strony, zastanawianie się do nich nie należy.

3 lipca 2011

Poznałem ją na targach książki w Pałacu Kultury, co już źle wróżyło, ale w tamtym czasie złe wróżby, fatalne przeczucia i inne znaki ostrzegawcze nie były mi w głowie. Nie tylko zresztą w tamtym czasie. Przez całe moje przeszło pięćdziesięcioletnie życie miałem się za farciarza, i to za wyjątkowego farciarza. Dobre samopoczucie wiecznego zwycięzcy nigdy mnie nie opuszczało – równie niezauważalnie jak trwale przerodziło się w nawyk, nawyk nie był odruchem czy pustym gestem, przeciwnie, miałem niezliczone dowody i potwierdzenia mojego szczęśliwego losu.

Zdrowie mimo wyniszczającego trybu życia – piłem, paliłem i uganiałem się za spódniczkami jak nigdy nienasycony smok – mi dopisywało. Nawet gdy chlanie przerodziło się w horror studzienny, radziłem sobie: wpadałem na dno flaszki na tydzień i po tygodniu wypływałem na wierzch ze zdwojonym zapałem do życia i ze zdwojonym zachwytem dla świata.

Sypiałem dobrze, tak dobrze, że w pewnym sensie nie mogłem się doczekać, kiedy się obudzę i zaznam żarliwej bujności kolejnego dnia. Świeżutki jak szczygiełek wstawałem wczas, pełen werwy zabierałem się do pracy. Dla jeszcze znaczniejszego wzmożenia pisarskiej jazdy wypijałem morza mocnych jak samogon i gęstych jak wulkaniczna lawa kaw; popołudniami

ruszałem na miasto. Centrum Warszawy, w którym się obracałem, zwłaszcza w upalne dni, upajało mnie narkotycznie.

Pisałem książki, które osiągały wysokie, coraz wyższe nakłady; kolejni wydawcy (zmieniałem ich z nieomylną intuicją) coraz więcej mi płacili, kolejne redakcje (zmieniałem je w identycznym trybie), w których ogłaszałem felietony, podpisywały ze mną sute, gwiazdorskie kontrakty, kobiety były mi przychylne, nie miałem wielkiego problemu z uwodzeniem i najmniejszych wyrzutów sumienia przy porzucaniu, czegóż trzeba więcej? Byłem wybrańcem i wiedziałem, że jestem wybrańcem. Bóg, jeśli istniał, czuwał nade mną. Wprost tego nie wypowiadałem, ale prawdopodobnie w głębi ducha uważałem, że mój fart jest dowodem na Jego istnienie. Umiarkowanie wierzący, śmiało sadzący kabotyńskie frazy, że „z moim luterstwem nie mam żadnego problemu, natomiast z Panem Bogiem tak", podświadomie pielęgnowałem przekonanie, że mimo licznych i niekiedy dość plugawych grzechów Opatrzność nie spuszcza ze mnie łaskawego oka.

Toteż gdy podczas pamiętnych – niech będą przeklęte – targów książki ujrzałem na końcu kolejki czytelników olśniewającą dwudziestolatkę o bałkańskiej urodzie i koszykarskim wzroście, byłem absolutnie pewien kolejnego daru niebios i skupiłem się wyłącznie na technicznej stronie wyjęcia tego daru.

Wbrew pozorom poderwanie na targach książki nawet (na ogół widać to gołym okiem) niezwykle oddanej i gotowej na wszystko czytelniczki jest zadaniem trudnym, karkołomnym i w zasadzie niemożliwym. Przykry i wyniszczający paradoks: laski stoją do ciebie w kolejce, poznajesz ich imiona, patrzysz im w oczy, one

uśmiechają się czule i jak umieją, choćby rysami twarzy, dają do zrozumienia, że w razie czego: tak. Odwzajemniasz prawie widzialną czułość, wpisujesz prawie miłosne dedykacje, a po godzinie nie masz nawet jednego numeru telefonu. Oczywiście możesz, teoretycznie możesz pod dedykacją podać swój telefon, ale to jest ryzyko. Ewentualność zawstydzającego blamażu (na przykład czekający w pobliżu zazdrosny jak Latynos narzeczony) skutecznie powstrzymuje przed tego rodzaju brawurami. Sytuacja, by podjąć taką próbę, musi być doprawdy ekstremalna, musisz mieć pewność, że jak nie wykonasz jakiegoś ruchu, jedyna w życiu okazja przejdzie ci koło nosa. Często się to nie zdarza – wtedy niestety się zdarzyło.

Porywająca Bałkanka, jak ją z miejsca w myślach nazwałem, nie była w ciemię bita (dopiero za jakiś czas miałem się zorientować, że pustka zupełna każdą postać przybierze), jak ktoś za nią się ustawiał, puszczała go przodem, niby że na kogoś czeka. Cierpliwie wytrwała do końca i pojawiła się na końcu. Niestety dopiero teraz – zrujnowany we wszystkich pasmach półtrup, wrak zupełny – wiem, że był to początek końca. I to jakiego końca! Powiedzieć apokaliptycznego to nic nie powiedzieć. Mądry pyszałek po stracie.

Inna rzecz, gdy już usiadła po przeciwnej stronie stolika (zawsze dbam, zawsze dbałem, by po przeciwnej stronie stolika, na którym podpisuję książki, było krzesło dla czytelników, a zwłaszcza czytelniczek), gdy zatem usiadła na miejscu, które – co do tego nie było cienia wątpliwości – od kilkunastu lat, od kilkudziesięciu targów książki czekało tylko na nią i jedynie na nią, gdy przeto melodyjnie usiadła i z nieziemskim (jak się miało

pokazać w sensie ścisłym nieziemskim, bo w sensie ścisłym – ha! ha! ha! – piekielnym) wdziękiem obróciła oblicze swoje ku mnie, zamarłem, oślepłem, sparaliżowało mnie do cna.

Paraliż paraliżem, ślepota ślepotą, ale trzeba było działać! Trzeba było działać z równie dyskretną jak skuteczną błyskawicznością! Niewątpliwie była to właśnie jedna z nielicznych, a może wręcz jedyna okazja w życiu. Trzeba było brać się do rzeczy, warunki sprzyjały, wokół było już pustawo, nie przeszywały nas setki ciekawskich spojrzeń.

Ocknąłem się i w miarę wypranym z samczości głosem zapytałem: – Jak pani ma na imię? – Uśmiechnęła się i wypowiedziała egzotyczne miano, którego, od czasu gdy pierwszy raz mnie zabiła, nawet pierwszą literę przestałem artykułować. – Proszę wpisać dla mnie i dla Tartego – dodała i uśmiechnęła się szerzej. W uśmiechu był jakiś element ludzki – od biedy, a może całkiem nie od biedy, dałoby się o niej powiedzieć panna Dziąsło albo panna Ząbek, w późniejszych szałach zyskiwało to potwierdzenie, zwłaszcza w pocałunkach był element jeśli nie końskości, to z pewnością źrebięcości, ale przecież dalej zachwyt! zachwyt! zachwyt!

Zachwyt też wtedy, gdy okazało się, że jej skryte pod bujną fryzurą uszy są tak nietoperzo spiczaste, jakby sam Belzebub je naostrzył. I kolejny, tym razem już zupełnie niefrasobliwy zachwyt, gdy wyszło na światło dzienne (a zwłaszcza na światło lampki nocnej), że niektóre partie jej ciała pokryte są co najmniej dziwacznymi znamionami, hieroglifami i nacięciami.

– Kto to jest Tarty? – zapytałem odruchowo. – To moje alter ego – odparła po sekundowym, bo sekundowym, ale jednak namyśle.

Na chwilę wyciszyła mnie ta odpowiedź, uznałem, że „drugie ja” o imieniu Tarty to jest niesłychanie bliski, niemal tożsamy z nią narzeczony, ty jesteś mną, ja tobą, dwie połówki, dwie, a w istocie jedna całość, jedna całość z dwiema odnogami i inne tego typu dziecinady. Brednie, ale i ulga – panna jest zajęta tak szczelnie, że nie ma co zawracać sobie głowy.

Niestety kolejny błąd, i to błąd skrajny; po paru miesiącach miało się okazać, że Tarty w sensie ścisłym jest jednym z jej potwornych wcieleń – nie tym, które mnie zabiło, ale tym, które w kaźni pomagało wystarczająco zajadle.

7 lipca 2011

W dzisiejszej „Gazecie Wyborczej” Janusz Rudnicki odpowiada na moje uwagi tyczące jego uwag w sprawie lektur szkolnych. Akcja miała miejsce ze trzy tygodnie temu i szczerze powiem, dalszej wymiany racji w zakresie tej – co wielokrotnie podkreślałem – doszczętnie zgranej tematyki nie oczekiwałem, nie tylko z powodu jakiegoś „przedawnienia”, raczej liczyłem, że gość przeczyta, przemyśli i przynajmniej elementaria zrozumie.

Jak nauczał mój mistrz, świętej pamięci biskup Andrzej Wantuła: pierwsza zasada – nie obnażać własnego ubóstwa duchowego. Niestety Rudnicki nadal i z uporem godnym lepszej sprawy obnaża. Wyznaje mianowicie, iż pewna krzykliwość jego tekstu bierze się z być może chorej ambicji: pragnie mianowicie, by, jeśli już pisze, to, co napisze, czytający czytali do końca.

Ambicja tyleż chwalebna, co z lekka utopijna, krzykliwe teksty (może z wyjątkiem jakichś haseł politycznych) mało kto czyta do końca; do końca czyta się teksty przemyślane. Kontrowersyjne i przemyślane – owszem; krzykliwe i przemyślane – wcale. Na temat tych, co gustują w krzykliwości, szkoda gardła.

8 lipca 2011

Toteż uznając rzecz za zamkniętą, bo dobrze chaotyczną krzykliwość autora pokazującą – jedną jedyną podam na koniec ilustrację. Otóż zdaniem Rudnickiego zarzucam mu pastwienie się nad Kraszewskim w ten sposób, iż pragnąc rzecz całą zdezawuować, podaje on „cytaty, po których człowiek natychmiast nabiera ochoty na powrót do *Starej baśni*". „Coś w tym jest – pisze nieszczęsny Janusz – kiedy zacząłem, pomyślałem sobie, cholera, jakie to ożywcze. Ale z każdą stroną coraz bardziej stromo pod górkę. Tchu brakuje, nogi bolą. Mam pomysł, niechże Pilch, zamiast cmokać nad pojedynczymi zdaniami, lekturę tę całą przeczyta. Od dechy do dechy. I gdzieś tam z samego szczytu tej karkołomnej wspinaczki przyśle mi widokówkę. Przepraszając, że z jego poniekąd winy skręciłem sobie szyję i uszkodziłem sobie kręgosłup. [Na początku swych wywodów Rudnicki wyznaje, że załącznik, w którym – wobec braku w okolicy „Przekroju" – tekst mój mu przysłano, otworzył mu się poziomo???, co zmusiło go podczas lektury do rozmaitych kontuzjogennnych – dajcie pokój, bo ze śmiechu pęknę – wygibasów]. Ale Pilch nie przeczyta. Ani on, ani wielu, którzy dziś jeszcze stają w tej *Baśni* obronie. I ja, złamany wpół, na próżno chodził będę do skrzynki, żadnej kartki nie dostanę".

Otóż ja nie cmokam nad pojedynczymi zdaniami książki, wyrażam jedynie zdziwienie, że odnowiciel spisu lektur

w charakterze argumentu negatywnego używa frazy co najmniej zręcznej, choć przykładów istotnie feralnych w książce – tak jest – nie brakuje. Nie chciało się poszukać? Rozumiem.

Co do widokówek – rozumiem mniej. Piszę i adresuję do gościa całe partie mojego dziennika, a ten się jeszcze widokówek domaga. Czegoż nienasycony zażąda za chwilę?

11 lipca 2011

Szamotanina ze zdrowiem, szamotanina z czasem, szamotanina z pisaniem – szamotanina ze wszystkim. Umyślnie unikam słowa „życie", nie jestem pewien jego trafności. Szamotanina z życiem? Ono szamocze się z nami, z nim Bóg, z Bogiem nieskończona miłość, jaką do nas żywi. Swoją drogą nie ja jeden bym wolał, by uczuciowość Pańska była nieco mniej nieskończona, ergo mniej odczuwalna. Nie domagamy się cudu uzdrowienia, starczyłoby nam – Panie Boże – gdybyśmy nie chorowali.

Co to jest życie? Tysiąc, a może miliard odpowiedzi. Jedna z oczywistszych: jest to forma obecności na powierzchni planety. Nie jestem pewien własnej obecności. Nie żebym był pewien nieobecności, ale pomieszało się wszystko: obecność świadoma z wegetatywnością, świadomość z bólem, godziny pracy z godzinami relaksu, biologia z myślą, kogel z moglem, brat z siostrą, apetyt z głodem, zwierzęcość (wilcza) z polszczyzną (Kochanowskiego).

Wbrew oczekiwaniom sen z jawą, przynajmniej na razie, się nie miesza, ale to marna, a może żadna pociecha. Może lżej by było przynajmniej od czasu do czasu nie wiedzieć, po której się jest stronie? A już z pewnością lepiej by było nie przechodzić koszmarów (heraklitejskich), jakie przychodzą po przebudzeniu.

Na wszelki wypadek zaznaczam, że nie idzie mi o żadną facecję typu: niepodobna dwukrotnie wstąpić do tego samego koszmaru

czy coś jeszcze głupszego. Po pierwsze „wstąpić podobna”, i to nie tylko dwakroć, ale wielo-, a nawet tysiąckroć, po drugie idzie o inne, mniej znane, zdanie tego filozofa. Jak powszechnie wiadomo, pozostał po tym klasyku zbiór pięknych w ich fragmentaryczności i porywających w ich niejasności zdań. Miałem z tymi frazami przygodę typową dla mało rozgarniętego grafomana, zdawało mi się mianowicie, że jedna jest mego autorstwa – niestety, znów mnie ktoś (i o jaki szmat czasu) wyprzedził.

O tym jednak potem, na razie poprzestaję na melancholii przewróconego, powoli przewracającego się życia.

Tak bowiem czy tak, wszystko w jeden wielki chaos się przeistoczyło, tym większy, że dla człowieka o usposobieniu pedantycznym każde naruszenie porządku jest nie tyle początkiem chaosu, ile – a jakże! – bajzlem samym w sobie.

12 lipca 2011

Daję przykład pierwszy z brzegu, zarazem jeden z najdokuczliwszych: jeszcze do niedawna przedpołudniami pracowałem, teraz przedpołudnia przetrzymuję.

I to jak pracowałem! Jak o dziewiątej siadałem za biurkiem, to z wściekłością, że tak późno, jak o trzeciej kończyłem, to z potwornymi wyrzutami sumienia, że przerywam, ledwo się rozkręciwszy; jakieś dzienne (nie zawrotne, choć mniej niż trzy tysiące nie było nigdy) normy znaków miałem na ekranie wykarbowane, egzekwowałem je z patologiczną sumiennością, był ruch, rytm i płynność. Było zdrowie. Były poranki i były wieczory. I jedne, i drugie obiecujące. Dziś i jedne, i drugie pełne lęku. Nawet jak wieczór jaki taki, to podszyty lękiem o poranną makabrę. Ona pewna. Po przebudzeniu serce jak umiarkowanie zabawny rebus, paradoks, a nawet stwór bajeczny: z jednej strony szkło kruche, z drugiej ciężar tonowy. Dziś po przebudzeniu żadnych praktycznie ruchów, o rytmie czy płynności nie wspominając. Dziś żadnego wilczego głodu na apetyczne i wieloskładnikowe śniadanie. Dziś przeżuwam, co jest do przeżucia, zażywam, co przepisane, i staram się przetrwać. Najwcześniej o dwunastej, najpóźniej o pierwszej jakieś resztki umysłowego oświetlenia zaczynają się żarzyć (wspomnienie, jak kiedyś o świcie świeciły, ma wymiar paleolityczny). I kolejna szamotanina, co zrobić z tym marnym, kiedyś najowocniejszym,

dziś najmarniejszym czasem. Od biedy da się czytać, ale bardzo, za bardzo od biedy. Co masz zrobić po południu, zrób teraz? Kolejna przymiarka? Owszem.

13 lipca 2011

Dziś przeto w ramach rozpaczliwych i jak na razie bardzo nielicznych prób restrukturyzacji życia codziennego polazłem rano po gazety. Nigdy się to nie sprawdzało, więc teraz też nie, ale ponieważ teraz prawie nic się nie sprawdza, ta akurat niesprawdzalność mniej ostra. Zawsze tak było – złudzenie, że wyskoczę rano po gazety, zakupy czy na rozjaśniającą umysł małą przechadzkę i potem po powrocie hop do zdwojonej pracy, zawsze było złudzeniem. Ilekroć przed zabraniem się do roboty gdzieś polazłem – dzień stracony. Najprzód zrobić swoje, potem na miasto – to działało, i działało gładko.

Niektórzy, że napomknę o pisarskich rytuałach, mogli, mogą pisać tylko w te dni, w które nigdzie z domu nie trzeba się ruszać. Ci nocami, owi świtami, jedni regularne dwie godziny, drudzy ile wlezie etc., etc. Czy te utrwalone obrządki da się przestawić? Powinienem spróbować coś z łba wykrzesać wieczorami – teraz porą do jakiego takiego zniesienia. Dawniej pod koniec dnia ja, wzorzec normalności, bywałem najzwyczajniej w świecie zmęczony, teraz jedynie wieczorami czuję się dobrze, co nie znaczy, że mam siły na pracę. Choć jak tak dalej pójdzie, jak leci – trzeba będzie spróbować.

Ale nie dziś, dziś wieczór mecz, a jakikolwiek mecz wieczorny, nawet mecz Wisły Kraków z mistrzem Łotwy, nadaje sens wcześniejszej części dnia. Boże, jaki upadek i jaka rozpacz! Tak

już jestem nisko? Tak już jestem blisko? Pewnie w jakiejś (może znaczniejszej, niż się zdawało) mierze tak było, ale pora powiedzieć wprost: piszesz, żeby się ratować, piszesz swój dotyk ciemności. Ciemność rzadka, dotyk rozmaicie wyczuwalny, ale i jedno, i drugie – jest.

Tak jest, polazłem rano po gazety – do (unijnie?) ujednoliconych kiosków na Marszałkowskiej powoli przywykam – o niezwykłej porze wziąłem to co zawsze, plus – jak to w środy – „Politykę” i „Tygodnik Powszechny”.

18 lipca 2011

Któż nie lubi małych, dziwacznych, tajemniczych, z lekka fantasmagorycznych, częściowo wariackich i z pietyzmem wydanych książeczek? Jakiś czas temu – zdaje mi się, całkiem niedawno, ale obawiam się, że na skutek potwornego przyspieszenia biegu czasu mogło to być (i było) ładnych parę lat temu – wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria wydało w takiej właśnie postaci *Zdania* Heraklita z Efezu. Rzecz przełożył i posłowiem – wszechstronnie pokazującym intensywną i wieloraką obecność „łez Heraklitowych" w poezji polskiej i światowej – opatrzył Adam Czerniawski. Broszura jest, jak zawsze w tej oficynie, edytorską perłą – niby nic, a doskonałość; niby prostota i powściągliwość, a arystokratyzm i drogocenność.

Swoją drogą w zupełną tę perfekcję i skończone piękno wkradać się poczyna swoista monotonia. Podsuwa ona sztubackie, bo sztubackie, ale jednak prowokacje: Słowo/Obraz Terytoria mogłoby raz pójść na jakieś ustępstwa i wydać coś nie tylko nad wyraz niechlujnie, ale i z dotkliwymi treściowymi sknoceniami – dopieroż by był rarytas! Zawrotne ceny, wyczerpane nakłady, liczne dodruki i inne upojenia.

19 lipca 2011

Moja (czarna) heraklitowa perła w przekładzie Czerniawskiego brzmi następująco: „Na jawie widzimy tylko śmierć, we śnie tylko sen". Pięknie, przepięknie nawet powiedziane, prawdopodobnie mistrzowsko, może nawet arcymistrzowsko przetłumaczone, ale co to znaczy? Co to w sumie znaczy?

Gołym okiem widać, że dając takie i tysiąckroć intensywniejsze race, Heraklit mógł być inspiracją dla całych rzesz poetów na przestrzeni dziejów; jednakowoż inspirowanie poetów to może być rzecz dwuznaczna, gwarancją wielkości nie jest, bywa wręcz odwrotnie.

Świętej pamięci Artur Sandauer o pewnym młodym i, jak się wszystkim mylnie zdawało, błyskotliwym krytyku mawiał, „iż swą tezę o tajemniczości poezji francuskiej opiera on na jej niezrozumieniu". Ilu poetów, nierozumiejących Heraklita ni w ząb albo rozumiejących go częściowo czy na odwrót, w trakcie lektury ocalałych fragmentów najgłębszego i przez to bezbłędnego zachwytu doznawało? Poza wszystkim: literatura, poezja i pełne tajemnic pojedyncze zdania tajemniczego dwa tysiące z okładem lat temu żyjącego filozofa – czy tu rozumienie, zwłaszcza pełne rozumienie, jest w ogóle możliwe? Najpewniej nie – ja jednak wolę rozumieć. Z niezrozumienia dobre rzeczy wynikają, ale mimo wszystko rzadko. Toteż wolę rozumieć. Po swojemu, ale rozumieć. Za nim jednak „po swojemu", swoim marnym wiślańsko-luterskim

rozumem rzecz wyłożę, innego jeszcze przytoczę fachowca, tym razem nie pana od poezji, a pana od filozofii.

Kazimierz Mrówka w fundamentalnym dziele *Heraklit. Fragmenty. Nowy przekład i komentarz* wiadomą frazę daje w wersji następującej: „Śmierć jest tym, co widzimy przebudzeni; sen zaś jest tym, co widzimy śpiąc".

Komentarz profesora idzie w klasycznym – sen ze śmiercią łączącym – kierunku. „ W *Iliadzie* Sen i Śmierć pojawiają się jako bliźnięta. [...] Sen jest stanem zbliżonym do śmierci (śmierć to wieczny sen), ale nie samą śmiercią. Sen bowiem zachowuje coś z życia, a dzieje się tak wtedy, kiedy przed śniącym rozpościera się rzeczywistość przypominająca obrazy oglądane na jawie. Sen więc jest stanem pośrednim między śmiercią a życiem. [...] Śniącemu to, co śni, wydaje się prawdziwą rzeczywistością, podobnie jak więźniowie platońskiej jaskini, którzy od urodzenia nie zwrócili się ku światłu, rzeczywistość cieni uznają za jedyną prawdziwą. Dopiero przebudzenie, czyli «śmierć» snu, pokazuje jego prawdziwą naturę. Przebudzenie jest symbolem poznania. Śmierć natomiast wydaje się tu nazwą dla przepływu rzeki. Chodzi więc dokładniej o proces umierania. Z tego wynika, że przebudzony «widzący śmierć» jest tym, który poznał prawdziwą naturę świata. Człowiek pogrążony we śnie to człowiek biorący iluzję za prawdziwą rzeczywistość. Przebudzony natomiast widzi, że samo życie jest «dziełem śmierci»".

20 lipca 2011

Ma się rozumieć, umyślnie przytaczam co prostsze fragmenty komentarza, a i te z jednaką delikatnością co barbarzyństwem nieco wygładzam. Pomijam na przykład cały wywód o śnie jako „sumie" śmierci i życia, mimo bowiem takich czy innych obejść i tak nic tu ująć, nic dodać, zwłaszcza nic ująć, bo dodać można zawsze. Nic tedy dodać – nic poza tym, co zawsze na łeb spaść gotowe – nic poza koszmarem.

O koszmarze i przerażeniu mówi aforyzm. Heraklit dociągnął do sześćdziesiątki, jak na swoje czasy był stulatkiem czy wręcz mitycznym wiecznym starcem; przez dobre dwa, a może trzy dziesiątki lat wiedział. Wiedział, bo się bał, i na odwrót. Owszem, tradycja bliskości snu i śmierci jest czcigodna i nieobalalna, ale akurat to zdanie – stojące zresztą na początku pojmowania rzeczy – dwie te tajności oddala od siebie, rozcina wszelkie między nimi więzi, wskazuje, jak nieprzejrzana dzieli je czeluść. Na jawie widzisz tylko śmierć, we śnie tylko sen. Jak we śnie widzisz śmierć, jak śni ci się śmierć, zależy, w jakim jesteś wieku. Pókiś młody i odważny, boisz się takich mar nocnych, krzyczysz i płaczesz we śnie; Boże, niechże skończy się ta makabra, niechże się obudzę. Gdyś stary i lękliwy, wiesz, że nie ma większego koszmaru ponad przebudzenie. Boże, niech śni mi się umieranie, niech śnią mi się koszmary, udręki, tortury, niech śnią mi się w nieskończoność, niechaj się nie budzę; obudzony widzę koszmar,

który nie pierzcha i nie pierzchnie nigdy, obudzony widzę koszmar, który zbliża się nieubłaganie i zaraz mnie pożre – obudzony widzę śmierć. Kiedyś budziłeś się do życia, teraz budzisz się do śmierci. Wesołe to nie jest, ale że będzie wesoło, i to wesoło do samego końca – nikt nie obiecywał. Heraklit z Efezu zwłaszcza.

22 lipca 2011

Dla urozmaicenia mrocznej (jak jasny gwint) tonacji dwa cytaty o bólu – jeden z Antoniego Czechowa, drugi z Dezsö Kosztolányiego. Pierwszy autor dosyć znany, o istnieniu drugiego – chyba nie tylko ja – nie miałem zielonego pojęcia. I nie miałbym dalej, gdyby wydawnictwo W.A.B. w przyjemnej serii „Nowy Kanon" nie wydało właśnie powieści *Ptaszyna*. Rzecz – jak się okazuje – napisana w latach dwudziestych, pierwszą polską edycję miała w roku 1962; wznowienie przeto, łatwo wyliczyć, przychodzi po bez mała równym półwieczu.

Czas wystarczający nie tylko do elementarnego odsiewu; książki, które przetrwały pięćdziesiąt lat (mowa o trwaniu w polszczyźnie, do trwania powszechnego trzeba w tym przypadku jeszcze cztery dychy dorzucić), są u progu trwania kilkusetletniego, w niektórych przypadkach wiecznego. Tego rodzaju święta już się prawie nie zdarzają; młodzieńcze sezony, w których sięgało się po kompletnie nieznane tytuły kompletnie nieznanych autorów i tą drogą trafiało na przykład na Canettiego albo – jak kto miał pecha – na Austera, też minęły. Niemożliwe, żeby to było dobre. Pewien rozczarowania, wziąłem do ręki; zachęty (chyba antyzachęty) z tyłu okładki zdawały się potwierdzać niechybne fiasko: „Krótka doskonała powieść przypominająca bańkę mydlaną, w której zamknięto cały ból świata" („The New York Review of Books"). „Arcydzieło" („The

Irisch Times”), plus na okrasę ekstatyczna przedmowa Pétera Esterházyego – autora może i wybitnego, ale dla mnie – z racji fryzury, jaką nosi – mało wiarygodnego. Wiarygodny pisarz nie może się tak czesać.

23 lipca 2011

Wszystko jedno, przeczytałem *Ptaszynę* i co powiecie? Niemożliwe stało się możliwe, we wszelkich okolicznościach zewnętrznych sama prawda: i próba czasu wytrzymana, i cały ból świata – w żadnej oczywiście (nie tylko z reklamowego punktu widzenia samobójczej) bańce mydlanej, a w owszem, we wrażenie lekkości sprawiającej, ale bardzo trwałej prozie – zamknięty. Arcydzieło? Tak jest: arcydzieło. I to w najszlachetniejszym z literackich sensów – rzecz o najzwyczajniejszym w świecie życiu najzwyczajniejszych w świecie ludzi. Tak wszakże zwyczajność jest tu ujęta, że wyziera spod niej – tak jest – wszelaka upiorność, potworny strach, ból nie do zniesienia, śmierć wreszcie. Najwyższe, czechowowskie sposoby brania się do materii świata są tu stosowane. Prawie każda postać z największym trudem utrzymująca się na powierzchni planety i śmiertelnie przerażona tym, co będzie dalej, zdaje się i nas, i siebie rozpaczliwie zapewniać: ależ moje życie jest udane! Dorzeczne! Szczęśliwe! Wszyscy pogrążeni w obłupionej przez pisarza z jakichkolwiek złudzeń i sensów codziennej krzątaninie wskazują na tę krzątaninę, kryją się za tą krzątaniną, pogrążają się w tej krzątaninie i zapewniają: ależ nasze życie ma sens!

Autor przedmowy cytuje wyjątek z dziennika Kosztolányiego: „Mnie zawsze tak naprawdę interesowała tylko jedna rzecz: śmierć. Nic poza tym. Stałem się mężczyzną, gdy zobaczyłem

swojego dziadka martwego, dziadka, którego wtedy, jako dziesięciolatek, kochałem chyba najbardziej. Również poetą, artystą, myślicielem jestem od tamtej pory. Uderzająca różnica, jaka zachodzi pomiędzy człowiekiem żywym a martwym, różnica, która wyraża się w milczeniu śmierci, uświadomiła mi, że coś muszę zrobić. Zacząłem pisać wiersze".

Zaczęło się od wierszy, ale prawdziwie cioranowskie przygotowanie i cioranowskie nastawienie predestynowało autora do pisania prozy realistycznej.

24 lipca 2011

Esterházy: „Książki Kosztolányiego, bądźmy pedantyczni, mówią o śmierci, o zabawie i o Kakanii oraz o splataniu się tych trzech rzeczy, a czasem o tym, że są one tożsame, o konsternacji człowieka XX wieku, dla którego śmierć jest zabawą, zabawą jest cały świat, a taki świat to śmierć. Choć nawet co do tego nie ma pewności. [...] Czas powieści, rok 1899, to chwila wiecznego teraz, chwila faustowska: w mikroskali, w skali peryferyjnej. Dzięki Musilowi znamy centrum tego świata, dzięki Kosztolányiemu zaś jego obrzeża. Jesteśmy na krańcu Kakanii. To ten sam świat. Lecz autorowi *Ptaszyny* jako prozaikowi bliżej do Czechowa niż do Musila. Z uwagą i pokorą pochyla się nad rzeczami banalnymi, nad drobiazgami. W jego prozie dramat egzystencjalny wyłania się z błahych gestów, ze skrzywienia ust, machnięcia ręką, ze światła lampy i brzydoty. Pajęczyna, która oplata minę. [...] Proza Kosztolányiego jest cicha i ostra, dzisiaj książki bywają bardziej zgiełkliwe (i chyba bardziej rozmyte)".

Osobiście bym wolał, by pochwała (kolejnego) wielkiego Węgra obywała się bez przytyków dawanych współczesności. Zbyt łatwy, ale też, jak widać, zbyt utrwalony jest to rytuał. Pisarza tej miary przeciwstawiać dzisiejszemu zgiełkowi – a po cóż? Szlachetniej weń się wgłębić i z niego brać naukę, tym szlachetniej, że bezsporna jego wielkość bardzo trudno jest uchwytna. Ból świata zamknięty w bańce mydlanej, pajęczyna oplatająca minę –

w jednym, ale nie jestem pewien, czy dobrze obranym kierunku idą te metafory. Połączenie kruchości z siłą, owszem, nawet można powiedzieć: połączenie niezwykłej kruchości z nie lada siłą jak najbardziej tak, ale zarazem coś znacznie donioślejszego, coś znacznie istotniejszego i coś znacznie bardziej przerażającego. Przeczytajcie ostatnią scenę nagłego i na pierwszy rzut oka niepojętego (a zarazem tak oczywistego, że aż banalnego – daj Boże dzisiejszym zgiełkom jak najwięcej takich banalistów) płaczu tytułowej bohaterki. Gdy te linijki przeczytacie, a znaczyć to będzie, że przeczytaliście całość, zaręczam, że by nazwać lekturowe doznania, nie będziecie się silić na układanie oksymoronicznych obrazów – raczej żyć się wam odechce. Na krótko, bo na krótko, ale z niekruchą zgoła siłą.

29 lipca 2011

Stara zasada powiada, że w dobrym wierszu czy w dobrym opowiadaniu o rozpaczy, klęsce, bólu, słowa te paść nie powinny. W utworze o rozpaczy nie ma miejsca na słowo „rozpacz", w utworze o klęsce nie ma słowa „klęska", w utworze o bólu nie może paść słowo „ból". Zasada dobra i nieodparta; największych poznać po tym, że mają ją za nic. „Cały ból świata" bywa w *Ptaszynie* nazywany wprost: „Są ludzie, którym pozostał tylko ból, okrutny, bezkształtny ból, nienadający się do niczego, do niczego nieprzydatny, jedynie do tego, żeby się weń człowiek zakopał, żeby coraz głębiej zapadał się w smutek należący tylko do niego, w niezgłębiony szyb, ciemną kopalnię, która w końcu zawali się nad nim i już nie będzie dla niego ratunku – zostanie tam na dole".

30 lipca 2011

Zakopać się w bólu, zaszyć się w Wiśle, przepaść w głębi fotela, w pokoju kominkowym, siedzieć nieruchomo, całkowicie nieruchomo, odganiać od siebie myśl o jakimkolwiek ruchu czy geście, o samym ruchu czy geście nie wspominając nawet. Gapić się na góry, ale wcale ich nie widzieć, rozpuszczać się, wtapiać w oparcie, znikać jak – nie przymierzając – liryk lozański; ściśle rzecz ujmując, jak zwartość pewnego liryku lozańskiego. Czytać, co Czechow – nie omijając słowa ból – napisał o bólu. Czytać i przytaczać z lekka maniakalnie.

31 lipca 2011

W 25. numerze „Uważam, Rze” Andrzej Horubała rytualnie wydziwia, jakim to wrogiem wolności słowa jest Michnik, który z wylewanymi nań kubłami pomyj nie polemizuje, ale kieruje sprawy do sądu.

Otóż – przypominam – możliwość pójścia do sądu jest takim samym przywilejem demokracji jak wszelkie inne jej przywileje. Pójście do sądu nie oznacza z automatu łamania wolności, bywa też prawem wolności.

Są – przypominam, przypominam po raz setny, przypominam uparcie i literalnie – teksty, na które się odpowiada, są teksty, z którymi się polemizuje, są teksty, które się pomija litościwym, wyrozumiałym albo wzgardliwym milczeniem, i są teksty, z którymi idzie się do sądu. To jest możliwe tylko w warunkach wolności; za starej Polski „Trybuna Ludu” kogo chciała opluwała i tym samym realnie wykluczała. Do sądu nikt się nie odwoływał, nie było po co; teraz można. Kiedy można? Tego się ustalić nie da, zależy kto i jak głęboko poczuł się dotknięty. Michnik nie powinien rozmaitymi obelgami czuć się dotknięty? A niby czemu? Taką ma władzę i takim jest nadczłowiekiem, że stracił prawo odczuwania krzywdy? Oczywiście jest formacja, która A. M. za człowieka w ogóle nie uważa, ciężko jednak nie dopatrzyć się w takim stanowisku pewnej przesady.

Poza wszystkim: dlaczego on wszystkie wytoczone przez siebie procesy jeden po drugim wygrywa? Ach oczywiście! Wygrywa, ponieważ Agora wszystko, łącznie z sądownictwem, w garści trzyma! Przepraszam! Kompletnie mi ta okoliczność wyleciała z głowy!

Bolejąc nad upadkiem Michnika, który – raca polemicznego wdzięku – „może już nie może", Horubała zarazem wytyka naczelnemu „Wyborczej" poważne niedostatki lekturowe. Zarzuca mu mianowicie nieznajomość poświęconego Adolfowi Nowaczyńskiemu pamfletu *Rudy do budy* pióra Antoniego Słonimskiego. Gdyby Michnik tę rzecz znał, tak by się zawartym tam kunsztem polemicznym zachwycił – wywodzi Horubała ze swadą erudyty – że „nie popełniłby głupstwa, jakim jest pozywanie Rymkiewicza przed sąd przez Agorę za parę ostrych zdań o «Gazecie Wyborczej»". O logikę wywodu mniejsza, podstawowe pytanie brzmi: czy Horubała serio uważa, że Michnik tego klasycznego felietonu nie zna? Serio? Zupełnie serio? Osobliwe.

Przecież pamflet *Rudy do budy* od lat znają wszyscy, a już z pewnością wszyscy ludzie pióra, a też co pilniejsi czytelnicy. Od dziesięcioleci choćby sam tytuł w rozmaitych sporach stanowi dyżurny argument: „Nie narzekajmy na brutalność naszej dyskusji, bywało gorzej, przed wojną Słonimski o Nowaczyńskim pisał per Rudy do budy!" – ileż razy czytałem tego rodzaju frazy? Kilkaset czy tylko kilkadziesiąt razy?

Dlaczegóż Michnik miałby nie znać chyba najsłynniejszego felietonu swego – słusznie Horubała te okoliczności przypomina – mistrza i patrona? Horubała *Rudego*, owszem, najwyraźniej dotąd

nie znał, nie jest jednak tak, że co nieznane Horubale – nieznane reszcie świata. Przynajmniej obiektywnie tak nie jest, subiektywnie Horubała może sobie roić, co uważa. W niedawno wydanej przez Universitas antologii XX-wiecznego pamfletu Horubała klasyczny paszkwil Słonimskiego po raz pierwszy w życiu przeczytał, co mu się chwali, są to jednak pochwały za uzupełnienie braku, nie za odkrycie Ameryki. Przeświadczenie Horubały, że za jego przykładem wszyscy, z Michnikiem na czele, będą teraz z perłą Słonimskiego zapoznawać się po raz pierwszy, jest dziwaczne.

Oczywiście są ludzie, którzy zetknąwszy się z nowym dla siebie zjawiskiem, za każdym razem uważają, że zetknęli z czymś powszechnie nieznanym. Nie mają oni źle – świat zawsze tożsamy z zawartością ich mózgów niczym przykrym ich nie zaskakuje, permanentnie się uśmiechają i są na okrągło radośni, generalnie jednak zazdrościć im nie ma czego.

Oczywiście są autorzy, dla których nie ma większego spełnienia niźli zrobienie z Michnika krwawego bałwana, ale i ich powinna obowiązywać (normatywna) poetyka pamfletu, ta zaś powiada, że ograniczenie umysłowe atakowanego ma wynikać z wniosków, jakie wyciągnie czytelnik, a nie z topornie wyciosanych i kawa na ławę wywalonych – uroczo na dodatek w ich błędności dziecinnych – założeń. Nie ukrywając, że uważa Michnika za pozbawionego honoru idiotę, Horubała z równą finezją jak tragizmem wątek rozwija: co by powiedział na tak idiotyczne i niehonorowe zachowanie swego ucznia i sekretarza Antoni Słonimski?

Co by powiedział? Horubała wie? Horubała serio uważa, że Antoni Słonimski, zmartwychwstawszy, poparłby Horubałę?

Serio? Sytuacja się zagęszcza. Pora na ewakuację.

5 sierpnia 2011

Ból, o którym pisze Kosztolányi, jest bólem naszym powszednim, też bólem bohaterów Czechowa i na odwrót, w końcu wszyscy – nawet ci, co się opierają, oni, prawdę powiedziawszy, zwłaszcza – jesteśmy czechowowskimi nieszczęśnikami.

„Kiedy zrobiło się już widno i z ulicy już dolatywał turkot pojazdów, Wasiliew leżał nieruchomo na kanapie zapatrzony w jeden punkt. Nie myślał już ani o kobietach, ani o mężczyznach, ani o apostolstwie. Cała jego uwaga ześrodkowała się na męce duchowej, którą przeżywał. Był to ból tępy, bezprzedmiotowy, nieokreślony, podobny do tęsknoty, do rozpaczy, do lęku graniczącego z przerażeniem. Można było wskazać, gdzie tkwi: w piersi, pod sercem, ale nie można go było porównać z żadnym innym cierpieniem. Wasiliew nieraz zapadał na silny ból zębów, na newralgię, pleuryt, ale to był drobiazg w porównaniu z bólem duszy. Przy tym bólu życie wydawało się odrażające. Dysertacja, wyborna praca już przez niego napisana, ludzie bliscy i drodzy, ratowanie ginących kobiet – wszystko, co jeszcze wczoraj kochał bądź traktował obojętnie, dzisiaj, gdy o tym myślał, drażniło go podobnie jak turkot pojazdów, bieganina numerowych po korytarzu, światło dzienne... Teraz gdyby stał się naocznym świadkiem czyjejś bohaterskiej ofiarności lub ohydnego bezprawia, jedno i drugie wywarłoby na nim wrażenie jednakowo odrażające. Spośród wszystkich myśli, leniwie błąkających się po

głowie, tylko dwie go nie irytowały: jedna – że w każdej chwili może popełnić samobójstwo, druga – że ból nie będzie trwał dłużej niż trzy dni. O tym Wasiliew wiedział z doświadczenia”.

6 sierpnia 2011

Jak się okazuje, Cioranowska pociecha: myśl o samobójstwie daje ulgę[3] – była Czechowowi (grubo przed Cioranem) znana, owszem, w wersji ironicznej, ale to nie znaczy mniej dramatycznej. W jego świecie ironiczny dystans panuje wszechobecnie, świat ten tym jest przeraźliwszy. Nawet ból zaledwie trzydniowy – też jest przeraźliwy, Wasiliew na razie wie „z doświadczenia", że po trzech dniach przejdzie, niebawem jego doświadczenie wzrośnie, trzydniowe koszmary coraz częściej będą się powtarzać, coraz mniej będzie jaśniejszych odstępów między nimi, aż w końcu czarna kra się zrośnie i obróci w jedną czarną taflę.
W opowiadaniu, rzecz jasna, wprost to nie jest powiedziane, choć jest to powiedziane wystarczająco dobitnie. My zresztą nie potrzebujemy wprost, my „wszyscy Wasiliewowie świata" doskonale wiemy: ta nie do przebicia tafla właśnie zamarza nad naszymi głowami.

Antoni Pawłowicz umarł, mając zaledwie czterdzieści cztery lata. Owszem, stare fotografie, ówczesne binokle, stroje i fryzury bywają mylące, niepodobna nie pomyśleć: w tamtej epoce nie było młodości, było dzieciństwo i zaraz potem starość. (Dziś – jak się zdaje – jest tylko młodość i zaraz potem śmierć).

Wracając do liczby czterdzieści cztery – jakim cudem w takim wieku można wiedzieć wszystko? Zadaję sobie to pytanie najmniej od ćwierćwiecza. Był geniuszem – to prawda, ale czy geniusz

wszystko tłumaczy? Zwłaszcza najtrudniejszą z niedocieczonych wiedzę o upiornej banalności życia?

Nie dla wszystkich był zresztą aż tak genialnym geniuszem. Iwan Bunin wspomina swoje u Mistrza odwiedziny, ten z kolei opowiada, jak wyglądały jego odwiedziny u Lwa Tołstoja. Czechow zastał autora *Wojny i pokoju* w nastroju, w jakim ten, zdaje się, bywał na okrągło, w nastroju mianowicie marudnym. Rozmowa zeszła na Szekspira, na którym gospodarz Jasnej Polany nie zostawił suchej nitki. Tak – powiedział – Szekspir bardzo słaby pisarz, bardzo źle pisał, ale ty – omiótł Czechowa ponurym spojrzeniem – ty piszesz jeszcze gorzej.

Szekspir, Tołstoj, Czechow, Bunin – wmyślcie się w intensywność tej (nie pierwszy raz przeze mnie przytaczanej) anegdoty.

Tołstoj do wszelkich ekscentryzmów miał, rzecz jasna, prawo, był w pełni ukonstytuowanym geniuszem dziwakiem. Nie tylko Szekspirem, w ogóle literaturą, też swoją, gardził („Miałem pisanie za pustotę, mimo to przez następne piętnaście lat pisałem" – powiada w swej również pod licznymi względami osobliwej *Spowiedzi*).

Tołstoj i Czechow. Geniusz pełen pychy i dziwactw, i geniusz uosabiający normalność i skromność. (Demonami podszytą, ale w tym fachu nawet najnormalniejszy skromniś nie obejdzie się bez demonów). Nie chciejcie sami ani nikomu nie każcie wybierać między nimi. Sięgnijcie po książkę, po którą ja z okładem trzydzieści lat temu sięgnąłem, sięgnijcie po *Śmierć Iwana Ilicza* Tołstoja, *Step* Czechowa i *Suchodoły* Bunina – w jednym tomie przez wydawnictwo Czytelnik w serii Nike wydane, wszystko

w tłumaczeniu Jarosława Iwaszkiewicza. Zdobądźcie jakimś cudem ten trudno osiągalny tom i nie odkładajcie go za daleko. Od jego bliskości kra nad głowami nie stopnieje, ale trochę światła przepuszczać zacznie. Nie jest to wiele, ale w zaistniałej sytuacji – jest to wszystko.

---

[3] W swoistym zbiorze cytatów i powiedzonek, w swym mianowicie *Dzienniku z pawlacza* (Puls 1997) Krzysztof Mętrak zdanie, iż myśl o samobójstwie pomaga żyć, przypisuje Cendrarsowi. Nie musi to znaczyć pomyłki, może znaczyć, że biegłe w sztuce słowa i na wiadomym temacie silnie skupione umysły do podobnych rozwiązań dochodziły.

8 sierpnia 2011

Mechanizm jest prosty, zjawisko znane, przebieg wydarzeń rytualny: ktoś popełnia okropną zbrodnię, zabija Bogu ducha winnych ludzi, a wszystkich ich bliskich (co w pewien sposób jeszcze potworniejsze) skazuje na życie w upiornej udręce. Jak go ukarać? Najsłuszniej byłoby go oczywiście zabić. Najsprawiedliwszym osobom taka myśl w pierwszym odruchu przebiega przez głowę i jest to myśl, i jest to odruch w pełni zrozumiały.

„Każdy normalny człowiek choć raz w życiu myślał o samobójstwie". Tak powiedział Camus. Kto powiedział: „Każdy normalny człowiek choć raz w życiu chciał kogoś zabić" – nie wiem, ale musiał to być ktoś znaczny, a jak nie był znaczny, to przez to, że tak powiedział, stał się znaczny. Nie ma co ukrywać: po świecie chodzą ludzie, którzy nie powinni po nim chodzić. Bez cienia wątpliwości istnieją zbrodniarze, którzy powinni zostać zabici i zakopani; tak bez wątpienia byłoby lepiej i dla nas, i (zwłaszcza) dla nich. Pewność takich kazusów nie jest jednak żadnym argumentem, by w kodeksach i procedurach prawnych umieszczać karę śmierci.

10 sierpnia 2011

Anders Breivik – globalna, w ciągu dwugodzinnej masakry zdobyta sława, nie trzeba objaśniać, o kogo chodzi. Bez wątpienia człowiek ten (daruję sobie automatyczne wątpliwości, czy na pewno człowiek, czy raczej pozorem człowieczeństwa okryty potwór) nie powinien żyć. Najlepiej by było – jak powiada prastary związek frazeologiczny – żeby się w ogóle nie narodził. A skoro się już narodził, bezpieczniej by było i dla nas, i dla niego, gdyby żył maksymalnie krótko. Dobrze, a nawet bardzo dobrze by było, gdyby nie dożył do 22 lipca bieżącego roku, ale ponieważ dożył i tego dnia uczynił to, co uczynił, teraz najsprawiedliwiej byłoby go zabić. Przeświadczenie takie jest uzasadnione, zrozumiałe, nie ma co się go wstydzić. (Może trochę trzeba się wstydzić, ale zamęczać się skrywaniem tego rodzaju wstydu nie ma co).

Z przeświadczenia, że Breivik bez wątpienia zasługuje na karę śmierci, nie może jednak wynikać i nie wynika żaden argument za karą śmierci. Z jego niemal ludobójczej zbrodni nie może wynikać wniosek, że kara śmierci ma być w Norwegii czy gdziekolwiek uchwalana czy przywracana. Asumptu do żadnych debat nad karą śmierci mordy dokonane przez Breivika też nie powinny dawać, raczej jałowe by to były spory.

Są ludzie zasługujący na karę śmierci i zarazem kary śmierci być nie może – z tym przykrym paradoksem trzeba się pogodzić. Dlaczego? A choćby dlatego, że gdy odwrócić sens i nadać mu

wymiar pozornie logiczny: ponieważ są ludzie zasługujący na karę śmierci, kara śmierci powinna istnieć, taka otóż logika otwiera wrota piekieł. Po pierwsze jest wówczas trochę tak, że popełniwszy barbarzyńską zbrodnię, zbrodniarz, za sprawą którego wprowadza się karę śmierci, zarazem barbaryzuje cały system prawny, zabijanie wszak, nawet „uzasadnione i zrozumiałe" zabijanie, zawsze jest barbarzyństwem. A jeśli system prawny jest zbarbaryzowany, to nieuchronnie barbaryzuje on inne reguły, z czasem barbaryzuje całe państwo, całą rzeczywistość. (Vide: rzeczywistość jedynego europejskiego kraju, w którym kara śmierci jest wykonywana). Barbaryzacji tego rodzaju ulega nie tylko przestrzeń, ale i czas: Gomułka, wymuszając KS w sławetnej aferze mięsnej, uczynił z lat sześćdziesiątych wyjątkowo barbarzyński okres historyczny.

Po drugie co innego uzasadniony poryw szarego człowieka: „Jedyne dla takiego miejsce to szubienica!", co innego zaś systemowe erygowanie kary śmierci i fabryczna produkcja najnowszej generacji szubienic z fikuśnymi zapadniami. System prawny trzeba oddzielić od emocjonalnie uprawnionych przekonań, one mają prawo istnieć, na prawo nie mogą mieć wpływu. Mogę być absolutnie pewien, że Breivik zasługuje na śmierć, ale nie mogę tej pewności przekuwać w żaden czyn i na przykład optować czy głosować za karą śmierci.

Po trzecie i ostatnie śmierć to jest zbyt poważna sprawa, by ją powierzać państwu. Świat jest wystarczająco zły, by zło to mnożyć urzędowym zabijaniem nawet na wskroś złych ludzi.

12 sierpnia 2011

Tak jest: gdy na wstępie uświadomimy sobie słuszność i zrozumiałość naszych morderczych odruchów i gdy zarazem pojmiemy, że nasze odruchy nie mogą się w żaden sposób ucieleśniać, nie mogą się instytucjonalizować ani nawet wpływać na instytucjonalizację kary śmierci, gdy tak heroiczną pracę myślową wykonamy, klasyczne argumenty przeciw karze śmierci okażą się łatwiejsze do przyjęcia, mniej podniosłe, bardziej za to przekonujące. Wiązkę takich racji – cytując Jacka Filka i Halinę Bortnowską – daje w „Tygodniku Powszechnym" (nr 32) Marian Stala.

Filek: „Zabijanie za karę nie ma podstaw etycznych i jest sprzeczne z zasadą świętości każdego życia". Bortnowska: „Kara śmierci jest nieludzka i poniżająca, a jej stosowanie nie jest niczym innym jak zabójstwem w akcie zemsty i godzi w istotę człowieczeństwa".

13 sierpnia 2011

Nieodzownie w sporach o karze śmierci pada argument rzekomo odstraszającej funkcji tej kary. Rzekomo odstraszającej, bo nie jest to argument, a gusło. Odstraszająca funkcja KS, owszem, miałaby sens w jednym jedynym przypadku, miałaby mianowicie sens, gdyby za każdym razem zdawała egzamin niezawodnie i totalnie.

Jeśli funkcja odstraszająca działałaby w nienaruszalnym wymiarze stuprocentowym, jeśli skutecznie odstraszałaby wszystkich, absolutnie wszystkich zbrodniarzy i morderców, ergo jeśli w reakcji na trwałą obecność KS w systemie prawnym nikt nigdy nikogo by nie zabił czy innej zasługującej na najwyższy wymiar zbrodni nie popełnił, ergo nigdy kary śmierci nie trzeba by wykonywać – proszę bardzo. Obawiam się jednak, że jest to wariant nieco utopijny.

Warianty realne, to znaczy rozmaite badania, że KS odstrasza albo nie odstrasza, że tu po zlikwidowaniu o tyle wzrosło, a tam po przywróceniu o tyle spadło, licytowanie się takimi statystykami to jest jakiś grobowy kabaret. Niechaj będzie, bo odstrasza, a jak odstrasza mało albo wcale, to i tak się przyda? Dajcie pokój.

O kwestii błędów sądowych, o zabiciu kogoś przez pomyłkę, ale za to w majestacie prawa, chyba szkoda gadać. Jeśli ktoś uważa, że są to przypadki zbyt rzadkie, by karę śmierci likwidować, nie

bardzo jest nań sposób – takiemu nawet dożywocie przytomności nie przywróci.

Na początku swego felietonu Stala powiada: „Rzecz w tym, że różnie można sprawiedliwość pojmować, różne też bywają filozofie jej wymierzania". Ja bym powiedział: różnie można sprawiedliwość pojmować, ale rzecz w tym, że różni bywają filozofowie jej wymierzania.

Również z ich powodu, z powodu niektórych nader surowych filozofów wymierzania sprawiedliwości kara śmierci powinna być nie tylko zwykłym niebytem, powinna być tak trwale wyrugowana z systemu, by jej oddanym filozofom nawet się nie śniło jakieś przy niej majstrowanie, by za żadne skarby nie byli w stanie jej wskrzesić. Nawet jak obejmą władzę.

23 sierpnia 2011

Kiedy się ma dziewiętnaście lat, nie ceni się niczego, nawet mitycznej baśniowości studenckich praktyk robotniczych. Wrzesień roku Pańskiego po Chrystusie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego i pierwszego stał pod znakiem nie z tej ziemi zdarzeń, na które – choć nas dotykały bezpośrednio – byliśmy ślepi, głusi i nieczuli.

Jak gdyby nigdy nic mieszkaliśmy na kwaterze w mieście Chrzanowie, jak gdyby nigdy nic bladym świtem jeździliśmy ciężarówkami na budowę, jak gdyby nigdy nic kopaliśmy rowy, jak gdyby nigdy nic układaliśmy płyty chodnikowe, jak gdyby nigdy nic taszczyliśmy wory z cementem. Zachwytu specjalnego nie było, ale ciekawość, może nawet ciekawość na bazie pewnej fascynacji, owszem, ożywczo w naszych młodzieńczych i absolutnie w związku z tym wszechwiedzących łbach musowała.

24 sierpnia 2011

Co znamienne, nasza omnipotencja nie nakłaniała do żadnego oporu. Byliśmy omnipotentni we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem polityki? Jak przystało gromadce in spe geniuszy poetyckich, odkrywców i kreatorów nowych i dotąd ludzkości nieznanych dziedzin ducha, w zaraniu olewaliśmy wszelką doraźność? Inne jeszcze okoliczności zachodziły? Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ciężarówki, którymi nas wożono, to były ciężarówki polityczne, rowy, które kopaliśmy, to były rowy reżymowe, o naznaczonych materializmem dialektycznym łopatach czy worach z marksistowskim cementem nie wspominając nawet?

Jak się ma dziewiętnaście lat, nie widzi się niczego, a już rzeczywistości systemowej wcale. W ogóle nie bierze się pod uwagę jej istnienia? A jak się ją jakimiś dziesięciorzędowymi władzami poznawczymi rejestruje – rejestruje się jedynie jej wymiar kabaretowy i absurdalny? Przecież ta „katorżnicza" nasza robota na jakiejś chrzanowskiej budowie to był opatrzony też w sumie komicznym szyldem „studenckich praktyk robotniczych" jeden lity kabaret absurdu. Ale przerabialiśmy tę lekcję – w sumie nie wiadomo czego: kunsztu machania łopatą czy innej fizycznej sprawności – z powagą i posłusznie.

W każdym razie żaden strajk (nawet włoski) czy inny sprzeciw polityczny nie przyszedł nam do głowy, wśród robotników nie

prowadziliśmy żadnej pracy agitacyjnej, przede wszystkim zaś nie broniliśmy samych siebie. A przecież byliśmy – drobnymi, bo drobnymi – ale ofiarami systemu, przecież te groteskowe „praktyki" to było pokłosie marca '68, to była oficjalnie i ustawowo przyjęta represja: niechże rozwydrzona, a nieraz bananowa młodzież pozna smak robociarskiego trudu.

25 sierpnia 2011

Nie buntowaliśmy się, ale generalne cele wychowawcze wypadały miernie; zatrudnieni na budowie trwaliśmy głównie przy własnych zatrudnieniach i, ma się rozumieć, cały czas – kopiąc, układając, taszcząc – dyskutowaliśmy o literaturze. Po pracy, po obiedzie w restauracji Sielanka to samo, przed pracą i podczas drogi do pracy trochę mniej, ale też. Na politykę nie było czasu.

Poza wszystkim trwało słynne zwyczajne życie, zwyczajne, czyli niepozbawione pokus – na kwaterze dzięki uprzejmości gospodarzy mieliśmy dostęp do telewizora. Może nie na okrągło, ale w wypadkach wyższej konieczności zawsze.

Powiedzieć, że 15 września 1971 zachodziła taka konieczność, to nic nie powiedzieć, tego dnia Górnik Zabrze grał z Olympique Marsylia i było jasne, że gdy godzina wybije, przed biało-czarnym ekranem zasiądziemy wszyscy. Nawet Marian Stala. Przyszli klasycy często interesują się futbolem, w licznych przypadkach jest to upodobanie terminalne.

26 sierpnia 2011

Nie był to – dla porządku dziejowego przypomnę – jakiś pół- czy nawet ćwierćfinał, była to zaledwie jedna szesnasta eliminacji, czyli wczesna faza turnieju, wczesna faza PEMK (Pucharu Europy Mistrzów Krajowych). Czyli jednak był to – w najwątlejszym przypadku – arcyważny mecz o wszystko, w tamtych czasach o Lidze Mistrzów nikomu jeszcze się nie śniło, w tamtych czasach słowo do rzeczy przystawało, w tamtych czasach europejskie puchary szły systemem w sensie ścisłym pucharowym – przegrywający odpadał bezpowrotnie.

Reguły te były istotne, choć wtedy tak dla nas oczywiste, że praktycznie bez znaczenia. Znaczenie, wielkie, fundamentalne i podstawowe znaczenie miał fakt, że wówczas, 15 września roku 1971, Górnik Zabrze występował w roli Wielkiego, prawdę powiedziawszy, Największego w historii polskiej piłki klubowej faworyta. Była jesień 1971, a wiosną tego samego roku zabrzanie grali w finale PZP (Pucharu Zdobywców Pucharów) z „odwiecznym, a jak nie odwiecznym, to ubiegłorocznym – nie tylko wtajemniczeni wiedzą, o co idzie – wrogiem", Manchesterem City.

Finał ten – jak wszyscy, nawet całkowicie niewtajemniczeni, nawet zupełnie piłką nożną się nieinteresujący doskonale pamiętają – Górnik przegrał, ale do dziś jest to, jeśli można tak powiedzieć, najwyżej stojąca przegrana polskiej drużyny; do dziś

żaden polski klub w żadnym ważnym europejskim finale nie zagrał, w mniej ważnym zresztą też nie.

27 sierpnia 2011

Tak czy tak, gdy nadszedł 15 września, cała nasza brygada o wiadomej godzinie na kwaterze się zgromadziła i przed telewizorem zasiadła. Byliśmy wszyscy: i Jurek Knap, i Tadziu Wróblewski, i Zenek Michalski, i Marian Stala (wprawdzie z książką w garści, ale co było począć – w trakcie dwu tygodni praktyk mieliśmy dość okazji, by się przekonać, jak harmonijnie postać ta łączy erudycję z nadludzką siłą fizyczną), i był też – chciałem z rozpędu napisać – Bronisław Wildstein, ale nie, on wówczas nie tylko oglądania meczu odmówił, ale z najwyższą wzgardą o piłce i jej sympatykach się wyraził.

Gdy w tych dniach trafiłem w prasie na artykuł B. W. zaczynający się od deklaracji, że „nie interesuje się futbolem", przypomniała mi się tamta „chrzanowska" scena z całą jej melancholijną plastycznością. Równo czterdzieści lat wierności sobie – owszem, imponujące, ale w sumie co z tego? Co z tego w sensie wszelakim, też symetrycznie odwrotnym. Z chorobliwym zapałem od przeszło pięćdziesięciu lat kibicuję piłce i w sumie mam z tego tyle samo co Wildstein z niekibicowania – nic mianowicie.

31 sierpnia 2011

W związku z tragiczną śmiercią Andrzeja Leppera nadal, choć trzeba przyznać sporadycznie, pojawiają się jakieś makabryczne pogłoski, otchłanne tajemnice czy zapierające dech sensacje; raczej grubo (sznurem do snopowiązałek?) szyte wymysły, na siłę klecone sekrety, funta kłaków warte spiski.

Wspomina się o dziwnych i potajemnie dokonanych nagraniach. Przewodniczący miał na nich – z racji wiedzy, jaką o pewnych sprawach i osobach posiadał – wyrażać przekonujące obawy o swoje życie. Niektórym podejrzane zdają się otwarte okna – w pomieszczeniu, w którym desperat czyn swój popełnił, nie tylko była zainstalowana, ale i działała klimatyzacja; któż by w obliczu takiej nowoczesności po staremu izbę wietrzył? Inni jako dogodną drogę dla skrytobójców wskazują okalające budynek rusztowania, jeszcze innych dziwi brak listu pożegnalnego, najwytrwalsi wiążą nadzieję z wciąż nieukończoną analizą bilingów osobistych komórek nieboszczyka; jest też mowa o jakiejś tajemniczej i ważnej postaci, z którą zmarły w ostatni wieczór swego życia miał się spotkać, choć czy się spotkał, nie wiadomo. Padają bezkompromisowe pytania o przyczyny dwudniowego opóźnienia sekcji, podczas którego to opóźnienia odpowiednie substancje trujące mogły się w organizmie zmarłego całkowicie rozłożyć, wysuwany jest wreszcie argument fideistyczny, czyli w zasadzie

nieodparty: Andrzej Lepper nie mógł się powiesić, albowiem był wierzącym katolikiem.

Cały ten rejwach jest jednak marginalny i relatywnie cichy. Racje odwrotne: Lepper otwierał okna, ponieważ (mam to samo) nie wierzył w wynalazek klimatyzacji, z rusztowań do jego siedziby niepodobna było się dostać, rzekomo wszystko tłumaczące nagrania nie są liczne, a prawdę mówiąc, jest tylko jedno, pochodzi sprzed wieków i nie tylko dlatego jego jakość i jego wiarygodność są nikłe; brak listu pożegnalnego wiele nie tłumaczy: jedni rozstają się ze światem na piśmie, inni bez słowa; spowodowane weekendem opóźnienie sekcji niczym poza weekendem nie było spowodowane; na ostatek – z prawdziwie ciężkim sercem przychodzi to wyznać: samobójstwa nie tylko katolikom, ale i ewangelikom się trafiają – otóż cała ta demitologizująca męczeńską śmierć Wodza Samoobrony argumentacja jest dość spokojnie przez rzeczników męczeństwa i w ogóle przez jego lud przyjmowana. Nawet jeśli nie jest w całości akceptowana, to furiacko-wariackich sprzeciwów nie budzi.

W każdym razie jak dotąd nie powstał żaden społeczny ruch w tej sprawie i nikt – żaden przywódca tego ruchu – z ogniem w oczach nie głosi, że świętej pamięci Przewodniczący został na odpowiedniej wysokości obezwładniony za pomocą sztucznej mgły wytworzonej z helu. Nie tylko nikt takich rzeczy nie głosi, nikt też – co może jeszcze ważniejsze – tych, co poglądu tego nie podzielają, za zdrajców ojczyzny nie uważa.

Niby drobiazg, ale przyjemny, może nawet (nie chciałbym szarżować) o jakimś postępie świadczący?

1 września 2011

Lepiej dobrze malować na czarno niż marnie na różowo. Zdarza się ostatnio, że jestem pytany o ponurą tonację, o wzmożenie pesymistycznych ujęć, o lubowanie się w przytaczaniu mrocznych cytatów. Odpowiedzi – i to jest najgorsze – mogą być różne.
W pewnym sensie jest to klęska nie tylko moja, ale w ogóle globalna. Ludzkość na praktycznie wszystkie pytania wypracowała i sformułowała nie tyle odpowiedzi, ile całe zestawy odpowiedzi – jedyny problem: jaki wybrać, jaki w danej sytuacji najadekwatniejszy. Oczywiście nadal istnieje kilka pytań, na które wciąż nie ma wiarygodnego responsu, obawiam się jednak, Panie Boże, że jest to tylko kwestia czasu; pokolenie młodych wilczków, co zagadkę bytu rozgryzie, już przybywa z kosmosu, już wyłazi z brzuchów swych nieszczęsnych matek, niektórzy może już chodzą do zerówek; strach, owszem, człowieka oblatuje, strach tym większy, że (źle powiedziałem) oni nie tyle zagadkę rozgryzą, oni podejmą decyzję, że ją rozgryźli, a tego rodzaju przypadki są zawsze tysiąc razy groźniejsze. Na razie jednak bez histerii, na razie jaki taki spokój, na razie ChIWD.

2 września 2011

Pytany o ponuractwo najchętniej bym odpowiedział, że poprawia mi ono humor. Jak na naradach redakcyjnych w „Tygodniku Powszechnym" mawiał świętej pamięci Mieczysław Pszon: „Nic tak nie ożywia numeru jak dobry nekrolog".

Nic tak nie raduje jak w miarę sprawnie ułożona melancholijno-rozpaczliwa stroniczka. Mógłbym tak z czystym sumieniem powiedzieć i święta prawda by to była, ale z powodów, by tak rzec, nastrojowych rezygnuję; prócz nieodpartej prawdy wyznanie takie emanuje terapeutyczną czy wręcz autoterapeutyczną aurą – nie są to moje ulubione klimaty. Pisanie, owszem, pomaga, ale pod warunkiem, że jako tako władasz narzędziami; gdy klawiatura staje się barykadą nie do sforsowania, pisanie nie pomaga, a bokiem wychodzi. Żadnych linijek, które ocalają, a tylko katorżnicza walka o sens. A jak katorżnicza walka o sens – ma się rozumieć sens rozpaczy, nie jakiś infantylny sens życia – to rzecz jasna tylko Cioran. Na wszelkie pytania o ciemne tonacje i inne ponuractwa gość miał jednak najlepsze, najskuteczniejsze i w pewnym sensie najśmieszniejsze zestawy.

„Kilka miesięcy temu spotkałem się z pewną panią; rozmawialiśmy o wspólnym znajomym, którego nie widziałem od dawna. Ona mówiła, że lepiej go nie widywać, gdyż jest bardzo nieszczęśliwy. Myśli tylko o śmierci. Odparłem: A niby o czym

miałby myśleć? Koniec końców nie ma innego tematu. Oczywiście o wiele lepiej jest o tym nie myśleć, ale myślenie o śmierci nie ma w sobie nic nienormalnego. Inne problemy nie istnieją”.

4 września 2011

Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilka liczb: 7, 9, 32, 128 itd. – tak się między innymi za starej Polski parodiowało rozmaite oficjalne wystąpienia. Ponieważ odnoszę nieodparte wrażenie, że w moich osobistych, ale – skoro na bieżąco drukowanych – także oficjalnych wystąpieniach dochodzę do granic (a może dawno granice te przekroczyłem) swoistej parodii – mam wolę, potrzebę i chyba z niebios zesłaną sposobność powiedzenia, a raczej przytoczenia „kilku liczb".

Aby zatem nie być gołosłownym w sprawie ponuractwa, bólu istnienia, ciężaru życia czy nieuchronności śmierci, aby przeto nie być gołosłownym w sprawie rozmaitych klęsk, za które każdy rasowy literat powinien dziękować Bogu, a ja nie tylko nie dziękuję, ale wręcz od paru miesięcy utyskuję, uskarżam się i w pożałowania godny sposób skamlę, aby wreszcie nie być gołosłownym w samochwalczej (jakkolwiek by brzmiała, zawsze będzie samochwalcza) konfesji, że docierają do mnie w tej sprawie sygnały czytelniczek – przytoczę głos jednej z nich.

Ma się rozumieć nie jest to żaden głos z internetu, samo imię autorki – Irena – wystarczająco jest, rzekłbym, antymailowe. Pozostałe względy formalne: pokryty stylowym charakterem pisma przedmiot, który kiedyś się nazywał „kartką pocztową", nie rozstrzygają, ale są ważne. Podobnie adres: poza imieniem i nazwiskiem konkretów mało, wystarczająco jednak, by wzmóc

sentymentalne przekonanie, iż duch świętej pamięci Jerzego Czyża, mojego dziadka, wieloletniego naczelnika wiślańskiej poczty, dalej nad tą instytucją sprawuje pieczę.

„Zasmucona bólem – pisze pani Irena – bólem rzeczywistym, który czasami wyłania się z Pańskich tekstów, chciałam Panu życzyć poprawy samopoczucia, jeśli to możliwe; a jeśli niemożliwe, to choć siły psychicznej i fizycznej, by móc unieść ciężar, który każdego z nas gdzieś tam w przyszłości czeka".

Za dobre słowo stokrotne dzięki, za intuicję – podziw. Ze złym samopoczuciem trudniej, nie opuszcza mnie ono od sześćdziesięciu lat, to jest od chwili, gdy pierwszy raz przyjrzałem się światu, i nadzieja, że ulegnie to zmianie, zwłaszcza zmianie na lepsze, jest dosyć wątła; natomiast co do sił na końcówkę, różnimy się, kochana Pani Ireno, radykalnie, ja uważam, że powinno ich być jak najmniej, wtedy pójdzie lekko.

5 września 2011

Siły siłami, a Cioran z właściwą sobie uroczą werwą kontynuuje pogodny monolog: „Chyba właśnie dlatego, że myśl o śmierci wyzwalała mnie, a równocześnie paraliżowała, nie zdziałałem w życiu nic. Nie można uprawiać jakiegokolwiek bądź zawodu, gdy się myśli o śmierci. Można tylko żyć tak, jak ja żyłem – na marginesie wszystkiego, jak pasożyt. Zawsze towarzyszyło mi odczucie bezużyteczności, braku celu. Ktoś powie, że to chorobliwe, ale chorobliwe jest to tylko w sensie rezultatów, nie zaś z punktu widzenia filozoficznego. Filozoficznie biorąc, jest całkiem normalne, że wszystko wydaje się nam bezużyteczne. Dlaczego miałoby się coś robić, dlaczego? Sądzę, że wszelkie działanie jest z gruntu bezużyteczne. I że człowiek chybił swego przeznaczenia, którym powinna była być bezczynność. Myślę, że jedynym udanym momentem historii jest starożytność w Indiach, gdzie człowiek wiódł życie kontemplacyjne, poprzestawał na przyglądaniu się rzeczom, rezygnując z zajmowania się nimi. Tylko wówczas życie kontemplacyjne było rzeczywistością”.

6 września 2011

Nie jestem, rzecz jasna, aż tak szalony, by z klasykiem polemizować albo doskonale wiadomymi frazesami myśl jego uzupełniać, ale po pierwsze stare, a nawet odwieczne chwyty tu w grę wchodzą. Autor *O niedogodności narodzin* z nazbyt rzucającą się w oczy kokieterią utrzymuje, że „nie zdziałał w życiu nic" – owszem, pozostawił po sobie parę tysięcy akapitów, może nawet stronic, tyczących spraw kluczowych. (Jednej kluczowej sprawy?). Jeśli nawet uznał w jakimś momencie dzieła swoje za nic niewartą pisaninę, również nie okazał się ekscentrycznym awangardzistą – nie tylko historia medycyny zna takie dolegliwości.

Po drugie owszem: „ W myśleniu o śmierci nie ma nic nienormalnego; owszem: Inne problemy nie istnieją".

Tyle że życie mija na przeświadczeniu, że istnieją wyłącznie inne problemy. Istnieją tylko i wyłącznie inne problemy. Moje życie, wasze życie, życie niezliczonych i wielomilionowych rzesz ludzkich, prawdopodobnie nawet Pani życie, Pani Ireno, mija na przekonaniu, że – z wyjątkiem śmierci – wszystko jest ważne. Ważne jest śniadanie, ważny jest obiad, ważna jest dzisiejsza gazeta, ważny jest SMS sprzed godziny, ważny jest jutrzejszy mecz i przyszłotygodniowa randka, arcyważne są wybory parlamentarne; są one daleko ważniejsze od śmierci, w końcu wybory to wybory, a śmierć? Tak czy tak – oświadczamy

z uroczym uśmiechem – wszystkich nas to czeka. Frekwencja w tym wypadku stuprocentowa...

7 września 2011

Poza Nią nie ma innego problemu. To znaczy jest jeden i tylko jeden: Jej zagłuszanie. Historia ludzkości to jest historia zagłuszania (też zasłaniania lub oswajania) końca. Jest ona specjalnie ciekawa w wykonaniu tych, którzy nie mają pojęcia, że zagłuszają, zasłaniają i oswajają. (W tym zresztą względzie fundamentalna myśl o śmierci zawsze jest nietrafna, dotyka tych, co za nieśmiertelnych się mają, nie dotyka ich przeto wcale, nie przemyka nawet w ich pobliżu).

Warto też dodać, że ani ja, ani nawet Cioran żadnego odnowienia i w jakiejkolwiek formie istniejącego czy nieistniejącego *memento mori* nie proponujemy! Niech Pan Bóg broni! Żadnej powagi! Najmniejszej powagi! Wręcz przeciwnie! Wyłącznie niepowaga! Tylko niepowaga zagłuszania śmierci jest ciekawa.

15 września 2011

Oczywiście czarne pisanie jest – że powiem coś od siebie – kwestią wewnętrznych predyspozycji. Zanim zacznie się pisać, predyspozycje te są na ogół mało widoczne, a jak są widoczne, a jak powoli stają się widoczne, to przeważnie – nie wiadomo dlaczego, chyba dla jaj – sprawiają odwrotne wrażenie. Somatyzują się z zatrważającą asymetrią. W smutnym ciele – duch wesoły, pod posępnym obliczem – mózg rozbrykany.

Znacie te do szczętu zgrane paradoksy: mało jest tak smutnych ludzi jak zawodowi komicy i mało kto tak w głębi duszy pęka ze śmiechu jak na wylot znający nędzę świata filozofowie o transcendentnie zatroskanych obliczach. (Kwestię wisielczości ich śmiechu zostawiam na razie na boku, tym więcej, że nie taki on znów wisielczy).

Z literaturą jest tak samo (z literaturą w ogóle jest tak samo): mało w niej – że sięgnę po przykłady autorów mi bliskich – pisarzy sprawiających tak dziwacznie ponure wrażenie jak klasyk komizmu, Sławomir Mrożek. Autor *Tanga* chyba nie tylko w wyborach „najbardziej na oko posępnych ludzi pióra", ale w ogóle w castingu na ponuraków jako takich byłby w ścisłej czołówce. A znowuż – dajmy na to – rzadko, a praktycznie nigdy do śmiechu niepiszący Czesław Miłosz nader często sprawiał wrażenie beztroskiego szczęśliwca, rozanielonego sybaryty, zupełnego lekkoducha; kto raz słyszał jego pełen zachwytu dla

świata tubalny rechot, słyszy go do dziś. W historii sztuki czy literatury takich par czy takich postaci całe roje, nie o nich i nie o ich tragicznych czy komediowych predyspozycjach chcę mówić. Chcę w tym kontekście wspomnieć pewnego mego krakowskiego przyjaciela z czasów młodości. Oczywiście jak to w Krakowie – był początkującym poetą; oczywiście jak to w Krakowie – skończył marnie.

16 września 2011

W jakim kierunku i czy w ogóle rozwinąłby się jego talent – ciężko wyrokować. Na starcie miał niewątpliwy dryg do czarnego pisania, można powiedzieć: rozpacz szła mu jak z płatka.

Za młodu rozpacz jest ponętna, i nie dziwota: dopóki człowiek nie zrozumie, co znaczy parę do zniesienia godzin na dobę, pesymizm, udręka i inne męczarnie mają powab. Jego czarne wiersze taki powab miały. Dziś nie pamiętam ani linijki – wtedy były nieodparte. (Moja niepamięć może, ale nie musi mieć żadnego znaczenia – po dziesięcioleciach nie takie rzeczy rozpuściły mi się w mózgu).

Podziwialiśmy A. M. (na figlarny dodatek takie właśnie mickiewiczowskie miał inicjały) bez zazdrości – zjawisko samo w sobie w środowisku rzadkie, ale potwierdzające skalę możliwości. W jego pesymistycznych lirykach była siła i prawda, wobec której nawet najjadowitsi zawistnicy, nawet najkrwawsi, gotowi dla kariery literackiej zrobić wszystko koniunkturaliści pokornieli. Doprawdy zanosiło się, że gdy godzina wybije, autor równie wielkich jak mrocznych tomów wierszy, poematów dygresyjnych czy innych eposów literaturę polską, a może i światową zasili. Niestety towarzyszyła mu – nazwijmy rzecz oględnie – niewłaściwa muza. W dla dokładności uczynionej uwadze, że towarzyszyła mu stosunkowo krótko, pociechy nie znajdziemy. Owszem krótko, ale wystarczająco długo.

17 września 2011

W Krakowie w tamtych czasach główny nurt życia literackiego stanowiły różnego rodzaju konkursy poetyckie, najgłówniejszy i najbardziej prestiżowy Turniej Jednego Wiersza o Jaszczurowy Laur odbywał się – jak nietrudno zgadnąć – w klubie Pod Jaszczurami. Raz na miesiąc salę wypełniały tłumy „próbujących pisać, a nawet drukować" nieszczęśników. Do dziś wielkie powodzenie rozmaitych krakowskich imprez literackich tym się tłumaczy: jest to mianowicie miasto niespełnionych ludzi sztuki; grafomani i grafomanki czają się za każdym węgłem, hordy aspirujących do wyższości, pozbawionych za to krztyny talentu „artystów" tam i nazad przemierzają rynek i gwarantują frekwencję każdej imprezie.

Wtedy było podobnie, ale jakoś sympatyczniej i – by tak rzec – wyraźniej. Przede wszystkim nie każdy wówczas pisał czy uprawiał jakiś inny artyzm, ergo mniej było nieudaczników, ogólna aura przez to zdecydowanie zdrowsza. Istniała – dziś całkowicie nieistniejąca – zbiorowość ciekawych literatury czytelników i innych bezinteresownych konsumentów piękna. Grafomani – nawet po kielichu – trzymali swe agresje na wodzy. Występowały też zjawiska urocze w ich rytualności, na przykład z góry było wiadomo, że biorące udział w konkursach poetki odziane schludnie i z umytymi szamponem tataro-chmielowym włosami czytać będą wiersze rymowane, natomiast domeną ich

nieco w sensie zewnętrznym zapuszczonych koleżanek będzie awangardowa bezrymowość.

Obie grupy pomimo tych i licznych innych różnic łączyło jedno: bezgraniczne uwielbienie dla A. M. Młode poetki kochały jego wiersze, chciały być jego uczennicami, kochały się w nim samym (był wystarczająco wysoki, chudy i ciemnowłosy), chciały być jego nałożnicami (w ówczesnym narzeczu: chciały z nim chodzić). On jednak, ku ich tragedii, podobał się nie tylko im. Zawsze otoczony wianuszkiem wielbicielek, wdawał się niekiedy w nieco dłuższe romanse, dłużej jednak niż parę tygodni żadne z tych „chodzeń" nie trwało.

Jak przystało romantykowi, nagle się w czyimś życiu pojawiał i tajemniczo znikał, romantycznie uwodził i bezlitośnie porzucał. Jak przystało tego typu historiom – wszystko do czasu. Przyszła kryska na Matyska? Gorzej, znacznie gorzej. Tym gorzej, że początki bajeczne. Na rytualnie wygrywanych przez siebie jaszczurowych konkursach jął się pojawiać w towarzystwie panny tak atrakcyjnej, że dech zapierało.

18 września 2011

Wtedy, na początku lat siedemdziesiątych wzorcem piękności damskiej była odziana w minispódniczkę i bluzkę z bouclé wysoka, szczupła i długowłosa blondynka. Powiedzieć, że nikomu nieznana nowa muza A. M. była ucieleśnieniem tego ideału, to nic nie powiedzieć! Włosy nie po prostu długie, ale do pasa, nogi do nieba, figura nie z tej ziemi; wszystkie wymienione i niewymienione walory podniesione do potęgi nie wiadomo której, nawet jaskrawożółte bouclé podkreślało co trzeba z siłą, z którą w tamtej epoce tylko zagraniczne ciuchy działały. Słowem: coś tu nie grało.

Była niebywała, ale nie z naszego świata. Trzymała A. M. za rękę, ale był to gest martwy i pozorny – z jego świata też, a nawet tym bardziej nie była.

Wybieranie kobiety z obcego plemienia to jest zawsze ryzyko, wybieranie kobiety z plemienia obcego duchowo to jest samobójstwo, wybieranie kobiety z plemienia obcego duchowo i materialnie to jest śmierć w niekończących się męczarniach. Mądry aforysta po szkodzie. Jak do dziś mawia Tadziu Nyczek: „Baba jak byk, ale nie z naszej parafii".

Wtedy nie umieliśmy tego nazwać, ale sprawa była wyczuwalna. Tak pięknych i tak efektownych kobiet nie miewają pisarze. Nawet najwybitniejsi. Nawet nobliści. O dobrze zapowiadających się poetach nie ma co wspominać. Tak piękne

i tak efektowne kobiety miewają – bo ja wiem – reżyserzy filmowi, kierowcy rajdowi, spikerzy telewizyjni, synowie kacyków partyjnych czy inni rozwydrzeni prywaciarze. Takie kobiety miewają noszący zimą białe kożuchy, latem szyte na miarę koszule posiadacze kosztownych aut i podmiejskich dacz. W tamtej epoce takich kobiet w Krakowie było góra kilka, w Warszawie niewiele więcej, w Polsce jeszcze mniej. Jedna z nich i A. M.? Na oko niby tak. A zarazem gołym okiem widać, że choć są razem – pary nie tworzą.

19 września 2011

Nawet dla fantastycznie się zapowiadającego mrocznego poety taka – wybacz Panie – „muza” mogła być wyłącznie niezasłużonym, może nawet pomyłkowym darem. Wyglądała świetnie, ale na osobę interesującą się poezją nie wyglądała w żadnym wypadku. Talent i lokalna sława A. M. jej imponowały? Ciężko uwierzyć, ale w końcu z jakichś powodów z nim była. Dla kasy raczej nie, zwycięzca jaszczurowego konkursu otrzymywał pięćdziesiąt złotych, w Peerelu nigdy, nawet za Gierka, nie było to dużo. Co zatem? Seks? Aura jakiejś gorączkowej namiętności od nich (zwłaszcza od niej) nie biła. Miłość? Miłość prawdziwa, głęboka, wszelkie przeszkody likwidująca, wszelkie różnice niwelująca? W ich spojrzeniach (zwłaszcza w jego spojrzeniu) wielkiego żaru uczuciowego nie było. Dla snobizmu i szpanu z taką arcylaską (określenie wtedy nieznane) na mieście się pokazywał?

Co jeszcze? Jakie jeszcze są tu pytania i jakie odpowiedzi? Jakie jest w końcu ostateczne rozwiązanie szarady? Bo przecież jest? Jakieś jest? Owszem jest, ale biedne. Jest ono mianowicie jak w prawdziwym życiu albo jak w marnej powieści – wieloskładnikowe. Na domiar żałości jego etyczny filar stanowi prawda, że nie należy sądzić ludzi po wyglądzie.

Panna na osobę interesującą się poezją nie wyglądała? Może i nie wyglądała, ale była pilną czytelniczką wierszy, pilną,

intensywną i szczególną. Nie wyglądało, by krakowska sława A. M. jej imponowała? Owszem, imponowała jej i była dla niej ważna, a nawet arcyważna. Obecność ekstrapiękności w jego życiu to rezultat jakiegoś niewiarygodnego zbiegu okoliczności, dar nieoczekiwany i niewiarygodny? Tak jest, a nawet więcej, szczerze mówiąc, grubo, grubo więcej.

20 września 2011

Była darem, bez cienia wątpliwości była darem, i gdyby na tym się skończyło, byłoby OK. Niestety ona nie tylko była darem, ona doskonale wiedziała, że jest darem, ona doskonale zdawała sobie sprawę, że jest darem, i domagała się, by traktowano ją jak dar; zdecydowała się być z A. M., ponieważ miała świadomość, jak kosmicznym będzie dlań darem, jak wzbogaci go duchowo, literacko i estetycznie; pragnęła być muzą, a nawet – biedactwo zupełne – pragnęła być źródłem szczęścia.

Jak zwykle w marzeniach o szczęściu nie wszystko się sprawdzało. On przedpołudniami pisał, ona szła na zajęcia – studiowała anglistykę. Gdy wracała, pokazywał jej swe nowe, na wskroś pesymistyczne utwory, ona czytała, w miarę lektury twarz jej tężała, potem cała dygotać zaczynała, na koniec przychodził amok. – Jak możesz, będąc ze mną, pisać tak smutne rzeczy! – darła się jak opętana i nieraz tak jak stała, nawet w płaszczu, rzucała się na kanapę i w bek. – Jesteś ze mną i takie potworności piszesz? Jak możesz? Masz mnie, masz taką kobietę jak ja i piszesz, że żyć ci się nie chce? Chodzę z tobą na imprezy, a ty cały czas o samobójstwie myślisz? – Spazmom i szlochom nie było końca; koił, jak umiał, nie bardzo umiał. To znaczy doraźnie nie umiał – uniwersalnie postanowił spróbować.

Prócz talentu posiadał jeszcze rzadszą w tym wieku mądrość, że mianowicie literatura może, ale nie musi być w życiu

najważniejsza. Wszystko na to wskazywało. Miast pannę w blond łeb palnąć, przyznawał jej wpierw częściową, potem całkowitą rację, trawiły go wpierw żartobliwe, potem coraz poważniejsze wyrzuty sumienia. Faktycznie powinienem jeśli nie opiewać je, to przynajmniej dawać wyraz radości bycia z kimś tak niezwykłym – perswadował sobie w duchu.

Wpierw kładł, potem definitywnie położył lagę na wolności twórczej, wpierw fragmentarycznie, potem całkowicie odpuścił czarne tonacje, spróbował sielanek – straszne rzeczy wychodziły. W jaszczurowych konkursach przegrywał sromotnie, z czasem jego w sensie ścisłym „radosna twórczość" odpadała już przy pierwszej selekcji, blond muza, widząc, z jak żałosnym grafomanem ma do czynienia, w siną dal odeszła, próbował się ratować, próbował, ale już nie umiał do ciemnych kunsztów wrócić, zaczął popijać, po roku rozpił się zupełnie, upadł, skloszardział, zdemenciał, w końcu zmarł śmiercią naturalną na marskość wątroby.

26 września 2011

Szatan, który kiedyś za sprawą cuda sprawiającego pióra Michaiła Bułhakowa przybył do Moskwy, obecnie pokazał się w Polsce. Niestety nie sprowadził go do nas żaden mistrz słowa czy innego kunsztu, sprowadzili go pospołu: estradowiec drący na scenie i przeklinający plugawymi słowy Biblię, katolicki ksiądz wypowiadający posłuszeństwo Rzymowi oraz powstała wokół tych wydarzeń publicystyczna wrzawa. Wśród wrzawy tej diabła przyzywały bądź obecność jego potwierdzały nie tylko żądne sensacji głosy płytkich żurnalistów, ale też głosy mniej lub bardziej poważnych polityków, głosy mniej lub bardziej wierzących katolickich hierarchów, głosy mniej lub bardziej głębokich filozofów etc., etc.

Ponieważ czart jest zawsze taki jak ci, co go przyzywają, łatwo zgadnąć, że żaden ważny – o samym Księciu Ciemności nie wspominając – przedstawiciel piekieł nad Wisłę nie zawitał. Kierownictwo czeluści oddelegowało funkcjonariusza trzecio-, a może nawet czwartorzędnego, biesa wyliniałego, pozbawionego polotu i inteligencji, ciasnogłowego doktrynera, fundamentalistę i tandeciarza, mało rozgarniętego krzykacza, powszechnie przez wszystkich na dole znienawidzonego marudnego mękołę. (Podobno cieszy się wśród reszty szatanerii taką niechęcią, iż trwają poważne i rokujące intrygi, by nie wracał, by w polskiej

delegaturze pozostał na zawsze – nie jest to ani nie będzie nasz sukces).

Szyderczą tonację można wzmagać do oporu, kabaretowe upośledzenia wyliczać można bez końca – nudziarz, bo nudziarz, kabotyn, bo kabotyn, prymityw, bo prymityw, ale jednak demon.

Ciężko to na sto procent stwierdzić, nie dlatego że kusy marny i niepewny, ale dlatego że umiejętność pisania o diable, nigdy u nas nie za tęga, po śmierci Leszka Kołakowskiego nie ma szans odrodzenia. Język pisania o tej realności od wieków obecnej w kulturze przestał istnieć i nie idzie o jakąś wiodącą do jałowej abstrakcji depersonalizację albo o rozpad wyświechtanej metafory – idzie o całkowity uwiąd, idzie o całkowitą degradację. Języka tego nie ma albo dla grozy zupełnej sprowadza się on do infantylnego i pseudodowcipnego gaworzenia – sam daję tego próbkę i nic na to nie poradzę. Przez całe wieki, zwłaszcza wieki ostatnie, nie tylko Nauka, nie tylko Filozofia, ale też – tak jest – Religia, ale też – niestety – Sztuka i Literatura – szatana i wszelkie jego wizerunki unieważniały, rozmywały, karykaturowały, dewaluowały i z wyobraźni rugowały, i teraz jest, jak jest, a raczej nie ma, jak nie ma.

29 września 2011

Nawet w pojedynkę próbujący ratować sytuację giganci tacy jak wspomniani już Bułhakow i Kołakowski, nawet Czesław Miłosz czy Tomasz Mann nie dali rady powstrzymać upadku. Notabene jeśli idzie o autora *Doktora Faustusa*, coraz większej nabieram pewności, że jego najbardziej „demonicznym" dziełem jest jednak *Czarodziejska góra*, i jest tak nie tylko dlatego, że pan Settembrini nazywa radcę Behrensa „diabłem wcielonym" po – jak sam powiada – „dojrzałym namyśle".

Owszem, niejeden mi powie, że i dziś są autorzy (Coetzee, Houellebecq czy nieboszczyk Bernhard), co na rozmaite sposoby i nieraz bardzo trafnie pustki i lodowatości teraźniejszych piekieł wychwytują, i jest w tym sporo racji. Po pierwsze jednak co innego diabeł, co innego jego siedziby (nawet jeśli wierzyć przysłowiu: pokaż mi swoje piekło, powiem ci, jaki demon cię opętał); po drugie zaś ja wymienionych autorów doceniam, ale nie lubię. Wielcy, ale nie moi. W pewnym wieku i w pewnym stanie ducha nie po to człowiek bierze książkę do ręki, żeby się denerwować.

Jest przeto, jak jest, i – upierałbym się nadal – nie ma, jak nie ma. Diabelstwa, i to diabelstwa groźnego, zbrodniczego, krwawego, wokół przybywa, a sprawca tego wszystkiego zabawny jak szmaciana kukiełka? Bać się jest czego, wszelaki strach rośnie, niedługo bać się trzeba będzie wszystkiego i wszystkich,

jedynie diabła bać się nie ma co? Wszystko wokół straszne, tylko Lucyfer niestraszny? Nie jesteśmy w średniowieczu? Oczywiście, że nie – w licznych aspektach (zwłaszcza duchowych) jesteśmy niżej, znacznie niżej. A skoro niżej, to dobrze wiecie, co pod stopami. Nic? Naprawdę? Wygumkowaliście Szatana i myślicie, że ujdzie wam to na sucho?

30 września 2011

Na początku ogłoszonego na łamach „Wprost” (nr 37) felietonu Magdalena Środa trafnie przypuszcza, że z przybycia Złego Leszek Kołakowski niechybnie by się ucieszył, w końcu już w latach sześćdziesiątych nie tylko w tonacji żartobliwej pisał, „że ludzie diabła porzucili, że go lekceważą, że wstydzą się go, bo myślą, że kto w diabła wierzy, to prostak, ciemniak, nie nadąża za duchem czasu i nowoczesności”, tymczasem jest, czy może być tak, „że upadek wiary w szatana jest upadkiem wiary w ogóle”.

Celnie bardzo. Jeszcze jednak celniejsze od początku jest zakończenie tekstu, w którym – odnosząc się do publicznego sprofanowania Pisma nie przez (jak się z opóźnieniem dowiaduję) byle estradowca, a przez podobno bardzo sławnego i z ogromnym dorobkiem artystę – autorka tak powiada: „Nie popieram niszczenia książek, choć w przypadku Biblii sądzę, że bardziej destrukcyjne dla wiary i uczuć religijnych jest jej czytanie niż niszczenie. W Polsce na szczęście nikt Biblii nie czyta”.

Można powiedzieć, że Środa, gdy cytuje Kołakowskiego, jest mocna i ma rację, ale gdy Kołakowskiego ani w ogóle nikogo innego nie cytuje, gdy z własnej głowy i we własnym imieniu pisze, dopiero jest mocna i dopiero ma rację. Generalna teza (o szkodliwości czytania Biblii) jest tak ekscytująca, że z podniecenia nie mogę się powstrzymać przed paroma uszczegółowieniami.

Otóż czytanie Biblii bywa szkodliwe, jednakowoż stopień szkodliwości czytania Pisma zależy od tego, kto czyta; kim jest ten, co czyta.

Na przykład dla mnie, wychowanego w duchu ortodoksyjnej reformacji lutra, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że czytanie Biblii jest istotnie szkodliwe dla braci katolików. Krzywo ją oni czytają, źle ją rozumieją, niewłaściwie interpretują etc., etc. Szkodzi im ona. Szkodzi ich umysłom, szkodzi ich uczuciom, szkodzi ich duchowości, wiedzie ich na manowce nie tylko wiary. Na tym nie koniec niestety. Ona szkodzi im, oni szkodzą jej. Z pierwszej szkodliwości wynika jeszcze szkodliwsza szkodliwość druga.

Fakt, że jest czytana przez katolików, niezwykle szkodzi Biblii. Zniekształcają ją oni, wynajdują rzeczy w niej nieistniejące, metafory biorą dosłownie albo na odwrót, listy apostoła Pawła, miast czytać poszerzająco, czytają zawężająco, co redukuje ich tolerancję, czczą sprawy przez Ewangelię do czczenia niezalecane, na przykład prócz Pisma uznają też Tradycję, choć w Piśmie o fundamentalności Tradycji nie ma ani przecinka itd., itp.

Słowem, katolicka Biblia jest zupełnie inną książką niż moja Biblia, moja Biblia to jest Słowo Boże w postaci oryginalnej, bez żadnych ludzką ręką dokonanych korekt czy redakcji, bez odgórnie (nie przez P. B., a przez człowieka) narzuconych sposobów jej czytania i rozumienia. Jak głosił Marcin Luter, *sola scriptura* (jedynie Pismo), i to ma się rozumieć *scriptura* bez żadnych naleciałości.

W takim, kacerskim, czyli dla mnie i moich współbraci jedynie słusznym aspekcie Magdalena Środa – nasz, okazuje się, człowiek

– ma rację: „czytanie Biblii jest destrukcyjne”, święta prawda. Tym boleśniejszy jest fakt, iż autorce niestety ufać do końca nie można.

Dlaczego? A dlatego, że teza o szkodliwym wpływie Biblii na wiarę i uczucia religijne, połączona z tezą, że „w Polsce na szczęście nikt Biblii nie czyta”, może prowadzić do wniosku, iż polska religijność panująca – konsekwentnie unikająca biblijnego niebezpieczeństwa – stoi wysoko. Nie jest to teza za często przez Środę głoszona, nie jest to potknięcie umysłu niezwykle precyzyjnego (taki umysł tak się nie potyka) – co to jest? Nie mam zielonego pojęcia.

Gdybym był skory do studenckich żartów, postawiłbym przezabawną tezę, że być może jest to przykra wpadka. Niby rzymski Kościół bez ogródek atakujemy, niby kler bez litości smagamy, niby katolickie „błędy i wypaczenia” piętnujemy, ale gdy przychodzi co do czego, to nie wprost, a finezyjnym, niby po staremu agresywnym wywodem (tym przez to groźniej) duchowość polsko-rzymską w istocie wychwalamy pod niebiosa. Magdalena Środa agent śpioch Opus Dei? Na żart studencki za słabe i tym niestety – w tych czasach – prawdopodobniejsze. Nawiasem, czy to prawda, że poseł Czarnecki jest synem pewnego kardynała? Wciąż to słyszę, wszyscy wokół tę hipotezę stawiają, nawet w telewizji ktoś ostatnio pytał, a pewnego nic. Może państwo wiedzą coś konkretniejszego?

3 października 2011

Szanse, że Polska stanie się – światłym, dostatnim, schludnym, otwartym, tolerancyjnym i pełnym wszelakiego wyrozumienia – protestanckim krajem, nie są wielkie, ale ani nadziei tracić, ani poddawać się nie wolno.

4 października 2011

Krzepiące, pełne radości i optymizmu wypisy z rozmaitych dzieł powoli stają się istotnym pasmem tych notatek. Dziś z *Nieba i ziemi*, czyli wydanego właśnie nakładem Czytelnika tomu (znakomitych!) małych próz Sándora Máraia przepisuję prawie w całości miniaturę *Deszcz*.

„Samotny dom stoi pośrodku błotnistego i parującego pola, okiennice są zamknięte, w dali szlaban kolejowy, błyszcząca, śliska autostrada, w rynnie grzechocą kamyki, w domu jeszcze nie zapalono lamp, w pokojach panuje półmrok, meble są wilgotne, wspomnienia kwilą jak kocięta. Mężczyzna w samodziałowej kamizelce siedzi przy stole, nie myśli o niczym, słucha deszczu, ziewa; nie przyszło mu na myśl, że równie dobrze mógłby strzelić sobie w łeb".

Niezłe? Nieprawdaż? Całkiem niezłe i jakże skrzydeł dodające! (Jakże dobrą energią emanujące!). Dobre. Mocne. Nie tak dobre i nie tak mocne jak na przykład *Zimowy sen* czy parę jeszcze innych śmiertelnych – nieśmiertelnych kawałków, ale nota wysoka! (*Zimowy sen* przytoczę o stosownej porze, czyli zimą. O ile oczywiście – niepodobna w takim kontekście nie dodać – doczekamy zimy).

Ucieszył mnie ten tom, powiem nawet: ucieszył mnie własny zachwyt dla *Nieba i ziemi*. Tym większa radość i tym większa ulga, że z wolna zaczynałem z Sándorem Máraiem mieć kłopot[4]

z elementami męczeństwa. Z całej mianowicie masy wydanych w Polsce jego książek porządnie przeczytałem tylko jedną: *Wyznania patrycjusza*, pozostałe owszem, wszystkie kupiłem, ale co zaczynałem czytać, rychło przychodziło jakieś hamowanie. Tym zgrzytliwsze, że *Wyznania* to jest książka absolutnie wybitna, windująca pisarza do światowej czołówki – tak jest (myśli człowiek po lekturze), ten kompletnie zapomniany i niedoceniony Węgier mógł swobodnie być jednym z wiarygodniejszych noblistów XX wieku.

Może arcydzielność *Wyznań* za wysoko ustawiała odbiór? Może tłumacze coś nie teges? A skąd! Większość przekładów brzmi bardzo dobrze. Moje czytanie w złej formie? Też nie zawsze. Cóż się więc stało? Nie wiem – jak mówi stary chart w puencie równie starego dowcipu. Coś się zakorkowało – nie tylko z Máraiem tak bywało. Ileż ja znakomitych książek zaczynałem czytać i wiedząc, że dalej będą równie znakomite, odpadałem na dwudziestej stronie? Przypadek autora *Nieba i ziemi* jest, mam nadzieję, inny. Co było zakorkowane, zostało otwarte i tak niechaj będzie zawsze.

---

[4] Wspominałem już o tym kłopocie na stronie 148, w zapisie z 22 lipca 2010.

5 października 2011

We wczorajszej „Rzeczpospolitej” artykuł zatytułowany *Czy Szwecja zlikwiduje kościoły*. Znaku zapytania brak, stratę tę wynagradza przykuwający uwagę lid: „Wpływowy duchowny luterański nawołuje do przerobienia świątyń na sklepy, puby i biura”. Dalsze treści równie upajające w ich bluźnierczym dekadentyzmie. O konsekwentnym braku pytajników szkoda gadać, skąd by się zresztą miały brać w tonacji bezapelacyjnej?

„Coraz mniej wiernych uczestniczy we mszach [?], podczas gdy liczba kościołów pozostaje ta sama. Kościół ewangelicko-luterański [?] powinien sprzedać swoje budynki, by można je było zamienić na mieszkania, kawiarnie lub pizzerie albo je zburzyć – zaapelował były dziekan [?] i wikariusz [?] Hans Börje Hammar w niedzielnej edycji dziennika «Svenska Dagbladet».

Brat byłego arcybiskupa [?] Szwecji Karla Gustava Hammara, kandydat w wyborach na urząd arcybiskupa w 2006 roku, wystąpił z kontrowersyjnym pomysłem na ratowanie Kościoła ewangelicko-luterańskiego z głębokiego kryzysu. Kryzys ten przejawia się nie tylko w spadku liczby uczęszczających na nabożeństwa, ale również w statystykach młodzieży przystępującej do bierzmowania [?]. Od 1970 roku liczba przyjmujących bierzmowanie spadła z 80 tysięcy do 35 tysięcy rocznie. Członków Kościoła szwedzkiego jest dziś o pół miliona mniej niż przed 2000 rokiem. Przez dwa dziesięciolecia liczba osób

uczestniczących w niedzielnych nabożeństwach zmniejszyła się z 9 milionów do 4,6 miliona. W efekcie w wielu wspólnotach liczba nabożeństw spadła prawie do zera. Zdaniem Hansa Börje Hammara w sytuacji, gdy coraz mniej osób płaci podatek kościelny, należy w porę zadbać o przyszłość Kościoła nawet za pomocą radykalnych metod. – Duża liczba kościołów to tykająca bomba – mówi Hammar, podkreślając, że spośród 3384 świątyń wiele jest zbędnych. Tylko ponad 500 kościołów wykorzystuje się do celów religijnych raz na miesiąc, a za utrzymanie budynków trzeba przecież płacić. Jeżeli Kościół chce przetrwać ekonomicznie, argumentuje Hammar, musi zacząć sprzedawać świątynie osobom prywatnym, by mogły je przebudowywać na mieszkania, kawiarnie, biura czy obiekty przemysłowe. – Mniej drastyczne byłoby zapewne udostępnienie świątyń za darmo na prowadzenie w nich działalności kulturalnej. Jest to jednak wysoce nierealne – zauważa Hammar.

Propozycja szwedzkiego wikariusza nie jest pierwszą tego rodzaju w zachodniej Europie, gdzie systematycznie spada liczba praktykujących chrześcijan. Francuska organizacja Banlieues Respect zwróciła się ostatnio do tamtejszego Kościoła katolickiego z wnioskiem o udostępnienie pustych świątyń muzułmanom. Podobne propozycje padły w Hiszpanii, ale w obu krajach hierarchowie katoliccy zdecydowanie je odrzucili.

Lokalne władze Kościołów zarówno katolickiego, jak i protestanckich coraz częściej decydują się jednak na sprzedaż świątyń, które trudno jest utrzymać z powodu braku wiernych. W takich wypadkach biskupi starają się na ogół, by świątynie nie zostały przerobione na obiekty komercyjne. I tak tego rodzaju

transakcje prowadzą często do konfliktów. Katolicka archidiecezja w Bostonie sprzedała w 2005 roku kościół prawosławnym za 2 miliony dolarów. Grupa tamtejszych katolików nie pogodziła się jednak z tą decyzją i do dziś okupuje świątynię. Kościół metodystów w brytyjskim Dorset został sprzedany firmie Tesco, która urządziła tam sklep. Kościół episkopalny w Nowym Jorku sprzedał jedną ze świątyń organizacji walczącej z narkomanią, ale w wyniku kolejnych sprzedaży budynek zamienił się w nocny klub, a potem w galerię handlową".

6 października 2011

Sformułowanego w liście do Jerzego Giedroycia zdania Czesława Miłosza o – daleko przerastającej mękę pisania – męczarni przepisywania kolejny raz przytaczał nie będę. Wiadomo, o co idzie. Z tekstu w „Rzepie" miałem jedynie – celem dokonania kilku skrupulatnych luterskich sprostowań – niewielki fragment przytoczyć, w miarę jednak przepisywania linijek przybywało, męczarnia może w rozkosz się nie obracała, ale żal było przestać; a jak żal przestać – dojeżdża się do końca.

Zaczynam jednak od początku. Zaczynam od korekt. Być może nieustanne tropienie rozmaitych, nieraz poważnych kuriozów, nieraz drobnych defektów w obrazie polskiego i światowego luterstwa staje się nudne, być może nabiera cech maniakalnych, być może jedno i drugie – inaczej jednak postąpić nie mogę. Tak mi dopomóż Bóg. O ewangelikach albo nie pisze się wcale, albo z koszmarnymi błędami. W sumie może i lepiej, że wątek protestancki rzadki – gdyby trafiał się częściej, człowiekowi całe życie by zeszło na korygowaniu wizerunku.

7 października 2011

„My, ewangelicy polscy – jak bez mała miesiąc temu pisał na tych samych łamach ksiądz pastor Kazimierz Bem – nie mamy złudzeń. Stanowimy ułamek promila obywateli tego kraju, i nawet jeśli jesteśmy nadreprezentatywni w kulturze i historii naszej ojczyzny, przyzwyczailiśmy się, że nasza rola jest systematycznie i celowo pomijana. Wystarczy pojechać do Gdańska, Torunia czy Leszna i zobaczyć, jak skrupulatnie jesteśmy usuwani z historii tych miast i historii kraju".

Pojechać do Gdańska, by sprawdzić, jak nas rugują – to jest przykrość wielka, pojechać do Sztokholmu, by ujrzeć, jak w tym na wskroś luterańskim kraju nasza wiara upada – to jest horror. A już okoliczność, w jaki sposób upadek szwedzkiego „Kościoła ewangelicko-luterańskiego" jest w Polsce referowany, to jest horror horrorów.

„Kościół ewangelicko-luterański" – że wreszcie przystąpię do rzeczy – można od biedy użyć takiej nazwy. Od biedy, bo żaden ewangelik tak nie powie i zarazem każdy ewangelik, gdy usłyszy taką frazę, dozna dyskomfortu.

8 października 2011

Jak Kościół luterański, to ewangelicko-augsburski, a jak Kościół ewangelicki, to albo luterański, albo reformowany, czyli kalwiński. Kalwiński od wiadomego nazwiska, augsburski od miasta Augsburg, w którym na sejmie w roku 1528 (jeśli się nie mylę – na naukę konfirmacyjną chodziło się dawno) sformułowano (co ciekawe, nie uczynił tego Luter, lecz Filip Melanchton) *Augsburskie wyznanie wiary* – nasz do dziś fundament.

„Ewangelicko-luterański" to jest trochę masło maślane – skoro luterański, to z natury rzeczy ewangelicki; w każdym razie z tego, co mi wiadomo, Kościół „katolicko-luterański" nie istnieje.

Być może jest to kwestia czasu. Być może w Szwecji są już czynione jakieś kroki w tym kierunku, na razie nic takiego do mnie nie dotarło. Wśród lawinowo idących stamtąd horrorów taki horror jeszcze nie nadszedł. Z radości – moi stanowiący ułamek promila polskiej populacji bracia i siostry – w górę bym jednak nie skakał ani innych form przedwczesnego zadowolenia nie okazywał. Tak bowiem czy tak nasz raj na ziemi, nasza siostrzana i nasza bratnia, praktycznie dziewięćdziesięcio-, a więc w istocie stuprocentowo luterańska Szwecja ginie! Tonie! Idzie w rozsypkę. Pewnie, że te sto procent w całości nigdy nie praktykowało, szczerze mówiąc, praktykowali nieliczni, ale jednak takich jaj, żeby kościoły wyprzedawać na puby, sklepy, biura i inne cyrki

nawet w tym kraju licznych, choć nielicznie praktykujących ewangelików jak dotąd nie było.

Swoją drogą zarzutu niepraktykowania specjalnie bym nie demonizował. W końcu można nie praktykować, do kościoła nie uczęszczać, w chórze kościelnym nie śpiewać, od wszelkich form zbiorowego życia parafialnego stronić, w ogóle można – i to można swobodnie – być całkowitym luterskim odludkiem, ale można przy tym liczne cnoty luterskie (choćby takie jak solidność, dokładność, pracowitość i inne niezawodności) w życiu codziennym stosować. Wiadomo, że powinno być i to, i to, ale jak się pełnej doskonałości osiągnąć nie da, to lepszy ten, co do kościoła nie chodzi, ale pracuje rzetelnie, niż na odwrót. W luterskiej doktrynie – wspominałem o tym nieraz – niczego takiego jak hierarchie występków nie ma, ale jakby taki kodeks funkcjonował, na pierwszym miejscu „siedmiu ewangelickich grzechów głównych" z pewnością widniałoby Lenistwo. Podskórnie to zresztą funkcjonuje, popularne w moich stronach przysłowie nawet pijaka stawia wyżej niż lenia – niżej i gorzej niż leniem być nie można. Niepraktykujący Szwedzi leniwi nie są – rzecz powszechnie znana i gołym okiem widoczna.

9 października 2011

Jest też fundamentalna okoliczność łagodząca, natury – powiedziałbym – metafizyczno-geograficznej. Jak mianowicie ci pracowici nieszczęśnicy mają praktykować, gdy wokół śnieżne równiny, mróz trzydziestostopniowy, do najbliższego sąsiada trzydzieści kilometrów, a do kościoła trzysta? Przesadzam? Ironizuję? Z wrodzoną łatwizną do absurdu rzecz sprowadzam? Infantylne i w istocie obraźliwe wizje snuję? A nie powinienem, sam w końcu dobrze wiem, sami w końcu dobrze wiemy, jak bolą takie wizerunki. Ileż to razy upokarzano nas poniżającą wizją Polski, kraju, w którym białe niedźwiedzie chodzą po ulicach. Na przemian z wilkami.

Kogo bolało, tego bolało. Kogo poniżało, tego poniżało. Mnie nie. Do dziś żałuję, że ani białych, ani nawet brunatnych niedźwiedzi na polskich drogach się nie spotyka. Tylko taka Polska byłaby frapująca. Tylko taka „Szwecja" – bezbrzeżnych śniegów i bezbrzeżnej samotności – jest frapująca, tylko taka „Szwecja" jest nasza, tylko w takiej „Szwecji" chcielibyśmy osiąść i usnąć. Taką krainę opisuje Sándor Márai: „Jest zima i ciągnie mnie do tego głębokiego snu jak niedźwiedzia, jak umarłych. Och jak dobrze byłoby zasnąć! Głęboko ukryć się w zimie i samotności, w jakiejś surowej, kosmatej i stęchłej samotni, jedynie mrucząc i w odurzeniu wspominając malinowy chruśniak, poruszenia życia i światło słoneczne – zasnąć w tej głębokiej, już nawet nie

obrażonej, tylko obojętnej i duszno zatęchłej samotności, jaką jest los, w tej głuchej samotni, jaką jest życie. Spać snem coraz bardziej upartym, nieprzeniknionym jak umarli. Spać i nie widzieć. Spać i wybaczyć. Chcę spać – wybaczcie mi – bo chciałbym wybaczyć".

Ja nie. Ja ani nie chciałbym wybaczyć, ani nie wybaczam sztokholmskiej korespondentce „Rzepy" pani Annie Nowackiej-Isaksson, że w krótkiej relacji nasadziła komet bez liku. I to nie sama – pod tekstem widnieje jeszcze jedno nazwisko, czyje nie wiem, jakiegoś bez wątpienia kolejnego wybitnego znawcy skandynawskiego, a może światowego protestantyzmu. Parze tej udało się wyprodukować artykuł o luteranizmie, w którym praktycznie każda linijka jest kiksem, do każdego zdania można się skutecznie przyczepić. Jakiś rekord świata? A skąd! Rzecz – i to jest najzabawniejsze – kompletnie bez znaczenia. Miałem dać jakieś sprostowania, ale odechciało mi się. Po pierwsze musiałaby być cała litania, po drugie ileż można za katolikami ganiać i tłumaczyć, że ponieważ u nas nie ma bierzmowania, nie jest też ono sakramentem itd., itp. Ileż można? Trochę można, ale bez przesady.

10 października 2011

Czy zdecydowana większość powinna się znać na mniejszości mniejszej od promila? Czy musi znać jej język, obyczaje i obrzędy? Stanowczo nie musi, ale skoro się nie zna, niech nie gada. Stworzony z takiego rzężenia wizerunek Kościoła ewangelickiego, w którym coraz mniej młodzieży przystępuje do bierzmowania, którym rządzą arcybiskupi, którego ważnymi postaciami są dziekani czy wikariusze, to jest fantazja, która prawdziwy problem zasłania, a nawet likwiduje.

Chyba że – straszna myśl przyszła mi do głowy – oni już to mają? Bracia Szwedzi uczynili krok na pochyłej równi ekumeny i już mają bierzmowanie zamiast konfirmacji, arcybiskupa zamiast biskupa Kościoła, dziekanów zamiast biskupów diecezjalnych, msze zamiast nabożeństw etc., etc.? Jeśli tak mają, to zasłużyli na to, co mają.

20 października 2011

Gdyby śmierć potoczyła się inaczej, rok Czesława Miłosza mógłby być rokiem Jana Sztwiertni. Rok wielkiego poety – rokiem wielkiego kompozytora. Może rokiem ich obu? Może Janek Sztwiertnia, gdyby dane mu było życie bogate i długie, napisałby wedle wierszy Noblisty jakiś cykl pieśni? I teraz te arcydzieła do zupełnego znudzenia szłyby na okrągło na wszystkich kanałach, radiostacjach i czym tam jeszcze, młodzież szkolna byłaby nimi maltretowana, odbywałyby się setki sympozjów i koncertów, od czytania albo słuchania kolejnych referatów czy esejów na temat związków pomiędzy muzyką a poezją niejeden humanista odwaliłby kitę?

Urodzili się w 1911, jeden – jak wiadomo nielicznym – 1 czerwca w Ustroniu na ziemi cieszyńskiej, drugi – jak powszechnie wiadomo – 30 czerwca w Szetejniach na ziemi wileńskiej. Miłosz niekiedy lubił mawiać, że ma się za obywatela i spadkobiercę Wielkiego Księstwa Litewskiego. Sztwiertnia mógł się śmiało uważać za obywatela i spadkobiercę, może nie wielkiego, ale wielce czcigodnego, bo wieki całe istniejącego Księstwa Cieszyńskiego.

21 października 2011

Rówieśnicy praktycznie w sensie ścisłym – jak łatwo wyliczyć, muzyk miał całe cztery tygodnie, gdy poeta przychodził na świat. Jedyna, na samiutkim starcie, bez zasługi i w gruncie rzeczy nie wiadomo po co dana przewaga. Jeśli w ogóle jest to jakaś przewaga. Niezbadane są wyroki. Swoją drogą im więcej człowiekowi lat przybywa, tym częściej myśli, że P. B. zbyt swobodnie, zbyt kapryśnie i stanowczo zbyt długo na nieodgadnioności swych werdyktów jedzie. Nie żebym coś doradzał, ale przynajmniej od czasu do czasu mogłaby się – Panie Boże – zdarzyć jakaś zrozumiała akcja.

Nad kołyską Miłosza dobre znaki świeciły, przyjazne anioły fruwały – ten, jak ktoś powiedział, „bławień sudby" miał zaznać w swym przeszło dziewięćdziesięcioletnim życiu wszystkich smaków, przygód i splendorów widzialnego świata. Nad kołyską nieślubnego dziecka Marii Sztwiertnianki, robotnicy trzynieckiej huty, cicho było i smutno – noworodkowi do śmierci w obozie koncentracyjnym pozostało bez mała trzydzieści lat życia, bardzo nieraz skromnego.

Kiedyś taka opozycja dwu żywotów: tragicznego i szczęśliwego, spełnionego i niespełnionego, trwającego w pamięci i doszczętnie zapomnianego, zdała mi się oczywista – wiadomo, kto wygrał, kto przegrał. Dziś takiej pewności nie mam, a już pewności czyjegoś, jakiegoś, jakiegokolwiek zwycięstwa nie mam za grosz. Nie ma

pewności zwycięstwa, ponieważ zwycięstwo nie istnieje, życie jest przegraną; z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z meczu na mecz przegrywamy wszyscy. (Co oczywiście nie znaczy, że należy siedzieć i pierdzieć w stołek. Należy grać do przegranego końca, przegranego, ponieważ – powtarzam – przegramy wszyscy). Wszyscy, łącznie z naszymi geniuszami.

Niezwykłe dzieło Andrzeja Franaszka, intensywną eseistyczną prozą i z brawurową językową energią napisana biografia Miłosza, to nie jest biografia zwycięzcy. Autor wielce przenikliwie – prócz setek innych wątków – pokazuje, że cena, jaką przychodzi prawdziwie wielkim postaciom płacić, za pewne „tryumfy" (za to, co bywa za tryumf brane), jest nieraz straszliwa. Warto się zastanowić nad udziałem w turnieju? Warto, ale to nic nie da, miłoszowski „Turniej garbusów, literatura" niesie zgubę i narkotyczne – w sensie ścisłym – uzależnienie.

22 października 2011

W 1936 roku dwudziestopięcioletni autor ukończonej niedawno opery *Sałasznicy* rozpoczyna studia w Śląskim Konserwatorium Muzycznym i kupuje wymarzone radio; tego samego roku jego rówieśnik pisze jeden ze swoich chyba najbardziej nieśmiertelnych wierszy.

> Jechaliśmy przed świtem po zamarzłych polach,
> Czerwone skrzydło wstawało, jeszcze noc.
> I zając przebiegł nagle tuż przed nami,
> A jeden z nas pokazał go ręką.
> To było dawno. Dzisiaj już nie żyją
> Ni zając, ani ten co go wskazywał.
> Miłości moja, gdzież są, dokąd idą
> Błysk ręki, linia biegu, szelest grud –
> Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia.

To było dawno, dzisiaj już nie żyją ani Janek Sztwiertnia, ani Czesław Miłosz. Z żalem myślę, że jedynym, co przesądza, są dzieła; jeden napisał, drugiemu nie było dane. Dzieła przesądzają, ale sztuka nie musi być najważniejsza w życiu. Ono samo w sobie, jego równowagi, jego złudzenia, jego przelotność, jego pojedynczość daleko ważniejsze. Oczywiście gdyby mi dano taki wybór, wybrałbym – jak każdy – życie Noblisty. Kiedyś bez namysłu, dzisiaj po namyśle. Po namyśle, bo nie jest wykluczone,

że parę lat spędzonych przez Janka Sztwiertnię na posadzie nauczyciela w Równym pod Baranią Górą równoważy dziesięciolecia intensywnych doznań, podróży, prestiży, kąpieli pod marmurowymi skałami i innych cudów.

„Tkwię tu na Równym rzucony ręką boską w to odludzie. Siedzę jak Adam u Boga za piecem. Jestem samodzielny, nikt mi po piętach nie gania, ułożyłem własny plan nauki, jednym słowem rządzę małym królestwem biednych małych góralików. Środków naukowych mam niewiele, ale nadrabiam wszystko rysunkiem. Szczególniejszą uciechę mają brzdące na nauce o rzeczach, gdyż wtenczas kredy nie wypuszczam i liniami rozszerzam światopoglądy. Po odbytych lekcjach przyjemna lektura czy też namiętne walenie kropek w papier albo, o ile ładnie, przemierzanie pasma Baraniej Góry. Pędzić można sielankowe życie, trzeba by było tylko jakiej baby, a byłby raj" – pisał w listach do przyjaciół.

I raj się spełnił, kompozytor położył fachowe, niefachowe oko na córce gospodarzy, u których się stołował, i stało się, co się miało stać. Oko fachowe – wyjaśniam – bo Ewka Wantuloczka była niezła i dwóch synów mu urodziła, oko niefachowe, bo rychło po ślubie okazało się, że pisania muzyki mimo wszystko nie ceni i Jankowi, w życiu codziennym raczej ofermie, zdrowo w dupę daje. Nie mówię, że w zaistniałej sytuacji artysta z ulgą poszedł do obozu, ale za swoje brał.

„Dzieł życia" nie było mu dane stworzyć, ale w tym, co zdążył skomponować – a nie były to jakieś śladowe ilości: opera plus z pół setki innych utworów – dał mocną zapowiedź. Fachowcy, też jego profesorowie na Wydziale Kompozycji – Aleksander Brachocki

i Tadeusz Prejzner – nie mieli cienia wątpliwości: „talent tej skali w Europie się nie zmieści”.

Ani światowość, ani europejskość nie były mu dane, a były blisko w sensie ścisłym i wymiernym – stypendium na dalsze studia muzyczne w Paryżu przyznano mu w maju 1939 roku. Ten najprawdopodobniej rozstrzygający o wszystkim etap nauki i twórczości miał się zacząć jesienią. Dla niejednego niejedna rzecz miała się tej „polskiej jesieni” zacząć – zaczęło się co innego. Zaczął się koniec. Synowie – nie odmówię sobie tej figury – narodu wielkich, a nawet największych kompozytorów aresztowali Sztwiertnię w kwietniu 1940, osadzili w jednym z najcięższych obozów, w Gusen. Wyniszczony panującymi tam warunkami, katorżniczą – zwłaszcza jak na jego zdrowie – pracą w kamieniołomach, zginął 29 sierpnia.

1 listopada 2011

Nie przekroczył Europy ani nawet Polski; lokalnie – w obrębie czworokąta Ustroń, Wisła, Cieszyn, Katowice – owszem jest pamiętany. W Wiśle na ścianie domu, w którym po przeprowadzce z Równego mieszkał, widnieje odpowiednia tablica, w parku stoi popiersie, w Ustroniu odsłonięto jego pomnik; stulecie urodzin też było obchodzone jak należy, odbyły się liczne rocznicowe i galowe koncerty, wieczory wspomnień, wykłady i sesje, Uniwersytet Śląski wydał *Sałasznikóv* oraz *Pieśni*, w planach edycje dalszych utworów – same chwalebne przedsięwzięcia.

Dla mnie kluczowy wśród tych wydarzeń jest ogłoszony w trzecim tomie „Rocznika Wiślańskiego" tekst Marii Szlaur-Bujok *Jan Sztwiertnia (1911–1940) – człowiek i dzieło*. Ten niezmiernie – nawet jak na luterskie normy – rzetelny i zarazem z bystrą lekkością ułożony szkic biograficzny mocne wrażenie na mnie wywarł, uprzytomnił pewne tyczące kompozytora detale, o których głównie z opowieści biskupa Andrzeja Wantuły w dzieciństwie i wczesnej młodości słyszałem, uświadomił zgoła powieściowy splot okoliczności, skłonił do pisania, też do przepisywania – z materiału tego wszelkie cytaty czerpię. A zaczyna autorka wedle klasycznej normy od wyglądu zewnętrznego: „Bardzo wysoki blondyn, nadmiernie chudy, a nawet mizerny, z drucianymi okularami na nosie, w długim starym płaszczu, z grubą, bardzo wypchaną teczką pod pachą.

Cichy, skromny, fizycznie słaby, niezwykle inteligentny
i pracowity. Zawsze zamyślony... – tak po latach swego kolegę
i przyjaciela wspomina Jerzy Drozd".

2 listopada 2011

Na wszelki wypadek podkreślam: ja o muzyce Jana Sztwiertni nie mam zielonego pojęcia, lata całe niczego nie słyszałem, a choćbym słyszał i pamiętał jakieś utwory, pewności, że coś dorzecznego potrafiłbym o nich napisać, nie mam żadnej. Z obawy przed ignorancją nawet frazesu o ludowości jako jednym z praźródeł – frazesu równie zgranego jak wielką tradycję muzyki polskiej przywołującego – nie byłbym w stanie wykrzesać. Na szczęście dla perspektywy, z której o Sztwiertni piszę, nie ma to najmniejszego znaczenia.

Owszem, gdy w roku Pańskim 1966 *Sałasznicy* zostali wystawieni w muszli koncertowej w Wiśle, byłem na tym przedstawieniu i była to jedna z pierwszych, a może wręcz pierwsza opera, jaką widziałem w życiu. Ale co mógł czternastolatek myśleć o operze, której libretto opowiadało o życiu codziennym i uczuciowym beskidzkich górali? Czternastolatek odświętnie ubrany i uczesany, sterroryzowany przez nadopiekuńczych rodziców, którzy tym gorliwiej swe rodzicielstwo okazywali, że byli w zaszczytnym towarzystwie Julci i Andrzeja Wantułów? Tak jest, całą paczką z biskupem, biskupiną i chyba nawet z dziadkiem Jerzym i babką Marią siedzieliśmy na widowni i ja drgnąć nie śmiałem, i – jak zawsze w takich sytuacjach – byłem nieobecny duchem. Mało powiedziane – byłem całkowicie pogrążony w dalekich od tego, co się wokół dzieje, za to

z pewnością grubo nieprzyzwoitych rozmyślaniach. Co można w takiej sytuacji zapamiętać? W najlepszym razie to co wszyscy – element drobnej konsternacji. Pamiętam więc przyjazny rechot publiki, gdy na scenie pojawił się powszechnie w Wiśle szanowany, dobiegający sześćdziesiątki starzec Jura Drozd i z wirtuozerią jął odgrywać główną rolę i śpiewać partie zakochanego dwudziestolatka. Skąd mieliśmy wiedzieć, że w teatrze operowym tego rodzaju obsadowe przypadki nie są żadnym ewenementem, przeciwnie, są na porządku dziennym? Cóż nas to obchodziło? Nic. Obchodziło nas i śmieszyło, że stary Drozd, owszem, śpiewa pięknie, ale mimo wszystko – że przejdę na miejscowe narzecze – kapke robi z siebie błozna. (Czy fakt, że ten nie tylko śpiewak, ale też dyrygent, kompozytor, nauczyciel, był kuzynem mojego ojca, ma w tej historii jakieś znaczenie? Czasem mi się zdaje, że nie ma żadnego, częściej jednak – jakby w ataku psychozy, podczas której wszelkie układanki układają się nieodparcie – zdaje mi się, że ma znaczenie pierwszorzędne).

7 listopada 2011

Owszem, pamiętam odsłonięcie pamiątkowej tablicy na ścianie stojącego dokładnie naprzeciw naszego kościoła budynku, „w którym żył i tworzył". Byłem wówczas uczniem trzeciej klasy wiślańskiej podstawówki, chyba cała szkoła brała udział w tej dziwacznej imprezie – na wskroś dziwacznej, bo cóż to znaczy, że wokół domu, w którym ma warsztat szewc pan Cichy, w którym mieszka prowadząca szkółkę niedzielną pani Marteczka, tuż obok ulubionego (godzinami lubił on przez nie wyglądać) okna fryzjera pana Maliny, zebrały się tłumy? Cóż to znaczy, że ktoś zrywa wiszącą na murze (biało-czerwoną?) tkaninę i pokazuje się prostokątny marmur ze złotymi literami poświęcony komuś, kto żył tu tak dawno, że chyba w ogóle go nie było? Cóż to znaczy? Wtedy nic, po latach wszystko. Tylko przeszłość istnieje, tylko ona jest niezbita.

Nawiasem, na tablicy jako data śmierci widnieje 24 VIII 1940, a Maria Szlaur-Bujok, której bardziej niż marmurowi wierzę, pisze, że Sztwiertnia zmarł pięć dni później – 29 VIII. Żadna kontrowersja i niestety żadnych dodatkowych pięciu dni życia – pięć dodatkowych dni agonii. W najlepszym czy najgorszym razie? W najdziwniejszym razie. Daleko dziwniejszym od odsłaniania napisu na – jak by to sam Sztwiertnia powiedział – „przyfarskiej kamienicy". Dziwne. Bo w gruncie rzeczy tak mało wiedząc o życiu kompozytora (do jakich źródeł i jakich archiwów musiała

dotrzeć autorka szkicu, by niektóre elementaria ustalić?), o okolicznościach jego śmierci wiemy niemal wszystko. Niemal – tylko dlatego, że wszystkiego nawet o zewnętrznych okolicznościach końca wiedzieć niepodobna. Agonię Janka opisał Andrzej Wantuła, tak się bowiem dziwnie złożyło, że i on w tym czasie był więziony w Gusen.

Ach, w żadnej mierze nie demonizuję „zwyczajnych okupacyjnych" okoliczności. Okoliczności te same w sobie, a raczej same z siebie z czasem – miast wietrzeć i blaknąć – jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy miały miejsce, potworniejają i swoiście niedorzeczniejają. Też w języku. Weźmy najzwyklejsze w świecie wyrażenie: „transport więźniów" – ileż razy w literaturze, w rozmaitych relacjach, w zwykłych wreszcie rozmowach te dwa słowa padały i jakiś osobliwszy ślad w świadomości po nich nie pozostał. „Transport więźniów" to „transport więźniów", minione stulecie było stuleciem niezliczonych „transportów więźniów", nie ma co wydziwiać, tym mniej, że znacznie krwawsze sprawy się działy i znacznie makabryczniejsze słowa były w użyciu.

Nieodparta to jest argumentacja, ale nic na to nie poradzę: coraz więcej rzeczy grozę we mnie budzi.

Dawniej takiego odruchu nie miałem, dawniej na ten krąg tematyczny prawie nie zwracałem uwagi. Opowiadania Tadeusza Borowskiego, owszem: wysoka nota, ale czy to jest literatura, do której się wraca? Teraz – nie tylko za sprawą nagłego unaocznienia tragicznego losu Janka Sztwiertni – coraz częściej przychodzi równie mało odkrywcza jak nieodparta refleksja, że wszelkie opowieści o okrucieństwach wojennych czy obozowych nie byłyby dziwaczne, gdyby dotyczyły jakichś pierwotnych,

odzianych w skóry czy zbroje i w drodze do człowieczeństwa stawiających pierwsze nieporadne kroki istot. Tymczasem cała druga wojna, jej obozy zagłady, na przykład specjalny o zaostrzonym reżymie, przeznaczony dla polskiej inteligencji obóz „Mauthausen/Unterkunft Gusen" i tysiące innych tego typu obiektów, to nie było dzieło jakichś zakutanych w niedźwiedzie futra czy inne kolczugi troglodytów, lecz metodyczna praca facetów w takich jak dziś się nosi koszulach, garniturach i krawatach; mundury też wielce podobne. Oczywiście teza, że barbarzyństwo i inne zbydlęcenia są ponadczasowe, jest mi znana. Ale akurat w tych sezonach byłbym czujny, uważny i dmuchał na zimne. Pilnowałbym sprawy. Raz zresztą po raz jakieś wzmianki o ewentualnej wojnie słychać; choć rozmaici i nieraz bardzo poważni ludzi je wygłaszają, na ogół są traktowane jako dowcip albo retoryczne chwyty – byłbym ostrożniejszy. Od ostatniej powszechnej rzezi moda zmieniała się często, generalny styl prawie wcale, nadal koszule, garnitury, krawaty...

8 listopada 2011

Jan Sztwiertnia wraz z dwoma swymi przyjaciółmi: pochodzącym z Zaolzia księdzem pastorem Władysławem Pawlasem i nauczycielem, też kierownikiem szkoły, Michałem Cieślarem z Wisły, najprawdopodobniej znaleźli się w Gusen już 26 maja 1940 roku wśród 1089 Polaków przybyłych w pierwszym transporcie z Dachau. Trzy miesiące później dołączył do nich Andrzej Wantuła.

Perfekcyjnie zaprojektowana przez XX-wiecznych specjalistów w (identycznych jak dzisiejsze) inżynierskich chałatach machina śmierci pracowała bez zarzutu. W latach 1940–1942 przeciętny czas życia więźnia w Gusen wynosił – zgodnie z założeniem – sześć miesięcy. Nasi normę wykonali wzorowo. Sztwiertnia żył w obozie trzy miesiące, Pawlas pięć, Cieślar – na granicy dopuszczalności, ale się zmieścił – sześć. Wantuła przeżył. Nie tylko obóz, ale i wojnę. W 1947 napisał i wydał poświęcone pamięci swych zamordowanych w Gusen przyjaciół trzy opowiadania. Pierwsze zatytułowane *Na dnie* opisuje ostatnie chwile Jana Sztwiertni. Właściwie szkoda, że to świadczące o niemałym drygu pisarskim świadectwo jest dziełem głęboko wierzącego kapłana. Jeden jeszcze krok, który w rozmowie konającego więźnia z pocieszającym go pastorem można tu było postawić, nie został postawiony. Jaki? W żadnej sytuacji nie ośmieliłbym się Wantule jakichś rad udzielać. Nawet wiedząc, że

on, gdy swoje opowiadanie pisał, był ode mnie dzisiejszego ze dwadzieścia – lekko licząc – lat młodszy.

Cóż tu zresztą się krygować! Sam powinienem na tyłku przysiąść i jak Pan Bóg przykazał masywną i realistyczną powieść o Janku Sztwiertni napisać. W sumie szkoda, że już nie dam rady.

9 listopada 2011

Nie idę od twórczości do okoliczności, idę w kierunku – w sensie ścisłym – odwrotnym. Mało wiem o twórczości Sztwiertni, ale mam pewność, że z nieznanego ojca, urodzony w Ustroniu, mieszkający wpierw pod Baranią, potem w centrum Wisły kompozytor, też o niemałych talentach plastycznych, ewangelik, któremu Wantuła ślub dawał (a Ferdynand Pustówka, mąż siostry pierwszego męża mojej babki, był na tym ślubie świadkiem) – otóż nie mam i nie mogę mieć cienia wątpliwości: kompozytor uwikłany w taki splot musiał komponować utwory co najmniej ciekawe. (Oczywiście wedle normy światowej nie musiał; w Wiśle, a też w moim o wiele bardziej, niżbym sobie życzył, wiślańskim umyśle – musiał).

11 listopada 2011

Święto Niepodległości? Zależy gdzie i o której. Właśnie wróciłem z rytualnego (odbywam go, jak jestem w stanie ustać na nogach) marszobiegu po peryferiach Wisły i mogę odpowiedzialnie stwierdzić: wszędzie robota huczy aż miło. I nie, że jakiś jeden z drugim sąsiad w ogrodowym zaciszu trawę chyłkiem grabi czy z należytą dyskrecją i odpowiednio wyciszoną piłą tnie sobie drewno na zimowy opał. Skąd! Pełzną kombajny, ryją koparki, kolebią się dźwigi, wyją wiertła, sypią się – niczym rocznicowe fajerwerki – iskry ze szlifierek czy innych spawarek. Stasiuk w mailu pisze, że w jego okolicach tak samo, „jak niepodległość, to niepodległość".

Na marne szyderstwa, że wreszcie nauczyliśmy się honorować ją (niepodległość) jak trzeba – ciężką pracą mianowicie – liter szkoda. Nie mam też zapału do równie nieuniknionych jak demagogicznych puent, że jedynie gnuśna, rozbestwiona i niczym Babilon zdegenerowana Warszawa, pod pozorem czczenia wartości, próżnuje i miast się czymś pożytecznym zająć, daje pole do niepodległościowego prania się po ryjach.

Jedynie tam gromadzi się kwiat prawdziwie miłującego ojczyznę pronarodowego lub proeuropejskiego rycerstwa? Może, choć nie ja jeden wątpię; może, choć nie za bardzo wygląda, żeby ci, co się na stołecznych placach biją, bili się o coś ważnego. Oni się biją, bo mają chęć do bitki i jest po temu okazja, i jest niezłe

bitewne pole. Ogłaszanie jakichś facecji, że władze winny tak dobrać trasy, by się nie przecięły, to jest znak odklejenia, przecież oni jedynie po to – by się przeciąć – idą i zawsze tak – by się przeciąć – skręcą.

Gdyby mnie to choć trochę ruszało, powiedziałbym: cieszmy się, że się biją, tylko jak jest okazja; gdy się zaczną naparzać bez okazji, czyli na okrągło, czyli na granicy wojny domowej – zaczniemy się martwić.

Niektórzy zresztą powiadają, że w Polsce już trwa wojna, otóż niewątpliwie wojna tych, co lubią walczyć z „psami", czyli z policją, trwa, i to trwa od dawna; w gruncie rzeczy nie wiadomo, kiedy się zaczęła, „przed dwustu laty w grudniu wrześniu może wczoraj o świcie", nie wiadomo, bo „wszyscy chorują tutaj na zanik poczucia czasu", nie wiadomo, na czyją stronę aktualnie przechyla się szala zwycięstwa...

Tak, ta wojna, wojna żulii z policją, jest i trwa, i oby nawet w nikczemnej postaci trwała! Jaka jest, taka jest, cieszmy się nią, innej nie będziemy mieli, chyba że światowa jakaś zawierucha nas ogarnie; pisałem o tym niedawno, globalny konflikt to jest jednak zupełnie, ale to zupełnie co innego.

W warunkach domowych naród nasz mdły i do wojaczki nieskory, nawet komunizm obaliliśmy bez jednej kropli krwi przelanej, bez jednej szyby rozbitej – jaki to wstyd przed całym światem! Jakie to świadectwo ślamazarności, flegmatyczności i ospałości! System przewrócić i choć jednego komucha na suchej gałęzi nie powiesić? Jednego marnego ubeka nie zlinczować? Mieć taką szansę i pozwolić jej przejść koło nosa? Kiedy będzie

następna? Czekaj tatka latka! Czekaj rodaku mądry, chyba głupi po szkodzie!

Są na szczęście tacy, co choć słowem próbują honor, resztki honoru Polaków ocalić i krwawe wizje rozwijają, i albo same zdrady, albo wiodące do zdrady zaniechania czarno na białym pokazują, i traktaty wolności broniące układają, ale to jest niestety – nazwijmy rzecz po imieniu – musztarda po obiedzie. Mieć kompleks musztardy po obiedzie to wielka przykrość, ale być i wiedzieć, że się jest musztardą po obiedzie – to musi psuć humor.

12 listopada 2011

Ktoś może zapytać, dlaczego piszę o rzeczach, które mi wiszą. Odpowiadam: autor, który nie umie zdać sprawy z własnej obojętności, powinien zmienić zawód. Obojętność jest takim samym stanem ducha jak lęk, fascynacja, wstyd i wszelkie inne stany – tyle że trudniej uchwytnym. A Polaków obojętnych wieluż? Całe rzesze! Im się również słowo należy!

Co wyjaśniwszy, uprzejmie donoszę, że w równym stopniu jak pseudoniepodległościowe walki uliczne wisi mi histerycznie w tych dniach wałkowany problem orła czy też, dokładnie mówiąc, problem braku orła na koszulkach piłkarskiej reprezentacji Polski.

Odbyła się uroczysta prezentacja niezwykle starannie zaprojektowanych i z perfekcją szytych szat, w których nasze orły mają wystąpić na Euro, i ku powszechnej konsternacji okazało się, że na piersiach orłów nie ma orłów! Jest wprawdzie logo PZPN, w którym to logo znajduje się „element orła", ale co innego – na Boga! – orzeł, co innego „element orła"! Jakież wzburzenie! Jakież wzmożenie! Jakież świętej tradycji przywoływanie! Przecież wyrażenie: „Koszulka z orłem na piersi" to jest w języku polskim fraza tego samego rzędu co „Matka Boska z Dzieciątkiem na ręku". Przecież reprezentacja bez orłów na klatach to jest husaria bez skrzydeł na ramionach! Kościół bez ołtarza! Kraków bez Wawelu! Cała historia polskiej piłki to jest historia

naznaczona orłem. Wprawdzie poza dekadą 1972–1982 prawdziwie orlich lotów było mało, a prawdę powiedziawszy, wcale, ale orzeł był! Widniał! Nawet jak w przestworza się nie wzbijał, to od czasu do czasu podskakiwał! Dziobnął kogoś! Pióra na postrach najeżył!

Bardzo poważne i wielce czcigodne są to argumenty, moim jednak zdaniem jest kompletnie bez znaczenia, czy Polska na Euro nie wyjdzie z grupy w koszulkach z orłem czy bez orła.

16 listopada 2011

Rozpoczęła się akcja przywracania orła na koszulkach kadry – Boże, Ty jednak istniejesz? Albo nie istniejesz, bo przecież gdybyś był, oszczędziłbyś wstydu? Wprawdzie niedawno prosiłem o – ujmując rzecz delikatnie – minimalną czytelność przekazu; nie pierwszy raz z najwyższym i pełnym pokory taktem sugerowałem – w najmniejszym stopniu nienarażającą Wszechmocy na szwank – choćby śladową deszyfrację Twych rozkazów. Nisko, jak najniżej chyląc czoło, ośmielałem się zwrócić uwagę na pewien zamęt poznawczy. Jak zwykle jednak: głucho, ciemno; jak zwykle: heretycki groch o przedwieczną ścianę?

OK, niech będzie po staremu: niezbadane są wyroki, drogi, ścieżki und so weiter – jak by powiedział Marcin Luter. Przyjmuję, oddalam się na chwilę dróżką (nie tyle niezbadaną, ile nieukończoną, a już z pewnością na czas nieutwardzoną); na krótko zostawiam teologiczny aspekt Euro, ruszam w kierunku świeckiego; oddalam się, ale dosłownie za sekundę wracam, i to wracam w posłuszeństwie, wracam jako uosobienie posłuszeństwa. Jest sprawa, a nawet dwie sprawy, które pora wyjaśnić. Tym bardziej że jedna tyczy Opatrzności, druga futbolu – kontekst wymarzony i harmonijny.

17 listopada 2011

Akcja przywracania orła najpewniej skończy się powodzeniem – wychodzi tedy, iż w czerwcu nie wyjdziemy z grupy wierni tradycji: bez punktów i bramek, ale z orłem na piersi. Dobre i to? Raczej zbyteczne. Jak się przed zawodami za dużo gada o detalach kostiumów – nawet symbolicznych – źle to wróży graniu. Choćby stroje nie wiadomo jakim patriotyzmem były naznaczone albo nienaznaczone – aktorzy i ich kunszt ważniejsi.

By przeczuwać klęskę, nie potrzeba wróżb ani wróżbitów, gołym okiem widać wszystko. A widać mało i marnie. Mecze z Włochami i Węgrami naocznie pokazały, jak średnimi i o jak przeciętnych umiejętnościach artystami dysponujemy. I niechaj nikt nie wciska mi prasłowiańskiego kitu, że były to towarzyskie spotkania, które z natury rzeczy gra się na luzie, a dopiero jak przyjdą boje turniejowe, nasi pokażą, na co ich stać etc., etc.

Po pierwsze kto kiedykolwiek, na jakimkolwiek szczeblu grał w piłkę, ten wie, że mecze „na luzie" praktycznie nie istnieją – zawsze chce się wygrać. Siła, zasięg i popularność futbolu polega i na tym, że obojętnie, czy „trzech na trzech na małe bramki" na podwórku, czy oglądany przez pół globu walczysz w finale Ligi Mistrzów – twoja sytuacja psychologiczna jest podobna, a nawet identyczna: z całą zaciekłością pragniesz zwycięstwa, za wszelką cenę chcesz przeciwnikowi strzelić więcej bramek niż on tobie.

W pewnym, a raczej w zupełnie podstawowym sensie nie ma żadnych meczów towarzyskich, treningowych, sparingowych, wakacyjnych, o pietruszkę etc., etc. W facetach, którzy wchodzą na boisko celem rozegrania meczu piłkarskiego, budzi się bitewny instynkt zwycięstwa i nie ma znaczenia, czy są to reprezentanci kraju, starsi panowie, którzy pragną rozprostować kości, czy zapaleni urlopowicze organizujący turniej domów wczasowych. Każdy, nawet na wskroś plażowy mecz jest meczem o najwyższą stawkę.

Owszem, każdy mecz może w pewnym momencie przeistoczyć się w spotkanie bez stawki, a nawet w zabawę bez znaczenia – tak bywa wtedy, gdy jedna z drużyn osiąga miażdżącą i nie do odrobienia przewagę; tak było w meczu z Włochami, którzy pewnie prowadząc, spokojnie grali z nami „ w dziada".

Po drugie nawet gdyby gusło o towarzyskich, granych bez mobilizacji meczach było choćby częściową prawdą, to obawiam się, że nasze orły nawet w stanie najsilniejszej mobilizacji i najwyższego wzlotu wiele nie pokażą. Dlaczego? Ponieważ wiele nie potrafią. Mobilizacja musi mieć co mobilizować. Ambicja musi mieć co pobudzać. Muszą być jakieś podstawy; wyzwolony i rozbudzony stawką kunszt – w marnej, bo w marnej postaci – ale musi istnieć. Wyniesione na wyżyny nikłe umiejętności muszą na co dzień – nikle, bo nikle – ale występować. W towarzyskich meczach bez znaczenia również powinny być widoczne. Możliwe do odnotowania.

Może się jeszcze pokażą. Oby się pokazały. Jak najliczniej. I tak wszystko wskazuje, że w najlepszym razie czekają nas rytualnie rozpaczliwe widowiska, swoiste konglomeraty krwawego horroru

z komedią rodzinną, parodie powstańczo-partyzanckich potyczek, słynne „obrony Częstochowy", w których Polska braki techniczne nadrabiać będzie ambicją, wolą walki i sercem do gry. Oby choć to było, na razie sromota bez walki prawdopodobniejsza, tym prawdopodobniejsza, że za silna psychicznie drużyna narodowa również nie jest. Wystarczy utrata bramki i nie tylko powietrze z furkotem z chłopców uchodzi. Wystarczy jedna zmarnowana sytuacja i rosnąca nerwowość nie pozwoli wykorzystać żadnej następnej. O ile będą jakieś następne. Raczej nie będzie.

Grająca obecnie generacja prawdopodobnie nigdy się nie nauczy stwarzania pozycji bramkowych, a jak się nauczy, to je zmarnuje, ponieważ nie trafi do bramki, a jak trafi, to bramkarz obroni. Aktualnie najlepsi polscy piłkarze prawdopodobnie nigdy nie zrozumieją, że pierwszym warunkiem strzelenia gola nie jest wbrew pozorom bydlęca siła uderzenia w kierunku bramki przeciwnika, jest nią natomiast trafienie w światło tej bramki. Nie da się strzelić gola, nie trafiając w bramkę, a niepodobna nie odnieść wrażenia, że kadra Smudy pełną parą pracuje nad obaleniem tego aksjomatu. Do czerwca mogą nie zdążyć.

18 listopada 2011

Od razu jednak i z całą mocą pragnę podkreślić – to, że jest, jak jest, w najmniejszej mierze nie jest winą trenera. Smuda nie jest szkoleniowcem z mojej bajki, ale tu nikt inny, od Mourinho poczynając, na Fergusonie kończąc, nie dałby rady. Piłkarze też bez winy – grają, jak potrafią najlepiej. Pan Bóg winien – umiarkowanie utalentowaną zesłał generację. Jak się nie jest odwieczną potęgą futbolową, jak się nie jest narodem, który sport ten ma w genach, jak się nie jest społeczeństwem, dla którego futbol jest religią, jak się nie jest krajem, którego niezwykłej urody mieszkanki nie co pokolenie, lecz co roku wydają na świat setki, a może tysiące do piłkarskiej wybitności predestynowanych noworodków, jak się nie ma systemu szkolenia, rekrutowania, a potem pilnowania rozwoju uzdolnionej młodzieży – pozostaje loteria.

Loteria to jest – jak powszechnie wiadomo – czekanie na wielką wygraną, która trafia się rzadko, a przeważnie w ogóle. W piłce hazard ten jest czekaniem na generację utalentowanych futbolistów. Fenomen taki w krajach pozbawionych duchowo-materialnego zaplecza piłkarskiego zdarza się niezmiernie rzadko, tak rzadko, że nawet jak się trafi, łatwo go prześlepić.

Prowadzący niedawno reprezentację Polski Leo Beenhakker słynął z wygłaszania rozmaitych wzniosłych aforyzmów, wymownych metafor, pełnych głębi dystychów i innych, rzekomo

dotykających sedna rzeczy przypowieści. Jedna z pierwszych, jaką na ziemiach polskich obwieścił, sprawiała tak nieodparte wrażenie, że uległo jej wielu. – Polska rychło będzie światową potęgą piłkarską – oświadczył siwowłosy mędrzec – jest bowiem wykluczone, by w czterdziestomilionowym narodzie nie było jedenastu piłkarzy na światowym poziomie! Oni – spójrzcie na jasną stronę księżyca – są i niebawem dadzą nam zwycięstwo!

Niby rozumowanie bez zarzutu, w końcu im większa zbiorowość, tym większe prawdopodobieństwo obecności w niej poszukiwanych indywidualności; rozumowanie konstrukcyjnie bez zarzutu, tyle że funta kłaków niewarte, bo do empirii nic a nic nieprzystające.

Gdyby rozstrzygały pieniądze, mistrzem świata byłby Kuwejt, gdyby rozstrzygała liczebność populacji – Chiny. Dobrze znamy te (w sumie dziwaczne: co w końcu rozstrzyga, jak nie ludzie czy kasa?) argumenty.

Nawiasem mówiąc, przeświadczenie, że dzięki przeważającej liczbie mieszkańców da się rozwiązać wszelkie problemy, to jest maoizm w postaci czystej. Przewodniczący rozmaite swe kuriozalne akcje na ogromnym materiale ludzkim opierał, jedna z najgłośniejszych polegała na planie prześcignięcia burżuazyjnego Zachodu, a głównie Wielkiej Brytanii, w produkcji stali. By cel ten osiągnąć, wydano narodowi polecenie, by każdy Chińczyk zgromadził ile da rady metalu, następnie złom ten przetapiano w prowizorycznych przydomowych „kozach" hutniczych, i mimo że rychło w chińskich gospodarstwach nawet widelca, nawet igły, nawet blaszanego guzika nie dało się uświadczyć, tryumf metalurgii w Państwie Środka nie nastąpił.

W tym sensie Beenhakker okazał się od Mao skuteczniejszy. Cztery lata temu z czterdziestu milionów Polaków wyłowił dziesięciu zawodników, dodał do nich jednego naturalizowanego Brazylijczyka i pierwszy raz w dziejach reprezentację Polski do finałów Mistrzostw Europy wprowadził. Na tym jednak tryumfy holenderskiej wersji maoizmu się skończyły i jest, jak jest. Jest mianowicie czekanie na generację, która wyda z siebie złotą jedenastkę. To może potrwać, Węgrzy – którzy ostatnio, nie mogąc patrzeć na nasze z nimi męczarnie, litościwie strzelili sobie dającego nam zwycięstwo samobója – czekają sześćdziesiąt lat z hakiem. Ile my będziemy czekać, kto może wiedzieć? Mniej niż kilkadziesiąt lat – wiadomość czy raczej hipoteza dobra? Więcej niż kilka miesięcy? Wiadomość – obawiam się – pewna.

21 listopada 2011

Daj Boże odszczekać. Daj Boże wyjść na idiotę i wszystkie irytacje, czarnowidztwa i inne malkontenctwa bezlitośnie każ mi odszczekiwać latem. Uczynię to bez przysłowiowej rozkoszy „złego proroka, którym obym był", ale uczynię. Będę odszczekiwał tym skwapliwiej, że już teraz (dopiero teraz) mam co odszczekiwać. Jednym wielkim odszczekiwaniem ten *Dziennik* się kończy. Kto by pomyślał, ale co robić?

Dwu zaprzaństw – i to zaprzaństw fundamentalnych – się na tych kartach dopuściłem. Do obu muszę wrócić, oba muszę, choć z grubsza, objaśnić, oba muszę donośnie, stanowczo, bez ceregieli i zwłaszcza bez żadnych śmichów-chichów odszczekać.

Na samym mianowicie początku tych zapisków wyparłem się Pana Boga, nieco później, gdzieś tak w połowie tomu, wyrzekłem się Cracovii Kraków.

Co tu dużo gadać: straszliwą cenę przyszło mi za jedno i za drugie zapłacić. Zanim zdążyłem skończyć się wypierać – już płaciłem.

Wyparłszy się Cracovii publicznie, może nawet klątwę jakąś na nią rzuciwszy, wewnętrznie jednak za słaby, by własnemu słowu sprostać, chyłkiem, w ciemnych okularach i bluzie z – ma się rozumieć – szczelnie na łeb naciągniętym kapturem przemykałem na mecze, samotnie konałem w fotelu podczas transmisji, udając obojętność, wszem wobec z maksymalnym kabotyństwem głosząc,

że „los pewnego krakowskiego klubu absolutnie, ale to absolutnie przestał mnie interesować", w istocie zaś nie spuszczałem mej drużyny z oka.

Pora dać sobie spokój z wyniszczającym udawaniem, pora – a to akurat jest wzmacniające – zrozumieć, że jedyną na tym świecie miłością do grobowej deski jest miłość do klubu ukochanego. Tym bardziej pora, że i ona (grobowa deska) coraz bliżej. Z całą przeto mocą odwołuję swe (w istocie zresztą pozorne) zaprzaństwo, cofam i przepraszam za wszystkie klątwy czy złe słowa, wracam na ulicę Kałuży, przyjmijcie mnie dobrze.

Z Panem Bogiem – choć ledwo cień zwątpienia okazałem, diabli z krwi i kości wzięli mnie w obroty – sprawa daleko prostsza. Bez Najwyższego nie da się pisać literatury. Słowa „Bóg" i wszelkich jego odmian, imion, przypadków, konsekwencji, puent, metafor etc., etc. nie ominiesz. A skoro ich nie ominiesz – musisz w nie wierzyć. Nie masz się chyba zamiaru skazywać na czcze teologiczne gadulstwo czy pustą retorykę? W istocie nie mam takiego zamiaru. Wyznawszy przeto na pierwszej stronie utratę wiary w P. B., ergo stwierdziwszy – może nawet nie wprost, ale stwierdziwszy – że Jego nie ma, na ostatniej stronie prostuję tę przykrą pomyłkę i kategorycznie oznajmiam: On jest.

Od Autora

Nie da się zaprzeczyć, że *Dziennik 2010–2011* był w odcinkach drukowany w „Przekroju". Teoretycznie i od biedy można tak powiedzieć – w istocie wersję książkową od gazetowej dzieli bezlik różnic.

Niemal od samego początku miałem świadomość, że notatki te układają się w „większą całość", że mają swój rytm i tonację; sprzyjał mi taki efekt, stokroć był on dla mnie ważniejszy od wymowy co tydzień ogłaszanych, osobnych kawałków. Nie były osobne, ich ewentualna osobność bywała czysto mechaniczna, co tydzień wykrawałem z wywodu wymaganą objętość i nie bez elementu bezkarności słałem do redakcji. Teraz ogłaszam pełne, często inaczej zredagowane i w wielu miejscach znacząco poszerzone wersje.

Owszem, prócz poszerzeń są też zawężenia, kilka zawstydzająco płaskich tekstów „politycznych" – też takich, w których kompletnie bezradny autor najwyraźniej nie miał pojęcia, o co mu chodzi – usunąłem bezpowrotnie. Żartobliwej uwagi, iż dumny jestem z nakazujących mi taki ruch resztek samokrytycyzmu, nie daję; zawsze może się trafić jakiś bystrzak i wyrazić kąśliwy żal, że mój samokrytycyzm okazał się za mały, by usunąć wszystko. Nie chciałbym tego, bo przywiązuję do tych zapisków szczególną wagę i jest tak nie tylko dlatego, że mój świat, gdy zaczynałem

pisanie, był całkowicie inny od tego, który osacza i dławi mnie dziś.

Bibliografia utworów cytowanych

Julian Barnes, *Nie ma się czego bać*, Świat Książki, Warszawa 2010

Jan Błoński, *Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady*, Znak, Kraków 2011

Emil Cioran, *Rozmowy z Cioranem*, KR, Warszawa 1999

Antoni Czechow, *Nieciekawa historia*, Sic!, Warszawa 2011

Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*, PIW, Warszawa 1993

Witold Gombrowicz, *Dziennik*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

Dezsö Kosztolányi, *Ptaszyna*, WAB, Warszawa 2011

Wojciech Kuczok, *Spiski. Przygody Tatrzańskie*, W.A.B, Warszawa 2010

Michał Majewski, Paweł Reszka, *Daleko od Wawelu*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2010

Tomasz Mann, *Czarodziejska góra*, Muza, Warszawa 2008

Sándor Márai, *Niebo i ziemia*, Czytelnik, Warszawa 2011

Kazimierz Mrówka, *Heraklit: fragmenty: nowy przekład i komentarz*, Scholar, Warszawa 2011

Cormac McCarthy, *Krwawy południk*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010

Joanna Roszak, *W cztery strony naraz. Portrety Karpowicza*, Biuro Literackie, Warszawa 2010

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

Bruno Schulz, *Sanatorium pod klepsydrą*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

Adam Zagajewski, *Lekka przesada*, a5, Kraków 2011

Indeks

Aftyka Maciej
Altman Robert
Amielin Siergiej
Amis Kingsley
Ariès Philippe
Arnold Agnieszka
Arystoteles
Auster Paul

Bach Jan Sebastian
Baczyński Jerzy
Baka Józef
Balcerzan Edward
Barańczak Stanisław
Bardecki Andrzej
Barnes Julian
Bator Joanna
Batory Stefan
Bauman Magdalena
Beenhakker Leo
Bem Kazimierz
Bereś Witold
Bereza Henryk

Bergman Ingmar
Berlusconi Silvio
Bernhard Thomas
Best George
Będkowski Leszek
Białoszewski Miron
Białoszewski Tomasz
Bikont Anna
Bińczycki Jerzy
Blake William
Blimke Zbigniew
Błoński Jan
Boniecki Adam
Borg Björn
Borowski Tadeusz
Bortnowska Halina
Bozsik József
Brachocki Aleksander
Breivik Anders
Breżniew Leonid
Broch Hermann
Broniewski Władysław
Bruell Andrzej
Bruell Edwin
Bruell Hermina
Bruell Oswald
Bruell Tomasz
Bruell Walter

Bułhakow Michaił
Bunin Iwan
Buzek Jerzy

Camus Albert
Canetti Elias
Carver Raymond
Castro Fidel
Cendrars Blaise
Centkiewicz Alina
Centkiewicz Czesław
Chmielowski Benedykt
Chodakowski Jan
Chojnacki Roman
Churchill Winston
Cieślar Jan
Cieślar Michał
Cieślarówny siostry
Cioran Emil
Coetzee John Maxwell
Coen Ethan
Coen Joel
Csillag Anna
Cyceron
Czechow Antoni
Czerniawski Adam
Czycz Stanisław
Czyż Andrzej
Czyż Jerzy

Czyżewska Elżbieta
Czyżowa Maria

Daudet Alphonse
De Goncourt Edmont
De Montaigne Michel
Dedecius Karl
Deyna Kazimierz
Dickens Karol
Dobraczyński Jan
Domosławski Artur
Doroszewski Witold
Dostojewski Fiodor
Drewnowski Tadeusz
Drozd Jerzy
Dutkiewicz Rafał
Dygat Stanisław

Einstein Albert
Eklezjasta (Kohelet)
Esterházy Péter

Fabisiak Kazimierz
Faulkner William
Ferguson Alex
Filek Jacek
Filipowicz Kornel
Firlejowie, ród
Fischer Joschka

Flaubert Gustaw
Franaszek Andrzej
Fredro Aleksander

Gałczyński Konstanty Ildefons
Geremek Bronisław
Giedroyć Jerzy
Gierek Edward
Giertych Roman
Głowiński Michał
Gombrowicz Witold
Gomułka Władysław
Gorczyca Zdzisław
Gosiewski Przemysław
Górkowie ród
Graczyk Roman
Grass Günter
Green Graham
Grochowiak Stanisław
Grudziński Gustaw Herling

Hall Aleksander
Hammar Hans Börje
Hammar Karl Gustav
Haneke Michael
Hartman Jan
Heraklit z Efezu
Hertz Paweł
Hertz Zygmunt

Hidegkuti Nándor
Hitler Adolf
Holoubek Gustaw
Homer
Horubała Andrzej
Houellebecq Michel
Hrabal Bohumil
Huelle Paweł
Husajn Saddam

Irving John
Iwaszkiewicz Jarosław
Iwaszkiewicz Maria

James Henry
Jan Paweł II
Jaruzelski Wojciech
Joyce James

Kaczyński Jarosław
Kaczyński Lech
Kafka Franz
Kajzar Helmut
Kamiński Michał
Kantor Tadeusz
Kapuściński Ryszard
Karenin Aleksy Aleksandrowicz
Karpowicz Tymoteusz
Katana Marek

Kijowski Andrzej
Kisielewski Stefan
Kiszczak Czesław
Klara św.
Klich Bogdan
Knap Jerzy
Kochanowski Jan
Kołakowski Leszek
Komolka Jan
Komorowski Bronisław
Koniecpolski Jan patrz Słobodzianek Tadeusz
Konopnicka Maria
Konwicki Tadeusz
Kopernik Mikołaj
Kornhauser Julian
Kostka Hubert
Kosztolányi Dezsö
Kościelniak Ireneusz
Kott Jan
Kownacka Maria
Kozłowski Krzysztof
Kożena Magdalena
Krasnodębski Zdzisław
Kraszewski Józef Ignacy
Kronhold Jerzy
Król Marcin
Królak Jacek
Krynicki Ryszard

Kubaczka Otton
Kubicki Józef
Kuczok Wojciech
Kundera Milan
Kurkiewicz Roman
Kwaśniewska Jolanta
Kwaśniewski Aleksander

Latkowski Robert
Lechoń Jan
Lempp Albrecht
Leńczyk Orest
Lepper Andrzej
Leśmian Bolesław
Leverkühn Adrian
Libera Antoni
Linde Samuel Bogumił
Lisicki Paweł
Lisowski Jerzy
Llosa Mario Vargas
Luksemburg Róża
Lupa Krystian
Luter Marcin

Łucja, św.
Łukaszenka Aleksander

Macharski Franciszek
Maj Bronisław

Majewski Michał
Malajkat Wojciech
Maliński Mieczysław
Malkowska Barbara
Małysz Adam
Mamoń Bronisław
Mandelsztam Osip
Mann Tomasz
Mao Tse-tung
Maradona Diego
Márai Sándor
Marek Apostoł, św.
Marquez Gabriel García
May Karol
McCarthy Cormac
McEwan Ian
Melanchton Filip
Mentzel Zbigniew
Mętrak Krzysztof
Michalski Krzysztof
Michalski Zenon
Michnik Adam
Mickiewicz Adam
Miedwiediew Dmitrij
Mieszko I
Miłosz Czesław
Modzelewski Karol
Moravia Alberto

Moro Aldo
Mościcki Ignacy
Mourinho José
Mrożek Sławomir
Mrówka Kazimierz
Mróz Daniel
Mucharski Piotr
Musiał Stanisław
Musil Robert

Naborowski Daniel
Nobel Alfred
Nowacka-Isaksson Anna
Nowaczyński Adolf
Nowakowski Andrzej
Nowicki Jan
Nyczek Tadeusz
Nyczowa Małgorzata

Obama Barack
Oppman Artur
Orliński Wojciech
Orzeszkowa Eliza
Osiecka Agnieszka
Osiecki Jan
Owidiusz (Publius Ovidius Naso)

Pamuk Orhan
Pascal Blaise

Paweł Apostoł, św.
Pawlas Władysław
Pawłowicz Antoni
Piechniczek Antoni
Pieszczachowicz Jan
Pięciak Wojciech
Pilch Adam
Pilch Edward
Pilch Hanna
Pilch Jan
Pilch Kornelia
Pilch Paweł
Pilch Wanda
Pilch Władysław
Piłsudski Józef
Płatonow Andriej
Polkowski Jan
Porazińska Janina
Prejzner Tadeusz
Proust Marcel
Pszon Mieczysław
Pudzianowski Mariusz
Puskás Ferenc
Pustówka Ferdynand
Putin Władimir
Putrament Jerzy
Pytlakowski Piotr

Raczkowski Marek

Radziwiłłowie ród
Rej Mikołaj
Reszka Paweł
Rokita Jan Maria
Rokita Nelly
Romanowski Andrzej
Rosset Frank
Roszak Krystyna
Roth Philip
Różewicz Tadeusz
Rudan Vedrana
Rudnicki Janusz
Rulczyński Kazimierz
Rushdie Salman
Ryba Jan Jakub
Rymkiewicz Jarosław Marek
Ryster Stanisława

Salinger Jerome David
Salomon
Sandauer Artur
Sarkozy Nicolas
Schiller Fryderyk
Schulz Bruno
Singer Izaak
Słobodzianek Tadeusz (Jan Koniecpolski)
Słonimski Antoni
Słowacki Juliusz
Smuda Franciszek

Sołżenicyn Aleksander
Spychalski Mirosław
Staff Leopold
Stala Marian
Stalin Józef
Stec Rafał
Stwosz Wit
Szczęsna Joanna
Szekspir William
Szewek Jan Maria
Szlaur-Bujok Maria
Sztwiertnia Jan
Sztwiertnianka Maria
Szwed Paweł
Szymborska Wisława
Śliwowski Rene
Ślusarczyk Jacek
Środa Magdalena

Tejkowski Bolesław
Tischner Józef
Tokarczuk Olga
Tokarska-Bakir Joanna
Tołstoj Lew
Turgieniew Iwan Siergiejewicz
Turnau Jan
Turowicz Jerzy
Tuwim Julian
Tymiński Stanisław

Urban Jerzy

Walezy Henryk
Wałęsa Lech
Wantuła Andrzej
Wantuła Ewa
Wantuła Julia
Wapowski Andrzej
Wasilewska Wanda
Wieczorek Iwona
Wietrzny Hanna
Wildstein Bronisław
Wiśniewska Katarzyna
Witkacy (Stanisław Ignacy Witkiewicz)
Wittgenstein Ludwig
Wojtyła Karol patrz Jan Paweł II
Wróblewski Tadeusz
Wysocki Krzysztof

Zadura Bohdan
Zagajewski Adam
Zborowscy ród
Zborowski Samuel
Zola Emil

Żeromski Stefan
Żurek Wacław

Dziennik

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa
2009

21 grudnia 2009

31 grudnia 2009

2010

1 stycznia 2010

2 stycznia 2010

5 stycznia 2010

7 stycznia 2010

8 stycznia 2010

9 stycznia 2010

10 stycznia 2010

13 stycznia 2010

15 stycznia 2010

16 stycznia 2010

18 stycznia 2010

18 stycznia 2010

19 stycznia 2010

20 stycznia 2010

21 stycznia 2010

22 stycznia 2010

2 lutego 2010

3 lutego 2010

5 lutego 2010

6 lutego 2010

7 lutego 2010

8 lutego 2010

9 lutego 2010

10 lutego 2010

10 lutego 2010

20 lutego 2010

7 marca 2010

8 marca 2010

9 marca 2010

10 marca 2010

12 marca 2010

16 marca 2010

19 marca 2010

20 marca 2010

21 marca 2010

1 kwietnia 2010

2 kwietnia 2010 (Wielki Piątek)

3 kwietnia 2010

4 kwietnia 2010

5 kwietnia 2010

6 kwietnia 2010

7 kwietnia 2010

8 kwietnia 2010

18 kwietnia 2010

24 kwietnia 2010

25 kwietnia 2010

30 kwietnia 2010

1 maja 2010

2 maja 2010

3 maja 2010

7 maja 2010

8 maja 2010

10 maja 2010

16 maja 2010

17 maja 2010

19 maja 2010

22 maja 2010

26 maja 2010

27 maja 2010

27 maja 2010

1 czerwca 2010

5 czerwca 2010

5 czerwca 2010

11 czerwca 2010

12 czerwca 2010

13 czerwca 2010

17 czerwca 2010

18 czerwca 2010

19 czerwca 2010

20 czerwca 2010

21 czerwca 2010

26 czerwca 2010

27 czerwca 2010

28 czerwca 2010

29 czerwca 2010

30 czerwca 2010

1 lipca 2010

2 lipca 2010

3 lipca 2010

4 lipca 2010

5 lipca 2010

11 lipca 2010

17 lipca 2010

20 lipca 2010

21 lipca 2010

24 lipca 2010

25 lipca 2010

26 lipca 2010

27 lipca 2010

3 sierpnia 2010

4 sierpnia 2010

5 sierpnia 2010

7 sierpnia 2010

10 sierpnia 2010

20 sierpnia 2010

21 sierpnia 2010

22 sierpnia 2010

23 sierpnia 2010

24 sierpnia 2010

25 sierpnia 2010

4 września 2010

5 września 2010

6 września 2010

7 września 2010

11 września 2010

12 września 2010

13 września 2010

17 września 2010

18 września 2010

19 września 2010

20 września 2010

21 września 2010

22 września 2010

2 października 2010

3 października 2010

4 października 2010

5 października 2010

8 października 2010

9 października 2010

10 października 2010

11 października 2010

13 października 2010

16 października 2010

17 października 2010

18 października 2010

19 października 2010

20 października 2010

21 października 2010

22 października 2010

26 października 2010

27 października 2010

28 października 2010

29 października 2010

30 października 2010

2 listopada 2010

3 listopada 2010

4 listopada 2010

5 listopada 2010

8 listopada 2010

9 listopada 2010

10 listopada 2010

11 listopada 2010

10 listopada 2010

11 listopada 2010

12 listopada 2010

13 listopada 2010

14 listopada 2010

15 listopada 2010

16 listopada 2010

17 listopada 2010

18 listopada 2010

19 listopada 2010

24 listopada 2010

25 listopada 2010

26 listopada 2010

27 listopada 2010

4 grudnia 2010

5 grudnia 2010

6 grudnia 2010

7 grudnia 2010

9 grudnia 2010

10 grudnia 2010

11 grudnia 2010

12 grudnia 2010

13 grudnia 2010

16 grudnia 2010

17 grudnia 2010

18 grudnia 2010

27 grudnia 2010

28 grudnia 2010

30 grudnia 2010

31 grudnia 2010

2011

1 stycznia 2011

3 stycznia 2011

4 stycznia 2011

5 stycznia 2011

6 stycznia 2011

8 stycznia 2011

13 stycznia 2011

14 stycznia 2011

15 stycznia 2011

16 stycznia 2011

18 stycznia 2011

19 stycznia 2011

20 stycznia 2011

21 stycznia 2011

2 lutego 2011

3 lutego 2011

5 lutego 2011

6 lutego 2011

8 lutego 2011

9 lutego 2011

10 lutego 2011

19 lutego 2011

22 lutego 2011

23 lutego 2011

12 marca 2011

13 marca 2011

14 marca 2011

15 marca 2011

18 marca 2011

19 marca 2011

21 marca 2011

24 marca 2011

26 marca 2011

27 marca 2011

29 marca 2011

30 marca 2011

31 marca 2011

1 kwietnia 2011

2 kwietnia 2011

3 kwietnia 2011

5 kwietnia 2011

13 kwietnia 2011

14 kwietnia 2011

15 kwietnia 2011

16 kwietnia 2011

28 kwietnia 2011

29 kwietnia 2011

1 maja 2011

4 maja 2011

5 maja 2011

6 maja 2011

12 maja 2011

13 maja 2011

14 maja 2011

19 maja 2011

20 maja 2011

21 maja 2011

25 maja 2011

26 maja 2011

26 maja 2011

27 maja 2011

2 czerwca 2011

3 czerwca 2011

4 czerwca 2011

10 czerwca 2011

11 czerwca 2011

15 czerwca 2011

16 czerwca 2011

17 czerwca 2011

21 czerwca 2011

22 czerwca 2011

23 czerwca 2011

3 lipca 2011

7 lipca 2011

8 lipca 2011

11 lipca 2011

12 lipca 2011

13 lipca 2011

18 lipca 2011

19 lipca 2011

20 lipca 2011

22 lipca 2011

23 lipca 2011

24 lipca 2011

29 lipca 2011

30 lipca 2011

31 lipca 2011

5 sierpnia 2011

6 sierpnia 2011

8 sierpnia 2011

10 sierpnia 2011

12 sierpnia 2011

13 sierpnia 2011

23 sierpnia 2011

24 sierpnia 2011

25 sierpnia 2011

26 sierpnia 2011

27 sierpnia 2011

31 sierpnia 2011

1 września 2011

2 września 2011

4 września 2011

5 września 2011

6 września 2011

7 września 2011

15 września 2011

16 września 2011

17 września 2011

18 września 2011

19 września 2011

20 września 2011

26 września 2011

29 września 2011

30 września 2011

3 października 2011

4 października 2011

5 października 2011

6 października 2011

7 października 2011

8 października 2011

9 października 2011

10 października 2011

20 października 2011

21 października 2011

22 października 2011

1 listopada 2011

2 listopada 2011

7 listopada 2011

8 listopada 2011

9 listopada 2011

11 listopada 2011

12 listopada 2011

16 listopada 2011

17 listopada 2011

18 listopada 2011

21 listopada 2011

Od Autora

Bibliografia utworów cytowanych

Indeks

Karta redakcyjna

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Maciej Korbasiński
Jadwiga Piller

Indeks i bibliografia
Piotr Łanik

Copyright © by Jerzy Pilch 2012
Copyright © by Wielka Litera, Sp. z o.o.,
Warszawa 2012

Wielka Litera Sp. z o.o.
02-953 Warszawa, ul. Kosiarzy 37/53

ISBN 978-83-63387-08-2

Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl